



Daphne du Maurier

Nie oglądaj się teraz



Nie oglądaj się teraz

— Nie oglądaj się teraz, ale dwa stoliki dalej siedzi para staruszek, które usiłują mnie zahipnotyzować — powiedział John do swojej żony.

Laura zareagowała prędko na wskazówkę, udała, że ziewa, a potem przechyliła głowę, jak gdyby wypatrywała na niebie samolotu.

— Tuż za twoimi plecami — dodał. — Tylko nie patrz teraz w tamtą stronę; to byłoby aż nazbyt oczywiste.

Laura zastosowała najstarszy na świecie trik z upuszczeniem serwetki, dała nurka pod stół, żeby odszukać ją pod stopami, i wyprostowując się, strzeliła wzrokiem ponad lewym ramieniem. Wessała policzki, co było pierwszym sygnałem zdradzającym powstrzymywany atak wesołości, i pochyliła głowę.

— Ależ te staruszki to para bliźniaczek.

Jej głos załamał się złowieszczo, zapowiadając nie kontrolowany wybuch śmiechu, i John pospiesznie dolał chianti do jej kieliszka.

— Udawaj, że się zakrztusiłaś, żeby się nie zorientowały — poradził. — To dwie kryminalistki zwiedzające Europę, które zmieniają płęć na każdym postoju. Tutaj, w Torcello, występują jako bliźniaczki, natomiast jutro, a może nawet jeszcze dzisiaj wieczorem w Wenecji, przeobrażą się w bliźniaków i będą spacerować pod rękę po Piazza San Marco. To tylko kwestia przebrania i zmiany peruk.

— Złodziejki biżuterii czy raczej morderczynie, jak sądzisz? — spytała Laura.

— Morderczynie, to oczywiste. Ciekawe tylko, dlaczego właśnie mnie sobie upatrzyły?

Pojawienie się kelnera, który przyniósł kawę i zabrał owoce, dało Laurze sposobność opanowania śmiechu i odzyskania panowania nad sobą.

— Nie pojmuję, dlaczego wcześniej nie zwróciliśmy na nie uwagi. Trudno ich nie spostrzec. Wyróżniają się wśród otoczenia.

— Przedtem zasłaniała je banda Amerykanów oraz wyglądający na szpiega brodaty mężczyzna z monoklem w oku — wyjaśnił John. — Zauważyłem je dopiero przed chwilą, gdy wszyscy wyszli. O Boże! Ta siwa z potarganymi włosami znowu nie spuszcza mnie z oka.

Laura wyjęła z torebki puderniczkę i przysuwając lusterko do twarzy, zbadła odbicie postaci za swoimi plecami.

— Sądzę, że to na mnie patrzy, a nie na ciebie — stwierdziła. — Dzięki Bogu, że zostawiłam moje perły w depozycie u dyrektora hotelu. — Umilkła, pudrując sobie nos. — Zastanawiam się, czy ich źle nie osądzamy — rzekła po chwili. — Być może wcale nie są morderczyniami ani nawet złodziejkami, lecz parą rozczulających emerytowanych nauczycielek na wakacjach, które przez całe swoje życie oszczędzały, żeby zwiedzić Wenecję. I pewnie pochodzą z jakiejś miejsciny, równie zapadłej jak Walabanga w Australii. A zwracają się do siebie Tilly i Tiny.

Po raz pierwszy od chwili przyjazdu spomiędzy jej brwi znikła zmarszczka wywołana zgryzotą, a głos nabrał dawnego, zabarwionego wesołością brzmienia, które John tak kochał. Nareszcie, pomyślał. W końcu zaczyna przychodzić do siebie. Jeśli zdołam przeciągnąć zabawę, jakiej zwykliśmy się niegdyś oddawać zarówno w domu, jak i na urlopie, i nadał będziemy snuć różne śmieszne domysły na temat ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach, mieszkających w tym samym hotelu albo włóczących się po galeriach sztuki i po kościołach, wszystko wróci do normy, życie znowu stanie się takie jak przedtem, rana się zagoi, a ona zapomni.

— Wiesz, to był naprawdę bardzo udany lunch. Świetnie się bawiłam.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, pomyślał. A po chwili pochylił się w jej stronę i szepnął konspiracyjnie:

— Jedna z nich wybiera się do toalety. Jak sądzisz, on czy ona zamierza zmienić perukę?

— Bądź cicho — mruknęła Laura. — Pójdę za nią i osobiście się przekonam. Może ukryła tam walizkę i chce się przebrać.

Zaczęła nucić pod nosem, co dla jej męża było oznaką zadowolenia. Widmo zostało chwilowo odegnane, a to dzięki ulubionej niegdyś i dawno zarzuconej wakacyjnej zabawie, o której teraz szczęśliwym trafem na nowo sobie przypomnieli.

— Zmierza w naszą stronę? — upewniła się Laura.

— Za chwilę przejdzie obok naszego stolika — odparł.

Kobieta bez towarzyszkii nie wyróżniała się niczym szczególnym. Wysoka, o nieregularnych rysach twarzy, orlim nosie i przylegającej do głowy niemodnej fryzurze, zwanej niegdyś „Eton”, była typową przedstawicielką pokolenia matki Johna. W męskiej koszuli z kołnierzykiem, w krawacie, w sportowym żakiecie i tweedowej spódnicy do połowy łydek wyglądała na sześćdziesiąt pięć lat. Nosila popielate pończochy i czarne sznurowane buty. Znał ten typ kobiet z pól golfowych i wystaw psów, gdzie nigdy nie prezentowały okazałej rasy, lecz małe pieski z płaskimi nosami. A napotykanym przypadkiem na przyjęciach były szybsze z wyciągnięciem zapalniczki i z podaniem ognia niż on sam: mężczyzna z zapalkami. Powszechne przekonanie o wspólnym mieszkaniu z bardziej kobiecą w typie towarzyszką nie zawsze odpowiadało prawdzie. Często szczyły się grającym w golfa mężem, którego uwielbiały. Nie, niezwykłość tych dwóch starszych pań polegała na tym, że były niemal identyczne — wydawały się ulepione z tej

samej gliny. Jedyłą różnicę w ich wyglądzie stanowiły bardziej siwe włosy drugiej z kobiet.

— A co będzie, jeśli ona zacznie się obnażać, gdy znajdę się obok niej?

— Zaczekaj na rozwój wydarzeń — poradził. — Jeśli jest hermafrodytą, bierz nogi za pas. — Może mieć ukrytą strzykawkę i zechce cię uśpić, zanim zdążysz dotrzeć do drzwi.

Laura wciągnęła policzki i znowu zaczęła się trząść. Po chwili wyprostowała ramiona i podniosła się z miejsca.

— Muszę się opanować — stwierdziła. — Tylko nie patrz na mnie, gdy będę wracała, szczególnie jeśli wyjdziemy stamtąd razem. — Wzięła torebkę i odeszła pewnym krokiem, podążając w ślad za swoją ofiarą.

John nalał resztkę chianti do kieliszka i zapalił papierosa. Słońce oświetlało mały ogród przy restauracji. Po wyjściu grupy Amerykanów, mężczyzny z monoklem i rodziny, która zajmowała miejsca przy stoliku w kącie, na sali zapanował spokój. Druga z bliźniaczek siedziała wyprostowana na krześle i miała zamknięte oczy. Dzięki Bogu, że Laura pozwoliła się wciągnąć w tę głupią, nieszkodliwą zabawę, która dała jej chwilę wytchnienia, pomyślał. Być może urlop stanie się jeszcze lekarstwem, jakiego potrzebowała, i złagodzi, choćby tylko chwilowo, paraliżującą rozpacz po stracie dziecka.

— Otrząśnie się z tego — zapewniał lekarz. — Wszyscy w końcu przychodzą do siebie. A przecież wy macie jeszcze syna.

— To prawda — przyznał John. — Ale od samego początku córka była dla nas wszystkim; sam nie wiem dlaczego. Przypuszczam, że to z powodu różnicy wieku pomiędzy dziećmi. Chłopiec, który chodzi do szkoły i na dodatek jest silny, wydaje się niemal samodzielny. Ale nie można tego powiedzieć o pięcioletniej dziewczynce. Laura dosłownie ją uwielbiała. Johnnie i ja zeszliśmy na dalszy plan.

— Niech pan da żonie trochę czasu — powtarzał lekarz. — Poza tym oboje jesteście młodzi. Przyjdą na świat następne dzieci. Kto wie, może urodzi się wam jeszcze jedna córka?

Łatwo powiedzieć... ale czy można zastąpić marzeniem życie kochanego i nieżyjącego już dziecka? Zbyt dobrze znał Laurę. Indywidualne cechy innej dziewczynki i jej odrębna osobowość mogłyby zrodzić w żonie wrogi do niej stosunek. W dziecku, które leżałoby w kołysce i w łóżeczku należącym niegdyś do Christiny, Laura widziałaby uzurpatorkę praw swojej pierwszej córki. Pulchna, jasnowłosa replika Johnniego nigdy nie stałaby się dla niej tym, czym był utracony mały ciemnowłosy elf o woskowej twarzy.

John podniósł wzrok znad kieliszka wina i stwierdził, że kobieta znowu na niego patrzy. Nie było to przypadkowe, bezmyślne spojrzenie kogoś, kto siedzi przy sąsiednim stoliku i czeka na powrót towarzyszącej osoby. W jej jasnoniebieskich penetrujących oczach wyraźnie dostrzegał coś głębszego, coś bardzo intensywnego, co nagle wywołało w nim uczucie skrępowania. Przeklęta kobieta! W porządku, gap się na mnie, jeśli musisz. Oboje możemy zabawić się w tę grę. Dmuchnął w powietrze kłębem dymu z papierosa i uśmiechnął się z nadzieją, że wygląda zaczepnie, ale twarz staruszki pozostała nieporuszona. Błękitne oczy nadal były w nim utkwione, aż w końcu ugiął się pod ciężarem ich spojrzenia i odwrócił wzrok. Zgasił papierosa, obejrzał się przez ramię na kelnera i poprosił o rachunek. W trakcie regulowania należności, szukania drobnych i wyrażania zdawkowych pochwał pod adresem posiłku odzyskał panowanie nad sobą, ale klucie w czaszce pozostało, podobnie jak i dziwne uczucie zaniepokojenia. Po chwili dokuczliwe doznanie minęło równie nagle, jak się pojawiło. Rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę sąsiedniego stolika, John stwierdził, że oczy nieznajomej znowu są zamknięte i że kobieta śpi lub drzemie. Kelner gdzieś przepadł i wokół zapanował bezruch.

Laura długo nie wraca, pomyślał John, spoglądając na zegarek. Upłynęło już co najmniej dziesięć minut. Dobry powód, żeby się z nią podroczyć. Zaczął obmyślać żartobliwą wersję przebiegu wydarzeń: stara szelma rozebrała się do

bielizny i zasugerowała, żeby Laura poszła w jej ślady. Na to zjawił się dyrektor restauracji, narobił rabanu, krzycząc o narażaniu na szwank dobrej reputacji lokalu i napomknął o niemiłych konsekwencjach... Okazało się, że wszystko zostało ukartowane w celu wymuszenia okupu. Jego, Laurę i bliźniaczki odstawiono szalupą policyjną do Wenecji na przesłuchanie. Już kwadrans... Och, przyjdźże wreszcie...

Na żwirze rozległ się chrzęst kroków. Druga z bliźniaczek, wracając, przeszła niespiesznie obok Johna i przystanęła na moment przy swoim stoliku. Jej wysoka, kanciasta sylwetka zasłoniła siostrę. Coś powiedziała, lecz John nie zrozumiał jej słów. Uchwycił jednak obcy akcent, chyba szkocki. Potem nachyliła się, żeby podać ramię siedzącej za stołem kobiecie, i obie ruszyły w stronę przejścia w żywopłocie za ogrodem. Gdy stanęły obok siebie, w ich wyglądzie uwidoczniły się dalsze różnice. Ta, która przypatrywała się Johnowi, nie dorównywała wzrostem siostrze i była bardziej przygarbiona — być może cierpiała na artretyzm. Wkrótce zniknęły z pola widzenia, a John, poddając się narastającemu zniecierpliwieniu, podniósł się z miejsca. Zamierzał wejść do hotelu, gdy zobaczył Laurę.

— Nie spieszyłaś się zbyt — zaczął i umilkł, dostrzegając wyraz jej twarzy.

— O co chodzi? — spytał.

W jednej chwili wiedział, że stało się coś złego. Miał wrażenie, że żona doznała szoku. Niepewnym krokiem dotarła do stolika, który właśnie zwolnił, i usiadła. Przysunął blisko niej krzesło i wziął ją za rękę.

— Co się stało, kochanie? Powiedz, czy źle się czujesz?

Pokręciła głową, a potem podniosła na niego wzrok. To, co

w pierwszej chwili wziął za wyraz oszołomienia na jej twarzy, okazało się dojrzewającym w niej przekonaniem, graniczącym ze stanem uniesienia.

— Mam dla ciebie cudowną wiadomość — oświadczyła powoli. — Czy wiesz, że ona wcale nie umarła, ale że nadal jest

z nami? To właśnie z jej powodu tamte dwie kobiety tak bacznie się nam przyglądały. One widziały Christine.

Boże, pomyślał. Stało się to, czego się najbardziej obawiałem. Laura postradała zmysły. Co robić? Jak radzić sobie z tym problemem?

— Lauro, kochanie — zaczął, zmuszając się do uśmiechu. — Pójdziemy już? Zapłaciłem rachunek. Możemy zwiedzić katedrę i trochę pospacerować przed powrotem do Wenecji.

Nie słuchała go. Jego słowa w ogóle do niej nie docierały.

— Muszę dokładnie opowiedzieć ci, co się stało — rzekła. — Gdy weszłam za nią do toalety, tak jak to sobie zaplanowaliśmy, starszka czesała włosy. A gdy wróciłam z kabiny, myła ręce przy sąsiedniej umywalce. Niespodziewanie zagadnęła mnie: „Niech pani się nie smuci. Moja siostra widziała waszą małą córeczkę. Siedziała roześmiana pomiędzy panią a pani mężem”. Myślałam, że zemdleję. I pewnie tak by się stało, gdyby nie krzesło, na którym usiadłam. Kobieta pochyliła się nade mną i pogłaskała mnie po głowie. Nie potrafię dokładnie powtórzyć jej dalszych słów. Mówiła coś o chwili prawdy, o radości ostrej jak ostrze miecza oraz o tym, żeby się nie lękać. Obie z siostrą czuły się w obowiązku powiadomienia nas o wizji, która była bardzo wyraźna, tym bardziej że Christina również sobie tego życzyła. Och, John, nie patrz na mnie w taki sposób. Przysięgam, że nie zmyślam. Ona naprawdę mi to wszystko powiedziała.

Rozpaczliwy ton jej głosu sprawił, że John poczuł ucisk w sercu. Nie miał innego wyjścia, jak udawać, przytakiwać i starać się ją ułagodzić — robić cokolwiek, byleby tylko przyjść jej z pomocą w odzyskaniu spokoju.

— Oczywiście, że ci wierzę, kochanie. Jestem tylko trochę wstrząśnięty, to wszystko — powiedział. — Martwi mnie też fakt, że zostałam wytrącona z równowagi...

— Ależ wcale nie zostałam wytrącona z równowagi — zaprotestowała. — Jestem szczęśliwa; tak szczęśliwa, że nie potrafię tego wyrazić słowami. Dobrze

wiesz, co czułam do tej pory, chociaż usiłowałam to przed tobą ukryć. Teraz to minęło, ponieważ wierzę tej kobiecie. O Boże, to straszne, ale zapomniałam jej nazwiska, a przecież się przedstawiła. Jest emerytowaną lekarką. Pochodzą z Edynburga, a ta, która widziała Christinę, straciła wzrok kilka lat temu. I chociaż przez całe swoje życie zgłębiała okultyzm i miała duże zdolności para — psychologiczne, to dopiero teraz, gdy oślepla, zaczęła naprawdę wszystko widzieć. Dzięki jej mediumistycznemu darowi obie doświadczyły wielu cudownych przeżyć. Niewidoma kobieta bardzo dokładnie opisała siostrze Christinę — łącznie z nie — biesko — białą sukienką z bufkami, którą nosiła na przyjęciu urodzinowym — a stwierdzenie tej staruszki, że nasza córka uśmiechała się radośnie, napełnia mnie takim uczuciem upojenia, że chyba się zaraz rozplaczę...

Nie okazywała żadnej hysterii ani oznak szaleństwa. Wyjęła chusteczkę kosmetyczną z torebki, wytarła nos i uśmiechnęła się do Johna.

— Jak widzisz, czuję się całkiem dobrze. Nie ma powodu do obaw. Żadne z nas nie musi się już dłużej martwić. Poczęstuj mnie papierosem.

Wyciągnął jednego z paczki i podał jej ogień. Jej głos brzmiał normalnie. Znowu była sobą. Nie drżała. I jeśli dzięki nieoczekiwanemu przeświadczeniu czuła się szczęśliwa, on nie zamierzał rozwiewać jej złudzeń. Niemniej jednak... wolałby, żeby do spotkania z bliźniaczkami nigdy nie doszło. Telepatia jest zjawiskiem pozaziemskim. Naukowcy nie mogą go do końca wytłumaczyć; nikt nie może. Tymczasem pomiędzy Laurą a siostrami doszło właśnie przed chwilą do czytania w myślach. A więc kobieta, która wpatrywała się w niego, była niewidoma. To wyjaśniało utkwiony nieruchomo wzrok — doświadczenie niemiłe i przyprawiające o gęsią skórę. Do diabła, żałuję, że właśnie tutaj przyszliśmy na lunch, pomyślał. Zdaliśmy się na traf losu. Rzut monetą zdecydował o tym, że zamiast wycieczki do Padwy wybraliśmy Torcello.

— Chyba nie próbowałaś się z nimi ponownie umówić, prawda? — spytał, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

— Nie, kochanie, po co miałabym to robić? — odparła. — Przecież powiedziały mi już o wszystkim. Jedna z sióstr miała cudowną wizję i na tym koniec. Poza tym wyruszają w dalszą drogę. To dość zabawne, ale nasze domysły okazały się niemal słuszne. Zanim wrócą do Szkocji, rzeczywiście zamierzają odbyć podróż dookoła świata. Pomyliłam się tylko, mówiąc, że pochodzą z Australii, prawda? Kochane staruszki. Jak mogłam wziąć je za morderczynie albo za złodziejki biżuterii?

Zachowywała się całkiem normalnie. Wstała z miejsca i rozejrzała się wokół siebie.

— Chodźmy — rzekła. — Skoro wybraliśmy się do Torcello, powinniśmy zwiedzić katedrę.

Po wyjściu z restauracji minęli plac ze straganami, gdzie sprzedawano jedwabne szaliki, błyskotki i widokówki, i skręcili w uliczkę prowadzącą do katedry. Ze statku wyległ właśnie tłum turystów, z których wielu również ruszyło w stronę kościoła Santa Maria Assunta. Okoliczność ta nie zraziła jednak Laury. Poprosiła męża o przewodnik i tak jak niegdyś, w szczęśliwszych czasach, zaczęła powoli przemierzać świątynię, uważnie przyglądając się mozaikom, kolumnom i płaskorzeźbom. John, zaniepokojony ostatnim wydarzeniem, przejawiał niewielkie zainteresowanie zwiedzaniem. Podążał tuż za żoną i z niepokojem rozglądał się, szukając bliźniaczek, ale nigdzie ich nie dostrzegł. Być może weszły do sąsiadującego z katedrą kościoła Santa Fosca. Przypadkowe spotkanie z nimi byłoby bardzo kłopotliwe, nie mówiąc już o konsekwencjach, jakie mogłoby mieć dla Laury. Anonimowi, wlokący się noga za nogą i oddani kulturze turyści z pewnością nie stanowili dla niej zagrożenia, choć John uważał, że ich obecność wyklucza szansę jakichkolwiek artystycznych doznań. Nie potrafił się skupić w tłumie, a chłodne i czyste piękno tego, co widział, nie było go w stanie poruszyć.

Gdy Laura dotknęła jego rękawa, wskazując na mozaikę przedstawiającą figurę Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku powyżej fryzu z apostołami, skinął głową, dzielając jej uznanie, choć pociągła i smutna twarz Madonny wydała mu się niezmiernie odległa i nie dostrzegał w niej nic godnego uwagi. Pod wpływem nagłego impulsu obejrzał się ponad głowami turystów w stronę drzwi, gdzie osądowi zwiedzających poddawały się freski z wizerunkami świętych i potępionych.

Bliźniaczki stały w wejściu do katedry. Niewidoma wspierała się na ramieniu siostry, a jej nie widzące oczy były nieruchomo utkwione w Johnie. Poczł się osaczony i niezdolny do wykonania ruchu. Ogarnęło go przeczucie nadciągającej i nieuchronnej tragedii. Popadł w stan odrętwienia i pomyślał: to już koniec, nie ma ucieczki ani przyszłości. Gdy po chwili obie siostry odwróciły się i wyszły ze świątyni, dziwne wrażenie osłabło, ustępując miejsca oburzeniu i narastającej złości. Jakim prawem te dwie stare wariatki wypróbowały na nim swoje mediumiczne sztuczki? To szalbierstwo, niezdrowe praktyki. Zapewne w ten właśnie sposób żyły — podróżowały po świecie i wprowadzały w zakłopotanie każdą napotkaną osobę. Podejrzewał, że przy najmniejszej sposobności wyłudziłyby od Laury pieniądze.

Poczł, że żona znowu ciągnie go za rękaw.

— Emanuje z niej szczęście i spokój. Jest taka piękna, nie sądzisz?

— Co takiego? Kto?

— Madonna — odparła. — Jej magiczna moc polega na tym, że potrafi przeniknąć wzrokiem każdego na wskroś. Czy ty również to odczuwasz?

— Sądzę, że tak. Zresztą, sam nie wiem. Trudno to stwierdzić w tym tłoku.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— A co to ma do rzeczy? Zabawny jesteś. Zgoda, wyjdźmy stąd. I tak zamierzałam jeszcze kupić widokówki.

Rozczarowana brakiem zainteresowania ze strony męża, zaczęła się przeciskać przez ciżbę turystów w stronę drzwi.

— Na zakup kartek pocztowych mamy jeszcze mnóstwo czasu. Przedtem rozejrzyjmy się trochę po okolicy — zaproponował niespodziewanie i zbacząc z uliczki prowadzącej do placu z małymi kamieniczkami, kramami oraz dryfującym tłumem, skręcił w wąską dróżkę przecinającą nieuprawne pole, za którym pobłyskiwał kanał. Widok przejrzystej, bladej — niebieskiej wody stanowił zbawienny kontrast z nieznośnie palącym słońcem ponad ich głowami.

— Nie sądzę, żeby ta ścieżka dokądś prowadziła. Jest grząska i nie ma tu nigdzie miejsca, gdzie można by było usiąść. Z przewodnika wynika, że na wyspie znajduje się jeszcze wiele innych godnych obejrzenia rzeczy.

— Och, zostaw przewodnik — rzekł ze zniecierpliwieniem, a gdy usiadła obok niego nad brzegiem, przyciągnął ją do siebie i objął.

— To nieodpowiednia pora na zwiedzanie. Spójrz! Po drugiej stronie płynie szczur!

I chwyciwszy kamień, cisnął nim we wskazanym kierunku. Zwierzę zanurzyło się i zniknęło pod wodą, a na powierzchni kanału zostały tylko pęcherzyki powietrza.

— Nie rób tego, to okrutne — zauważyła Laura. Położyła dłoń na kolanie męża i nieoczekiwanie spytała:

— Jak sądzisz, John, czy Christina teraz też siedzi pomiędzy nami?

Nie od razu udzielił jej odpowiedzi. Cóż mógł powiedzieć? ' Czy odtąd już tak miało być zawsze?

— Myślę, że tak — odparł powoli. — Skoro ty wyczuwasz jej obecność...

Rzecz w tym, że Christina, jaką pamiętał, nim dosięgło ją fatalne w skutkach zapalenie opon mózgowych, zrzuciłaby z nóg buciki i biegałaby podekscytowana wzdłuż brzegu, paląc się do wioseł, i wywoływałaby swoim zachowaniem niepokój matki: „Bądź ostrożna, kochanie, nie oddalaj się...”

— Kobieta twierdziła, że siedząc przy nas, uśmiechała się i wyglądała na szczęśliwą — rzekła Laura. Podniosła się z miejsca i wygładziła sukienkę. Niespodziewanie zmienił się jej nastrój i znowu stała się nerwowa.

— Wracajmy — zaproponowała.

Z ciężkim sercem podążał za nią. Dobrze wiedział, że nie zależy jej na kupnie widokówek ani na zobaczeniu tego, co jeszcze pozostało do zwiedzenia. Chciała iść, ponieważ łudziła się, że natknie się gdzieś na siostry — niekoniecznie po to, by z nimi porozmawiać, ale żeby się znaleźć blisko nich. Tłum turystów na placu ze straganami znacznie się przerzedził i wśród nielicznych maruderów John nie dostrzegł bliźniaczek. Pewnie dołączyły do grupy, z którą przyплыły statkiem do Torcello. Poczł ogromną ulgę.

— Spójrz, na drugim straganie znajduje się mnóstwo widokówek i przyciągające oko apaszki. Pozwól, że kupię ci jedną.

— Ależ, kochanie, przecież mam ich już tak wiele! — zaprotestowała. — Nie wydawaj niepotrzebnie lirów.

— Nie uważam tego za zbędny wydatek. Poza tym jestem w nastroju sprzyjającym robieniu zakupów. A co powiedziałaabyś na koszyk? Wiem, że koszyków nigdy nie masz za dużo. Albo koronki. Co myślisz o koronkach?

Ze śmiechem pozwoliła zaciągnąć się do kramu. Przebierał w wyłożonych towarach i prowadził dyskusję z uśmiechniętą sprzedawczynią, którą pobudzał do śmiechu, kalecząc straszliwie język włoski. Grał na zwłokę, żeby turyści mieli więcej czasu na dotarcie do przystani i złapanie statku. Liczył na to, że bliźniaczki definitywnie znikną z ich życia.

— Jeszcze nigdy nie widziałam tylu rupieci nagromadzonych w tak małym koszyku — zauważyła Laura dwadzieścia minut później. Jej śmiech upewnił go w przeświadczeniu, że nie musi się o nią dłużej martwić i że zła godzina minęła. Stateczek linii „Cipriani”, którym przyплыli z Wenecji, czekał w przystani. Pasażerowie, którzy przybyli tu razem z nimi — Amerykanie i mężczyzna z

monoklem już się zebrali. Przed wyjazdem na tę wycieczkę John uważał, że cena, w którą był wliczony obiad oraz podróż w obie strony, jest rażąco wygórowana. Teraz jednak problem kosztów stał się nieistotny. John myślał tylko o tym, że wyprawa do Torcello była jednym z najpoważniejszych błędów, jakie popełnili podczas urlopu w Wenecji. Zajęli miejsca na górnym pokładzie i parowiec dysząc zaczął się powoli przesuwać wzdłuż kanału w stronę laguny. Regularny prom pasażerski odpłynął wcześniej i dymił w kierunku Murano. Oni zmierzali bezpośrednio do Wenecji, mijając po drodze San Francesco del Deserto.

John ponownie objął Laurę i mocno przytulił do siebie. Tym razem odpowiedziała na pieszczotę, uśmiechnęła się i podniosła na niego wzrok, a potem oparła mu głowę na ramieniu.

— To był uroczy dzień — stwierdziła. — Nigdy go nie zapomnę, nigdy. Wiesz kochanie, dopiero teraz naprawdę zaczynam się cieszyć naszym urlopem.

Miał ochotę krzyknąć z radości. Wszystko się dobrze ułoży, pomyślał. Niech sobie wierzy w co chce, jeśli dzięki temu może być szczęśliwa. Przed ich oczami wyrastała Wenecja w całej swojej krasie, zarysowując się ostrym konturem na tle skąpanego w słońcu nieba. Mieli jeszcze przed sobą tak wiele do zobaczenia, a teraz, kiedy nastrój Laury uległ zmianie i cień wspomnień został rozproszony, wspólne spacerowanie mogły im dostarczyć niezapomnianych przeżyć. John zaczął głośno snuć plany na wieczór. Postanowił, że nie pójda dzisiaj na kolację do restauracji w pobliżu teatru La Fenice, w której zwykli się stołować, ale znajdą jakiś inny, nie znany im lokal.

— Zgoda, ale pod warunkiem, że nie będzie drogi. Za dużo pieniędzy dzisiaj wydaliśmy — rzekła, dostosowując się do jego tonu.

W hotelu przy Canal Grandę czuli się dobrze i swobodnie. Recepcjonista uśmiechnął się, wręczając im klucz. Sypialnia, z drobiazgami Laury schludnie ułożonymi na toalecie, wywoływała wrażenie swojskości. Ale panowała tu również podniecająca atmosfera nieznanego, jaka cechuje jedynie pokoje

hotelowe. To miejsce tylko teraz należało do nich i wnosili w nie życie. Potem traciło swą indywidualność — rozplątywało się w anonimowości. John odkręcił naraz oba kurki, woda trysnęła do wanny, a łazienka wypełniła się parą. W końcu nadeszła odpowiednia chwila na to, żeby się znowu kochać, pomyślał. Gdy wszedł do sypialni, Laura zrozumiała i z uśmiechem otworzyła ramiona. Co za błogosławiona ulga po tylu tygodniach wstrzemięźliwości.

— Prawdę mówiąc, nie jestem bardzo głodna — oznajmiła później, wkładając przed lustrem kolczyki. Czy nie moglibyśmy zjeść czegoś tu, w hotelu?

— Ach, mój Boże! Ależ nie! — wykrzyknął. — Mamy spędzić wieczór w otoczeniu tych wszystkich ponurych par przy sąsiednich stolikach? Poza tym umieram z głodu, jestem we frywolnym nastroju i mam ochotę się upić.

— Z pewnością nie przy blasku jasnych świateł i nie przy muzyce?

— Nie. Myślę o jakiejś małej, mrocznej i ponurej speluncie wypełnionej kochankami cudzych żon.

— Mhm — prychnęła Laura. — Oboje dobrze wiemy, czym to się może skończyć. Tobie wpadnie w oko jakaś urocza, szesnastoletnia Włoszka, do której się będziesz umizgiwał przez cały wieczór, a ja zostanę na lodzie, mając przed sobą szerokie bary jakiegoś okropnego faceta.

Gdy roześmiani wyszli z hotelu, urzekła ich magiczna atmosfera ciepłej, łagodnej nocy.

— Chodźmy na piechotę — zaproponował John. — Musimy nabrać apetytu przed naszym gigantycznym posiłkiem.

Niebawem znaleźli się oczywiście przy Molo. Gondole chlupotały, tańcząc na wodzie, a uliczne światła wtapiały się w ciemność. Spacerowało tu wiele par, które podobnie jak i oni snuły się po mieście bez wyraźnie określonego celu. Wśród przechodniów widziało się hałaśliwych i gestykułujących z ożywieniem

marynarzy oraz ciemnookie dziewczęta, które szeptały coś między sobą i głośno stukwały wysokimi obcasami.

— Kłopot polega na tym, że kiedy człowiek zdecyduje się na przechadzkę po Wenecji, spacer staje się przymusem. Sądzi, że trzeba pokonać jeszcze tylko jeden most, a tu wyłania się następny. Jestem przekonana, że dalej nie ma już żadnej restauracji. Dotarliśmy niemal do miejskich ogrodów, gdzie odbywają się biennale. Wracajmy. Wiem, że w pobliżu kościoła San Zaccaria przy jednej z bocznych uliczek znajduje się mała knajpka.

— Jeśli skierujemy się w stronę Arsenалу, minimy most na końcu ulicy i skręcimy w lewo, wyjdziemy na wprost kościoła San Zaccaria. Pamiętam, że właśnie tą drogą doszliśmy do niego któregoś dnia przed południem.

— To prawda, ale wtedy było widno. Po ciemku możemy zabłądzić.

— Nie denerwuj się. Zdać się na mój niezawodny instynkt.

Ruszyli wzdłuż Fondamenta dell'Arsenale, minęli most tuż za Arsenalem i kościół San Martino. Przed nimi pojawiły się dwa kanały — jeden prowadził w lewo, drugi w prawo — a wzdłuż każdego z nich ciągnęły się wąskie uliczki. John się zawahał. Którą z nich szli poprzednim razem?

— A nie mówiłam? Zaraz zgubimy drogę.

— Nonsens — rzekł zdecydowanym tonem. — Musimy skręcić w lewo. Dobrze pamiętam tamten mały most.

Kanał był tak wąski, że domy zdawały się nad nim zamykać. W dziennym świetle, gdy blask słońca odbijał się w wodzie, okna były na oścież pootwierane, na balkonach wietrzyła się pościel, a w klatkach śpiewały kanarki, miejsce to stwarzało pozory ciepłego i bezpiecznego zacisza. Ale teraz, niemal pogrążone w ciemnościach, ze szczelnie pozamykanymi żaluzjami i z przesyconym wilgocią powietrzem, tutejsza sceneria stawała się zgoła odmienna — wydawała się opustoszała i uboga, a długie, wąskie łodzie, przycumowane do śliskich stopni,

które prowadziły do drzwi wejściowych domów, przypominały swoim wyglądem trumny.

— Przysięgam, że nie pamiętam tego mostu — rzekła Laura, przystając i przytrzymując się poręczy. — Nie podoba mi się widok przed nami.

— W połowie drogi stoi latarnia. Doskonale wiem, gdzie jesteśmy — w pobliżu dzielnicy greckiej.

Minęli most i już mieli zagłębić się w uliczkę, gdy nagle usłyszeli przeraźliwy krzyk. Dochodził z domu po drugiej stronie kanału, ale nie potrafili dokładnie stwierdzić z którego. Z powodu zaciemnionych okien każdy z nich sprawiał wrażenie wymarłego. Przystanęli i obejrzel się.

— Co to było? — szepnęła Laura.

— Pewnie jakiś pijak się awanturuje — odparł lakonicznie John. — Lepiej chodźmy już stąd.

Odgłos przypominał nie tyle pijackie wrzaski, co zdławiony krzyk osoby duszonej, który stawał się coraz bardziej stłumiony w miarę wzmacniania uścisku.

— Powinniśmy zawiadomić policję — oświadczyła Laura.

— Och, daj spokój, na miłość boską — rzucił John. Cóż ona sobie wyobraża, że jesteśmy na Piccadilly?

— Uciekam stąd, tu jest niebezpiecznie — oświadczyła i pospiesznie oddaliła się krętą uliczką za mostem. Johna zatrzymał widok drobnej sylwetki dziecka, które niespodziewanie pojawiło się w drzwiach domu po drugiej stronie kanału i wskoczyło do stojącej w dole gondoli. Była to mała, pięcio — , najwyżej sześćioletnia dziewczynka. Miała na sobie krótki płaszcz, a głowę zakrywał jej kaptur. Ze zdumiewającą zwinnością i najwyraźniej z zamiarem ucieczki skakała pomiędzy pokładami stojących w rzędzie łodzi. W pewnym momencie poślizgnęła się i zachwiała. John zamarł z przerażenia, gdyż tylko centymetry dzieliły ją od wody. Wkrótce jednak odzyskała równowagę i dała susa na następny pokład. W pewnym momencie nachyliła się i mocno szarpnęła za cumę, na skutek

czego gondola przekręciła się w poprzek kanału i niemal dotknęła rufą schodów przeciwnego budynku. John stał w odległości dziesięciu metrów od tego miejsca. Dzieciak zeskoczył na stopnie i zniknął w głębi domu, a łódź powróciła do swojej dawnej pozycji. Cały epizod nie trwał dłużej jak cztery minuty. John usłyszał odgłos szybkich kroków wracającej żony. Nie widziała sceny, która tu się przed chwilą rozegrała, i był z tego rad. Widok małej dziewczynki, i to w niebezpiecznej sytuacji, a także podejrzenie Laury, że zajście było następstwem alarmującego krzyku, mogłoby mieć dla jej starganych nerwów katastrofalne skutki.

— Co tu jeszcze robisz? — zawołała. — Ta przeklęta uliczka znowu się rozgałęzia. Nie odważę się sama w nią zapaść.

— Przepraszam cię, już idę.

Z udaną pewnością siebie wziął Laurę za rękę i ruszyli zwawym krokiem w dalszą drogę.

— Słyszałeś jeszcze jakieś krzyki? — spytała.

— Nie, nie słyszałem. Jestem przekonany, że to były odgłosy pijackiej burdy.

Uliczka wychodziła na opustoszały teren za kościołem, którego John nie znał. Skierował się więc w stronę innego przejścia i kolejnego mostu.

— Zaczekaj moment — rzekł, przystając. — Sądzę, że powinniśmy skręcić w prawo. Ta droga doprowadzi nas do greckiej dzielnicy, w której znajduje się kościół Świętego Jerzego.

Nie odpowiedziała. Zaczęła już tracić nadzieję. To miejsce przypominało labirynt. Mogli bez końca krążyć wokół mostu, przy którym słyszeli krzyk. John z determinacją poprowadził ją dalej. Niespodziewanie zobaczył ludzi spacerujących po oświetlonej uliczce oraz kościelną wieżę. Z ulgą stwierdził, że zna tę okolicę.

— Nareszcie. Oto kościół San Zaccaria. Twoja restauracja musi znajdować się gdzieś w pobliżu.

A jeśli nie ta, to jakakolwiek inna, w której będą mogli dostać coś do zjedzenia. Miejsce tętniło życiem, wesoło migotały światła, a wzdłuż kanałów przechadzali się ludzie — panowała tu atmosfera typowa dla miasta tłumnie odwiedzanego przez turystów. Niebieskie litery neonu „Ristorante” po lewej stronie uliczki świeciły niczym latarnie morskie.

— Czy to ta knajpka, o której wspominałaś?

— Bóg raczy wiedzieć — odparła. — Co za różnica? Tutaj też nas nakarmią.

Gdy weszli do lokalu, uderzyło ich gorące powietrze, gwar rozmów, śmiechy, zapach makaronu i wina. Obok nich rozległ się głos: Miejsce dla dwóch osób? Tędy proszę. Dlaczego ich brytyjskie pochodzenie było zawsze dla wszystkich tak oczywiste? Na ich małym stoliku, wciśniętym pomiędzy inne, leżało olbrzymie menu, nieczytelnie napisane fiołkoworóżo — wym atramentem, a pochylający się nad nimi kelner był gotów natychmiast przyjąć zamówienie.

— Zanim przestudiujemy jadłospis, proszę podać nam dwa bardzo duże campari z wodą sodową — rzekł John.

Nikt nie był dzisiaj w stanie zmusić go do pośpiechu. Wręczył kartę Laurze, a sam rozejrzał się wokół siebie. Wśród gości przeważali Włosi, co zapowiadało, że kuchnia będzie dobra. Nagle je spostrzegł. Siedziały po drugiej stronie sali. Bliźniaczki. Musiały przybyć do restauracji tuż po nich, gdyż dopiero co zajęły miejsca, a kelner wciąż jeszcze stał pochylony nad ich stolikiem. John nie mógł się oprzeć irracjonalnemu przeświadczeniu, że ich obecność tutaj nie jest przypadkowa. Zapewne zauważyły ich na ulicy i weszły za nimi do lokalu. Jakim cudem, w przeciwnym razie, wybrałyby w całej Wenecji właśnie tę restaurację? Chyba że... Laura zaproponowała im w Torcello następne spotkanie... A może z propozycją wystąpiła jedna z kobiet? „Mała restauracja w pobliżu kościoła San Zaccaria. Chodzimy tam czasami na kolację”. To Laura wspomniała o tym miejscu przed wyjściem z hotelu...

Wciąż była pochłonięta przeglądaniem jadłospisu i jeszcze nie zauważyła sióstr. Wiedział jednak, że zaraz dokona wyboru, podniesie głowę i spojrzy na drugą stronę sali. Gdyby przynajmniej dostali już drinki, miałyby się czym zająć.

— Doszłam do wniosku, że powinniśmy jutro wynająć samochód i wybrać się na przejażdżkę do Padwy — oświadczyła prędko. — Moglibyśmy tam zjeść lunch, zwiedzić katedrę, dotknąć grobu świętego Antoniego, obejrzyć freski Giotto i wrócić szosą, która przebiega obok tych wszystkich willi nad kanałem Brenta, które bedeker tak zachwala.

W końcu nastąpiło to, czego nie dało się uniknąć. Laura podniosła wzrok, spojrzała przez salę i oniemiała. Jej reakcja była szczerą. John mógłby przysiąc, że nie udawała.

— Spójrz tylko! To nadzwyczajne! To naprawdę zdumiewające!

— Co takiego? — rzucił ostrym tonem.

— One tu są. Moje cudowne staruszki. Zauważyły nas i patrzą w naszą stronę — stwierdziła, nie ukrywając radości. Kobieta, z którą rozmawiała w Torcello, z uśmiechem skinęła im głową. Zakłamaną starą dziwka, pomyślał John. Dobrze wiem, że nas śledziły.

— Och, kochanie. Muszę pójść i porozmawiać z nimi — rzekła Laura porywczo. — Pragnę im powiedzieć, że dzięki nim byłam przez cały dzień szczęśliwa.

— Och, na miłość boską! — zaprotestował. — Spójrz, kelner niesie już nasze drinki. I nie zdążyliśmy jeszcze złożyć zamówienia. Czy nie możesz odłożyć tego na później? Zjedzmy najpierw kolację.

— Wrócę za moment — obiecała. — Poza tym mam tylko ochotę na krewetki. Mówiłam ci przecież, że nie jestem głodna.

Wstała z miejsca i ocierając się w przejściu o kelnera, ruszyła na drugą stronę sali. Powitała bliźniaczki nad wyraz serdecznie. Przypadkowy obserwator mógłby sądzić, że są jej najbliższymi, wieloletnimi przyjaciółkami. John przyglądał się jej,

gdy pochylona nad stolikiem z uśmiechem potrząsała po kolei dłonią każdej z kobiet. Przysunęła sobie wolne krzesło, usiadła i wdała się z nimi w rozmowę. Siostry nie sprawiały wrażenia zaskoczonych, w każdym razie nie ta, którą Laura poznała wcześniej. Kiwała głową i coś mówiła, podczas gdy niewidoma przez cały czas zachowywała kamienny wyraz twarzy.

W porządku, w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak się upić, pomyślał John z dziką zawziętością. Pospiesznie opróżnił szklaneczkę, poprosił o następnego drinka i złożył zamówienie, wybierając na chybił trafił jedną z nieczytelnych pozycji. Nie zapomniał też o krewetkach dla Laury.

— I proszę przynieść butelkę Soave — dodał. — Oraz dużo lodu.

Tak czy owak wieczór był stracony. Ich radosną, intymną uroczystość miały zakłócić spirytystyczne wizje biednej Christiny dzielącej razem z nimi miejsce przy stole. Wierutne bzdury! Gdyby żyła, o tej porze od dawna spałaby już w swoim łóżeczku. Gorzkawy smak campari odpowiadał jego nastrojowi nagłego rozżalenia się nad sobą. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od grupy przy stoliku w przeciwległym kącie sali. Laura przysłuchiwała się właśnie wywodowi, jaki ciągnęła rozmowniej sza z siostr. Niewidoma siedziała w milczeniu, a jej straszne, niewidzące oczy znowu skierowały się w jego stronę.

Ona udaje, pomyślał. Wcale nie jest ślepa. Obie są oszustkami. Niewykluczone, że to mężczyźni w perukach, tak jak zakładaliśmy w Torcello, którzy w Laurze upatrzyli sobie ofiarę.

Sięgnął po kolejne campari z wodą sodową. Dwa drinki na pusty żołądek odniosły natychmiastowy skutek. Wzrok Johna stał się zamglony. Laura nadal przysłuchiwała się aktywniejszej z kobiet, wtrącając tylko co pewien czas jakieś pytanie. Zjawił się kelner z krewetkami, a jego kolega zaserwował Johnowi nie zidentyfikowane danie w sinawym sosie.

— Czy pani nie przyjdzie? — spytał jeden z nich. John ponuro pokręcił głową i wskazał drżącym palcem w kierunku stolika po drugiej stronie restauracji.

— Proszę powiedzieć mojej żonie, że wystygną jej krewetki — rzekł powoli.

Skierował wzrok w dół, na stojące przed nim dzieło sztuki kulinarnej i delikatnie podłubał w nim widelcem. Błady sos spłynął na boki, odsłaniając dwa olbrzymie okrągłe plastry duszonego schabu nadziewanego czosnkiem. Wziął kęs do ust. Dymiący, gęsty i pikantny sos wydał mu się zadziwiająco słodki. Odłożył widelec, odsunął talerz i spostrzegł wracającą z drugiego końca sali Laurę. Bez słowa zajęła miejsce obok niego. Był rad, że się nie odezwała. I tak nie mógłby jej nic odpowiedzieć, gdyż zbierało mu się na wymioty. Jego reakcja spowodowana była nie tyle drinkami, co przebiegiem całego koszmarne go dnia. Laura w milczeniu zabrała się za krewetki. Nie zwracała uwagi na to, że on nie je. Zaniepokojony kelner krążył w pobliżu i stwierdziwszy po chwili, że John dokonał błędnego wyboru, dyskretnie zabrał talerz. — Poproszę o sałatę — mruknął John. Lecz Laura nawet wtedy nie wyraziła zdumienia ani nie zarzuciła mu, że nadużył alkoholu, co z pewnością zrobiłaby w normalnych okolicznościach. W końcu, gdy już uporała się ze swoim daniem, sącząc wino, za które John podziękował machnięciem ręki i niczym chory królik skupił się na skubaniu sałaty, zaczęła mówić:

— Wiem, kochanie, że trudno ci będzie uwierzyć w to, co powiem, i że moja opowieść wyda ci się nieco zatrważająca. Otóż po wyjściu z restauracji obie siostry udały się, podobnie jak i my, do katedry, chociaż nie zauważyliśmy ich w tłumie. Niewidoma staruszka miała tam kolejną wizję. Christina za jej pośrednictwem próbowała nas ostrzec przed grożącym nam w Wenecji niebezpieczeństwem i nakłonić do natychmiastowego wyjazdu.

A więc o to chodzi, pomyślał John. Te kobiety sądzą, że mogą nami rządzić i decydować o naszym losie. Na tym będzie polegał nasz problem. Zanim cokolwiek zjemy, wstaniemy z łóżka czy położymy się spać, najpierw będziemy musieli skontaktować się z siostrami. Od tej pory to one będą kierować naszym życiem.

— I co ty na to? — spytała Laura. — Dlaczego milczysz?

— Dlatego, że miałaś absolutną rację i rzeczywiście w to nie wierzę — odparł.
— Twoje siostry są, moim zdaniem, parą dziwaczek. To osoby niezrównoważone psychicznie. Nie chciałbym cię urazić, ale uważam, że znalazły w tobie naiwniaczkę.

— Nie bądź niesprawiedliwy — zachnęła się Laura. — To szczerze kobiety. I wiem, że to, co mówią, jest absolutną prawdą.

— W porządku. Dajmy na to, że są szczerze. Ale to jeszcze nie oznacza, że nie brakuje im piątej klepki. Zastanów się, kochanie. Rozmawiałaś z tą staruszką przez dziesięć minut w toalecie i powiedziała ci, że widziała Christinę siedzącą pomiędzy nami. No cóż, każda osoba o telepatycznych zdolnościach potrafiłaby czytać w twojej podświadomości. A teraz, zachęcona powodzeniem, chce wykopać nas oboje z Wenecji. Tak zachowałby się każdy ekspert w dziedzinie metafizyki. Przykro mi, że jestem takiego zdania, ale mam już serdecznie dosyć tych dziwaczek!

Sala przestała wirować. Złość sprawiła, że wytrzeźwiał. Gdyby nie to, że nie chciał stawiać Laury w kłopotliwej sytuacji, podniósłby się z miejsca, przeszedł na drugą stronę sali i powiedział tym głupim staruchom, dokąd one mają się udać.

— Wiedziałam, że tak to przyjmiesz — rzekła Laura z nieszczęśliwą miną. — Uprzedziłam je, że właśnie tak będzie wyglądała twoja reakcja. Powiedziały mi, żebym się nie martwiła. Nic złego się nie stanie, jeśli jutro opuścimy Wenecję.

— Och, Bogu dzięki — zadrwił. Zmienił zdanie i nalał sobie kieliszek wina.

— I tak zwiedziliśmy już wszystko, co było godne obejrzenia. Chętnie pojedę gdzie indziej. Może zabrzmiałoby głupio, ale wiem, że jeśli tu zostaniemy, będę niespokojna i nie przestanę myśleć o tym, że nasza kochana Christina jest nieszczęśliwa i że próbuje nakłonić nas do wyjazdu.

— Dobrze — rzekł John ze złowróbnym spokojem. — A zatem postanowione. Wyjeżdżamy. Proponuję, żebyśmy od razu udali się do hotelu i

uprzedzili recepcjonistę, że jutro się wyprowadzamy. Czy masz jeszcze ochotę na coś do zjedzenia?

— Och, kochanie, nie przyjmuj tego w taki sposób. Dlaczego nie chcesz podejść do tych kobiet i porozmawiać z nimi? Może gdy same opowiedzą ci o wizji, poważnie potraktujesz ich przestrozę. Tym bardziej, że to ciebie przede wszystkim dotyczy. To ty jesteś powodem zaniepokojenia Christiny, a nie ja. Zdaniem niewidomej posiadasz medialne zdolności, choć pewnie nie zdajesz sobie z nich sprawy. Staruszka twierdzi, że w przeciwieństwie do mnie możesz utrzymywać kontakt z nieznanym.

— No cóż, to przesądza sprawę — rzekł John. — Skoro jestem medium, moja metafizyczna intuicja każe mi natychmiast opuścić tę restaurację. Decyzję o opuszczeniu Wenecji podejmiemy po powrocie do hotelu.

Przywołał kelnera. W milczeniu czekali na rachunek. Laura z nieszczęśliwą miną nerwowo bawiła się torebką, a John, rzuciwszy ukradkowe spojrzenie w kierunku stolika bliźniaczek stwierdził, że zmiatają z talerzy kopiaste porcje spaghetti z apetytem, który jest zgoła niemetafizyczny. W końcu należność została uregulowana i John odsunął krzesło.

— Załatwione. Czy możemy już wyjść?

— Pójdę się najpierw z nimi pożegnać — odparła Laura, a jej nadąsane usta obudziły w nim bolesne wspomnienie ich nieszczęsnego zmarłego dziecka.

— Jak sobie życzysz — powiedział i nie oglądając się za siebie, pierwszy opuścił lokal.

Wyczuwalna w powietrzu wilgoć, dzięki której wcześniejszy spacer był tak przyjemny, przemieniła się w deszcz. Tłum turystów gdzieś się ulotnił. Od czasu do czasu ktoś pospiesznie zmierzał dokądś pod parasolem. Oto widok znany tylko stałym mieszkańcom Wenecji, pomyślał John. Oto

prawdziwe życie. Opustoszałe nocą ulice, przesączone wilgocią powietrze, bezruch stojącej wody w kanałach i domy o oknach szczelnie zasłoniętych żaluzjami. Cała reszta jest jaskrawą fasadą, przybieraną na pokaz i błyszczącą w słońcu.

Laura dołączyła do męża i oboje ruszyli w milczeniu w powrotną drogę. Wkrótce wyłonił się przed nimi Pałac Dożów. Gdy wyszli na Piazza San Marco, lunął ulewny deszcz. Razem z kilkoma spóźnionymi przechodniami schronili się pod arkady. Orkiestry spakowały już swoje instrumenty, a ze stolików pozdejmowano obrusy i ustawiono na nich do góry nogami krzesła.

Eksperci mają rację, pomyślał John. Wenecja tonie. Powoli umiera. Pewnego dnia turyści przyplyną tutaj łodzią i będą wypatrywać w głębinie filarów, kolumn oraz marmurów, gdy zza powłoki szlamu i mułu odsłoni się na moment utracony, podziemny, kamienny świat. Obcasy głośno stukały w ciszy. Spływająca z rynien woda rozbryzgiwała się na chodniku. Znakomite zakończenie wieczoru, który się tak niewinnie rozpoczął i który obudził w Johnie tak śmiałą nadzieję.

W hotelu Laura skierowała się prosto do windy, a John zatrzymał się w recepcji. Nocny portier wręczył mu oprócz klucza telegram, któremu John przyglądał się przez moment w milczeniu. Dopiero po chwili otworzył kopertę i zapoznał się z jego treścią. Pochodził od dyrektora prywatnej szkoły, do której uczęszczał ich syn.

Johnnie przebywa na obserwacji w miejskim szpitalu z podejrzeniem zapalenia wyrostka. Nie ma powodu do obaw. Chirurg uznał jednak, że należy państwa o tym powiadomić.

Charles Hill

John dwukrotnie przeczytał wiadomość, nim powolnym krokiem ruszył w stronę windy, gdzie czekała na niego Laura. Pokazał jej depeszę.

— Nadeszła podczas naszej nieobecności. Niezbyt dobre nowiny.

Nacisnął guzik, a żona w tym czasie przebiegła wzrokiem treść pisma. Wyszli na drugim piętrze.

— Zatem decyzja zapadła, nie sądzisz? — stwierdziła. — Oto masz dowód. Musimy wyjechać z Wenecji i wrócić do domu. Okazało się, że to Johnniemu grozi niebezpieczeństwo, a nie nam. Pewnie o tym próbowała zawiadomić nas Christina za pośrednictwem bliźniaczek.

Nazajutrz rano John zamówił rozmowę telefoniczną z dyrektorem szkoły, a następnie uprzedził kierownika recepcji o wcześniejszym wyjeździe. W czasie oczekiwania na połączenie spakowali swoje rzeczy. Żadne z nich nie powracało do wczorajszych wydarzeń — rozmowa na ten temat nie miała sensu. John i tak sądził, że nadejście telegramu przypadkowo zbiegło się z przestrogą sióstr o nadciągającym niebezpieczeństwie. Wszczywanie z tego powodu sprzeczek byłoby bezcelowe. Laura była innego zdania, uważała jednak, że postąpi roztropniej, jeśli zachowa swoje poglądy dla siebie. Podczas śniadania zastanawiali się nad wyborem drogi powrotnej oraz środka lokomocji. Był dopiero początek sezonu i mieli szansę dostać bilety na pociąg z autokuszetkami do Calais, odchodzący z Mediolanu. Przecież dyrektor szkoły ich zapewniał, że nie ma pośpiechu.

John był w łazience, gdy otrzymali połączenie z Anglią. Telefon odebrała Laura. Kilka minut później John wszedł do sypialni i zastał żonę przy aparacie. Po jej minie poznał, że jest zaniepokojona.

— Pan dyrektor jest w szkole — wyjaśniła. — Rozmawiam z jego żoną. Państwo Hillowie otrzymali wiadomość ze szpitala, że Johnnie spędził niespokojną noc. Niewykluczone, że będzie musiał zostać poddany operacji, ale

chirurg zwleka z podjęciem decyzji, dopóki zabieg nie okaże się absolutnie konieczny. Zdjęcia rentgenowskie wykazały, że wyrostek nie jest wyprostowany, ale że znajduje się w pozycji utrudniającej interwencję chirurgiczną.

— Daj mi panią Hill do telefonu — poprosił.

W słuchawce rozległ się łagodny głos żony dyrektora:

— Przykro mi, że ta wiadomość może pokrzyżować państwu plany. Oboje z Charlesem uznaliśmy jednak, że powinniście zostać powiadomieni o chorobie syna, i że tutaj, na miejscu, będziecie spokojniejsi. Johnnie jest bardzo dzielny. Gorączkuje, lekarze utrzymują jednak, że to normalne w tych okolicznościach. Sytuacja skomplikuje się jednak, gdy zajdzie konieczność usunięcia wyrostka. Chirurg zamierza dzisiaj wieczorem zadecydować, czy podejmie się operacji.

— Tak, oczywiście, doskonale to rozumiemy — powiedział John.

— Proszę uspokoić żonę — kontynuowała dyrektorowa. — Szpital cieszy się doskonałą opinią, personel jest bardzo miły, a do chirurga mamy całkowite zaufanie.

— Tak, dziękuję — rzekł John i przerwał, widząc, że stojąca obok Laura usiłuje przekazać mu jakąś informację.

— Jeśli nie dostaniemy miejsc w autokuszetce, mogę polecieć samolotem — oświadczyła. — Z pewnością znajdzie się dla mnie bilet lotniczy. W ten sposób przynajmniej jedno z nas będzie wieczorem na miejscu.

Skinął głową, akceptując jej plan.

— Jeszcze raz bardzo pani dziękuję, pani Hill — powtórzył. — Postaramy się wrócić jak najprędzej. Jestem przekonany, że Johnnie znajduje się w dobrych rękach. Proszę przekazać od nas wyrazy wdzięczności swojemu mężowi. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i rozejrzał się po pokoju. Omiótł wzrokiem rozbebeszoną pościel, walizki na podłodze, porozrzucane chusteczki higieniczne, koszyki, mapy, książki i płaszcze — wszystko to, co przywieźli ze sobą samochodem.

— O Boże, co za potworny bałagan! Ileż mamy ze sobą gratów!

Ponownie rozległ się sygnał telefonu. Tym razem dzwonił portier z dołu z informacją, że dokonał rezerwacji na jutrzejszy pociąg z autokuszetkami.

— Czy mógłby pan zabukować dla mnie bilet na samolot, który dzisiaj odlatuje do Londynu? — spytała Laura. — Jedno z nas musi koniecznie dotrzeć wieczorem do domu. Mąż wróci jutro samochodem.

— Zaczekaj chwilę — przerwał jej John. — Nie ma powodu do paniki. Z pewnością jedna doba nie stanowi wielkiej różnicy.

Ze strachu zbladła jak ściana i odwróciła się w jego stronę oszalała z trwogi.

— Być może nie stanowi dla ciebie, ale dla mnie tak — stwierdziła. — Straciłam już jedno dziecko i nie zamierzam stracić następnego.

— Już dobrze, kochanie, już dobrze... — wyciągnął pojednawczo rękę, ale odtrąciła ją ze zniecierpliwieniem i przystąpiła do udzielania dalszych instrukcji portierowi. John wrócił do pakowania. Wiedział, że dalsza argumentacja nie ma sensu, gdyż i tak Laura postawi na swoim. Oczywiście, mogli oboje polecieć samolotem, a on później, gdy stan zdrowia syna nie budziłby już niepokoju, odebrałby samochód i wrócił do domu przez Francję, ale to rozwiązanie było kłopotliwe i bardzo męczące.

— Jeśli chcesz, możemy oboje polecieć samolotem — zaproponował i wyjaśnił swoją koncepcję, która jednak nie trafiła żonie do przekonania.

— To absurd — rzekła ze zniecierpliwieniem. — Chodzi o to, żeby jedno z nas dotarło wieczorem na miejsce. Poza tym będziemy potrzebowali samochodu, żeby jeździć do szpitala. I jest jeszcze kwestia bagażu. Nie możemy przecież zostawić tutaj naszych wszystkich rzeczy.

Miała rację. To był rzeczywiście głupi pomysł. Ale John niepokoił się o syna nie mniej niż Laura, choć nie zamierzał się do tego przed nią przyznawać.

— Zejdę na dół i przypilnuję portiera — rzekła. — Pracownicy hotelu są zawsze gorliwsi, gdy się ich ma na oku. Spakowałam już wszystko, co mi będzie potrzebne. Zabiorę tylko podręczny bagaż. Resztę moich rzeczy przywieziesz samochodem.

Nie upłynęło pięć minut od jej wyjścia, gdy zadzwonił telefon.

— Nie mogło się lepiej złożyć, kochanie — zawiadomiła go z recepcji. — Portier zarezerwował dla mnie miejsce w samolocie czarterowym, który za niespełną godzinę odlatuje do Londynu. W przystani San Marco zostanie podstawiona za dziesięć minut specjalna motorówka, która zawiezie pasażerów tego rejsu na lotnisko. Jeden z podróżnych zrezygnował z lotu. Za niecałe cztery godziny będę w Gatwick.

— Natychmiast schodzę na dół — rzekł John.

Spotkali się przy recepcji. Laura nie wydawała się już zdenerwowana ani zmartwiona. Cieszyła się, że niebawem będzie w domu. John żałował, że nie wracają razem. Perspektywa dalszego pobytu w Wenecji bez Laury nie była zachęcająca. A na myśl o czekającej go wyprawie samochodem do Mediolanu i o spędzeniu w jednym z tamtejszych hoteli samotnej, ponurej nocy, o wlekącym się w nieskończoność dniu i o długich godzinach dzielących go od odjazdu pociągu nazajutrz wieczorem ogarnęło go, oprócz troski o syna, nieznośne przygnębienie.

Doszli na piechotę do przystani San Marco. Po niedawnych opadach molo połyskiwało w słońcu, a lekki wiatr trzepotał apaszkami na kramach i poruszał pocztówkami na stojakach. Turyści, ciesząc się na wrażenia nadchodzącego dnia, z widocznym ożywieniem przechadzali się po mieście.

— Zatelefonuję do ciebie wieczorem z Mediolanu — obiecał John. — Sądzę, że Hillowie chętnie cię przenocują. Zostaw dla mnie najnowsze wiadomości o stanie zdrowia Jonniego, gdy będziesz wychodziła z domu.

Bagaż schodzących na pokład pasażerów pooklejane były nalepkami z brytyjską flagą. Wśród grupy podróżnych, którą opiekowali się dwaj duchowni z

kościół metodystów, przeważali ludzie w średnim wieku. Jeden z pastorów podszedł do Laury z wyciągniętą dłonią, odsłaniając w uśmiechu rząd błyszczących, sztucznych zębów.

— Zapewne to pani jest tą osobą, która będzie nam towarzyszyć w drodze powrotnej do domu. Witamy w gronie naszego Towarzystwa Naukowego. Czujemy się zaszczytzeni pani obecnością. Żałujemy tylko, że nie dysponujemy miejscem dla pani mężulka.

Laura odwróciła się tyłem do duchownego i prędko pocałowała Johna. Drżenie w kąciku jej ust zdradzało ogarniającą ją wesołość.

— Pewnie zaraz zaczną śpiewać hymny, nie sądzisz? — szepnęła. — Uważaj na siebie, mężulku, i zadzwoń do mnie wieczorem.

Rozległ się krótki buczący sygnał. Laura zeszła po stopniach na pokład, stanęła w tłumie pasażerów i pomachała Johnowi na pożegnanie. Jej purpurowy płaszcz odcinał się wesołą plamą od szarych ubrań innych podróżnych. Motorówka ponownie zatrąbiła i zaczęła odpływać. John obserwował ją z nadbrzeża, a jego serce przepełniało uczucie bezgranicznej straty. Po chwili się odwrócił i nie dostrzegając pięknej pogody, ruszył samotnie w stronę hotelu.

Nie ma nic równie przytłaczającego, jak opustoszały hotelowy pokój, pomyślał, rozglądając się po sypialni. A szczególnie wtedy, gdy pozostały jeszcze ślady po jego ostatnich lokatorach: walizki Laury na łóżku, jeden z jej płaszczy, resztki pudru na toalecie, chusteczki kosmetyczne umazane szminką i pusta tuba po paście do zębów na szklanej półce nad umywalką. Co z tego, że przez otwarte okno jak zwykle dobiegały odgłosy ruchu na Canal Grandę, skoro Laura nie mogła ich słyszeć ani obserwować widoku z małego balkonu? Przyjemność minęła. Uczucie zadowolenia pierzchło.

Skończył się pakować, zostawił bagaż w pokoju i zszedł na dół, żeby uregulować rachunek. Recepcjonista witał właśnie nowo przybyłych gości. Na

tarasie, z którego roztaczała się panorama na Canal Grandę, siedzieli turyści i czytali gazety. Mieli przed sobą cały dzień na zwiedzanie miasta.

John postanowił, że zje lunch na miejscu, a potem poprosi bagażowego, żeby mu pomógł zanieść walizki na jeden ze statków kursujących pomiędzy przystaniami San Marco i Porta Roma, gdzie zostawił na parkingu samochód. Po wczorajszej nieudanej kolacji odczuwał głód i z niecierpliwością wypatrywał zakąsek, które w hotelowej restauracji serwowano w południe. Ale dzisiaj nawet tutaj zaszła zmiana. Szef kelnerów, z którym byli zaprzyjaźnieni, miał wolne, a ich stolik był zajęty przez nowo przybyłych gości. Pewnie nowożeńcy, uznał John na widok rozpromienionych min i uśmiechów młodej pary, gdy jeden z pracowników hotelu prowadził go do małego stolika za skrzynią z kwiatami.

Laura jest już w powietrzu, pomyślał. Usiłował ją sobie wyobrazić, jak siedzi pomiędzy duchownymi kościoła metodystów i opowiada im o chorobie syna. Bliźniaczki mogły się pławić w metafizycznym spokoju. Ich życzeniu stało się zadość.

Nie miał powodu, żeby przesiadywać po lunchu nad filiżanką kawy. Pragnął jak najszybciej wyprowadzić się z hotelu, odebrać samochód i znaleźć się w drodze do Mediolanu. Pożegnał pracowników recepcji i w towarzystwie bagażowego, który wiozł na wózku stos waliz, ruszył z powrotem w stronę przystani San Marco. Na pokładzie parowca, gdy obok niego już się piętrzyły bagaże, a wokół cisnęli się ludzie, niespodziewanie zrobiło mu się żal, że opuszcza Wenecję. Czy jeszcze kiedyś tu przyjadą? A jeśli tak, to kiedy? W przyszłym roku... za trzy lata... W pamięci przesuwały się przelotne wspomnienia z ich pierwszego pobytu w tym mieście podczas miodowego miesiąca, potem drugiej wizyty — *en passant* — która poprzedzała morską podróż, i wreszcie ostatniego, dziesięciodniowego urlopu, który się tak niespodziewanie zakończył.

Woda połyskiwała w słońcu, a od budowli bił blask. Turyści paradowali w tę i z powrotem po Molo, które prędko zostawało w tyle. Statek posuwał się wzdłuż Canal Grandę i po chwili Johnowi zniknął z oczu taras ich hotelu. Tak wiele było obrazów, które pragnął utrwalić i zachować we wspomnieniach — znajome, ulubione fasady domów, balkony, okna, widok wody obmywającej stopnie schodów wejściowych do chylących się ku upadkowi pałaców, oraz mały czerwony budynek wraz z przylegającym do niego ogrodem, w którym niegdyś mieszkał d'Annunzio i który Laura zwykła nazywać „ich domem”. John wiedział, że wkrótce parowiec skręci w lewo i obierze kurs na Piazzale Roma, pozostawiając za sobą najpiękniejszą część kanału — most Rialto wraz z otaczającymi go pałacami.

W polu widzenia pojawił się inny statek pełen pasażerów, który zmierzał w przeciwną stronę. Przez krótką chwilę Johnowi zrobiło się przykro, że to nie on znajduje się wśród grona szczęśliwców udających się do Wenecji, do tego wszystkiego, co on zostawiał za sobą. Nagle spostrzegł Laurę. Miała na sobie szkarłatny płaszcz i była w towarzystwie bliźniaczek. Jedna z sióstr obejmowała ją ramieniem i mówiła do niej coś z przejęciem. Laura, z włosami rozwianymi na wietrze, żywo gestykulowała, a na jej twarzy malował się wyraz rozpacz. John wpatrywał się w nią w osłupieniu. Był zbyt ogłuszony, żeby ją zawołać lub do niej pomachać. Zresztą i tak to by się na nic nie zdało, gdyż parowce już się minęły.

Co się mogło stać, u diabła? Pewnie z jakiejś przyczyny nie wystartował samolot. Ale dlaczego Laura nie zawiadomiła go o tym telefonicznie? I co robiły przy niej te cholerne siostry? Czyżby przypadkowo natknęła się na niego na lotnisku? I dlaczego sprawiała wrażenie, że jest załamana? John nie potrafił znaleźć odpowiedzi na te pytania. Pewnie lot został odwołany, a Laura jechała do hotelu, spodziewając się, że go tam zastanie. A może zmieniła plany, postanowiła pomimo wszystko udać się razem z nim do Mediolanu i wsiąść do pociągu, który odchodził nazajutrz wieczorem? Sytuacja była straszliwie zagmatwana. Jedyne,

co John mógł zrobić, to po przybyciu na Piazzale Roma natychmiast zatelefonować do Laury i poprosić ją, żeby zaczekała na niego w hotelu.

Statek przybił do nadbrzeża i tłum zaczął się cisnąć do wyjścia. Przed wyruszeniem na poszukiwanie telefonu John musiał najpierw znaleźć bagażowego, który zaopiekowałby się jego walizkami. Szukanie drobnych i sprawdzanie numeru spowodowało dalszą zwłokę. W końcu zdołał uzyskać połączenie. Szczęśliwym trafem zastał w recepcji znajomego urzędnika.

— Sytuacja ogromnie się skomplikowała — stwierdził i wyjaśnił, że jego żona jest w drodze powrotnej do hotelu. Widział ją przed chwilą na jednym ze statków w towarzystwie dwóch przyjaciółek. — Czy recepcjonista mógłby ją poprosić, żeby na niego czekała? — Niech pan ją zatrzyma — poprosił. — Przyjadę najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. — Gdy upewnił się, że urzędnik dokładnie zrozumiał jego polecenie, odłożył słuchawkę.

Dzięki Bogu, że Laura jeszcze nie zdążyła przybyć do hotelu. Pomyślałaby pewnie, że on jest na autostradzie do Mediolanu. Bagażowy wciąż czekał przy walizkach. Najrozsądniejszym rozwiązaniem było pozostawienie rzeczy pod opieką szefa garażu. John poprosił go, żeby je przechował, i oświadczył, że odbierze je razem z samochodem za godzinę, gdy przyjedzie tu razem z żoną. Potem wrócił na przystań, żeby z powrotem dostać się do Wenecji. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. John wciąż zachodził w głowę, co mogło spowodować zmianę w rozkładzie lotów i dlaczego Laura do niego nie zatelefonowała. Snucie domysłów nie miało sensu. Wkrótce sama mu wszystko wyjaśni. Jednego był pewien: nigdy nie pozwoli, żeby bliźniaczki podporządkowały ich sobie i wplątały w swoje sprawy. Wyobraził już sobie, jak Laura go prosi, żeby je podwiózł do Mediolanu.

Statek, dysząc, dobił w końcu do przystani i John zszedł na pokład. W zupełnie innym nastroju przepływał obok tych wszystkich znajomych miejsc, z którymi zaledwie przed chwilą z nostalgią się żegnał. Nie rozglądał się wokół siebie, lecz

myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć do celu. Po południu na Molo wyległo jeszcze więcej żadnych wrażeń turystów.

John pchnął drzwi obrotowe i wszedł do hotelu. Spodziewał się, że w hallu na lewo od wejścia zobaczy Laurę w towarzystwie bliźniaczek, ale nie zastał tam nikogo. Skierował się więc do recepcji. Urzędnik, z którym kontaktował się telefonicznie, rozmawiał właśnie ze swoim przełożonym.

— Czy przybyła już moja żona? — spytał John.

— Jeszcze nie, proszę pana.

— To dziwne. Jest pan tego pewien?

— Najzupełniej, proszę pana. Nie ruszyłem się stąd ani na krok od godziny trzynastej czterdzieści pięć, to jest od czasu, kiedy pan telefonował.

— Nic z tego nie rozumiem. Widziałem ją w pobliżu Akademii na pokładzie jednego z parowców. Jakies pięć minut później powinna była dotrzeć do San Marco i prosto stamtąd przyjść tutaj.

Urzędnik sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— Nie mam pojęcia, co się mogło stać, proszę pana. Zdaje się, że pańska żona była w towarzystwie przyjaciółek, prawda?

— Raczej znajomych; dwóch kobiet, które przypadkowo poznaliśmy wczoraj w Torcello. Byłem szczerze zdumiony, widząc ją razem z nimi. Przypuszczam, że natknęła się na nie na lotnisku. A gdy jej lot został odwołany, pewnie postanowiła wrócić razem z nimi do hotelu, łudząc się, że mnie tu jeszcze zastanie.

Co Laura wyprawiała, do diabła? Było już po trzeciej, a pokonanie wolnym krokiem odległości z przystani San Marco do hotelu nie mogło trwać dłużej jak kilka minut.

— Być może pańska żona pojechała do hotelu przyjaciółek. Czy pan wie, gdzie się zatrzymały?

— Nie mam zielonego pojęcia. Co gorsza, nie znam nawet nazwisk tych pań. To siostry — niemal identyczne bliźniaczki. Nie rozumiem, po co żona miałyby jechać do ich hotelu, zamiast wrócić tutaj?

Za jego plecami rozległ się odgłos otwieranych drzwi, ale to nie była Laura, lecz dwoje hotelowych gości.

Do rozmowy wtrącił się dyrektor.

— Sądzę, że powinniśmy zatelefonować na lotnisko i dowiedzieć się, dlaczego lot został wstrzymany — zasugerował, uśmiechając się przeprasząco. Nieczęsto się zdarzało, żeby sprawy nie układały się po jego myśli.

— Dobrze, niech pan to sprawdzi. Może powiedzą nam, co się właściwie stało — rzekł John. Zapalił papierosa i zaczął nerwowo spacerować po hallu. Co za cholerny galimatias! Przecież Laura wiedziała, że John zaraz po lunchu wybiera się do Mediolanu, a nawet mogła przypuszczać, że wyruszy jeszcze wcześniej. W takiej sytuacji powinna była natychmiast zatelefonować do niego po przybyciu na lotnisko. Tylko czy rzeczywiście nastąpiła zmiana w rozkładzie lotów? John miał wrażenie, że dyrektor tkwi przy telefonie całą wieczność. Łączono go z różnymi numerami, a prowadzona po włosku rozmowa toczyła się zbyt prędko, żeby John mógł za nią nadążyć. W końcu mężczyzna odłożył słuchawkę.

— Sprawa wydaje się jeszcze bardziej zagadkowa, proszę pana — stwierdził. — Lot czarterowy nie został odwołany, samolot wystartował punktualnie według rozkładu, a na pokładzie znajdował się komplet pasażerów. Obsługa lotniska nie ma informacji o żadnych komplikacjach. Pańska żona musiała się w ostatniej chwili rozmyślić. — Jego uśmiech stał się jeszcze bardziej przepraszący.

— Rozmyślić się? — powtórzył John. — Dlaczego miałyby to robić? Ogromnie zależało jej na tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu.

Dyrektor wzruszył ramionami.

— Dobrze pan wie, jakie potrafią być kobiety — powiedział. — Pańska żona mogła dojść do wniosku, że pomimo wszystko woli wybrać się w podróż w pana

towarzystwie. Zapewniam pana, że jej współpasażerowie są ludźmi powszechnie szanowanymi, a samolot, typu Caravelle, uważany jest za bardzo bezpieczny.

— Oczywiście — przytaknął John ze zniecierpliwieniem. — Nie mam do pana pretensji. Nie mogę tylko pojąć, co skłoniło żonę do zmiany planów. Chyba nie spotkanie z tymi dwiema kobietami?

Dyrektor milczał. Nie wiedział, co powiedzieć. Urzędnik recepcji również wyglądał na zatroskanego. — Może pomylił pan żonę z kimś innym? — zaryzykował.

— Nie, to wykluczone — rzekł John. — Zapewniam pana. To z pewnością była moja żona. Miała na sobie swój czerwony płaszcz i była bez kapelusza. Widziałem ją tak wyraźnie, jak pana widzę w tej chwili. Jestem gotów na to przysiąc przed sądem.

— Niestety nie znamy nazwisk obu dam ani nie wiemy, w którym hotelu mieszkają — zauważył dyrektor. — Powiedział pan, że spotkaliście je wczoraj w Torcello, prawda?

— Tak, widzieliśmy się z nimi przez moment. Ale jestem pewien, że to nie tam się zatrzymały. Wieczorem ponownie się na nie natknęliśmy w jednej z weneckich restauracji.

— Proszę mi wybaczyć... — Do hotelu przybywali nowi goście i urzędnik miał obowiązek ich obsłużyć. Zrozpaczony John zwrócił się do dyrektora.

— Czy pracownicy hotelu w Torcello mogą znać nazwiska tych kobiet albo miejsce ich zamieszkania w Wenecji, jak pan sądzi?

— Możemy to sprawdzić — odparł Włoch. — Szansa jest, co prawda, nikła, ale trzeba spróbować.

John podjął swoją nerwową wędrówkę, nie spuszczając z oka obrotowych drzwi. Łudził się, że za chwilę pojawi się w nich czerwony płaszcz Laury. Rozmowa z pracownikiem hotelu w Torcello znowu przeciągała się w nieskończoność.

— Proszę powiedzieć, że to siostry; dwie niemal identyczne starsze panie w szarych ubraniach — podpowiedział. — Jedna z nich jest niewidoma — dodał.

Dyrektor skinął głową. Potok jego słów świadczył o tym, że szczegółowo opisuje kobiety. Po chwili odwiesił słuchawkę i pokręcił głową.

— Kierownik sali w Torcello twierdzi, że bardzo dobrze pamięta te panie, ale przyszły tam tylko na lunch i nie miał okazji poznać ich nazwisk.

— No cóż, zatem nie pozostaje mi nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość — zauważył John.

Zapalił trzeciego z kolei papierosa i wyszedł na taras, gdzie znowu zaczął krążyć. Skierował wzrok w stronę kanału i uważnie przyglądał się twarzom turystów, którzy przepływali na pokładach parowców i motorówek oraz dryfowali na wodzie w gondolach. Mijały minuty, ale po Laurze nie było ani śladu. Zaczęła go prześladować straszliwa myśl, że wszystko zostało ukartowane i że Laura nigdy nie zamierzała wsiąść do samolotu, ponieważ ubiegłego wieczoru w restauracji umówiła się z siostrami. Och, Boże, to niemożliwe, pomyślał. Zaczynam mieć urojenia... Ale co się stało? Nie, spotkanie na lotnisku na pewno było przypadkowe. To wydaje się bardziej prawdopodobne. I z jakiejś nieznaney przyczyny bliźniaczki powstrzymały Laurę przed wejściem na pokład samolotu. Ostrzegły ją przed podróżą, roztaczając przed nią jedną ze swoich metafizycznych wizji o nieuchronnej katastrofie lotniczej i nakłoniły do wspólnego powrotu do Wenecji. A przeczulona Laura uznała, że mają rację, i wzięła ich przestrożę za dobrą monetę.

Jednak w dalszym ciągu pozostawał niezrozumiały fakt jej nieobecności w hotelu, zakładając nawet, że wydarzenia miały taki właśnie przebieg. Gdzie ona się mogła podziewać? Minęła czwarta, a potem czwarta trzydzieści. Promienie słońca nie migotały już w drobnych cętkach na tafli wody. John ponownie skierował się do recepcji.

— Nie jestem w stanie dłużej usiedzieć na miejscu — oznajmił recepcjoniście.
— Nawet gdyby moja żona się zjawiała, to i tak nie zdążymy już na wieczorny pociąg z Mediolanu. Być może spaceruje gdzieś w towarzystwie sióstr i spotkam ją na Piazza San Marco albo w innym miejscu. Jeśli się tu pokaże, proszę ją zatrzymać, dobrze?

Urzędnik był szczerze przejęty.

— Oczywiście — odparł. — To rzeczywiście kłopotliwa sprawa. Czy mam zarezerwować dla pana pokój na dzisiejszą noc?

John bezradnie wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem. Być może...

Minął obrotowe drzwi i ruszył wolnym krokiem w stronę Piazza San Marco. Zajrzał do każdego sklepu pod arkadami i kilkanaście razy przemierzył plac. Kluczył pomiędzy stolikami wystawionymi przy restauracjach „U Floriana” i „Quadri”. Był pewien, że z łatwością dostrzeże w przemierzającej się ciżbie czerwony płaszcz Laury i że nie ujdą jego uwagi rzucające się w oczy sylwetki sióstr. Lecz po bliźniaczkach i żonie nie było ani śladu. Dołączył do tłumu klientów Mercerii. Przeważali wśród nich zwykli gapie, którzy bez celu wałęsali się po sieci sklepów. John instynktownie przeczuwał, że jego wysiłek jest daremny i że nie spotka tutaj ani żony, ani dwóch starszych kobiet. Dlaczego Laura zrezygnowała z lotu? Ale nawet jeśli zrobiła to z jakiejś niezrozumiałej przyczyny, to powinna najpierw przyjść do hotelu!

Nie pozostawało mu nic innego, jak podjąć próbę odszukania sióstr. Mogły mieszkać w każdym spośród setek hoteli oraz pensjonatów rozrzuconych po całej Wenecji i na oddalonych wyspach, takich jak Zattere czy Giudecca. Ostatnia z możliwości wydawała się jednak mało prawdopodobna. Pewnie bliźniaczki zatrzymały się w jakimś małym hoteliku lub w pensjonacie w okolicy San Zaccaria, nie opodal knajpki, do której wczoraj przyszły na kolację. Był głupcem, że nie pomyślał o tym wcześniej. Wycofał się z jasno oświetlonego centrum

handlowego i ruszył w stronę dzielnicy o węższych i gęściej krzyżujących się uliczkach. Bez trudu odnalazł restaurację. Nie była jeszcze otwarta, a stoliki nakrywał nieznajomy kelner. John zwrócił się do niego z prośbą o rozmowę z *padrone* i mężczyzna zniknął na zapleczu. Wkrótce wrócił w towarzystwie właściciela, który przyłapany w chwili wolnej od pracy, miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i wyglądał niedbale.

— Byłem tutaj wczoraj na kolacji — wyjaśnił John. — Przy stoliku w kącie sali siedziały dwie panie.

— Czy życzy pan sobie, żebym dzisiaj zarezerwował dla pana to miejsce?

— Nie — rzekł John. — Chodzi mi o te dwie siostry, *due sorel* — *le*, bliźniaczki, *gemelle*... — Zastanawiał się nad włoskim odpowiednikiem słowa „bliźniaczki”. — Pamięta pan? Dwie kobiety, *sorelle vecchie*...

— Ach, tak — odparł mężczyzna. — *Si, si, signore, la povera signorina*. — I przyłożył ręce do oczu, demonstrując ślepotę. — Tak, pamiętam.

— Czy przypadkiem nie wie pan, jak one się nazywają? Albo gdzie się zatrzymały? Bardzo zależy mi na tym, żeby je odnaleźć.

Właściciel lokalu bezradnie rozłożył ręce. — Bardzo mi przykro, *signore*, ale nie znam nazwisk *signorine*. Kilkakrotnie odwiedziły nasz lokal, ale nigdy nie mówiły, gdzie mieszkają. Jeśli przyjdzie pan trochę później, być może znowu je pan tutaj zastanie. Czy mam dokonać dla pana rezerwacji?

Mówiąc to, — zatoczył ręką szeroki łuk, sugerując wybór dowolnego stolika, który jego potencjalnemu klientowi wydałby się najbardziej atrakcyjny, lecz John pokręcił przecząco głową.

— Nie, dziękuję. Nie mam jeszcze planów na dzisiejszy wieczór. Przepraszam za kłopot. Gdyby panie przyszły... — umilkł. — Możliwie, że zajrzę tu później, ale to nic pewnego.

Właściciel skinął głową i odprowadził go do wyjścia.

W Wenecji spotykają się ludzie z całego świata — zauważył z uśmiechem. — Być może również pan znajdzie swoje przyjaciółki. *Arrivederci, signore.*

Przyjaciółki? — pomyślał John, wychodząc na ulicę. Dobrze sobie, raczej porywacze w spódnicach... Jego niepokój przerodził się w paniczny strach. Stało się coś straszliwego. Te dwie kobiety zatrzymały Laurę i wykorzystując jej nadwrażliwość oraz podatność na sugestię, nakłoniły, żeby udała się razem z nimi do hotelu albo w jakieś inne miejsce. Czy nie powinien rozejrzeć się za posterunkiem policji? Gdzie się może mieścić? I co John ma powiedzieć, gdy już tam trafi? Zmierzał przed siebie bez celu, zagłębiając się, podobnie jak poprzedniego wieczoru, w nieznane uliczki. Nagle dostrzegł wysoki budynek, nad którym widniał napis: „Questura”. Jestem na miejscu, pomyślał. Bez względu na to, co będzie dalej, wchodzę do środka.

Posterunek tętnił życiem. Jedni policjanci wchodzili, a inni wychodzili z gmachu. John zwrócił się do funkcjonariusza w okienku z zapytaniem, z kim mógłby rozmówić się po angielsku. Mężczyzna wskazał palcem na klatkę schodową.

John wszedł na górę. W poczekalni natknął się na parę rodaków — małżeństwo, które podobnie jak i on znalazło się w kłopotach.

— Niech pan usiądzie — zaproponował mężczyzna. — Czekamy tu już od pół godziny. Okropnie się guzdrają! Co za kraj! U nas nikt nie narażałby nikogo na taką stratę czasu.

John przyjął proponowanego papierosa i zajął miejsce obok mężczyzny.

— Jaki problem państwa tutaj sprowadza?

— Ktoś zwędził mojej żonie torebkę w jednym ze sklepów Mercerii — odparł Anglik. — Tylko na chwilę postawiła ją na ziemi, żeby coś obejrzeć, a za moment nie było już po niej śladu. Ja twierdzę, że kradzieży dokonał kieszonkowiec, żona natomiast jest zdania, że zrobiła to sprzedawczyni. Ale kto dojdzie prawdy? Ci

makaroniarze są wszyscy tacy sami. Jestem pewien, że nie odzyskamy zguby. A jaką pan poniósł stratę?

— Skradziono mi walizkę — John wymyślił naprędce kłamstwo. — Znajdowały się w niej ważne dokumenty.

Jak miał się przyznać, że zginęła mu żona? Nie wiedziałby nawet, od czego ma zacząć...

Mężczyzna pokiwał ze współczuciem głową.

— Tak jak już powiedziałem, oni wszyscy są siebie warci. Stary Mussolini wiedział, jak należy z nimi postępować. W dzisiejszych czasach rozplenili się wśród nich komuniści. Najgorsze jest to, że nie będą przejmować się zbytnio naszymi kłopotami, szczególnie że morderca nadal przebywa na wolności. Wszyscy go teraz ścigają.

— Morderca? Jaki morderca? — zdumiał się John.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że o niczym nie słyszał? — Mężczyzna spojrzał na Johna ze zdziwieniem. — W całej Wenecji nie mówi się o niczym innym. Wiadomość podawały wszystkie gazety i radio. Nawet prasa angielska zamieściła o tym wzmiankę. To paskudna historia. W zeszłym tygodniu znaleziono turystkę z poderżniętym gardłem, a dzisiaj rano odkryto zwłoki staruszka z taką samą ciętą raną po nożu. Podejrzewają, że zabójcą jest maniak, ponieważ wszystko wskazuje na to, że nie było żadnych motywów zbrodni. To przerażające, że w Wenecji zdarzają się podobne wypadki, i to w pełni sezonu turystycznego.

— Oboje z żoną nigdy nie zaglądamy do gazet w czasie urlopu — wyznał John. — Żadne z nas nie ma też zwyczaju słuchania hotelowych plotek.

— To bardzo roztropnie z państwa strony — roześmiał się mężczyzna. — Lektura prasy mogłaby zepsuć państwu wakacje, szczególnie jeśli pańska małżonka ma słabe nerwy. W każdym razie my jutro stąd wyjeżdżamy. I nie skłamię, twierdząc, że bez żalu, prawda kochanie? — zwrócił się do żony. —

Wenecja bardzo podupadła od czasu naszego ostatniego pobytu tutaj. A dzisiejsza kradzież dopełniła miary.

Drzwi do sali przesłuchań otworzyły się i starszy rangą oficer policji poprosił do środka rozmówcę Johna oraz jego małżonkę.

— Założę się, że nie otrzymamy żadnej rekompensaty — mruknął turysta, mrugając porozumiewawczo, a potem oboje zniknęli za drzwiami.

John zgasił papierosa i zaraz sięgnął po następny. Ogarnęło go dziwne poczucie nierzeczywistości. Zadawał sobie pytanie, co tutaj robi i jaki sens ma wizyta na policji. Pewnie Laurę nie było już w Wenecji. Zniknęła gdzieś razem z diabolicznymi siostrami i kto wie, czy nie na zawsze. Nikt nigdy nie natrafił na jej ślad. Gdy oboje z Laurą po raz pierwszy zetknęli się z bliźniaczkami w Torcello, dali upust fantazji, snując domysły na ich temat. A teraz, za sprawą koszarnej logiki, miało się okazać, że fikcja bazuje na faktach i że kobiety rzeczywiście są wstrętnymi oszustkami, osobami o przestępczych zamiarach, które podstępnie wabią nic nie podejrzewającą ofiarę i ściągają na nią przerażający los. Być może to właśnie one są morderczyniami poszukiwanymi przez policję. Kto posądzałby o cokolwiek dwie poważne starsze panie, które mieszkają spokojnie w jakimś drugorzędym pensjonacie lub hoteliku? John zgasił nie dopalonego papierosa.

Naprawdę zaczynam wpadać w obłąd, stwierdził. Zapewne w ten oto sposób ludzie odchodzą od zmysłów.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do siódmej. Powinienem zachować resztkę poczytalności i dać sobie spokój z daremnymi poszukiwaniami na posterunku policji. Lepiej zrobię, jeśli wrócę do hotelu, zamówię rozmowę z prywatną szkołą w Anglii i dowiem się o stan zdrowia Johnniego. Od czasu, kiedy zobaczył na parowcu Laurę, ani razu nie pomyślał o swoim nieszczęsnym synu.

Ale na wycofanie się było już za późno. Drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich para angielskich turystów.

— Typowe frazesy — rzekł półgłosem mężczyzna do Johna. — Zrobią, co w ich mocy, ale szanse są znikome. Tak wielu cudzoziemców przebywa w Wenecji, a to sami złodzieje. Tutejsi mieszkańcy są nieskazitelni. Nie opłaciłoby im się okradać klientów — przedrzeźniał śledczego. — Życzę panu więcej szczęścia.

Uklonił się, jego żona z uśmiechem skinęła głową i odeszli. John ruszył za policjantem, który wprowadził go do pokoju.

Formalnościom nie było końca: nazwisko, adres, numer paszportu, od kiedy przebywa w Wenecji, i tak dalej, i tak dalej. Wreszcie przystąpiono do właściwych pytań i John, na którego czole pojawiły się kropelki potu, rozpoczął swoją nie kończącą się opowieść. Pierwsze zetknięcie się z siostrami, ponowne spotkanie z nimi w restauracji, podatność Laury na sugestie w związku ze śmiercią dziecka, telegram ze szkoły Johnniego, decyzja o podróży samolotem czarterowym, wyjazd Laury oraz jej nagły i nie wyjaśniony powrót. Gdy skończył, czuł się tak wyczerpany, jak gdyby po ciężkim nawrocie grypy przejechał bez przerwy pięćset kilometrów. Oficer śledczy mówił płynnie po angielsku z silnym włoskim akcentem.

— Twierdzi pan, że na wskutek przeżytego wstrząsu pańska żona popadła w depresję — zaczął. — Czy oznaki tego stanu uwidoczniały się podczas pobytu państwa w Wenecji?

— Tak, oczywiście — odparł John. — Żona była bardzo chora.

A przyjazd tutaj nie wpłynął w sposób znaczący na poprawę jej samopoczucia. Dopiero gdy spotkała te kobiety w Torcelło, jej nastrój uległ zmianie. Napięcie wyraźnie zniknęło. Od tamtej pory była gotowa, jak przypuszczam, skorzystać z każdej najmniejszej sposobności odzyskania zdrowia. Wiara, że nasza córeczka czuwa nad nią, pozwoliłaby jej, jak sądzę, wrócić do normalnego stanu.

— W tych okolicznościach to całkiem naturalne — rzekł policjant. — Ale przypuszczam, że telegram, który otrzymaliście państwo wczoraj wieczorem, był dla was obojga kolejnym wstrząsem?

— Rzeczywiście był i zdecydował o powrocie do domu.

— Nie sprzeczałyście się w tej sprawie? Nie mieliście odmiennych opinii?

— Nie. Nasza decyzja była jednomyślna. Żałowałem tylko, że nie mogę wracać razem z żoną samolotem czarterowym.

Oficer skinął głową.

— Niewykluczone, że pańska żona niespodziewanie dostała amnezji, a bliźniaczki, które przypadkiem spotkała, były jedynym ogniwem, jakie łączyło ją z przeszłością. Dlatego do nich przyłgnęła. Ich obecność podtrzymywała ją na duchu. Opisał pan kobiety z wielką dokładnością. Przypuszczam, że nietrudno je będzie odnaleźć. Proponuję, żeby pan teraz wrócił do hotelu, a my skontaktujemy się z panem, gdy tylko będziemy mieli jakieś wiadomości.

Przynajmniej mi uwierzyli, pomyślał John. Nie wzięli za oszusta, który sobie wszystko wymyślił i tylko marnuje ich czas.

— Jestem w najwyższym stopniu zaniepokojony, chyba pan to rozumie — rzekł. — Te kobiety mogą mieć zbrodnicze zamiary w stosunku do mojej żony. Bywały już takie wypadki...

Na twarzy policjanta po raz pierwszy pojawił się nikły uśmiech.

— Proszę się nie martwić. Jestem przekonany, że znajdziemy wyjaśnienie, które zadowoli nas wszystkich.

Dobrze, tylko jakie, na miłość boską? — pomyślał John.

— Proszę mi wybaczyć, że zająłem panu tak dużo czasu, szczególnie teraz, gdy policja ma pełne ręce roboty ze ściganiem mordercy, który wciąż przebywa na wolności.

Powiedział to rozmyślnie. Dawał w ten sposób oficerowi do zrozumienia, że niektórzy będą doszukiwać się związku pomiędzy zniknięciem Laury a straszliwymi wydarzeniami.

— Tak, tak — rzekł policjant, wstając z miejsca. — Mamy nadzieję, że zabójca wkrótce znajdzie się pod kluczem.

Przekonanie w jego głosie brzmiało uspokajająco. Policja panowała nad sytuacją, zarówno gdy chodziło o morderców, jak i o zaginione żony oraz skradzione torebki. Podali sobie dłonie, John został odprowadzony do drzwi, a potem zszedł po schodach na dół. Niewykluczone, że oficer ma rację i Laura rzeczywiście straciła pamięć, pomyślał, zmierzając wolnym krokiem w stronę hotelu. A siostry, które przez przypadek były na lotnisku, przywiozły ją z powrotem do Wenecji i zabrały do swojego hotelu, ponieważ Laura nie pamiętała, gdzie się zatrzymali. Być może bliźniaczki starają się właśnie ustalić miejsce ich zamieszkania. W każdym razie on zrobił już wszystko, co mógł. Reszta była w rękach policjantów i John prosił Boga, żeby wpadli na trop żony. Teraz miał tylko ochotę rzucić się na łóżko, napić się whisky i zatelefonować do szkoły Johnniego.

Boy hotelowy zawiózł go windą na czwarte piętro do bardzo skromnego pokoju na tyłach hotelu. Gołe ściany, szczelnie pozamykane żaluzje oraz zapachy kulinarne, które dochodziły z podwórza, potęgowały wrażenie obcości.

— Proszę o podwójną whisky — zwrócił się do chłopca. — I niech mi przyślą piwo imbirowe. — Gdy został sam, podstawił twarz pod strumień nad umywalką i z zadowoleniem stwierdził, że dzięki zimnej wodzie oraz maleńkiej kostce hotelowego mydła poczuł się nieco lepiej. Zrzucił z nóg buty, powiesił płaszcz na oparciu krzesła i zwałił się na łóżko. Radio za ścianą ryczało na pełny regulator. John rozpoznał ulubiony przebój Laury sprzed wielu lat. „Kocham cię, skarbie...” Sięgnął po telefon i zamówił w centrali połączenie z numerem w Anglii. Na moment zamknął oczy. Wciąż dobiegały go natarczywe słowa: „Kocham cię, skarbie... Nie potrafię wymazać cię z pamięci.”

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł kelner z zamówionym drinkiem. Brakowało lodu, ale John nie zwrócił na to uwagi. Rozpaczliwie potrzebował alkoholu. Wychylił go duszkiem i po chwili uporczywy ból nieco złagodniał, stał się bardziej stłumiony, a John na moment odzyskał poczucie spokoju. Zadzwoił telefon. A teraz ostatni wstrząs, pomyślał, przygotowując się

na najgorsze. Johnnie jest pewnie umierający, o ile już nie umarł. I nikt nie pozostanie mi na tym świecie. Niech piekło pochłonie Wenecję... Telefonistka oznajmiła, że abonentka w Anglii jest na linii. W słuchawce odezwał się głos pani Hill. Kobieta z pewnością została uprzedzona o połączeniu z Wenecją, gdyż dobrze wiedziała, kto jest jej rozmówcą.

— Halo? Tak się cieszę, że pana słyszę. Wszystko w porządku. Johnnie jest już po operacji, która przebiegła pomyślnie. Chirurg nie chciał dłużej zwlekać. Odbyła się w południe. Syn państwa wkrótce wyzdrowieje. Nie ma powodu do obaw. Może pan spać spokojnie.

— Dzięki Bogu — powiedział John.

— Nam wszystkim spadł kamień z serca. A teraz oddaję słuchawkę pańskiej żonie.

John wyprostował się na łóżku, ogłuszony. Co ona miała na myśli, do diabła? Po chwili dobiegł go opanowany głos Laury:

— Kochanie? Kochanie, jesteś tam?

Nie mógł wydusić z siebie słowa. Czuł, że dłoń, w której trzyma słuchawkę, stała się lepka od potu.

— Tak, jestem — wyszeptał w końcu.

— Niezbyt dobrze cię słyszę, ale to nieważne. Tak jak powiedziała pani Hill, jest już po wszystkim. Chirurg to bardzo sympatyczny człowiek, a i pielęgniarka na piętrze Johnniego okazała się urocza. Bardzo się cieszę, że wszystko odbyło się szczęśliwie. Przyjechałam tutaj zaraz po wylądowaniu w Gatwick. Podróż minęła bez zakłóceń. A skoro już o tym mowa: moi współpasażerowie w samolocie byli bardzo zabawni. Pęknieś ze śmiechu, kiedy ci o nich opowiem. Gdy przybyłam do szpitala, Johnnie odzyskiwał właśnie przytomność. Był jeszcze odurzony po narkozie, ale szczerze ucieszył się na mój widok. Państwo Hillowie są cudowni. Umieścili mnie w swoim gościnnym pokoju. Mieszkają tuż pod miastem, więc do szpitala dojeżdżam taksówką. Natychmiast po kolacji zamierzam położyć się do

łóżka, jestem trochę zmęczona po podróży i emocjach związanych z chorobą Johnniego. A jak tobie minęła podróż? Gdzie się zatrzymałeś w Mediolanie?

John nie rozpoznał własnego głosu, który przypominał automatyczną odpowiedź komputera.

— Nie dzwonię z Mediolanu. Jestem wciąż w Wenecji.

— W Wenecji? A co tam jeszcze robisz, na Boga? Czy miałeś kłopoty z uruchomieniem samochodu?

— Trudno to wyjaśnić — odparł. — Zaszło głupie nieporozumienie.

Nagle ogarnęło go tak ogromne znużenie, że omal nie wypuścił z ręki słuchawki. Palił go wstyd. Poczuł, jak pod powiekami wzbierają łzy.

— Co za nieporozumienie? — Głos Laury zabrzmiał podejrzliwie, niemal wrogo. — Mam nadzieję, że nie uległeś wypadkowi?

— Nie... nic z tych rzeczy.

Na moment zapadło milczenie.

— Twoja mowa jest bardzo bełkotliwa — zauważyła. — Chyba nie upiłeś się po moim wyjeździe?

Och, Boże... Gdyby ona tylko wiedziała! Obawiał się, że w każdej chwili może zemdleć, i to nie z nadmiaru wypitej whisky.

— Zdawało mi się, że cię widziałem w towarzystwie sióstr na statku — rzekł powoli. Jaki był sens wspomniania o tym? Wszelkie próby wyjaśnień były z góry skazane na niepowodzenie.

— Jak mogłeś mnie widzieć razem z siostrami? — spytała zdumiona. — Przecież wiesz, że pojechałam na lotnisko. Naprawdę, kochanie, straszliwy z ciebie głuptas. Najwyraźniej masz obsesję na punkcie tych dwóch biednych, poczciwych staruszek. Mam nadzieję, że nie wspomniałeś o nich pani Hill?

— Nie.

— Co zamierzasz dalej robić? Czy wyjedziesz jutrzejszym pociągiem z Mediolanu?

— Tak, oczywiście.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, co cię zatrzymało w Wenecji — rzekła. — Dobrze przynajmniej, że Johnnie ma się lepiej i że ja jestem przy nim.

— Tak, to prawda.

Dobiegł go odległy dźwięk gongu, który dochodził z hallu w domu dyrektora.

— Idź już, bo spóźnisz się na kolację. Przekaż ode mnie pozdrowienia państwu Hillom i ucałuj Johnniego.

— Uważaj na siebie, kochanie, i na miłość boską, nie spóźnij się na jutrzejszy pociąg. Jedź ostrożnie.

Rozległ się trzask widełek i Laura się rozłączyła. John wlał kieliszek whisky do pustej szklanki, rozcieńczył drinka piwem imbirowym i wypił jednym haustem. Wstał z łóżka, przeszedł na drugą stronę pokoju, otworzył żaluzje i wychylił się przez okno. Było mu lekko na duszy. Ale ogromną ulgę, jaka wypełniła jego serce, mąciło dziwne poczucie nierealności — jak gdyby głos z Anglii nie należał do Laury, a ona przebywała nadal w Wenecji, ukryta w jakimś tajemniczym miejscu z dwiema siostrami.

Problem polegał na tym, że widział je w trójkę na pokładzie parowca. Nie mógł pomylić Laury z inną kobietą w czerwonym płaszczu. A bliźniaczki jej towarzyszyły. Jak miał to sobie wytłumaczyć? Czyżby postradał rozum? A może zdarzyło się coś bardziej groźnego? Może siostry, widząc go na przepływającym obok statku, w jakiś nie wyjaśniony sposób, dzięki potężnej sile swoich metafizycznych zdolności, kazały mu uwierzyć, że Laura jest razem z nimi. Ale po co miałyby to robić? Co by im z tego przyszło? Nie, takie rozumowanie nie trzymało się kupy. Jedynym rozsądnym wyjaśnieniem mogła być tylko omyłka — jego przywidzenie. Ale w takim przypadku potrzebował porady psychoanalityka równie pilnie, jak wyrostek Johnniego wymagał operacji.

I co miał teraz zrobić? Zejść na dół i zakomunikować kierownictwu hotelu, że się pomylił, gdyż przed chwilą rozmawiał ze swoją żoną, która bezpiecznie dotarła do Anglii? Włożył buty i przeczesał dłonią włosy. Spojrzał na zegarek. Była za dziesięć ósma. Doszedł do wniosku, że jeśli popędzi do baru i wypije tam szybkiego drinka, będzie mu łatwiej stanąć twarzą w twarz z dyrektorem i wyznać, co się stało. A potem, być może, razem skontaktują się z policją. Trzeba się będzie gęsto tłumaczyć. Sprawił wszystkim ogromny kłopot.

Zszedł na parter i skierował się prosto do baru. Czuł się jak człowiek naznaczony. Miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą: „To ten facet, któremu zaginęła żona”. Na szczęście przy barze panował tłok i żadna z twarzy nie wydała mu się znajoma. Nawet fagas za kontuarem nie obsługiwał go nigdy przedtem. John wychylił whisky i spojrzał przez ramię w stronę recepcji. W wejściu do biura dostrzegł plecy dyrektora, który z kimś rozmawiał. John zachował się jak tchórz. Kierując się nagłym impulsem, minął hall oraz drzwi obrotowe i wyszedł na ulicę.

— Zjem kolację, a potem wrócę i wypiję piwo, którego nawarzyłem — postanowił. — Będzie mi łatwiej, gdy trochę napełnię żołądek.

Wybrał jedną z pobliskich restauracji, którą oboje odwiedzili kilkakrotnie. Ale to nie miało już znaczenia. Laura była bezpieczna. Koszmar minął. Pomimo jej nieobecności mógł się teraz delektować posiłkiem. Myślał o żonie, jak w towarzystwie Hillów spędza nudny wieczór i wczesnie kładzie się spać, żeby nazajutrz rano pojechać do Johnniego. Ich synowi również już nic nie groziło. John nie miał powodu do obaw. Pozostawały tylko kłopotliwe wyjaśnienia i przeprosiny, jakie był winien dyrektorowi hotelu.

Anonimowość, jaką odczuwał, siedząc samotnie przy stoliku w kącie małej restauracji nad daniem *vitello alla Marsala* i połową butelki Merlota, sprawiała mu przyjemność. Rozkoszował się posiłkiem i nie spieszył się z wyjściem. Był jednak dziwnie oszołomiony i nie opuszczało go wrażenie nierealności.

Rozmowa, jaką toczyli najbliżsi sąsiedzi, działała na niego kojąco, niczym cicha, płynąca z oddali muzyka.

Gdy goście przy stoliku obok wstali i opuścili lokal, spostrzegł na ściennym zegarze, że dochodzi dziewiąta trzydzieści. Postanowił dłużej nie zwlekać z załatwieniem niemiłych spraw. Wypił kawę, zapalił papierosa i zapłacił rachunek. Dyrektor powinien być zadowolony, że wszystko się dobrze ułożyło, pomyślał, wracając do hotelu.

Pierwszą osobą, którą zobaczył w recepcyjnym hallu, był mężczyzna w policyjnym mundurze. Funkcjonariusz rozmawiał z dyrektorem hotelu. Recepcjonista był również przy tym obecny. Gdy odwrócili się w stronę Johna, na twarzy dyrektora pojawił się wyraz ulgi.

— *Eccolol* — wykrzyknął rozpromieniony. — Byłem pewien, że signore daleko nie odszedł. Sprawy posuwają się naprzód. Dwie starsze damy zostały odnalezione. Poproszono je, żeby zechciały się udać na posterunek. Może pan zaraz tam pójść w towarzystwie obecnego tu *agente di polizia*.

John się zarumienił.

— Narobiłem zamieszania — stwierdził. — Zamierzałem porozmawiać z panem przed wyjściem na kolację, ale nie zastałem nikogo w recepcji. Rzecz w tym, że skontaktowałem się telefonicznie z moją żoną. Okazało się, że jednak odleciała do Londynu. Zaszło wielkie nieporozumienie.

Dyrektor był najwyraźniej zbity z tropu.

— To pańska żona jest w Londynie? — upewnił się i prędko zamienił kilka zdań z policjantem. — Starsze panie utrzymują, że z wyjątkiem niewielkich porannych zakupów, nie wychodziły przez cały dzień z domu — rzekł, ponownie zwracając się do Johna.

— Kim była w takim razie osoba na parowcu, którą pan widział?

John pokręcił głową.

— To zadziwiająca pomyłka, której sam nie pojmuję — powiedział. — Wygląda na to, że nie widziałem ani mojej żony, ani dwóch starszych kobiet. Ogromnie panów przepraszam.

Przez chwilę toczyła się prędką rozmowa po włosku. John zauważył, że recepcjonista przygląda mu się z dziwnym wyrazem twarzy. Prawdopodobnie dyrektor przeproszał właśnie za zachowanie swojego gościa policjanta, który się strasznie rozzłościł. O jego irytacji świadczył podniesiony głos i coraz szybciej rzucane słowa. Dyrektor wyglądał na zaniepokojonego. Cała historia bez wątplenia sprawiła mnóstwo kłopotu wielu ludziom i niemało przykrości nieszczęsnym siostram.

— Czy mógłby pan powiedzieć funkcjonariuszowi, że pójde razem z nim na posterunek? — poprosił John, przerywając potok słów. — Chcę osobiście złożyć przeprosiny zarówno komisarzowi policji, jak i dwóm starszym paniom.

Propozycja Johnego sprawiła dyrektorowi wyraźną ulgę.

— To miło z pańskiej strony, *signore*, że zechce się pan tam pofatygować. Obie panie bardzo się zdenerwowały podczas przesłuchania w hotelu i w trosce o pana same zaproponowały policjantowi, że pójda razem z nim do *Questura*.

Laura nie może się o tym dowiedzieć. Byłaby wściekła. John zastanawiał się, czy w prawodawstwie włoskim istnieje kara za przekazywanie policji mylnych informacji, które dotyczą osób trzecich. Jego błąd zaczynał nabierać znamion przestępstwa.

Przemierzał plac San Marco, na którym o tej porze było tłoczno. Turyści gromadnie wylegli i przechadzali się po mieście lub siedzieli w kafejkach. Trzy orkiestry rywalizowały ze sobą, grając pełną parą zgodnie brzmiące melodie. Funkcjonariusz zachowywał dyskretną odległość dwóch kroków, idąc obok Johna, i nie odzywał się do niego ani słowem.

Na posterunku weszli do tego samego pokoju przesłuchań, w którym John był przedtem. Za biurkiem siedział inny komisarz — osobnik o ziemistej cerze i kwaśnym wyrazie twarzy. Dwie siostry zajmowały znajdujące się nie opodal krzesła i były wyraźnie zdenerwowane — szczególnie ta bardziej aktywna. Za plecami bliźniaczek stał niższy rangą funkcjonariusz. Policjant, który towarzyszył Johnowi, podszedł natychmiast do oficera i powiedział do niego coś prędko po włosku. John po chwili wahania skierował się w stronę sióstr.

— Zaszło straszliwe nieporozumienie — oznajmił. — Nie wiem, jak mam panie przeproszać. To, co się wydarzyło, nastąpiło wyłącznie z mojej winy i policja nie ma z tym nic wspólnego.

Usta aktywniejszej z bliźniaczek drgnęły nerwowo. Kobieta zrobiła ruch, jak gdyby zamierzała się podnieść, ale John ją powstrzymał.

— Nic z tego nie rozumiemy — powiedziała z silnym szkockim akcentem. — Pożegnaliśmy się z pańską żoną wczoraj wieczorem podczas kolacji i nie widziałyśmy jej od tamtej pory. Ponad godzinę temu przyszedł do naszego pensjonatu policjant i oświadczył, że pańska żona zaginęła i że pan wniósł na nas skargę. Moja siostra jest słabego zdrowia i jej spokój został poważnie zakłócony.

— To pomyłka. Straszliwa pomyłka — powtórzył John.

Poproszony przez komisarza, podszedł do biurka. Angielszczyzna śledczego była znacznie gorsza od tej, jaką władał jego poprzednik. Oficer miał przed sobą wcześniejsze zeznanie Johna i stukał w nie ołówkiem.

— A więc ten dokument to stek kłamstw? — spytał. — Nie mówił pan prawdy?

— W chwili składania zeznań wierzyłem, że są prawdziwe — odparł John. — Mógłbym przysiąc przed sądem, że po południu widziałem te dwie damy i moją żonę na pokładzie statku parowego na Canal Grandę. Teraz wiem, że się pomyliłem.

— Nie byliśmy dzisiaj w pobliżu Canal Grandę. Nawet nie spacerowałyśmy w tamtej okolicy. Zrobiłyśmy tylko rano kilka sprawunków w Mercerii i przez całe popołudnie siedziałyśmy w domu. Moja siostra nie czuła się zbyt dobrze. Kilkanaście razy powtarzałam to oficerowi policji. Współlokatorzy z pensjonatu byli gotowi potwierdzić nasze zeznania, ale nie chciał ich wysłuchać.

— A co z *signorą*? — Policjant stukał w pulpity ze złością. — Co się stało z *signorą*?

— Moja żona dotarła bezpiecznie do Anglii — wyjaśnił John ze spokojem. — Tuż po siódmej rozmawiałem z nią przez telefon. Przyleciała samolotem czarterowym i zatrzymała się u przyjaciół.

— W takim razie kim była osoba w czerwonym płaszczu, którą pan widział na statku? — spytał rozsierdzony nie na żarty oficer. — I kim były *signorine*, które płynęły razem z nią?

— Zawiódł mnie wzrok — rzekł John, zdając sobie sprawę z tego, że również jego angielszczyzna przybiera nienaturalne brzmienie. — Sądziłem, że widzę moją żonę i te panie, ale tak nie było. Żona w tym czasie znajdowała się na pokładzie samolotu, a panie przebywały w pensjonacie.

Miał wrażenie, że przemawia po chińsku ze sceny. Niewiele brakowało, a zacząłby się kłaniać z dłońmi włożonymi do rękawów.

Oficer, bębniąc w stół, wznosił oczy do nieba.

— Cała robota na nic — stwierdził. — Straciliśmy mnóstwo czasu na poszukiwania dwóch *signorine* i zaginionej *signorą inglese* we wszystkich hotelach oraz pensjonatach. I to w sytuacji, gdy mamy na głowie ogrom innych spraw. A pan po prostu się pomylił. Pewnie za dużo pan wypił wina w *mezzo giorno*. Nic dziwnego, że teraz widzi pan sto *signorine* w czerwonych płaszczach w stu *vaporetti*. — Wstał i zmiął dokumenty. — Czy *signorine* nie chcą wnieść skargi na tego oto człowieka? — zwrócił się do aktywniejszej z sióstr.

— Ależ nie. Rozumiem, że zaszła pomyłka. Pragniemy jedynie jak najprędzej wrócić do pensjonatu.

Oficer jęknął. A potem powiedział, wskazując na Johna:

— Jest pan szczęściarzem. *Signoñne* mogły obciążyć pana bardzo poważnym oskarżeniem.

— Nie wątpię w to — zaczął John. — Zrobię, co tylko w mojej mocy...

— Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy — zachnęła się siostra niewidomej. Teraz ona z kolei zwróciła się do oficera śledczego: — Mam nadzieję, że nie ma potrzeby, abyśmy dłużej zabierały panu cenny czas.

Odprawił je machnięciem ręki i powiedział coś po włosku do swojego podwładnego.

— Ten oto funkcjonariusz odprowadzi panie do pensjonatu. *Buona sera, signoñne* — rzekł na pożegnanie i ignorując Johna, z powrotem zajął miejsce za biurkiem.

— Pójdę razem z paniami — zaproponował John. — Chciałbym wyjaśnić, co się dokładnie wydarzyło.

Zeszli na parter i ruszyli w stronę drzwi wyjściowych. Na ulicy niewidoma skierowała na Johna swoje niewidzące oczy.

— To prawda, że widział pan nas we trójkę — oświadczyła. — Tylko, że to nie było dzisiaj. Miał pan wizję przyszłości.

Jej głos brzmiał ciszej i bardziej przeciągle niż głos siostry. John zauważył, że mówienie sprawia jej lekką trudność.

— Nie rozumiem — wyznał ze zdumieniem. Odwrócił się w stronę jej siostry, ale starsza pani potrząsnęła głową i marszcząc czoło, położyła palec na ustach.

— Chodźmy już, moja droga — rzekła. — Wiesz, że jesteś bardzo zmęczona. Powinnaś jak najprędzej znaleźć się w domu.

— Ona jest medium — wyjaśniła półgłosem. — Przypuszczam, że żona poinformowała pana o tym. Nie chciałabym, żeby tutaj wpadła w trans.

Niech Bóg broni! — pomyślał John. Mała procesja zaczęła powoli oddalać się od posterunku. Podążali uliczką po prawej stronie kanału. Posuwali się powoli, dostosowując tempo marszu do kroków niewidomej. Minęli dwa mosty. Już po pierwszym zakręcie John stracił orientację w terenie, ale się tym nie przejął. Towarzyszył im przecież policjant, a poza tym siostry wiedziały, dokąd zmierzają.

— Muszę się wytłumaczyć — rzekł John cichym głosem. — Żona nie wybaczyłaby mi, gdybym tego nie zrobił. — I jeszcze raz opowiedział całą nie wyjaśnioną historię, poczynawszy od telegramu, jaki otrzymali poprzedniego wieczoru, i rozmowy telefonicznej z panią Hill, a skończywszy na decyzji wcześniejszego powrotu do Anglii. Opowieść nie była już tak dramatyczna jak w chwili, gdy przedstawiał ją na posterunku policji. Na skutek przekonania o tajemniczym podłożu wydarzeń jego relacja o mijaniu się dwóch parowców na Canal Grandę zabrzmiała wtedy złowroźnie. Kryła się w niej sugestia, że zdezorientowana Laura została przez bliźniaczki porwana i uwięziona. Ale teraz, gdy żadna z siostr nie wydawała się już Johnowi groźna, mówił w sposób naturalny i szczery. Po raz pierwszy odniósł też wrażenie, że jego historia została przyjęta ze współczuciem i że obie kobiety są w stanie go zrozumieć.

— Naprawdę wierzyłem w to, że widziałem panie w towarzystwie Laury — wyjaśnił, podejmując ostatni wysiłek, by naprawić przykrość, jaka je spotkała w związku z przesłuchaniem na policji.

— Pomyślałem... — zawahał się na moment, ponieważ sugestia pochodziła od oficera policji, a nie od niego — że być może Laura straciła pamięć, spotkała panie na lotnisku, a wy przywieźliście ją do Wenecji i zaprowadziłyście do waszego hotelu.

Minęli duży plac i zbliżali się do narożnego domu, nad którym widniał napis „Pensione”. Policjant zatrzymał się przed wejściem.

— Jesteśmy na miejscu? — spytał John.

— Tak — odpowiedziała siostra niewidomej. — Wiem, że nasz pensjonat wygląda niepozornie, ale w środku jest czysto i wygodnie. Polecili *go* nam przyjaciele — wyjaśniła i zwróciła się do towarzyszącego im funkcjonariusza: — *Grazie. Grazie tanto.*

Mężczyzna skinął głową i życząc im *buona notte*, zniknął za rogiem.

— Wejdzie pan do środka? — spytała starsza pani. — Jestem pewna, że znajdziemy trochę kawy, a może wolałby się pan napić herbaty?

— Nie, bardzo dziękuję — rzekł John. — Muszę wracać do hotelu, ponieważ wyjeżdżam jutro o świcie. Zamierzałem się tylko przed paniami usprawiedliwić i prosić o wybaczenie.

— Nie ma o czym mówić — odparła kobieta. — To tylko jeden z przykładów jasnowidztwa, jakiego również doświadczamy z siostrą od czasu do czasu. Jeśli pan pozwoli, chciałabym odnotować pański przypadek w naszych rejestrach.

— Ależ bardzo proszę, oczywiście, choć osobiście nie pojmuję tego, co się stało. Nigdy dotychczas nie miałem wizji.

— Być może nie zdawał pan sobie z nich sprawy. Tak wiele rzeczy się nam przytrafia, których sobie nie uświadamiamy. Moja siostra wyczuła w panu mediumistyczne zdolności. Powiedziała o tym pańskiej żonie. A wczoraj wieczorem w restauracji uprzedziła ją też o czyhającym na pana niebezpieczeństwie. Była zdania, że powinien pan czym prędzej opuścić Wenecję. Czy teraz pan jej uwierzył? Dowodem okazał się telegram. Syn zachorował, być może poważnie, i zostaliście państwo zmuszeni natychmiast wracać do domu. Dzięki Bogu, że chociaż żona poleciała do Londynu, by czuwać przy chłopcu.

— Tak, to prawda. Ale dlaczego widziałem ją razem z wami na statku, gdy w tym czasie była już w drodze do Anglii?

— Prawdopodobnie przyczyną stała się projekcja myśli. Pańska żona musiała o nas myśleć. Podałyśmy jej nasz adres, na wypadek gdybyście mieli państwo ochotę się z nami skontaktować. Wracamy do domu za dziesięć dni. Obiecałyśmy

przekazywać pańskiej żonie wszystkie wiadomości, jakie moja siostra otrzyma z zaświatów od waszej córeczki.

— Tak, rozumiem — rzekł John z zakłopotaniem. — Bardzo paniom dziękuję. Są panie bardzo uprzejme. — Otrząsnął się, wyobrażając je sobie w sypialni ze słuchawkami na uszach, w chwili gdy odbierają zakodowane informacje od Christiny.

— Zanotuję paniom nasz adres w Londynie — zaproponował. — Wiem, że Laura się ucieszy, jeśli się panie do nas odezwą.

Na kartce wyrwanej z kieszonkowego notesu zapisał adres, dorzucił jeszcze numer telefonu, i wręczył ją kobiecie. Bez trudu mógł się domyślić konsekwencji swojego postępu. Już widział w wyobraźni, jak Laura zaskakuje go któregoś wieczoru wiadomością, że „kochane staruszki” są przejazdem w Londynie i że powinni okazać im gościnność, a nawet zaoferować nocleg. Wyobraził sobie też seans w salonie, kiedy to za sprawą bliźniaczek z rozrzedzonego powietrza wysnuwa się gołębek.

— Muszę już iść — powtórzył. — Życzę paniom dobrej nocy i jeszcze raz przepraszam za przykrość, jaka dzisiaj panie spotkała. — Podał rękę swojej rozmówczyni, a potem zwrócił się do niewidomej. — Mam nadzieję, że nie jest pani zbyt zmęczona.

Nie widzące oczy były niespokojne. Kobieta prędko chwyciła jego dłoń i nie wypuszczała jej z uścisku.

— Dziecko... — powiedziała dziwnym, zająkliwym głosem. — Dziecko... widzę dziecko... — Ku przerażeniu Johna w kąciu jej ust pojawiła się piana, głowa odskoczyła do tyłu i staruszka omdlała w ramionach siostry.

— Musimy wnieść ją do środka — zareagowała prędko bliźniaczka. — Wszystko w porządku. Ona nie jest chora. To tylko początek transu.

Oboje wtaszczyli nieprzytomną starszą panią do domu i posadzili ją na pierwszym napotkanym krześle. Siostra ją podtrzymywała. Z pokoju w głębi mieszkania wybiegła jakaś kobieta. Wszędzie unosił się silny zapach spaghetti.

— Proszę się nie martwić — powiedziała siostra niewidomej. — We dwie z *signoriną* poradzimy sobie. Sądzę, że będzie lepiej, jeśli pan już pójdzie. Ona czasami bywa potem chora.

— Jest mi ogromnie przykro... — zaczął John, ale starsza pani już odwróciła się do niego plecami i razem z *signoriną* pochyliła się nad nieprzytomną siostrą, która wydawała z siebie dziwne, zdławione dźwięki. John poczuł, że dalsza jego obecność jest tutaj zbyt duża.

— Czy mógłbym w czymś pomóc? — zdobył się na ostatni kurtuazyjny gest, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, obrócił się na pięcie i wyszedł na ulicę. Obejrzał się i stwierdził, że kobiety zamknęły za nim drzwi.

Świetne zakończenie wieczoru! A to wszystko przez niego. Biedne staruszki! Najpierw zostały zaciągnięte na posterunek policji i były przesłuchiwane, a potem jedna z nich wpadła w trans hipnotyczny. Albo, co było bardziej prawdopodobne, dostała ataku epilepsji. Druga z sióstr nie miała przy niej lekkiego życia, choć sprawiała wrażenie, że z łatwością radzi sobie z problemem. Ryzyko wzrastało, gdy niewidoma wpadała w trans w restauracji lub na ulicy. Myśl, że staruszce może się to przydarzyć, gdy będzie przebywała pod ich dachem, nie była zachęcająca. Miał nadzieję, że do tej wizyty nigdy nie dojdzie.

Gdzie się obecnie znajdował, u licha? Plac wydawał się całkiem opustoszały. John nie pamiętał drogi, ponieważ idąc tutaj kluczyli.

Kościół po drugiej stronie wydał mu się znajomy. Podeszedł bliżej, szukając imienia patrona, które czasami umieszczano przy wejściu. San Giovanni in Bragora — nazwa nie brzmiała obco. Któregoś przedpołudnia zwiedzali z Laurą wewnątrz tej świątyni i podziwiali malarstwo Cima da Conegliano. Z pewnością nie mogło być stąd daleko do Riva degli Schiavoni i do otwartych wód laguny San

Marco, błyszczącej światłami i tłumnie wypełnionej spacerowiczami. Pamiętał, że zmierzając od strony Schiavoni, skręcili w małą przecznicę i wyszli prosto na kościół. Czy to przypadkiem nie była ta uliczka, którą miał przed sobą? Zagłębił się w nią, ale po chwili się zawahał. Miał wrażenie, że dokonał niewłaściwego wyboru, choć uliczka z jakichś nieznanych powodów wydała mu się znajoma.

Nagle przypomniał sobie, że oboje z Laurą szli tędy wczoraj, z tą tylko różnicą, że teraz zmierzał w przeciwną stronę. Tak, dobrze pamiętał to miejsce. Uznał, że tą drogą prędzej dotrze do celu. Od Arsenału dzielił go tylko mały most nad wąskim kanałem, a biegnąca po prawej stronie uliczka dochodziła do Riva degli Schiavoni. To było prostsze, niż odtwarzanie dzisiejszej trasy i błądzenie po labiryncie bocznych przecznic.

Gdy niemal dotarł do końca ulicy i w polu widzenia pojawił się most, spostrzegł dziecko. Była to ta sama dziewczynka w kapturze, która wczoraj wieczorem skakała po pokładach zacumowanych łodzi i zniknęła w drzwiach wejściowych jednego z budynków. Tym razem biegła od strony kościoła. Pędziła co tchu w piersi — jak gdyby od tego miało zależeć jej życie. Po chwili John pojął powód jej pośpiechu. Gonił ją mężczyzna, który w chwili gdy się obejrzała, przylgnął do ściany, sądząc, że nie zostanie przez nią zauważony. Rzuciła się w stronę mostu. John nie chcąc jej jeszcze bardziej przestraszyć, schował się w przejściu wiodącym na mały dziedziniec.

Przypomniał sobie pijacki krzyk, jaki go dobiegł poprzedniego wieczoru z miejsca, w którym obecnie się ukrył nieznajomy. Ten facet znowu ją goni, pomyślał John i w przebłysku intuicji powiązał ze sobą fakty — przerażenie dziecka oraz wzmianki w prasie o morderstwach, dokonanych prawdopodobnie przez szaleńca. To mógł być tylko zbieg okoliczności, a dziecko zmykało przed pijanym krewnym, a jednak... Serce zaczęło dudnić Johnowi w piersi. Instykt ostrzegał go, że sam powinien czym prędzej zmykać tą samą drogą, którą przybył, ale co z dzieckiem? Co wtedy stałoby się z dzieckiem?

Usłyszał tupot stóp. Dziewczynka wpadła na dziedziniec, na którym się zatrzymał. Nie zauważyła go, zmierzając w stronę schodów, które prawdopodobnie prowadziły do tylnego wejścia domu znajdującego się na końcu podwórza. Łkała, biegnąc. Nie był to zwykły płacz przestraszonego dziecka, lecz wywołany paniką spazm bezradnej i zrozpaczonej istoty. Czy tutaj mieszkali jej rodzice, na których obronę mogła liczyć i których John powinien ostrzec? Zawahał się przez moment, a potem za nią podążył. Zbiegł po schodach na dół i dopadł do drzwi u ich podnóża, które przed chwilą otworzyła i przez które wtargnęła do środka.

— Nie martw się! Nie pozwolę cię skrzywdzić! — zawołał. Przeklinał w myślach swoją nieznajomość włoskiego. Miał jednak nadzieję, że dziewczynka uspokoi się nieco, gdy usłyszy głos przemawiający do niej po angielsku. Ale nic z tego. Zanosząc się szlochem, pokonywała kolejną kondygnację wijących się spiralnie schodów. Na wycofanie się było już za późno. Z podwórza dobiegły Johna kroki prześladowcy, nawoływania i szczekanie psa. Dzielimy wspólny los, dziecko i ja, pomyślał. Jeśli się nie zabarykadujemy za jakimiś drzwiami na piętrze, dopadnie nas oboje.

Wbiegł na górę za dzieckiem, które wpadło do pokoju na końcu krótkiego korytarza, skoczył za nim do środka, zatrzasnął drzwi i zaryglował skobel, który na szczęście był na swoim miejscu. Dziewczynka przykucnęła pod otwartym oknem. John łudził się, że jeśli zawoła o pomoc, ktoś usłyszy jej krzyk i przyjdzie im z pomocą, nim prześladowca zdoła się wedrzeć do środka i zrobi im obojgu krzywdę. Oprócz nich w pomieszczeniu nikogo nie było. Z wyjątkiem materaca na starym łóżku i kupy szmat w kącie pokój był całkiem pusty.

— Wszystko w porządku, nie bój się — powiedział John uspokajająco i wyciągnął do niej rękę, starając się uśmiechnąć.

Dziewczynka zerwała się na równe nogi i stanęła przed nim. Kaptur zsunął się jej z głowy i spadł na podłogę. John wytrzeszczył oczy, a niedowierzenie

stopniowo przemieniło się w przerażenie i w paniczny strach. Osoba, którą widział, nie była wcale dzieckiem, lecz krępą karlicą, liczącą sobie około dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Miała nieproporcjonalnie dużą, kwadratową głowę dorosłego człowieka i opadające do ramion siwe, poskręcane loki. Nie łkała już, lecz uśmiechała się szeroko i kiwała znacząco głową.

Nagle John usłyszał kroki na korytarzu, grad uderzeń do drzwi, ujadanie psa i kilka głosów, które wołały: „Otwierać, policja”. Kreatura pogrzebała w rękawie i wyciągnęła nóż, którym rzuciła w Johna ze straszliwą siłą, przesywając mu gardło. Potknął się i upadł. Lepka masa zalała mu dłonie, którymi usiłował zakryć szyję.

I zobaczył Laurę z siostrami, jak płyną po Canal Grandę na pokładzie statku parowego, nie dzisiaj i nie jutro, lecz pojutrze. Dobrze wiedział, dlaczego są razem, i znany mu był smutny cel ich przejażdżki. Karlica mamrotała coś w kącie. Dobiegające z korytarza odgłosy uderzeń do drzwi, nawoływań i szczekania stawały się coraz słabsze, a on pomyślał: Och, Boże, jak cholernie głupio umierać w ten sposób...

Nigdy po północy

Wykonuję zawód nauczyciela. A raczej wykonywałem. Jeszcze przed zakończeniem semestru letniego wręczyłem rezygnację dyrektorowi szkoły, żeby uprzedzić nieuchronne zwolnienie. Powód, jaki mu podałem, w gruncie rzeczy odpowiadał prawdzie — zły stan zdrowia spowodowany paskudną infekcją, jakiej nabawiłem się podczas urlopu na Krecie, wymagający kilkutygodniowej hospitalizacji, serii zastrzyków, itd. Nie określiłem bliżej charakteru wirusa. Dyrektor i tak wiedział, podobnie jak i reszta grona pedagogicznego. A także chłopcy. Moja dolegliwość jest dość powszechna i była taka od niepamiętnych czasów — przyczyna drwin i żywiołowej wesołości, dopóki ktoś nie przekroczy granicy i nie stanie się zagrożeniem dla społeczeństwa. Wtedy dostaje kopniaka. Przechodzień odwraca wzrok i nieszczęśnik musi o własnych siłach wydobyć się z rynsztoka albo zostać tam i umrzeć.

Jeśli jestem trochę rozgoryczony, to dlatego, że nie nabawiłem się infekcji z własnej winy. Inni w mojej sytuacji powoływaliby się na psychiczne predyspozycje, obciążenia dziedziczne, kłopoty rodzinne albo nadmierny dobrobyt. Rzucaliby się na kanapie u psychoanalityka i wyjawiali, w czym tkwi zło, dzięki czemu ich leczenie stałoby się skuteczne. Ja nie umiałem tak postąpić. Lekarz, któremu próbowałem wyjaśnić, co się stało, wysłuchał mnie, uśmiechnął się z wyższością, wymamrotał coś na temat autodestruktywnych zaburzeń tożsamości połączonych z tłumionym poczuciem winy i przepisał tabletki.

Może pomogłyby mi, gdybym je zażył. Ja jednak wyrzuciłem je do klozetu i coraz bardziej nasiąkałem trucizną, która zżerała mnie od wewnątrz. Sytuację pogarszał fakt, że mój stan został oczywiście rozpoznany przez młodych ludzi, których dotychczas uważałem za swoich przyjaciół. Poszturchiwali się nawza-

jem, gdy wchodziłem do klasy, i tłumiąc śmiech, pochylali swoje wredne głowy nad ławkami. Wreszcie nadszedł moment, kiedy zrozumiałem, że nie zniosę tego ani chwili dłużej, i posta — ' nowiłem zapukać do drzwi dyrektora.

Teraz mam to już za sobą. Ale zanim udam się do szpitala albo wybiorę drugą ewentualność i wymażę wszystko z pamięci, chcę najpierw ustalić, co się naprawdę stało, bez względu na to, jak się potoczą moje dalsze losy. Gdy te zapiski zostaną znalezione, czytelnik będzie mógł sam ocenić, czy pragnienie wewnętrznej równowagi uczyniło ze mnie ofiarę podatną na zabobonne lęki, tak jak sugerował lekarz, czy też, w co osobiście jestem bardziej skłonny wierzyć, moja klęska spowodowana była zdradziecką i niebezpieczną magią, której początki sięgają zamierzchłych czasów. Wystarczy powiedzieć, że ten, kto po raz pierwszy odprawiał czary, uważał siebie za istotę nieśmiertelną i z diabelską radością zatruwał innych, siejąc przez wszystkie wieki wśród swoich potomków na całym świecie ziarno samozagłady.

Wracając do rzeczywistości — historia, którą pragnę opowiedzieć, wydarzyła się w kwietniu, w czasie ferii wielkanocnych. Przedtem dwukrotnie spędzałem urlop w Grecji, ale nigdy na Krecie. Uczyłem historii starożytnej w prywatnej szkole dla chłopców. Jednak celem mojej wizyty na wyspie nie było odkrywanie wykopalisk w Knossos czy Fajstos, lecz oddawanie się hobby. Mam podobno niewielki talent malarski i rozwijaniu go poświęcałem wszystkie wolne dni w szkole i każde wakacje. A od czasu, kiedy moje prace spotkały się z przychylną oceną przyjaciół ze świata sztuki, moją ambicją stało się nagromadzenie takiej ilości obrazów, która pozwoliłaby na zorganizowanie małej wystawy. Prezentacja dzieł artysty jest dla niego

zawsze radosnym osiągnięciem, nawet jeśli żaden z eksponatów nie zostanie sprzedany.

A teraz kilka słów o moim życiu osobistym. Jestem kawalerem. Mam czterdzieści dziewięć lat. Oboje rodzice nie żyją. Studiowałem w Sherborne i w

Oksfordzie. Zawód, jak już państwo wiecie — nauczyciel. Grywam w krykieta, w golfa, w badmintona i, raczej słabo, w brydża. Do moich zainteresowań, oprócz nauczania i uprawiania sztuki, należą również podróże — wtedy, kiedy mogę sobie na nie pozwolić. Nałogi, do chwili obecnej, żadne. Nie znaczy to, że pławię się w samozadowoleniu, ale prawda jest taka, że dotychczas wiodłem spokojne i niczym nie zakłócone życie. I wcale mnie to nie martwiło. Prawdopodobnie jestem typem nudziarza. Nigdy nie miałem skomplikowanego życia uczuciowego. W wieku dwudziestu pięciu lat zaręczyłem się z ładną dziewczyną z sąsiedztwa, która jednak potem poślubiła kogo innego. Trochę pocierpiałem, ale w niespełna rok rana się zagoiła. Moja jedyna wada, jeśli jest nią w istocie, prawdopodobnie wyjaśnia monotonię mojego dotychczasowego życia. Polega na tym, że zawsze unikałem wplątywania się w związki międzyludzkie. Od przyjaciół stroniłem, gdyż byłem zdania, że wszelkie zażyłości kończą się kłopotami, a nierzadko stają się również przyczyną nieszczęścia.

Wyruszyłem na ferie wielkanocne na Kretę sam, tylko z walizą okazałych rozmiarów i z malarskimi przyborami. Gdy powiedziałem pracownikowi agencji turystycznej, że nie interesuję się archeologicznymi wykopaliskami, ale że chcę malować, polecił mi miejsce z widokiem na Zatokę Mirabello na wschodnim wybrzeżu. Według folderu hotel odpowiadał moim potrzebom. Znajdował się tuż nad morzem, a goście domków letniskowych, które do niego należały, mieli zapewniony nocleg ze śniadaniem. Było to miejsce odpoczynku zamożnej klienteli. Nie uważam siebie za snoba, ale nie znoszę porzucanych na plaży papierowych toreb ani skórek pomarańczy. Pieniądze na pokrycie kosztów podróży zdobyłem, sprzedając mojej kuzynce dwa obrazy, które namalowałem ubiegłej zimy — „Katedra Świętego Pawła w śniegu”, oraz „Wrzosowisko w Hampstead”. Po wylądowaniu w Iraklionie pozwoliłem sobie na dodatkową rozrzutność i wynająłem małego volkswagena. Prawdę mówiąc, nie miałem innego wyjścia i musiałem to zrobić.

Lot, z nocnym postojem w Atenach, minął przyjemnie i bez zakłóceń. Z lotniska do miejsca przeznaczenia było sześćdziesiąt pięć kilometrów. Podróż samochodem wydała mi się nieco nużąca. Jestem ostrożnym kierowcą i jechałem powoli, tym bardziej że kręta droga w górzystym terenie była wyjątkowo niebezpieczna. Wyprzedzały mnie inne pojazdy, a te, które zbliżały się z naprzeciwka, trąbiły głośno i zjeżdżały na pobocze. Panował upał i byłem głodny. Dopiero widok błękitnej Zatoki Mirabello i wspaniałych gór na wschodzie podniósł mnie nieco na duchu. Gdy tylko przybyłem do hotelu, który był położony wśród zachwycającego krajobrazu, podano mi na tarasie lunch, mimo że dochodziła już druga po południu (nie do pomyślenia w Anglii!). Wkrótce potem byłem gotów oddać się lenistwu i chciałem czym prędzej obejrzeć moje miejsce zakwaterowania. Spotkało mnie jednak rozczarowanie. Boy hotelowy zaprowadził mnie ogrodową alejką, którą wytyczały zachwycające pelargonie, do wciśniętego pomiędzy inne małego domku. Jego okna nie wychodziły na morze, lecz na trawnik do gry w mini — golfa, a moimi najbliższymi sąsiadami była angielska rodzina z liczną dziatwą. Matka uśmiechnęła się do mnie na powitanie z balkonu zawieszzonego suszącymi się kostiumami kąpielowymi, a dwaj mężczyźni w średnim wieku rozpoczęli rozgrywkę. Powinienem był się wybrać do dziewiczych lasów Amazonii.

— Nie odpowiada mi to lokum — oznajmiłem towarzyszącemu mi chłopakowi. — Przyjechałem tu po to, żeby malować. Muszę mieć widok na morze.

Wzruszył ramionami i mruknął, że wszystkie domki nad brzegiem są zarezerwowane. I oczywiście, że to nie jego wina. Powlókł się razem ze mną z powrotem do hotelu, gdzie zwróciłem się do urzędnika w recepcji:

— Zaszła pomyłka — oświadczyłem. — Prosiłem o domek z widokiem na morze. I bardzo zależało mi na tym, żeby mieć spokój.

Recepcjonista uśmiechnął się, wyraził swoje ubolewanie, pogrzebał w papierach i zgodnie z oczekiwaniami zaczął się usprawiedliwiać. Agent w Anglii nie sprecyzował moich żądań. Domki z widokiem na morze cieszą się wyjątkowym powodzeniem i wszystkie są już zajęte. Być może za kilka dni, jeśli się któryś zwolni, ale to trudno przewidzieć... A do tego czasu, jest pewien, że będę się czuł wygodnie w przydzielonym mi miejscu zakwaterowania. Umebrowanie jest wszędzie identyczne, kelner codziennie rano przyniesie mi śniadanie, itd., itd.

Byłem nieugięty. Nie zamierzałem dać się nabić w butelkę i skazać na towarzystwo angielskiej rodziny oraz na minigolfa. Nie po to leciałem tu tyle kilometrów i poniosłem tak olbrzymie koszty. Zaczynało mnie to już nużyć. Byłem zmęczony i zirytowany nie na żarty.

— Jestem profesorem sztuki — wyjaśniłem. — Zamówiono u mnie kilka obrazów, które muszę tutaj namalować. Dlatego widok na morze oraz odosobnione miejsce, w którym nikt nie będzie mi przeszkadzał, ma dla mnie tak istotne znaczenie.

(Mój paszport potwierdzał, że jestem profesorem. To brzmiało lepiej niż nauczyciel i zwykle wzbudzało szacunek u pracowników recepcji.)

Urzędnik sprawiał wrażenie szczerze przejętego. Po raz kolejny wyraził ubolewanie z powodu zaistniałej sytuacji i ponownie zaczął wertować piętrzące się przed nim kartki. Rozdrażniony, przemierzyłem duży hall i wyjrzałem z tarasu na morze.

— Trudno uwierzyć w to, że wszystkie miejsca są zajęte — rzekłem. — Przecież to dopiero początek sezonu. Latem być może tak, ale nie teraz. — Zrobiłem zamaszty gest dłonią, wskazując na zachodnią część zatoki.

— A ta grupa domków tuż nad samym brzegiem? — spytałem. — Chyba nie powie pan, że każdy z nich jest już zarezerwowany?

Recepcjonista zaprzeczył z uśmiechem.

— Zwykle otwieramy je dopiero w pełni sezonu. A poza tym cena ich wynajmu jest wyższa. Oprócz łazienki są wyposażone w osobny prysznic.

— O ile wyższa? — spytałem z rezerwą.

Zaspokoił moją ciekawość. Dokonałem w myślach szybkiej kalkulacji. Było mnie stać na ten luksus pod warunkiem, że zredukuję wszystkie inne wydatki, że będę jadał kolacje w hotelu i zrezygnuję z lunchu. I nie pozwolę sobie na wypadki do baru, nawet na wodę mineralną.

— Nie ma problemu — oświadczyłem wyniosłym tonem. — Chętnie więcej zapłacę za lokum, w którym będę miał spokój. Jeśli pan pozwoli, osobiście wybiorę sobie domek, który wyda mi się najbardziej odpowiedni. Zejdę teraz na brzeg, a gdy wrócę po klucz, chłopak hotelowy będzie mógł odnieść na miejsce moje rzeczy.

Nie czekałem na jego odpowiedź. Obróciłem się na pięcie i wyszedłem na taras. Stanowczość popłaca. Jeden moment wahania, a zostałbym oszukany i umieszczony w dusznym pokoju z widokiem na trawnik do gry w minigolfa. Mogłem bez trudu wyobrazić sobie dalsze przykre tego następstwa: szczebioczące dzieci na sąsiednim balkonie, ich wylewną matkę oraz podstarzałych graczy, którzy usilnie nakłanialiby mnie, żebym się do nich przyłączył. Nie zniósłbym tego.

Gdy minąłem ogród i zszedłem nad brzeg morza, humor znacznie mi się poprawił. Znalazłem się w miejscu, które widziałem na barwnych ilustracjach w folderze agenta — krajobraz, dla którego przyleciałem tu z tak daleka. Nic nadzwyczajnego — małe pobielone domki położone w dyskretnej odległości od siebie, a poniżej morze i fale obmywające skały. Plaża, z której niewątpliwie korzystali amatorzy kąpieli w pełni sezonu, była teraz wyludniona. Ale nawet gdyby wtargnęli na nią jacyś intruzi, to chatki stały na uboczu, w całkowitym odosobnieniu. Zajrzałem po kolei do każdej z nich. Wszystko wskazywało na to, że recepcjonista powiedział prawdę i rzeczywiście nie korzystano z nich o tej

porze roku. Okiennice były wszędzie szczelnie pozamykane — z jednym wyjątkiem. Gdy tylko wszedłem po schodach na balkon tego domku, wiedziałem, że w nim zamieszkać. Rozciągał się stąd widok, jaki sobie wyobrażałem: fale chlupoczące na skałach w dole, zatoka rozszerzająca się i wpadająca do morza, a w oddali — góry. Piękno niemal doskonałe. Domki na wschód od hotelu znajdowały się poza zasięgiem mojego wzroku i nie musiałem ich brać pod uwagę. Tylko jeden z nich był widoczny. Stał w pobliżu cypla z pływającą w dole przystanią, przywodził na myśl samotny bastion i podnosił jedynie walory krajobrazu, który zamierzałem namalować. Reszta była schowana za wzniesieniem. Odwróciłem się i przez otwarte okno sypialni zajrzałem do środka. Obrzuciłem wzrokiem pobielone ściany, kamienną posadzkę, wygodną otomanę przykrytą pledem oraz szafkę nocną z lampką i z telefonem. Surowość wnętrza przywodziła na myśl mnisią celę. Ale ja nie pragnąłem niczego więcej.

Byłem ciekaw, dlaczego tylko w tym domku są otwarte okiennice. Gdy wszedłem do pokoju, dobiegł mnie szum lejącej się wody. Czyżby to miejsce zostało już komuś wynajęte, a mnie czekało kolejne rozczarowanie? Wsadziłem głowę do łazienki i stwierdziłem, że to pokojówka szoruje podłogę. Wyraźnie przestraszyła się na mój widok.

— Czy ten domek jest zajęty? — spytałem, wykonując zamaszysty gest. Nie zrozumiała, powiedziała coś po grecku, a potem chwyciła ścierkę i wiadro i rzuciła się do drzwi. Przerazona, otarła się o mnie w przejściu i uciekła, nie kończąc roboty.

Wróciłem do sypialni i podniosłem słuchawkę. Po chwili usłyszałem cichy głos recepcjonisty.

— Mówi Grey — przedstawiłem się. — Timothy Grey. Rozmawiałem przed chwilą z panem o zamianie miejsca zakwaterowania.

— Słucham, panie Grey — powiedział. Wydawał się zaintrygowany. — Skąd pan telefonuje?

— Chwileczkę — rzekłem. Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem na balkon. Numer znajdował się nad otwartymi drzwiami: 62. Wróciłem do aparatu.

— Telefonuję z domku, który sobie wybrałem. Przypadkowo był otwarty. Pokojówka właśnie sprzątała łazienkę. Obawiam się, że kobieta przestraszyła się na mój widok. To miejsce idealnie odpowiada moim celom. Jestem pod numerem 62.

Nie odpowiedział od razu, a kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała rozterka.

— Pod numerem 62? — powtórzył. I po chwili wahania dodał: — Nie jestem pewien, czy ta kwatery jest dostępna.

— Och, na miłość boską... — rzuciłem, rozdrażniony. Usłyszałem, że rozmawia z kimś po grecku. Wymiana zdań przeciągała się. Najwyraźniej istniała jakaś trudność, która mnie tylko umacniała w postanowieniu.

— Jest pan tam? — spytałem. — W czym tkwi problem?

Zanim recepcjonista się odezwał, dobiegły mnie kolejne pospieszne szepty.

— Nie ma żadnego problemu, panie Grey. Uważamy tylko, że czułby się pan wygodniej w domku pod numerem 57, który jest usytuowany bliżej hotelu.

— Nonsens — odparłem. — Wolę widok stąd. O co chodzi? Czy pod numerem 62 nie działa kanalizacja?

— Ależ działa — zapewnił. Ponownie dobiegły mnie szepty. — Nie ma żadnego problemu. Skoro pan już się zdecydował, przyślę boya hotelowego z pańskim bagażem i z kluczem.

Rozłączył się, prawdopodobnie po to, żeby dokończyć rozmowę z przebywającą w recepcji osobą. Niewykluczone, że chcieli podnieść cenę. Jeśli faktycznie mieli taki zamiar, to byłem gotów się targować. Domek nie różnił się niczym od innych w sąsiedztwie, nie zamieszkanych. Ale z miejsca, gdzie stał, rozciągała się panorama na całą zatokę i na góry, miałem widok, o jakim nawet nie

marzyłem. Stałem na balkonie, spojrzałem przed siebie i uśmiechnąłem się. Co za perspektywa! Rozpakuję się tylko, wykąpię, a potem ustawię sztalugi i przygotuję wstępny szkic. Zamierzałem nazajutrz od rana na serio zabrać się do roboty.

Nagle dobiegły mnie głosy. Zobaczyłem pokojówkę, nadal ze ścierką i z wiadrem w garści, która gapiała się na mnie z ogrodowej ścieżki. Widząc chłopca hotelowego, który schodził w dół zbocza z moją walizką i z malarskimi przyborami, zorientowała się pewnie, że jestem nowym lokatorem domku pod numerem 62. Zatrzymała chłopaka, a ja miałem okazję być świadkiem kolejnej prowadzonej szeptem rozmowy. Najwyraźniej swoim przybyciem zakłóciłem ustalony porządek hotelowych zajęć. Po upływie kilku minut oboje pojawili się na stopniach balkonu. Chłopak postawił na podłodze moje bagaże, a pokojówka nie mogła się zdecydować, czy powinna dokończyć mycia podłogi. Nie zamierzałem zrażać ich do siebie. Uśmiechając się radośnie, wcisnąłem każdemu do ręki po monecie.

— Uroczy widok — powiedziałem głośno, wskazując na morze. — Muszę pójść popływać — i zacząłem zataczać rękami koła na wysokości piersi, żeby zademonstrować im swój zamiar. Miałem nadzieję, że zobaczę ich uśmiechy, które rodowici Grecy, zwykle żywo reagujący na życzliwość, tak chętnie rozdawali.

Jednak boy hotelowy tylko ponuro skinął głową, unikając mojego wzroku, ale przyjął napiwek. A pokojówka, na której twarzy wyraźnie malowało się zdenerwowanie, pospiesznie oddaliła się w ślad za chłopakiem, zapominając o łazienkowej posadzce. Słyszałem, jak rozmawiają ze sobą, podążając ogrodową ścieżką w stronę hotelu.

No cóż, to nie moja sprawa. Kierownictwo i pracownicy sami powinni rozwiązywać swoje problemy. Ja już zdobyłem to, co chciałem, i nie obchodziło mnie nic więcej. Rozpakowałem i rozlokowałem moje rzeczy. A potem włożyłem

spodenki kąpielowe, zszedłem na występ skalny pod balkonem i zaryzykowałem umoczenie dużego palca w morzu. Pomimo słońca, które przez cały dzień niemiłosiernie prażyło, woda była zadziwiająco rześka. Nie zraziło mnie to. Postanowiłem udowodnić, choćby tylko sobie samemu, że mam charakter. Gdy zanurzyłem się, nagły ziąb pozbawił mnie oddechu. Byłem ostrożnym pływakiem, nawet w najlepszych czasach, a już tym bardziej w nie znanych wodach. Pływałem, krążąc w kółko, niczym lew morski w zoologicznym basenie.

Kąpiel była bez wątpienia odświeżająca, ale po kilku minutach miałem jej dosyć. Gdy z powrotem wspinałem się po skałach w górę, spostrzegłem, że boy hotelowy i pokojówka nadal obserwują mnie zza kwitnącego krzewu przy końcu ścieżki. Miałem nadzieję, że nie dałem po sobie poznać, że ich zauważyłem. Ciekawe, dlaczego moja osoba wzbudzała tak duże zainteresowanie? Przecież wczasowicze z innych domków też się na pewno codziennie kąpali. Porozwieszane na balkonach kostiumy plażowe były tego dowodem. Wytarłem się do sucha i utkwilem wzrok w cętkowanych wzorach na wodzie, utworzonych przez promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Do małego, odległego o kilka kilometrów portu wracały łodzie rybackie. Pracujące silniki przyjemnie szumiały w ciszy.

Zanim się ubrałem, przezornie wziąłem gorący prysznic — po pierwszej w roku kąpeli morskiej zawsze byłem skostniały z zimna. Potem ustawiłem sztalugi i natychmiast zapomniałem o bożym świecie. Po to tu przyjechałem. Wszystko inne było bez znaczenia. Szkicowałem dwie godziny, dopóki nie zaczęło się ściemniać, nim kolor morza nie przybrał głębszego odcienia, a gór nie spowiała delikatna purpurowo — błękitna mgiełka. Cieszyłem się na myśl o tym, że jutro, malując farbami, będę mógł uchwycić na płótnie tę poświatę i że obraz powoli zacznie nabierać życia.

Odstawiłem sztalugi. Zamierzałem się przebrać do kolacji. Gdy podszedłem do okna, żeby zamknąć okiennice — z pewnością były tu komary i nie chciałem

zostać pocięty — zobaczyłem motorówkę. Silnik mruczał cicho, gdy spokojnie zmierzała w stronę pływającej przystani we wschodniej części zatoki. Na pokładzie znajdowało się troje ludzi, w tym jedna kobieta — z pewnością sami miłośnicy połowów. Jeden z mężczyzn, prawdopodobnie tubylec, przycumował łódkę, zeskoczył na przystań i pomógł kobiecie zejść na brzeg. Nagle cała trójka spojrzała w moją stronę. Drugi z mężczyzn, który stał przy sterze, wyjął lornetkę i skierował ją na mnie. Nie wypuszczał jej z dłoni przez kilka minut, wnikliwie przyglądając się każdemu szczegółowi mojej powierzchowności, która — Bóg mi świadkiem — nie wyróżnia się niczym nadzwyczajnym. Pewnie trwałoby to jeszcze dłużej, gdybym nie wpadł w złość. Cofnąłem się w głąb pokoju i z trzaskiem zamknąłem okiennice. Jak daleko jesteś zdolny posunąć się w swoim grubiaństwie? — spytałem w myślach. Przypomniałem sobie, że domki w zachodniej części zatoki były nie zamieszkałe i mój prawdopodobnie został otwarty w tym sezonie jako pierwszy. Być może właśnie to wyjaśniało przyczynę żywego zainteresowania, jakie najwyraźniej wzbudzałem zarówno wśród personelu hotelowego, jak i u gości. Miałem nadzieję, że zaciekawienie moją osobą wkrótce zniknie. Nie jestem gwiazdorem filmowym ani milionerem. A prawdopodobieństwo, że moje wysiłki malarskie przyciągną zafascynowane tłumy, było znikome.

Punktualnie o ósmej wieczorem stawiłem się na kolację w sali restauracyjnej. Nie wszystkie miejsca były zajęte. Przydzielono mi stolik w sam raz dla kawalera — w samym kącie, tuż obok oszklonej ściany, która oddzielała służbowe wejście od kuchni. Nie przejąłem się tym zbyt. Wolałbym, co prawda, siedzieć na środku sali, gdzie mógłbym natychmiast stwierdzić, w jak zażyłych ze sobą stosunkach jest reszta hotelowej klienteli.

Jadłem z apetytem kolację, racząc się, pomimo luksusowego domku, jaki zajmowałem, połową butelki krajowego wina. W chwili gdy obierałem pomarańczę, z drugiego końca sali dobiegł rumor i zakłócił wszystkim spokój.

Kelnerzy pospieszyli na pomoc. Wszystkie głowy, nie wyłączając mojej, odwróciły się w tamtą stronę, skąd rozległ się chrapliwy głos z silnym amerykańskim akcentem z Południa: „Na miłość boską, uprzątnijcie ten bałagan!” Należał do barczystego mężczyzny w średnim wieku, którego twarz była tak spuchnięta i błyszcząca od nadmiernego wystawiania na słońce, jak gdyby pocięły ją miliony pszczoł. Miał głęboko osadzone oczy, był łysy na czubku głowy, a po obu stronach czaszki sterczała mu strzecha siwych włosów. Różowa wypukłość nad czołem sprawiała wrażenie, że jest mocno naciągnięta i przywodziła na myśl skórę parówki tuż przed pęknięciem. Para ołbrzymich uszu, o rozmiarach dużych skorupiaków, dodatkowo zniekształcała jego wygląd. Zwisające w dół wąsy nie zakrywały wydatnej dolnej wargi — grubej jak skóra wieloryba i lepkiej jak tran. Nieczęsto miałem okazję spotkać osobnika o równie nieatrakcyjnym wyglądzie. Kobieta, zapewne jego żona, siedziała nienaturalnie wyprostowana i najwyraźniej nie obchodziło ją rumowisko na podłodze, które składało się głównie z rozbitych butelek. Była tak jak i jej mąż w średnim wieku, na głowie miała wiechę ufarbowanych na blond, niemal już całkiem spłowiałych włosów, a jej twarz była również mocno opalona, tyle tylko że na mahoniowy brąz, a nie na czerwono.

— Wynośmy się już stąd, do diabła, i chodźmy do baru! — odbiły się echem rzucone chrapliwym głosem słowa. Goście przy innych stolikach dyskretnie powrócili do swoich dań. Pewnie byłem jedyną osobą obserwującą chwiejne wyjście mężczyzny o twarzy pociętej przez pszczoły oraz jego małżonki. Dostrzegłem aparat słuchowy w jej uchu, co pewnie tłumaczyło podniesiony głos męża, który, zmierzając w stronę baru, dosłownie przetoczył się obok mnie — przechylony okręt, który sunął w ślad za swoim trzymającym się kursu pilotem. W milczeniu podziwiałem sprawność, z jaką personel hotelowy uprzątnął potłuczone szkło.

Restauracja opustoszała.

— Kawa przy barze — mruknął do mnie kelner. Nim tam wszedłem, zawahałem się w obawie przed zgłębieniem głośno prowadzonych rozmów. Zawsze nudziło mnie towarzystwo w hotelowych barach, ale nie potrafiłem odmówić sobie wieczornej kawy. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiłem. W środku było pusto, z wyjątkiem barmana w białej marynarce oraz siedzącej przy stoliku pary Amerykanów. Nie odzywali się do siebie. Przed mężczyzną stały już trzy butelki po piwie. Z zaplecza dobiegały ciche dźwięki greckiej muzyki. Zająłem miejsce przy barze i zamówiłem kawę.

Barman doskonale władał angielskim. Spytał, czy przyjemnie spędziłem dzień. Odparłem, że tak. Lot był spokojny, droga z Iraklionu niebezpieczna, a pierwsza kąpiel raczej zimna. Zauważyłem, że pora roku jest jeszcze dość wczesna.

— Przyjechałem tutaj po to, żeby malować — oświadczyłem. — Pływanie jest dla mnie sprawą drugorzędną. Wynająłem domek nad samym brzegiem morza, pod numerem 62. Z mojego balkonu roztacza się boski widok.

Zachowanie barmana wydało mi się dziwne. Przerwał wycieranie szkła, a wyraz jego twarzy uległ wyraźnej zmianie. Odniosłem wrażenie, że zamierza coś powiedzieć. Po chwili rozmyślił się jednak i powrócił do swojego zajęcia.

— Wyłączcie tę cholerną płytę! — Pustą salę wypełnił chrapliwy, nie znoszący sprzeciwu głos.

Barman natychmiast podszedł do stojącego w kącie gramofonu i spełnił polecenie klienta. Chwilę później zadźwięczał w ciszy następny rozkaz:

— Przynieście mi jeszcze jedną butelkę piwa!

Na miejscu barmana miałbym ochotę przypomnieć mężczyźnie, jak dziecku, że powinien powiedzieć: „proszę”.

Grubianin został jednak bez słowa pospiesznie obsłużony. Dopijałem kawę, gdy ponownie od stolika zadudnił echem jego głos:

— Hej, ty, z domku pod numerem 62! Nie jesteś przesądny?

Okręciłem się na stołku. Mężczyzna trzymał szklankę w garści i mierzył mnie beczelnym wzrokiem. Jego żona patrzyła prosto przed siebie. Być może wyjęła aparat słuchowy. Przestrzegając zasady, że nie należy drażnić pijaków i szaleńców, odpowiedziałem uprzejmie:

— Nie, nie jestem. A powinienem być?

Zaczął się śmiać, a jego purpurową twarz pocięły setki zmarszczek.

— Do diabła! Ja byłbym — oświadczył. — Gość, który mieszkał w tym domu, utonął zaledwie dwa tygodnie temu. Szukali go przez dwa dni. W końcu jeden z tutejszych rybaków znalazł w sieci jego ciało na wpół zjedzone przez ośmiornice.

I zaczął się trząść ze śmiechu, klepiąc się dłońmi po kolanach. Z niesmakiem odwróciłem się do niego tyłem i patrząc na barmana, uniosłem pytająco w górę brwi.

— Nieszczęśliwy wypadek — mruknął. — Pan Gordon był takim miłym człowiekiem. Interesował się archeologią. W dniu jego zniknięcia wieczór był wyjątkowo ciepły i pewnie postanowił po kolacji trochę popływać. Oczywiście zavezowano policję. Wszyscy w hotelu byliśmy okropnie przygnębieni. Chyba sam pan rozumie, że niechętnie o tym rozmawiamy. Rozpowszechnianie wiadomości o tej tragedii mogłoby mieć dla naszych interesów fatalne skutki. Zapewniam pana jednak, że kąpiel w morzu jest całkowicie bezpieczna. To pierwszy wypadek utonięcia, jaki kiedykolwiek tu się zdarzył.

— Wierzę panu — powiedziałem.

Niemniej jednak... fakt, że biedne chłopisko było ostatnim lokatorem mojego domku, trochę mnie speszył. Ale mogło być jeszcze gorzej. Nie umarł przecież w moim łóżku. Nigdy nie należałem do ludzi zabobonnych. Nareszcie zrozumiałem, dlaczego personel hotelowy nie spieszył się z ponownym wynajęciem mojej kwatery i umiałem sobie wyjaśnić zdenerwowanie pokojówki.

— Dam panu jedną radę — zagrzmiął wzbudzający odrazę głos. — Niech pan nigdy nie pływa w morzu po północy, bo ośmiornice mogą pana również dopaść. — Stwierdzeniu towarzyszył kolejny wybuch śmiechu.

— Idziemy, Maud. Pora położyć się do łóżka — powiedział Amerykanin, głośno odsuwając na bok stolik.

Poczułem się o wiele lepiej, gdy zostaliśmy tylko we dwóch z barmanem.

— Co za nieznośny człowiek — zauważyłem. — Czy kierownictwo nie może się go pozbyć?

Greki wzruszył ramionami.

— Biznes to biznes. Cóż możemy zrobić? Stollowie mają mnóstwo pieniędzy. Spędzają u nas już drugi sezon, a przyjeżdżają w marcu, natychmiast po otwarciu hotelu. Wygląda na to, że zupełnie zwariowali na punkcie tego miejsca. Pan Stoli dopiero w tym roku zaczął nadużywać alkoholu. Jeśli tak dalej pójdzie, to się zapije na śmierć. Co wieczór jest tak samo. Dobrze, że chociaż dni spędzają w zdrowy sposób. Codziennie wczesnym rankiem wypływają na ryby, a wracają dopiero o zachodzie słońca.

— Przypuszczam, że ilość piwa, jakie w siebie wlewa w ciągu dnia, przekracza wielkość jego połowu — rzekłem.

— Niewykluczone — zgodził się ze mną barman. — Nigdy nie przynosi ryb do hotelu. Sądzę, że oddaje je przewoźnikowi.

— Współczuję jego żonie.

Barman wzruszył ramionami.

— To ona ma pieniądze — rzekł półgłosem, ponieważ do baru weszła para gości. — Nie sądzę, żeby pan Stoli mógł nimi swobodnie dysponować. Głuchota czasami jest jej na rękę. Ale muszę przyznać, że zawsze mu towarzyszy i codziennie razem z nim wypływa na połów. Czym mogę państwu służyć?

Greki zajął się nowymi klientami, a ja, korzystając ze sposobności, czmychnąłem z baru. Na całe szczęście nic mnie nie obchodził świat pana Stolla i

jego głuchej żony. Mogli sobie wypływać w morze, kiedy chcieli, całymi dniami smażyć się na słońcu, a wieczorami tłuc butelki po piwie. Ich dom nie sąsiadował z moim. Chociaż ostatni lokator domku pod numerem 62 był tragiczną ofiarą morza, miejsce to w każdym razie zapewniało spokój jego obecnemu użytkownikowi.

Wracałem ścieżką biegnącą przez ogród. Była jasna, rozgwieżdżona noc, a w balsamicznym powietrzu unosiła się słodka woń kwitnących krzewów, gęsto zasadzonych w czerwonej ziemi. Stanąłem na balkonie i spojrzałem na morze w kierunku odległych, zasnutych mgiełką gór oraz latarni małego, rybackiego portu. Po prawej stronie mrugały światła domków, a ich wesołe odbicia na wodzie tworzyły niemal bajeczną scenerię. Naprawdę cudowne miejsce, pomyślałem, błogosławiąc agenta turystycznego, który mi je polecił.

Wszedłem do sypialni i zapaliłem lampkę nocną. Pokój wydał mi się gościnny i przytulny. Nie mogłem otrzymać lepszego zakwaterowania. Rozebrałem się, ale przed położeniem się do łóżka przypomniałem sobie, że na balkonie zostawiłem książkę, którą chciałem przeczytać. Otworzyłem drzwi, podniosłem ją z wiklinowego fotela i jeszcze raz spojrzałem na otwarte morze. Wiele światel już zgasło, ale na balkonie samotnie stojącego domku na końcu cypla wciąż jeszcze paliła się lampa. Przycumowana do brzegu łódź również była oświetlona. Kilka sekund później zauważyłem, że przy skałach w dole coś się porusza. Była to wąska rurka, która niczym mały peryskop sunęła z jednostajną prędkością, tnąc nieruchomą, ciemną taflę morza. Potem zniknęła mi z oczu, gdzieś w dole po lewej stronie. Zamknąłem drzwi i wszedłem do środka.

Nie wiem dlaczego, ale widok poruszającego się przedmiotu obudził we mnie niepokój. Pomyślałem o nieszczęsnym wczasowiczu, który utonął podczas nocnej kąpieli. O moim poprzedniku. Może on też wyruszył na podwodną wyprawę, którą przypłacił życiem, i może wieczór był wtedy równie łagodny jak dziś.

Nietrudno było przewidzieć, że ten tragiczny wypadek powstrzyma innych gości hotelu przed samotnymi, nocnymi, morskimi kąpielami. Podjąłem stanowcze i tchórzliwe postanowienie, że będę pływał tylko w pełnym świetle dnia i na bezpiecznej głębokości.

Przeczytałem kilka stron, poczułem się senny i zgasilem światło. Zrobiłem to tak niezdarnie, że potraściłem telefon, który spadł na podłogę. Na szczęście nie został uszkodzony. Gdy schyliłem się, żeby go podnieść, dostrzegłem małą szufladkę, która wysunęła się z aparatu. Leżała w niej kartka, a raczej kartonik z nazwiskiem Charlesa Gordona i jego adresem w Bloomsbury. Czy mój poprzednik nie nosił właśnie takiego nazwiska? Najwidoczniej pokojówka, sprzątając pokój, nie zaglądała tutaj. Obróciłem kartkę. Z boku dostrzegłem pospiesznie nabazgrane wyrazy: „Nigdy po północy”, oraz, jakby dopisaną po namyśle, cyfrę 38. Schowałem kartkę na miejsce i zgasilem światło. Nie mogłem zasnąć. Niewykluczone, że przyczyną było przemęczenie po podróży. Leżałem rozbudzony do drugiej w nocy i wsłuchiwałem się w chłopot wody na skałach pod balkonem.

Pracowałem solidnie przez trzy dni i z wyjątkiem porannej kąpieli w morzu oraz wieczornego posiłku w hotelu nie wychodziłem z domu. Nikt mi nie przeszkadzał. Usłużny kelner co rano przynosił śniadanie, z którego zaoszczędzone bułki stanowiły potem mój południowy posiłek, a pokojówka pracowała bezszelestnie, ścieląc łóżko i wykonując swoje inne obowiązki. Gdy po południu trzeciego dnia skończyłem impresjonistyczny pejzaż, byłem przekonany, że to jedna z najlepszych rzeczy, jakie kiedykolwiek namalowałem, i że stanie się ozdobą mojej zaplanowanej wystawy. Byłem usatysfakcjonowany i czułem, że teraz mogę pozwolić sobie na krótki odpoczynek. Postanowiłem nazajutrz wyruszyć wzdłuż wybrzeża na poszukiwania innego widoku, który zainspirowałby moją malarską wyobraźnię. Panowała wspaniała pogoda i było tak

ciepło, jak w czerwcu w Anglii. Ale za największą zaletę tego miejsca uznałem brak sąsiadów. Inni goście nie wypuszczali się daleko poza obręb swoich kwater. Odwzajemniali mój ukłon, gdy wchodziłem do restauracji, ale nikt nie podejmował próby zawarcia ze mną znajomości. Zawsze starałem się wypić kawę w barze, zanim wstrętny pan Stoli wstanie od stolika.

Wiedziałem już, że to jego łódź stoi zakotwiczona w pływającej przystani. Zwykle spałem, gdy Stollowie wyruszali w morze, ale codziennie późnym popołudniem obserwowałem ich powrót. Kwadratowa i zgarbiona sylwetka była łatwa do rozpoznania, a także ochryple nawoływania Greka opiekującego się łodzią, w chwili gdy przybijali do przystani. Do nich należał również domek na cyplu. Zastanawiałem się, czy Stoli wybrał go celowo, by móc szukać zapomnienia w alkoholu z dala od wzroku i zasięgu słuchu najbliższych sąsiadów. Do diabła z nim! Niech sobie robi, co chce, byleby tylko mnie się nie narzucał ze swoją agresywną obecnością.

Odczuwałem brak ruchu. Wybrałem się po południu na spacer po hotelowym terenie i raz jeszcze pogratulowałem sobie ucieczki z zaludnionego skupiska domków. Płac do gry w mini — golfa oraz korty tenisowe cieszyły się wielkim powodzeniem, a na małej plaży był wykorzystany każdy skrawek piasku i ciało leżało obok ciała. Gwar świata wkrótce został za moimi plecami, a ja znalazłem się w pobliżu pływającej przystani. Ukryłem się za kwitnącymi krzewami. Nigdzie nie dostrzegłem łodzi.

Raptem ogarnęła mnie nieodparta pokusa, żeby zajrzeć do domku antypatycznego pana Stolla. Czując się niczym poszukujący łupu złodziej, zakradłem się do schodów wąską ścieżką i spojrzałem w stronę balkonu. Nie różnił się niczym od innych, oprócz piętrzącego się stosu butelek w kącie. Co za prosię z tego Stolla... Nagle coś jeszcze przykuło mój wzrok. Para płetw i maska z rurką do oddychania. Chyba po takiej ilości wypitego alkoholu Stoli nie był w

stanie zanurzać swojego cielska pod wodę? Może wysyłał sternika na połów krabów? Przypomniałem sobie rurkę płetwonurka, którą widziałem pierwszego wieczoru przy skałach w pobliżu mojego domu, oraz światła na łodzi.

Cofnąłem się, gdyż wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki na ścieżce. Nie chciałem zostać przyłapanym na szpiegowaniu. Zanim jednak odszedłem, spojrzałem w górę, by sprawdzić numer domku. Nad drzwiami widniała cyfra 38. Wtedy jeszcze nic dla mnie nie oznaczała. Dopiero później, gdy przebierałem się do kolacji i sięgałem po spinkę do krawata, którą zostawiłem na szafce nocnej, pod wpływem nagłego impulsu otworzyłem szufladkę w telefonicznym aparacie i jeszcze raz rzuciłem okiem na wizytówkę mojego poprzednika. Zgadza się, pomyślałem. Była na niej nabazgrana cyfra 38. Zbieg okoliczności, to oczywiste, a jednak... „Nigdy po północy”. Nagle dotarł do mnie sens zanotowanych słów. Stoli również ostrzegał mnie pierwszego wieczoru przed pływaniem w nocy. Czy wcześniej udzielił podobnej wskazówki Gordonowi, a mój poprzednik zanotował ją na swojej wizytówce i dopisał pod spodem numer domku Stolła? Takie rozumowanie miało sens. Lecz najwyraźniej biedne chłopisko zignorowało tę radę. Podobnie jak jeden z lokatorów domku 38.

Skończyłem się ubierać, nie odłożyłem jednak kartonika na miejsce, lecz schowałem go do portfela. Miałem niepokojące przeczucie, że powinienem oddać go w recepcji, gdyż mógł rzucić nowe światło na sprawę tragicznej śmierci mojego poprzednika. Myśl o tym nie dawała mi spokoju w czasie całej kolacji, ale nie podjąłem żadnej decyzji. Rzecz w tym, że chciałem uniknąć łączenia mojej osoby z tą ponurą historią i przesłuchań na policji. Tym bardziej że sprawa pewnie została już zamknięta. Jaki był sens pokazywania komukolwiek wizytówki, która leżała zapomniana w szufladzie i prawdopodobnie nie miała żadnego znaczenia?

Goście, którzy siedzieli po mojej prawej stronie, wyszli. Nie musiałem wychylać głowy, żeby widzieć stolik Stollów. Mogłem dyskretnie się im przyglądać, nie zwracając przy tym na siebie uwagi. Zadziwiające wydało mi się

spostrzeżenie, że Stoli ani razu nie odezwał się do swojej żony. Uderzający był też kontrast pomiędzy tymi dwojgiem. Ona surowa i nienaturalnie sztywna, jak wycior, prowadziła widelec do ust niczym nauczycielka szkółki niedzielnej na wycieczce i on, jeszcze bardziej czerwony niż kiedykolwiek przedtem, przywodził swoim wyglądem na myśl wielką, pękatą kielbasę. Po pierwszym kęsie odsunął na bok danie postawione przez kelnera i sięgnął swoją grubą, owłosioną dłonią po szklankę, która była wiecznie pusta.

Po kolacji jak zwykle poszedłem do baru na kawę. Pora była jeszcze wczesna i nie zastałem tam nikogo z gości. Gdy wymieniliśmy z barmanem zwykłe grzecznościowe formułki i uwagi o pogodzie, wskazałem głową w kierunku jadalni:

— Zauważyłem, że pańscy przyjaciele, Stollowie, jak zwykle spędzili dzisiejszy dzień na morzu — stwierdziłem.

Barman wzruszył ramionami.

— Codziennie jest tak samo — rzekł. — Zawsze obierają kierunek zachodni i wypływają z zatoki na pełne morze. Nawet sztormowa pogoda nie jest ich w stanie zniechęcić.

— Nie rozumiem, jak ona z nim wytrzymuje — powiedziałem. — Obserwowałem ich przy kolacji. On się w ogóle do niej nie odzywa. Ciekaw jestem, co o nim myślą inni goście.

— Mają do niego jednoznaczny stosunek. Miał pan okazję osobiście się przekonać, jaki potrafi być grubiański. Jeśli otwiera usta, to jedynie po to, żeby powiedzieć coś obraźliwego. W ten sam sposób traktuje również personel hotelu. Póki nie wypłynie w morze, żadna z pokojówek nie odważy się wejść do jego domku. A ten zapach! — Barman skrzywił się i pochylając się do przodu, szepnął mi poufnie do ucha:

— Dziewczyny twierdzą, że sam warzy piwo. Rozpala ogień w kominku, na którym stoi garnek wypełniony gnijącym ziarnem, przypominającym pomyje dla

świń! Tak, tak, sporo tego wypija. Niech pan sobie wyobrazi, w jakim stanie jest jego wątroba po takiej ilości alkoholu, jaką spożywa do kolacji, a potem jeszcze tutaj, w barze!

— To dlatego nocami na ich balkonie pali się światło. Pewnie raczy się do białego świtu swoimi pomyjami. Proszę powiedzieć, czy któryś z gości hotelowych jest płetwonurkiem?

Barman wyglądał na zdziwionego.

— O ile mi wiadomo, żaden. W każdym razie na pewno nikt nie pływa pod wodą od czasu wypadku. Biedny pan Gordon lubił wieczorne kąpiele, a przynajmniej tak nam się wydawało. Był jednym z nielicznych, którzy kiedykolwiek rozmawiali z panem Stollem. Któregoś wieczoru prowadzili ze sobą dość długą dyskusję przy barze.

— Naprawdę?

— Nie dotyczyła jednak pływania ani łowienia ryb. Rozprawiali o antykach. W wiosce znajduje się małe muzeum, które obecnie jest nieczynne z powodu remontu. Pan Gordon był zawodowo związany z Muzeum Brytyjskim w Londynie.

— Nie przyszłoby mi do głowy, że ta sfera zainteresowań może dotyczyć naszego przyjaciela Stoła.

— Zdziwiłby się pan — stwierdził barman. — Pan Stoli nie jest głupcem. W czasie ubiegłych wakacji oboje z żoną jeździli po okolicy samochodem i zwiedzali nie tylko wszystkie słynne miejsca, takie jak Knossos czy Mallia, ale również te mniej znane. W tym roku jest zupełnie inaczej. Nie obchodzi ich nic poza łowieniem ryb, i to codziennie.

— Czy pan Gordon wybrał się kiedyś razem z nimi na połów? — naciskałem.

— Nic mi o tym nie wiadomo, sir. Wypożyczył samochód, podobnie jak pan, i penetrował okolicę. Twierdził, że pisze książkę o archeologicznych

wykopaliskach we wschodniej części Krety oraz o ich związkach z grecką mitologią.

— Mitologią?

— Tak, wydaje mi się, że właśnie tak oświadczył panu Stollowi. Nie wszystko zrozumiałem z tego, co dotarło do moich uszu, i nie słyszałem całej rozmowy — tego dnia panował w barze duży ruch. Pan Gordon był spokojnym człowiekiem, trochę podobnym w sposobie bycia do pana, proszę wybaczyć to porównanie, i najwyraźniej wymiana uwag o starodawnych bogach żywo go zainteresowała. Oboje ze Stollem drążyli ten temat przez ponad godzinę.

Uhm... Pomyślałem o wizytówce w moim portfelu. Czy powinienem ją wręczyć urzędnikowi recepcji? Pożegnałem się z barmanem i skierowałem się do hallu. Musiałem przejść przez jadalnię. Stollowie wstali właśnie od stolika i podążali przede mną. Zwolniłem kroku. Ze zdumieniem spostrzegłem, że minęli bar i zacierają, podobnie jak ja, do części recepcyjnej hotelu. Przystanąłem obok stojaka z widokówkami poza zasięgiem ich wzroku. Pani Stoli zdjęła z wieszaka płaszcz, a jej niesympatyczny mąż udał się do toalety. Po chwili oboje zniknęli za frontowymi drzwiami, które wychodziły na parking. Niewątpliwie wybierali się na przejażdżkę. Czy Stoli, w swoim obecnym stanie, miał zamiar usiąść za kierownicą?

Nie wiedziałem, co robić. Recepcjonista rozmawiał przez telefon. Chwila nie była stosowna na wręczenie mu wizytówki. Pod wpływem nagłego impulsu, niczym chłopiec zabawiający się w detektywa, wsiadłem do własnego pojazdu i ruszyłem w ślad za mercedesem, którego tylne reflektory zniknęły już z pola widzenia. Ale droga była tylko jedna, a jadący przede mną samochód skręcił na wschód, w stronę wioski oraz oświetlonego przylądka. Po dotarciu do małego portu podjechałem na nabrzeże, sądząc, że Stoli zrobił to samo. Zaparkowałem mojego volkswagena naprzeciw największej tutejszej kawiarni. Okazało się, że zgubiłem Amerykanów. Rozejrzałem się wokół siebie, ale nie było ani śladu

mercedesa. Obcy turyści oraz mieszkańcy wioski przechadzali się po ulicy albo siedzieli w ogródku przed kawiarnią.

Postanowiłem zapomnieć o tym, co mnie tu sprowadza, cieszyć się chwilą i napić lemoniady. Przez ponad pół godziny delectowałem się „lokalną kolorystyką”, obserwując ludzi: greckie rodziny, które wyszły się przewietrzyć, ładne i pewne siebie dziewczęta, które strzelały oczami do trzymających się razem wyrostków, brodatego prawosławnego duchownego, który palił jednego papierosa za drugim i grał w kości przy sąsiednim stoliku z dwoma bardzo sędziwymi starcami, a także hippisów z mojego kraju, którzy wyróżniali się spośród otoczenia długimi włosami oraz niechlujnym wyglądem i robili najwięcej hałasu. Gdy włączyli tranzystor i rozsiedli się na kocich łbach z tyłu za moimi plecami, uznałem, że pora się ruszyć z miejsca.

Zapłaciłem za lemoniadę, dotarłem do końca nabrzeża i wróciłem z powrotem. Rzędy rybackich łodzi musiały wyglądać malowniczo w ciągu dnia i pewnie scena była godna utrwalenia na płótnie. Gdy przeszedłem przez jezdnię, dostrzegłem błysk wodnej tafli na końcu bocznej, ślepej uliczki. To pewnie tutaj znajdowało się osobliwe miejsce tłumnie odwiedzane i fotografowane w szczycie sezonu przez turystów, które figurowało w przewodniku jako „Niezgłębione Rozlewisko”. Nie spodziewałem się, że jezioro jest aż tak duże. Na powierzchni spienionej wody pływały śmiecie i nie zazdrościłem tym, którzy mieli odwagę korzystać w ciągu dnia ze znajdującej się na przeciwległym brzegu trampoliny.

Nagle spostrzegłem mercedesa. Stał zaparkowany naprzeciw skąpo oświetlonej kawiarni, a zgarbiona postać przy stoliku zastawionym butelkami piwa oraz wyprostowana sylwetka siedzącej obok kobiety nie pozostawiała wątpliwości. Ku mojemu zdumieniu i oburzeniu, Stoli nie pił sam. W wieczornej bibce towarzyszył mu tłum ochrypłych rybaków.

W powietrzu unosiły się ich wrzaski i śmiechy. Wieśniacy najwyraźniej drwili sobie z Amerykanina, zapominając przy kuflach z piwem o swojej greckiej

kurtuazji. Jeden z młodszych członków klanu zaintonował pieśń, a potem niespodziewanie wykonał zamasztysty gest, zgarniając ze stołu puste butelki, które spadły na chodnik i się potłukły. Brzękowi rozbijanego szkła wtórowały radosne okrzyki wesołej kompanii. Nie zdziwiłbym się, gdyby nagle zjawił się policjant i przerwał tę zabawę, ale nie było ani jednego stróża porządku. Nie martwiłem się o los Stolla — noc spędzona w więzieniu pomogłaby mu wytrzeźwieć, ale też nie zazdrościłem położenia jego żonie. Ta sprawa jednakże mnie nie dotyczyła. Odwróciłem się z zamiarem powrotu na nadbrzeże, gdy oklaskiwany przez rybaków Stoli wstał z miejsca. Słaniając się na nogach, sięgnął po ostatnią butelkę, jaka pozostała na stoliku, zrobił zamach i ze zdumiewającą zręcznością, jak na człowieka w jego stanie, cisnął nią, niczym dyskobol, do jeziora. Przeleciała w odległości zaledwie kilku centymetrów od mojej głowy. Stoli widział, jak robię unik. Tego było już za wiele. Podeszedłem do niego z furją.

— W co się pan do licha zabawia? — wrzasnąłem.

Stał przede mną, niepewnie trzymając się na nogach. Dobiegający z kawiarni śmiech ucichł, a kumple Stoła przyglądali się scenie z zaciekawieniem. Spodziewałem się potoku przekleństw, tymczasem spuchnięta twarz Stolla niespodziewanie zmarszczyła się w uśmiechu. Wyciągnął rękę w moją stronę i poklepał mnie po ramieniu.

— Wie pan co? — rzekł. — Gdyby mi pan nie przeszkodził, trafiłbym nią w sam środek tej przeklętej tafli, czego nie potrafi dokonać żaden z tych facetów. Nie ma wśród nich ani jednego czystej krwi Kreteńczyka, tylko sami cholerni Turcy.

Próbowałem się go pozbyć, ale przylgnął do mnie i z wylewnością typową dla nałogowego pijaka, który nagle znalazł dozgonnego przyjaciela, zaczął okazywać mi swoje przywiązanie.

— Pan jest z hotelu, prawda? — Czknął donośnie. — Nie zaprzeczaj, chłopie. Mam dobre oko do twarzy. Pan jest facetem, który całymi dniami

maluje na swoim cholernym ganku. Podziwiam pana za to. Znam się trochę na sztuce. Być może 'nawet kupię od pana jakiś obraz.

Jego dobrotliwość była obraźliwa, a patronackie deklaracje trudne do zniesienia.

— Przykro mi, ale moje obrazy nie są na sprzedaż — oświadczyłem sztywno.

— No, no, wy artyści wszyscy jesteście tacy sami — odparował. — Nieustępliwi, dopóki klient nie zaoferuje dobrej ceny. Weźmy na przykład takiego Charliego Gordona... — przerwał i z przebiegłą miną spojrzał mi prosto w twarz. — Ale przecież pan nie miał okazji poznać Charliego Gordona, prawda?

— Nie — odparłem zwięźle. — To się stało przed moim przyjazdem.

— Prawda, prawda — przyznał. — Nie żyje biedne chłopisko. Utonął w zatoce przy skałach tuż pod pana domem. W każdym razie tam go właśnie znaleźli.

Jego zapuchnięte oczy, głęboko osadzone w nabrzmiałej twarzy, wydawały się niemal zamknięte, ale ja wiedziałem, że Stoli obserwuje moją reakcję.

— Z tego, co wiem, nie był artystą.

— Artystą? — Stoli powtórzył za mną, a potem parsknął rubasznym śmiechem. — Nie, on był znawcą sztuki, ale dla takiego faceta jak ja to oznacza jedno i to samo. Charlie Gordon, znawca sztuki. No cóż, na nic się to biedakowi zdało, prawda?

— Z pewnością na nic — odparłem.

Usiłował wziąć się w garść. Wciąż chwiejąc się na nogach, zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu papierosów i zapalniczki. Zaciągnął się dymem i dopiero wtedy podsunął mi paczkę. Pokręciłem głową, wyjaśniając, że nie palę. A potem dodałem z wielką odwagą:

— Ani nie piję.

— To dobrze — skomentował moją uwagę w zadziwiający sposób. — Podobnie jak i ja. Piwo, które tutaj sprzedają, to zwykłe siuśki, a winem można się otruć. — Obejrzał się przez ramię na grupę osób w kawiarni i mrugając do mnie konspiracyjnie, zaciągnął mnie pod murek nad brzegiem rozlewiska.

— Tak jak już powiedziałem, ci wszyscy dranie są z pochodzenia Turkami, zapijającymi się winem i kawą. Od ponad pięciu tysięcy lat nie nauczyli się warzyć niczego porządnego. W zamierzchłych czasach tutejsi mieszkańcy znali się na tym.

Przypomniałem sobie opowieść barmana o świńskich pomyjach w domku Stoła.

— Naprawdę? — dociekałem.

Ponownie do mnie mrugnął, a potem szeroko otworzył swoje zapuchnięte oczy. Zauważyłem, że są wylupiaсте, mają barwę spłowiałego, błotniste go brązu, a białka pstrzą liczne czerwone cętki.

— Wie pan co? — spytał chrapliwie. — Naukowcy się mylą. Kreteńczycy z tutejszych gór pili piwo warzone z igieł świerkowych i z bluszczu. Wino zostało odkryte przez cholernych Greków wiele wieków później.

Dla utrzymania równowagi jedną ręką oparł się o murek, a drugą chwycił mnie za ramię. Potem pochylił się i zwymiotował do jeziora. Ja również byłem tego bliski.

— Lepiej pozbyć się trucizny z organizmu — rzekł po chwili. — Po powrocie do hotelu zapraszam pana do naszego domku na filiżankę herbaty. Mam dla pana wiele sympatii, panie Jakiśtam. Jest pan człowiekiem z zasadami: nie pije pan, nie pali, i maluje obrazy. Czym się pan zajmuje zawodowo?

Nie mogłem się od niego uwolnić. Nie pozostawało mi nic innego, jak pozwolić mu się zaciągnąć na drugą stronę jezdni. Na szczęście gapie z kawiarni już się rozeszli, zawiedzeni, że nie doszło pomiędzy nami do bójki. Pani Stoli czekała w mercedesie, zajmując miejsce obok kierowcy.

— Proszę nie zwracać na nią uwagi — rzekł Stoli. — Jest głucha jak pień i trzeba do niej wrzeszczeć. Na tylnym siedzeniu będzie panu wygodnie.

— Dziękuję, ale przyjechałem tu samochodem, który stoi zaparkowany przy nabrzeżu.

— Zawsze do usług. Niech mi pan powie, Panie Artysto, czym się pan para zawodowo? Jest pan naukowcem?

Mogłem zostawić to pytanie bez odpowiedzi, ale jakaś pompatyczna nuta wewnątrz mnie kazała mi powiedzieć prawdę. Łudziłem się głupio, że Stoli uzna mnie za nudziarza, z którym nie warto podtrzymywać dalszej znajomości.

— Jestem nauczycielem w prywatnej szkole dla chłopców.

Staął jak wryty, a jego wilgotne usta otworzyły się szeroko w grymasie zachwyty.

— Och, mój Boże! — zawołał. — To zabawne, naprawdę komiczne. Cholerny belfer, niańka osesków! Jesteś jednym z nas, mój chłopie, jednym z nas. I ty śmiesz wmawiać mi, że nigdy nie robiłeś wywaru z igieł świerka i z liści bluszczu?

W nagłym wybuchu wesołości wypuścił w końcu moje ramię. Gdy ruszył w stronę samochodu, potrząsając głową na boki, nogi niosące jego zwaliste cielsko, poruszały się dziwnym truchtem — raz — dwa... raz — dwa... jak u niezdarne go konia.

Patrzyłem za nim, gdy sadowił się w samochodzie obok żony, a potem odszedłem pospiesznie, pragnąc bezpiecznie dotrzeć do nabrzeża. Stoli nawrócił jednak z zadziwiającą zręcznością i dopadł mnie, zanim znalazłem się na rogu ulicy. Wychylił głowę z okna samochodu. Wciąż jeszcze był rozbawiony.

— Proszę nas odwiedzić, panie Belfrze, kiedy tylko pan zechce. Zawsze będzie pan u nas mile widziany. Zaproś go, Maud. Nie widzisz, że facet jest nieśmiały?

Przekazany wrzaskiem rozkaz zadudnił echem na ulicy. Przypadkowi przechodnie spojrzeli w naszym kierunku. Pani Stoli obrzuciła mnie wzrokiem

ponad ramieniem męża, zachowując surowy i kamienny wyraz twarzy. Nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej, jak gdyby wszystko przebiegało normalnie, a jazda samochodem w obcej wiosce przy boku pijanego mężczyzny była najzwyczajszą rozrywką pod słońcem.

— Dobry wieczór — powiedziała bezdźwięcznym głosem. — Miło mi pana poznać, panie Belfrze. Proszę nas odwiedzić, byleby tylko nie po północy. Domek numer 38...

Stoli pomachał mi na pożegnanie ręką i samochód, rycząc, pomknął ulicą, by pokonać kilkukilometrową odległość, jaka dzieliła wioskę od hotelu. Pojechałem za nimi. Byłem pewien, że nie skorzystam z ich zaproszenia, nawet gdyby od tego miało zależeć moje życie.

Stwierdzenie, że to spotkanie rzuciło zły urok na mój urlop i wyprowadziło mnie z równowagi, nie jest całkowicie zgodne z prawdą. Ale być może odpowiada jej w połowie. Moja wściekłość i obrzydzenie miały bowiem związek tylko ze Stollami. Po długim śnie obudziłem się wypoczęty. Tego dnia panowała cudowna pogoda i rano świat wydał mi się lepszy. Mój jedyny problem polegał teraz na wystrzeganiu się Stolla oraz jego głupkowatej żony. A to nie było trudne, ponieważ spędzali cały dzień na morzu. Stołując się o wcześniejszej porze, mogłem unikać spotkań z nimi w restauracji. Nigdy nie chodzili na spacer i zetknięcie się z nimi twarzą w twarz na terenie hotelu było mało prawdopodobne. A gdyby wracający z połowu Stoli skierował na mnie lornetkę, mogłem prędko uciec z balkonu i zniknąć w głębi domu. Wierzyłem, że przy odrobinie szczęścia Amerykanin zapomni o moim istnieniu, a nasza wieczorna rozmowa wyleci mu z pamięci. Nie zamierzałem dopuścić do tego, żeby ten niemiły i zatrwająjący, w pewnym sensie, epizod zepsuł mi resztę urlopu.

Gdy wyszedłem na balkon, żeby zjeść śniadanie, motorówki już nie było w przystani. Zamierzałem wcielić w życie mój wcześniejszy plan i wyruszyć z

przyborami malarskimi wzdłuż wybrzeża na poszukiwanie plenerów. Wiedziałem, że pochłonięty pracą zapomnę o istnieniu małżeństwa Stollów. Postanowiłem nie przekazywać dyrekcji hotelu wizytówki biednego Gordona, choć nie dawała mi spokoju niesamowita zbieżność treści notatki ze słowami, z jakimi zwróciła się do mnie wczoraj pani Stoli. Domyślałem się już, co przytrafiło się mojemu nieszczęsnemu poprzednikowi. Zaintrygowany wywodami Amerykanina przy barze na temat mitologii i starożytnej Krety, jako archeolog uznał, że dalsza rozmowa może okazać się interesująca i przyjął zaproszenie do złożenia wizyty w domku pod numerem 38. Nadal pozostał jednak dla mnie tajemnicą powód, dla którego zdecydował się przepłynąć zatokę, zamiast pójść pieszo skalną ścieżką. Czyżby zrobił to w przypływie brawurowego nastroju? Któż to mógł wiedzieć? A może napojony przez Stolla diabelskim wywarem, stracił nad sobą panowanie i gdy z powrotem przeprowadzał się wodą, doszło do nieuchronnej tragedii? Miałem tylko nadzieję, że nie zdążył wpaść w panikę i że utonięcie było natychmiastowe. Amerykanin nie podał żadnych faktów. Moja teoria dotycząca przebiegu wydarzeń bazowała wyłącznie na intuicji — na strzępach informacji, które do siebie pasowały, i na moim uprzedzeniu do Stolla. Uznałem, że najwyższa pora oderwać myśli od całej sprawy i skupić się na nadchodzącym dniu.

A raczej na dniach, które miałem przed sobą. Wyprawa na zachód wzdłuż wybrzeża w kierunku przeciwnym do cypla okazała się bardziej udana, niż przewidywałem. Droga, która najpierw pięła się w górę, kilka kilometrów dalej zbiegała w dół zbocza i dochodziła do poziomu morza, a krajobraz niespodziewanie stawał się równinny. Wielkie przestrzenie wyschniętych bagien — o spalonej od słońca ziemi w kolorze popiołu — wspaniałe kontrastowały z oślepiającym błękitem morza, które obmywało ląd z dwóch stron. Gdy podjechałem bliżej, stwierdziłem, że mielizny poprzecinane są wąskimi groblami i oddzielone od siebie wałami, tworzącymi tamy, wewnątrz których wysycha słona

woda. Dostrzegłem też ruiny porzuconych wiatraków, których okrągłe ściany przypominały swoim wyglądem zamkowe wieże. Kilkaset metrów dalej, na końcu wyboistej ścieżki nad samym brzegiem morza, wznosił się mały kościół. Zauważyłem na dachu maleńki, połyskujący w słońcu krzyż. Potem mielizny urywały się gwałtownie, a ląd przechodził w cieśninę Spinalonga i stawał się wąskim przesmykiem.

Podsakując na wybojach, zjechałem w dół, w stronę płycizn. Okolica była całkiem wyludniona. Oceniłem krajobraz ze wszystkich stron i postanowiłem, że w czasie następnych kilku dni miejsce to stanie się źródłem mojej inspiracji. Ruiny kościoła na pierwszym planie, opuszczone wiatraki na drugim, wypełnione solą mielizny po jednej stronie i błękitna, falująca woda po drugiej...

Ustawiłem sztalugi, włożyłem na głowę sfatygowany pilśniowy kapelusz i zapomniałem o wszystkim, oprócz widoku, który rozpościerał się przed moimi oczami. Trzy dni spędzone na mieliznach uznałem potem za najdonioślejsze podczas całego mojego urlopu. Panowała tu absolutna cisza i spokój.

Nie spotkałem żywej duszy. Drogą, która biegła wzdłuż wybrzeża, przejeżdżał od czasu do czasu jakiś samochód, lecz zaraz znikał w oddali. Odrywałem się od pracy tylko po to, żeby napić się lemoniady i zjeść kanapki, które przywoziłem ze sobą. Gdy słońce za mocno przypiekało, szukałem schronienia w ruinach wiatraków. W chłodzie wieczora wracałem do domu, jadłem wczesną kolację, a potem odpoczywałem w moim domku, czytając przed zaśnięciem. Pustelnik zatopiony w modłach nie mógłby życzyć sobie większego odosobnienia.

Czwartego dnia, gdy zakończyłem pracę nad dwoma obrazami, które przedstawiały ten sam pejzaż widziany z dwóch różnych stron, żał mi było rozstawać się z tym zakątkiem. Zdążyłem się już do niego przywiązać i uważałem go niemal za własne terytorium. Wrzuciłem przybory malarskie do samochodu i ruszyłem pieszo w stronę wzgórza i przesmyku lądu, z zamysłem znalezienia

nowego pleneru. Z trudem wspinałem się pod górę. Panował nieznośny upał i dla ochłody wachlowałem się kapeluszem. Gdy dotarłem na szczyt wzniesienia, zdumiałem się, stwierdzając, że przesmyk łądu jest zaledwie wąziutką skarżą, poniżej której rozciąga się morze. Nie były to już te same spokojne wody, które obmywały słońce mielizny, lecz smagane północnym wiatrem i wdzierające się z zewnątrz zatoki wzburzone grzebienie fal. Poryw wichru omal nie wyszarpnął mi kapelusza z dłoni. Geniusz pewnie potrafiłby uchwycić na płótnie różnorodność odcieni — turkus przechodzący w egejski błękit ze smugami burgundzkiego wina pod spodem, ale nie taki amator jak ja. Poza tym i tak nie zdołałbym ustać w tym miejscu. Płótno i sztalugi natychmiast porwałby wiatr.

Spragniony cienia, zszedłem na dół. Skierowałem się w stronę kępy krzewów janowca, by pod nimi odpocząć i popatrzeć na falujące morze. Nagle spostrzegłem łódź. Stała na kotwicy przy wejściu do zalewu w miejscu wygięcia łądu, gdzie tafla wody jest stosunkowo gładka. Nie miałem wątpliwości, do kogo motorówka należy. Sternik, wynajęty do jej obsługi, siedział na dziobie z wędką. Sądząc po jego nonszalanckiej pozie, łowienie ryb niewiele go obchodziło. Przypuszczałem, że odbywa sjęstę. Oprócz niego nikogo nie było na pokładzie. Spojrzałem w dół. Na piaszczystej mierzei pode mną, nie opodal skalnego urwiska, stała na wpół zwalona buda z nie obrobionego kamienia. Zapewne służyła pasterzom i dawała schronienie ich trzodom. W wejściu leżał plecak, koszyk na żywność i płaszcz. Uznałem za dość ryzykowne ustawienie łodzi na niespokojnym morzu dziobem do łądu. Pewnie Stołlowie wysiedli z niej *wcześniej* i odpoczywali, ukryci w ruinach przed wiatrem. Być może Stoli warzył nawet swoją miksturę ze świerka i bluszczu z dodatkiem koziego łajna dla podniesienia smaku, a to samotne miejsce w cieśninie Spinalonga było jego „kotłem destylacyjnym”.

Nagle mężczyzna na łodzi usiadł, przytrzymując się liny podszedł do steru i stanął, wpatrując się w wodę. Dostrzegłem jakiś ruch na powierzchni, a następnie wynurzającą się postać w gumowym kombinezonie, w masce na twarzy i z butlą

na plecach. Na moment zniknęła mi z oczu, zasłonięta przez Greka, który nachylił się, żeby jej pomóc ściągnąć górną część ekwipunku. Moją uwagę przykuł widok czegoś w wejściu do ruin budowli. Użyłem określenia „czegoś”, ponieważ na skutek złudnego efektu świetlnego odniosłem wrażenie, że widzę kosmatego żrebaka, który stoi na tylnych kończynach. Dolną ich część, a nawet zad pokrywało włosie. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z tego, że mam przed sobą nagiego Stolla, którego ramiona i piersi są tak samo owłosione jak cała reszta. O jego człowieczeństwie świadczyła tylko nabrzmiała, czerwona twarz i uszy, ogromne jak spodki, które odstawały po obu stronach łysej głowy. Był to odrażający widok. Stoli wyłonił się z cienia i przez chwilę patrzył w kierunku łodzi. A potem zaczął dziwnie dreptać po piaszczystej mierzei przed zwałoną chałupą, jak gdyby dawał wyraz swojemu zadowoleniu. Wcześniej w wiosce poruszał się w podobny sposób, tyle tylko że teraz nie był to chwiejny krok pijaka, lecz dumny trucht. Stoli tańczył z założonymi rękami, z wysuniętą do przodu piersią i wypiętym tyłkiem pokaźnych rozmiarów.

Nurek, już bez maski i bez butli z tlenem, długimi i powolnymi pociągnięciami ramion pokonywał dzielącą go od brzegu odległość. Na nogach miał wciąż płetwy — trzepały

o powierzchnię wody, niczym olbrzymie ryby. Potem zostały odrzucone na bok i pływak stanął na piasku. Ku mojemu olbrzymiemu zaskoczeniu rozpoznałem w nim, pomimo maskującego kombinezonu, panią Stoli. Miała zawieszoną na szyi torbę, którą ściągnęła przez głowę i podała stąpającemu dumnie mężowi. Nie słyszałem, żeby zamienili ze sobą choć jedno słowo. Oboje skierowali się w stronę chaty i zniknęli w jej wnętrzu. Grek znowu zajął miejsce na dziobie motorówki

i ponownie oddał się, bezskutecznemu jak dotąd, połowowi.

Położyłem się na ziemi, ukryty pod krzewem janowca. Postanowiłem, że zostanę tu przez jakieś dwadzieścia minut, najwyżej pół godziny, a potem wrócę

do słonych mielizn, gdzie zaparkowałem samochód. Nie musiałem jednak czekać aż tak długo. Po upływie niespełna dziesięciu minut z plaży w dole dobiegło mnie wołanie. Wyjrzałem zza krzaka i zobaczyłem Stollów. Stali z płetwami w dłoniach na piaszczystej ławie, objuczeni koszykami i plecakami. Grek natychmiast uruchomił silnik, wciągnął kotwicę i powoli skierował łódź w stronę brzegu, niemal ocierając jej bokiem o występ skalny, na którym czekali Stollowie. Gdy weszli na pokład, sternik nawrócił motorówkę. Po chwili zmierzali już w stronę zatoki, zostawiając za sobą zaciszny zalew. Okrążyli cypel i zniknęli z pola widzenia.

Zzerała mnie ciekawość. Niezdarnie zlazłem ze skalnego urwiska na piasek i wszedłem do zwalonej chałupy. Tak jak sądziłem, była miejscem schronienia dla kóz. Błotniste podłoże cuchnęło ich odchodami, które się wszędzie walały. Tylko jeden kąt był uprzątnięty, a z drewnianych desek ktoś zrobił półkę, pod którą stały w rzędzie butelki z piwem. Nie potrafiłem stwierdzić, czy zawierają produkt tutejszego browaru, czy też truciznę wyprodukowaną przez samego Stolla. Na półce leżały jakieś gliniane skorupy. Można by sądzić, że ktoś powygrze — bywał ze śmietniska zbyteczne i potłuczone szczątki naczyń. Nie znalazłem jednak na nich śladów ziemi. Powierzchnię niektórych oblepiały skorupiaki, inne były mokre. Nagle przyszło mi do głowy, że archeologowie nazywają je „znaleziskami” i że pochodzą z morskiego dna. Pani Stoli zajmowała się poszukiwaniami, i to poszukiwaniami podwodnymi. Nie wiedziałem, czy celem jej ekspedycji są muszle, czy też przedmioty o donioślejszym znaczeniu. Rozrzucone na półce kawałki ceramiki były odpadkami, które nie przedstawiały żadnej wartości. Ani pani Stoli, ani jej mąż nie zadali sobie trudu, żeby je uprzątnąć. Nie znałem się na tych rzeczach. Rozejrzałem się wokół, a gdy nie natknąłem się na nic godnego uwagi, opuściłem ruiny.

Moja decyzja okazała się jednak fatalna w skutkach. W trakcie wspinaczki na występ skalny usłyszałem pulsujący odgłos silnika. Łódź ponownie wpłynęła do

zalewu i sądząc z zajmowanej przez nią pozycji, lustrowała brzeg. Wszystkie trzy głowy były skierowane w moją stronę, a krępy mężczyzna przy sterze trzymał na wysokości oczu lornetkę. Obawiałem się, że rozpoznanie osoby, która właśnie wyszła z pasterskiej chaty i z dużym trudem wdrapywała się po skałach na szczyt wzniesienia, nie nastarczy mu żadnych trudności.

Piąłem się w górę, nie oglądając się za siebie. Wcisnąłem kapelusz głęboko na czoło, w nadziei że zdołam się zamaskować. Mogłem przecież być jednym z wielu turystów, którzy przypadkowo znaleźli się akurat w tym miejscu i w tym czasie. W głębi duszy przeczuwałem jednak, że identyfikacja jest nieuchronna. Powłócząc nogami, dotarłem do samochodu w pobliżu słonych rozlewisk. Ze zmęczenia nie mogłem złapać tchu i byłem wściekły. Wyrzucałem sobie, że niepotrzebnie zapuszczałem się głębiej w półwysep. Stollowie mogli pomyśleć, że ich szpieguję, i co gorsza, nie pomyliby się. Diabli wzięli całą radość, jaka przepełniała mnie z powodu mile spędzonego dnia. Postanowiłem czym prędzej się spakować i wrócić do hotelu. Ale los sprzysiągł się przeciw mnie. Ledwie znalazłem się na drodze, która prowadziła do głównej szosy, stwierdziłem, że złapałem gumę. Zanim wymieniałem koło, a jestem bardzo niezdarly we wszystkich robotach związanych z mechaniką, upłynęło czterdzieści minut.

W końcu dotarłem do hotelu, ale humor mi się nie polepszył, gdy zobaczyłem, że Stollowie wrócili przede mną. Ich motorówka stała już przycumowana do pomostu, a Stoli siedział na swoim balkonie z lornetką nakierowaną na mój domek. Na sztywnych nogach pokonałem schody. Czuję się skrępowany jak osoba, w którą wymierzony jest obiektyw telewizyjnej kamery. Wszedłem do mieszkania i zamknąłem za sobą drzwi. Brałem kąpiel, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

— Słucham? — Podszedłem do aparatu owinięty w pasie ręcznikiem i z rękami ociekającymi wodą. Ktoś, kto do mnie dzwonił, nie mógł wybrać odpowiedniego momentu.

— Czy to ty, panie Belfrze?

Chrapliwy, zasapany głos był łatwy do rozpoznania. Mój rozmówca nie sprawiał jednak wrażenia, że jest pijany.

— Tu Timothy Grey, słucham — odparłem sztywno.

— Grey czy Black, to dla mnie bez różnicy — stwierdził nieprzyjemnym, niemal wrogim tonem. — Był pan dzisiaj po południu w cieśninie Spinalonga, nie mylę się, prawda?

— Spacerowałem po półwyspie. Nie rozumiem, dlaczego to pana interesuje.

— Nie zdoła mnie pan wywieść w pole! Jest pan takim samym cholernym szpiegiem, jak tamten facet. Ale powiem panu jedno: wrak już wieki temu został całkowicie splądrowany.

— Nie rozumiem, o jakim wraku pan mówi — rzekłem.

Na moment zaległa cisza. Stoli mruknął coś pod nosem do siebie albo do żony, nie byłem pewien, a gdy odezwał się ponownie, jego głos miał bardziej stonowane brzmienie i przybrał dawny pseudojowialny ton.

— Dobrze, już dobrze, panie Belfrze. Nie będziemy się w tej sprawie sprzeczać. Powiedzmy, że mamy wspólne zainteresowania. Nauczyciele, wykładowcy i profesorowie na uniwersytetach — wszyscy jesteśmy w głębi duszy tacy sami, a czasami nawet i na zewnątrz. — Jego niski chichot był odrażający.

— Niech pan nie wpada w panikę, panie Belfrze. Nie wydamy pana — mówił dalej. — Tak jak już wspomniałem któregoś wieczoru, polubiłem pana. Pewnie chce pan coś przywieźć do swojego cholernego szkolnego muzeum, mam rację? Coś, co mógłby pan pokazywać chłopaczkom i chełpić się przed kolegami, prawda? Znakomicie. Zgoda. Mam coś takiego. Jeśli zajrzy pan do nas dzisiaj wieczorem, otrzyma pan to ode mnie w prezencie. Nie zależy mi na pańskich

zakichanych pieniądzech... — przerwał, ponownie parszając chichotem. Pani Stoli musiała zrobić jakąś uwagę, gdyż dodał:

— Dobrze, już dobrze. Urządzimy sobie we trójkę małe, sympatyczne przyjęcie. Moja żona również pana polubiła.

Ręcznik, którym byłem przepasany, zsunął się na ziemię, odkrywając moją nagość. Bez żadnego powodu poczułem się nagle bezbronny. Protekcyjny i przymilny głos mojego rozmówcy doprowadzał mnie do białej gorączki.

— Panie Stoli — powiedziałem. — Nie kolekcjonuję niczego ani dla szkół, ani dla wyższych uczelni czy muzeów. W ogóle nie interesuję się sztuką antyku. Przyjechałem tutaj po to, żeby malować, dla własnej przyjemności i, szczerze mówiąc, nie mam zamiaru składać wizyty ani panu, ani żadnemu innemu gościowi hotelu. Dobranoc.

Trzasnąłem słuchawką i wróciłem do łazienki. Co za diabelski tupet! Obrzydliwy człowiek! Byłem ciekaw, czy zostawi mnie teraz w spokoju, czy też będzie śledził mnie przez lornetkę na balkonie, dopóki nie wybiorę się na kolację do hotelu, a wtedy razem z żoną podąży w ślad za mną do restauracji. Z pewnością nie ośmieli się podjąć rozmowy w obecności kelnerów oraz innych gości. Jeśli prawidłowo odgadłem jego intencje, zamierzał kupić moje milczenie, wciskając mi jakiś bezwartościowy prezent. Całodzienne wyprawy na ryby służyły za pokrywkę ich podwodnych poszukiwań — stąd jego aluzja dotycząca wraku. Miał nadzieję znaleźć, o ile już to się nie stało, cenne przedmioty, które potem zamierzał przeszmużlować z Krety. Zapewne z powodzeniem uprawiał ten proceder w ubiegłym roku. Wynajęty do opieki nad łodzią Grek musiał być sownie wynagradzany za to, że trzymał język za zębami.

Jednakże w tym sezonie nie wszystko przebiegało zgodnie z jego planem. Mój niefortunny poprzednik, były lokator domku 62, Charles Gordon — ekspert w dziedzinie sztuki starożytnej — nabrał podejrzeń. Aluzja Stolla: „Jest pan takim samym cholernym szpiegiem jak tamten facet”, nie pozostawiała żadnych

wątpliwości. A jeśli Gordon otrzymał zaproszenie do złożenia wizyty w domku pod numerem 38 nie po to, żeby napić się podrobionego piwa, ale żeby obejrzyć kolekcję Stolla i za milczenie otrzymał propozycję łapówki? I odmówił, grożąc Stollowi, że go wyda? Czy rzeczywiście jego utonięcie było przypadkowe, czy też żona Stolla popłynęła za nim w swoim gumowym kostiumie, w masce i w płetwach, a potem, gdy już znalazła się pod wodą...?

Za bardzo dałem się ponieść fantazji. Nie miałem żadnego dowodu. Wiedziałem tylko, że za nic na świecie nie pójdę do domku Stollów i że będę zmuszony opowiedzieć o wszystkim kierownictwu hotelu, jeśli Stoli nadal mnie będzie napastował.

Przebrałem się do kolacji, uchyliłem jedną okiennicę i ukryty za nią, spojrzałem w stronę domku na cyplu. Zapadł już zmierzch i na balkonie paliło się światło, ale Amerykanina tam nie było. Wyszedłem na zewnątrz, zamknąłem okno i ruszyłem w górę ogrodową ścieżką, kierując się do hotelu.

Już miałem wkroczyć od strony tarasu do części recepcyjnej budynku, gdy spostrzegłem Stolla i jego żonę. Siedzieli na krzesłach na samym środku hallu, jak gdyby strzegli wejścia do restauracji. Jeśli chciałem coś zjeść, musiałem przejść obok nich. Dobrze, pomyślałem. Możecie sobie tu tkwić nawet i przez cały wieczór. Wycofałem się na taras, okrążyłem budynek i dotarłem na parking od strony hotelowego zaplecza. Postanowiłem nie zważać na nadprogramowe wydatki i wybrać się na kolację do wioski. Prowadziłem samochód, pieniąc się z wściekłości. Doskwierał mi głód. Skromne kanapki, którymi posiliłem się na mieliznach, stanowiły całe moje dzisiejsze pożywienie. Znalazłem tawernę w sporej odległości od przylądka i zamiast trzydaniowego posiłku w hotelu, na który z niecierpliwością czekałem i który był wliczony w cenę mojego pobytu, musiałem zadowolić się omletem, pomarańczą oraz kawą.

Było już po dziesiątej, gdy wróciłem do hotelu. Zaparkowałem samochód, ponownie przemknąłem obok pomieszczeń kuchennych, chyłkiem zbiegłem na

dół ogrodową ścieżką i jak złodziej wkradłem się do domku. Na balkonie u Stolla nadal paliło się światło. O tej porze pewnie był już kompletnie pijany. W razie dalszych kłopotów byłem zdecydowany pójść nazajutrz na skargę do kierownictwa hotelu.

Rozebrałem się i czytałem, leżąc w łóżku. Po północy, gdy zaczęła ogarniać mnie senność, wyłączyłem światło i podszedłem do okna, żeby otworzyć okiennice i wpuścić do sypialni trochę świeżego powietrza. Światła we wszystkich domkach były już pogaszone, z wyjątkiem jednego: oczywiście Stollów. Lampa na balkonie rzucała żółtą smugę na morze w pobliżu pływającej przystani. Woda pluskała, a przecież nie było wiatru. Nagle dostrzegłem rurkę płetwonurka, która na sekundę pojawiła się w żółtym blasku. Zanim zginęła mi z oczu, stwierdziłem, że zmierza w stronę skał pod moim domem. Czekałem. Nic się jednak nie wydarzyło. Nie usłyszałem żadnego dźwięku ani ponownego chlupotania fal. Być może pani Stoli wybierała się na podwodne wyprawy każdego wieczoru i w czasie gdy leżałem w łóżku i pogrążony w lekturze zapominałem o całym świecie, ona penetrowała morskie dno wokół skał. Myśl o tym, że regularnie po północy pani Stoli zostawiała swojego śpiącego i odurzonego diabelskim wywarem męża, a sama wypływała w wodoszczelnym gumowym kombinezonie, w masce i w płetwach, żeby szpiegować lokatora domku pod numerem 62, była co najmniej nieprzyjemna. A w szczególności dzisiejszej nocy, po rozmowie telefonicznej i po mojej odmowie złożenia im wizyty, a także w świetle nowej teorii co do losu mojego poprzednika, obecność tej kobiety w bliskim sąsiedztwie wydawała mi się nie tylko złowróżbna, ale i groźna.

Nagle po prawej stronie, w smudze światła, jakie padało z mojego balkonu, i rozjaśniało bezruch nocnych ciemności, dostrzegłem rurkę płetwonurka. Znajdosrała się teraz tuż pode mną. Wpadłem w panikę. Oderwałem się od okna i pospiesznie zamknąłem okiennicę. Zgasłem światło na balkonie, przywarłem plecami do ściany pomiędzy sypialnią a łazienką i nasłuchiwałem. Przez szpary w

okiennicy obok mnie sączyło się wilgotne powietrze. Miałem wrażenie, że upłynęła cała wieczność, nim dobiegł mych uszu dźwięk, którego z lękiem oczekiwałem. Był to szmer kroków na balkonie, szelest szperających dłoni i ciężkie dyszenie. Z miejsca, w którym stałem, nie mogłem niczego dostrzec, ale wiedziałem, że ona tam jest. Chwyliła za klamkę, a opinający ciało gumowy kombinezon ociekał wodą. Ale nawet gdybym zawołał: „Czego pani tutaj chce?” — i tak by mnie nie usłyszała. Nie wymyślono jeszcze aparatów słuchowych dla płetwonurków. Cokolwiek robiła w nocy, zdawała się tylko na swój wzrok i dotyk.

Zapukała w okiennicę. Nie zareagowałem. Zastukała ponownie. Wreszcie znalazła dzwonek. Powietrze ponad moją głowę przeszył dźwięk, równie przenikliwy, jak świdrujący odgłos dentystycznego wiertła naruszającego nerw. Zadzwońiła trzykrotnie, a potem zrobiło się cicho. Nie dobijała się więcej do okna ani nie słyszałem już jej ciężkiego oddechu. Mogła przycupnąć na balkonie i ociekając wodą, zacząć się na mnie, licząc na to, że stracę cierpliwość i wyjdę z ukrycia.

Podczołgałem się do łóżka i usiadłem na pościeli. Z balkonu nie dochodził żaden odgłos. Zdobyłem się na odwagę i zaświeciłem lampkę na szafce nocnej. Spodziewałem się niemal, że ponownie usłyszę dobijanie się do okna i wibrujący dźwięk dzwonka. Ale nic takiego się nie stało. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dwunasta trzydzieści. Siedziałem zgarbiony. Pomimo niedawnej senności byłem całkowicie rozbudzony i pełen złych przeczuc. Zdrowy rozsądek najwyraźniej zupełnie mnie opuścił. Strach przed czarną postacią w lśniącym kombinezonie narastał z każdą minutą, a niedorzeczność mojego lęku była tym większa, że miałem do czynienia z kobietą. Czego chciała?

Nie ruszałem się z miejsca przez godzinę albo i dłużej, dopóki nie powróciła mi zdolność logicznego rozumowania. Pani Stoli musiała już pewnie odejść. Podniosłem się z łóżka, podszedłem do drzwi i nasłuchiwałem. Na zewnątrz panowała cisza. Dochodził mnie tylko plusk wody obmywającej skały w dole.

Ostrożnie nacisnąłem klamkę i wyjrzałem przez szparę na zewnątrz. Nikogo nie zauważyłem. Otworzyłem szerzej drzwi i wyszedłem na balkon. Spojrzałem w kierunku cypla. W domku pod numerem 38 zgasło już światło. Mała kałuża wody pod moim oknem dowodziła wizyty gościa, który odwiedził mnie przed godziną, a mokre ślady stóp na stopniach schodów, prowadzące w stronę skał, sugerowały, że wrócił tą samą drogą, którą przybył. Odetchnąłem z ulgą. Teraz mogłem już spokojnie zasnąć.

W tym momencie spostrzegłem pod nogami przedmiot. Leżał tuż przy drzwiach. Nachyliłem się, żeby go podnieść. Mały pakunek owinięty był wodoodpornym materiałem. Zabrałem go do środka i siedząc na łóżku, uważnie mu się przyjrzałem. Przez głowę przemknęło mi głupie podejrzenie, że zawiera bombę. Z pewnością podwodna podróż zneutralizowałaby jej śmiertelne właściwości. Paczka była zeszyta na krzyż cienkim szpagatem. Wzmogłem czujność. Przypomniało mi się stare greckie przysłowie: „Strzeż się Greków, gdy ci przynoszą prezenty”. Ale przecież Stollowie nie byli Grekami i nawet jeśli plądrowali Atlantyde, to materiały wybuchowe z całą pewnością nie wchodziły w skład odzyskanych skarbów zaginionego kontynentu.

Nożyczkami do paznokci przeciąłem sznurek i rozwinąłem opakowanie. W rybackiej sieci o drobnych oczkach znajdował się ukryty przedmiot. Wyplątałem go i po chwili leżał na mojej otwartej dłoni. Był to mały kubek w czerwonym kolorze, z uszami po obu stronach dla pewniejszego uchwytu. Widywałem już przedtem tego rodzaju przedmioty w oszklonych muzealnych gablotach, a prawidłowa ich nazwa — bryton. Naczynie zostało z ręcznie uformowane w kształt ludzkiej twarzy — sterczące pionowo uszy przypominające muszle małży, bulwiasty nos i wyłupiaste oczy, które wystawały nad złośliwymi, otwartymi ustami oraz wąsem opadającym na okrągłą brodę, stanowiącą podstawę ceramicznego wyrobu. Na brzegu naczynia pomiędzy uszami widniały trzy postacie dumnie wyprostowanych mężczyzn o twarzach ludzko podobnych do

tej, która była przedstawiona na kubku. Ale to była jedyna cecha zbliżająca ich do istot ludzkich. Zamiast stóp i dłoni mieli kopyta, a z kosmatych zadów sterczały końskie ogony.

Obróciłem przedmiot w rękach. Z drugiej strony też łypnęła na mnie okiem ta sama odrażająca twarz. I te same trzy postacie prężyły się dumnie między uszami kubka. Nie dostrzegłem żadnych pęknięć ani skaz, z wyjątkiem słabo widocznego znaku przy samym brzegu naczynia. Gdy zajrzałem do środka, zobaczyłem małą kartkę. Wydobyłem ją, odwracając ryton do góry dnem i potrząsając nim, ponieważ moja ręka nie mieściła się w otworze. Na białym arkusiku widniał opis: „Silenos, satyr urodzony na Ziemi, półkoń, półczłowiek, który nie posiadając umiejętności odróżnienia prawdy od kłamstwa, przybierał postać dziewczyny i w kreteńskiej grocie wychowywał Dionizosa, boga alkoholowego odurzenia, a potem stał się jego nauczycielem oraz towarzyszem w pijaństwie”.

Tylko tyle. Włożyłem kartkę z powrotem do naczynia i postawiłem je na stole w przeciwległym kącie pokoju. Ale nawet wtedy lubieżna i szydercza twarz łypała na mnie z ukosa, a w oczy rzucały się wypukłe postacie trzech centaurów. Byłem za bardzo zmęczony, żeby z powrotem zawinąć kubek. Nakryłem go marynarką i wróciłem do łóżka. Postanowiłem, że rano z powrotem go zapakuję, a potem wręczę kelnerowi z prośbą, żeby go odniósł do domku 38. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby Stoli zatrzymał sobie ryton. Ja nie chciałem mieć nic wspólnego z tą sprawą.

Wyczerpany, zasnąłem w końcu, lecz sen nie przyniósł mi ulgi. Nocne koszmary, z których na próżno usiłowałem się przebudzić, należały do innego, nie znanego mi świata, straszliwie gmatwającego się z moim własnym. Rozpoczął się rok szkolny, lecz szkoła, w której uczyłem, znajdowała się na szczycie porośniętej lasem góry, chociaż budynek i klasy były takie same jak w rzeczywistości. Moi uczniowie, których twarze tak dobrze znałem, nosili we włosach liście winorośli. Ich nienaturalny i nieziemski urok był pociągający, a zarazem zgubny. Biegli do

mnie, uśmiechając się przymilnie, a ja otaczałem ich ramionami. Rozkosz, jaką sprawiała mi ich obecność, była słodka i zdradziecka. Nigdy dotychczas nie doświadczyłem ani nawet nie przeczuwałem istnienia podobnych doznań. To nie ja byłem mężczyzną tańczącym wśród chłopców i bawiącym się razem z nimi, w każdym razie nie ta część mojego ja, jaką znałem, lecz cień demona, który wyszedł z naczynia i stąpał dumnie, tak jak to robił Stoli na piaszczystej mierzei w cieśninie Spinalonga.

Miałem wrażenie, że minęły całe wieki, zanim się obudziłem. Przez szpary w okiennicach sączyło się dzienne światło i była za kwadrans dziesiąta. Dokuczał mi rwący ból głowy. Czułem się niezdrów i byłem wyczerpany. Zatelefonowałem po kawę i spojrzałem w kierunku przeciwległego krańca zatoki. Motorówka stała zacumowana w przystani. Stołowie nie wybrali się dzisiaj na ryby, choć zwykle wypływali przed dziewiątą. Wyjąłem naczynie spod marynarki i drżącymi dłońmi zacząłem zawijać je w siatkę i w wodoszczelne opakowanie. Zdążyłem nieudolnie zrobić pakunek przed przyjściem kelnera, który przyniósł na tacy moje śniadanie i jak zwykle przywitał mnie z uśmiechem.

— Czy mógłby mi pan wyświadczyć grzeczność? — spytałem.

— Jestem zawsze do pańskich usług — odparł.

— To dotyczy pana Stolla, który, jeśli się nie mylę, zajmuje domek numer 38 po drugiej stronie zatoki. Codziennie zwykł wypływać na ryby, ale widzę, że jego łódź wciąż jeszcze stoi w przystani.

— Nic dziwnego. Państwo Stollowie Wjechali dzisiaj rano samochodem.

— Ach, tak. A może wie pan, o której wrócą?

— Już nie wrócą, sir. Wyjechali na dobre. Są w drodze do Aten i na lotnisko.

Motorówka jest już prawdopodobnie wolna, jeśli chciałby ją pan wynająć.

I zszedł po schodach, kierując się w stronę ogrodu. Naczynie w wodoodpornym opakowaniu nadał leżało obok śniadania na tacy.

Słońce nieznośnie prażyło nad moim balkonem. Zapowiadał się upalny dzień; zbyt gorący na malowanie. Poza tym nie byłem w nastroju do pracy. Po wydarzeniach ostatniej nocy czułem się skrajnie wyczerpany. Nie dawało mi spokoju dziwne przeświadczenie, że moje znużenie nie tyle jest związane z intruzem za oknem, ile z trwającymi bez końca snami. Mogłem uwolnić się od samych Stollów, ale nie od ich spuścizny.

Ponownie odwinąłem podarunek i obróciłem go w dłoniach. Na widok lubieżnej i szyderczej twarzy poczułem obrzydzenie. Jej podobieństwo do Stolla nie było wymysłem mojej fantazji, ale niewątpliwym powodem — groźnym i nie pozostawiającym wątpliwości — dla którego ten prezent został mi wtryniony. Przypomniałem sobie chichot Stolla w telefonie. Jeśli posiadał skarby, których wartość odpowiadała temu rytonowi albo nawet była większa, to jeden przedmiot nie stanowił dla niego różnicy. Przemycenie ich przez granicę było nie lada problemem, szczególnie w Atenach. Za tego typu przestępstwa kodeks przewidywał bardzo surowe kary. Ale pewnie Stoli miał swoje kontakty i wiedział, jak to zrobić.

Utkwiłem wzrok w tańczących postaciach na brzegu naczynia i raz jeszcze uderzyło mnie ich podobieństwo do dumnie stąpającego Stolla nad morskim brzegiem w cieśninie Spinalonga — do jego nagiej, owłosionej sylwetki oraz sterczącego tyłka. Pół człowiek, pół koń, satyr... „Silenos, nauczyciel pijaństwa boga Dionizosa”.

Straszne i diabelskie naczynie. Nie miałem wątpliwości, że właśnie za jego przyczyną moje niedawne sny zostały do tego stopnia wypaczone. Czy to możliwe, że Stoli zdał sobie sprawę ze zgubnego wpływu tego przedmiotu, gdy było już za późno? Barman powiedział mi, że dopiero w tym roku zaczął pić. Musiał istnieć jakiś związek pomiędzy jego alkoholizmem a znalezieniem kubka. Jedno nie ulegało wątpliwości — musiałem się jak najprędzej pozbyć kłopotliwego prezentu. Tylko w jaki sposób miałem to zrobić? Gdybym odniósł

go do dyrekcji hotelu, natychmiast zaczęliby mi zadawać pytania. Mogli nie uwierzyć w historię o podrzuceniu przedmiotu ubiegłej nocy na moim balkonie, podejrzewając, że został skradziony z jakiegoś archeologicznego wykopaliska. A po namyśle pewnie doszliby do wniosku, że chciałem go przeschmuglować z kraju albo sprzedać na wyspie. I co wtedy? Czy miałem wyrzucić starożytny i prawdopodobnie bezcenny ryton?

Włożyłem go ostrożnie do kieszeni marynarki i ruszyłem ogrodową ścieżką w stronę hotelu. W barze było pusto, a barman czyścił za ladą kieliszki. Zająłem miejsce przed nim i zamówiłem wodę mineralną.

— Nigdzie się pan dzisiaj nie wybiera? — zagadnął mnie.

— Na razie nie. Może później — odparłem.

— Orzeźwiająca kąpiel w morzu i sjesta na balkonie — zasugerował. — Ale chwileczkę, sir, mam coś dla pana.

Nachylił się i wyciągnął małą butelkę wypełnioną płynem o barwie cytryny.

— Wczoraj wieczorem pan Stoli zostawił to dla pana z pozdrowieniami — wyjaśnił barman. — Czekał tu na pana prawie do północy. Obiecałem, że oddam to panu, gdy się pan pokaże.

Spojrzałem podejrzliwie na flaszkę.

— Co to jest? — spytałem.

Barman się uśmiechnął.

— Piwo warzone przez niego domowym sposobem — odparł. — Jest zupełnie nieszkodliwe. Ja też otrzymałem butelkę dla siebie i mojej żony, która twierdzi, że to zwykła lemoniada. Cuchnącego wywaru musiał się gdzieś pozbyć. Niech pan skosztuje. — I zanim zdołałem go powstrzymać, dolał do wody mineralnej miksturę Stolla.

Wahając się, zanurzyłem ostrożnie palec w szklance i spróbowałem. Płyn przypominał napój z jęczmienia przyrządzany przez moją matkę, który pijałem jako dziecko — był również całkiem bez smaku. A jednak... na języku i na

podniebieniu pozostawał pewien aromat — nie tak słodki jak miód i nie tak ostry jak winogrona, ale przyjemny, przypominający woń rodzynek, dziwnie pomieszana z zapachem dojrzewających kłosów zboża.

— Za zdrowie pana Stolla! — wzniosłem toast i bez słowa wychyliłem szklanekę.

— Jednego jestem pewien — rzekł barman. — Straciłem najlepszego klienta. Stollowie wyjechali dzisiaj wcześniej rano.

— Wiem o tym od kelnera.

— Pani Stoll najmądrzej postąpi, jeśli umieści męża w szpitalu. — Barman dalej ciągnął swój wywód. — On jest chorym człowiekiem, i to nie tylko z powodu nadużywania alkoholu.

— Co pan ma na myśli?

Grek popukał się w czoło.

— Brakuje mu piątej klepki — stwierdził. — Sam pan widział, jak się zachowywał. Najwyraźniej coś mu padło na mózg. Miewa manie prześladowcze i raczej wątpię, żebyśmy zobaczyli ich w przyszłym roku.

Sączyłem wodę mineralną. Wywar z jęczmienia niewątpliwie podniósł jej smak.

— Kim jest z zawodu? — spytałem.

— Pan Stoli? Powiedział mi, że jest profesorem filologii klasycznej na jednym z amerykańskich uniwersytetów, ale nie wiem, czy mówił prawdę. To jego żona płaciła tutaj wszystkie rachunki, to ona wynajęła człowieka do opiekowania się łożdzą i zajmowała się organizacją ich pobytu. I chociaż Stoli odzywał się do niej grubiańsko w miejscach publicznych, to odniosłem wrażenie, że jest od niej całkowicie uzależniony. Czasami zastanawiałem się nawet, czy...

Przerwał.

— Nad czym się pan zastanawiał? — Nie dawałem za wygraną.

— No cóż... Wiele musiała znosić. Czasami przechwytywałem jej spojrzenie, jakim obrzucała męża. W tym wzroku nie było miłości. Kobiety w jej wieku potrzebują w życiu pewnego rodzaju satysfakcji. I być może pani Stoli znajdowała ją potajemnie, w czasie gdy on zaspokajał swoją namiętność do alkoholu i do sztuki antyku. Udało mu się zgromadzić pokaźne zbiory przedmiotów pochodzących z Grecji, z pobliskich wysp i z Krety. Dla kogoś tak dobrze zorientowanego jak on nie stanowiło to większego problemu.

Barman mrugnął do mnie porozumiewawczo. Skinąłem głową i zamówiłem jeszcze jedną wodę mineralną. Na skutek gorącej atmosfery, jaka panowała w barze, odczuwałem wzmożone pragnienie.

— Czy na wybrzeżu znajdują się jakieś mniej znane wykopaliska? — spytałem. — Myślę o takich, do których Stołowie mogli przyplýwać łodzią?

Może odniosłem mylne wrażenie, ale wydawało mi się, że barman unika mojego wzroku.

— Trudno powiedzieć — rzekł. — Przypuszczam, że tak. Ale z pewnością strzegą ich dozorczy. Wątpię, czy są tu jakieś miejsca, o których istnieniu nie wiedziałyby władze.

— A co z wrakami? — Podążałem tym samym tropem. — Co ze statkami, które zostały zatopione wieki temu i leżą na dnie morza?

Wzruszył ramionami.

— Zawsze krążyły na ten temat plotki i historie, które przekazywano z pokolenia na pokolenie — odparł wymijająco. — Ale to tylko przesady. Osobiście nigdy nie dawałem im — im wiary i nie znam żadnej wykształconej osoby, która by w nie wierzyła.

Umilkł na moment, pracowicie polerując kieliszki. Zastanawiałem się, czy nie powiedziałem za dużo.

— Wszyscy wiemy, że od czasu do czasu odkrywa się małe przedmioty, które być może przedstawiają ogromną wartość. Są wywożone z kraju, a jeśli ryzyko

jest zbyt duże, tutejsi eksperci nabywają je za dobrą cenę. Mój kuzyn w wiosce ma powiązania z miejscowym muzeum, jest właścicielem kawiarni naprzeciwko „Niezgłębionego Rozlewiska”. Pan Stoli był jego stałym klientem. Nazywa się Papitos. Łódź, którą pan Stoli wynajmował, należy właśnie do niego. Odpłatnie udostępnia ją gościom hotelu.

— Rozumiem.

— Ale przecież pan nie jest kolekcjonerem i nie interesuje się pan sztuką antyku, prawda?

— Ma pan rację, nie jestem.

Wstałem z miejsca i wyszedłem z baru, życząc Grekowi miłego dnia. Zastanawiałem się, czy wyrzucenie w mojej kieszeni, spowodowane znajdującą się wewnątrz paczką, nie jest zbyt widoczne.

Skierowałem się w stronę tarasu. Nieposkromiona ciekawość sprawiła, że zszedłem do pływającej przystani, która znajdowała się poniżej dawnej kwatery Stollów. Domek był już wysprzątnięty, balkon opróżniony z butelek, a okiennice pozamykane. Po ostatnich lokatorach nie pozostał żaden ślad. Niewykluczone, że jeszcze dzisiaj zamieszka tutaj jakaś angielska rodzina, która zawiesi poręcze kostiumami kąpielowymi.

Łódź stała przy pomoście, a mężczyzna zatrudniony do jej obsługi szorował burty. Spojrzałem w kierunku mojego domku po drugiej stronie zatoki i po raz pierwszy zobaczyłem go z punktu obserwacyjnego Stolla. Teraz nie miałem już cienia wątpliwości, że gdy stał tu i przyglądał mi się przez lornetkę, musiał brać mnie za intruza, a nawet za szpiega — za kogoś, kto został przysłany z Anglii w celu zbadania prawdziwych okoliczności śmierci Charlesa Gordona. Czy podarowanie kubka przed odjazdem było wyrazem lekceważenia z jego strony, próbą przekupstwa czy przekleństwem?

Greki wyprostował się i obrzucił mnie wzrokiem. Nie był to ten sam człowiek, którego Stołlowie wynajęli do opiekowania się łodzią. Nie zauważyłem tego

wcześniej, gdy stał odwrócony do mnie tyłem. Mężczyzna towarzyszący Stollom był od niego znacznie młodszy i miał ciemniejsze włosy. Nagle przypomniałem sobie, że łódź należy do kuzyna barmana, niejakiego Papitosa, który prowadzi kawiarnię nad jeziorem.

— Przepraszam! — zawołałem. — Czy pan jest właścicielem łodzi?

Mężczyzna wdrapał się na przystań i stanął przede mną.

— Nicolai Papitos to mój brat — odparł. — Chce pan wybrać się na wycieczkę po zatoce? Nie ma dzisiaj wiatru i morze jest bardzo spokojne. Połów będzie bardzo udany.

— Nie zamierzam łowić ryb — stwierdziłem. — Ale przez godzinę chętnie bym popływał. Jaki jest koszt wynajmu motorówki?

Greki podał mi sumę w drachmach. Szybko obliczyłem, że stawka nie przekracza dwóch funtów za godzinę. Musiałem pomnożyć tę kwotę przez dwa, jeśli chciałem okrążyć cypel i dopłynąć wzdłuż wybrzeża do piaszczystej mierzei w cieśninie Spinalonga. Wyjąłem portfel, żeby sprawdzić, czy mam wystarczającą ilość banknotów, czy też muszę wrócić do recepcji i zrealizować jeden z czeków podróży.

— Nie ma problemu, jest pan przecież gościem hotelu — uspokoił mnie prędko, najwyraźniej czytając w moich myślach. — Koszty zostaną dopisane do pańskiego rachunku.

To przesądziło sprawę. Do diabła! Do tej pory moje wydatki ekstra były przecież bardzo skromne.

— Bardzo dobrze. W takim razie chciałbym wynająć łódź na kilka godzin.

Odczuwałem dziwne podniecenie, gdy przy jednostajnym warkocie silnika motorówki przemierzałem zatokę, tak jak to zwykli wielokrotnie przedtem robić Stollowie. Przylądek po prawej stronie i stojące w szeregu domki zostawały w tyle, a przede mną rozpościerały się błękitne wody otwartej Zatoki Mirabello. Nie

miałem żadnego konkretnego planu. Ale z jakiejś niezrozumiałej przyczyny ciągnęło mnie do małej zatoczki nad brzegiem, gdzie poprzedniego dnia stała zakotwiczona łódź. „Wrak już wieki temu został doszczętnie rozgrabiony...” Przypomniałem sobie słowa Stolla. Czy mówiąc to, kłamał? A może tamto szczególne miejsce było terenem jego połowów i żona, nurkując dzień po dniu podczas ostatnich tygodni, przynosiła do jego chciwych rąk ociekające wodą skarby z dna morskiego? Gdy okrążyliśmy cypel i znaleźliśmy się poza opiekuńczym pasmem lądu, wiatr przybrał na sile i motorówka zaczęła podskakiwać, gdy jej dziób uderzał o krótkie, załamujące się fale.

W oddali po lewej stronie ciągnęła się długa cieśnina Spina — longa. Nie wiedziałem jeszcze, jak wyjaśnię mojemu sternikowi, żeby nie wpływał na spokojne wody w rejonie słonych mielizn, ale żeby poprowadził łódź w stronę odsłoniętego brzegu cieśniny, który graniczył z otwartym morzem.

— Jeśli chce pan łowić ryby, to miejsce będzie najlepsze — zawołał Grek, przekrzykując ryk silnika i wskazując płycizny, na których wczoraj pracowałem.

Niech pan płynie dalej wzdłuż linii brzegu — odkrzyknąłem.

Wzruszył ramionami. Nie mógł uwierzyć w to, że nie mam zamiaru łowić ryb. Zastanawiałem się nad wymyśleniem przekonującego pretekstu, który usprawiedliwiłaby prośbę skierowania łodzi w stronę lądu i zarzucenia kotwicy. Jedynym wiarygodnym wyjaśnieniem mogła być tylko moja choroba morska.

Nad dziobem motorówki pojawiły się wzgórza, na które się wczoraj wspinałem, a zaraz za nimi wygięty w łuk przesmyk lądu, mała zatoczka oraz na wpół zwałona pasterska chata nad samym jej brzegiem.

— Niech pan podpłyń blisko lądu i rzuci kotwicę.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem i pokręcił głową.

— To miejsce jest zbyt skaliste.

— Nonsens! — krzyknąłem. — Widziałem wczoraj, że goście z hotelu zakotwiczili się właśnie tutaj.

Sternik gwałtownie zmniejszył obroty silnika i mój głos zadźwięczał donośnie w powietrzu. Łódź zaczęła się bujać na krótkich falach.

— To miejsce nie jest dobre do stawania na kotwicy — upierał się Grek. — W tym rejonie znajduje się wrak statku, z którym można się zderzyć.

A więc się nie myliłem... Poczulem narastające podniecenie. Teraz już nikt nie był w stanie odwieść mnie od mojego zamiaru.

— Nic o tym nie wiem — rzekłem z tą samą determinacją, co przedtem. — Ale pomimo to łódź stała tutaj. Widziałem ją na własne oczy.

Mruknął coś pod nosem i zrobił znak krzyża.

— A jeśli stracę kotwicę? Co powiem mojemu bratu Nicolai?

Skierował motorówkę w stronę lądu, powoli, z wielką ostrożnością wpłynął do zatoczki, a potem, klnąc pod nosem, wszedł na dziób i wyrzucił kotwicę za burtę. Zaczekał, aż opadnie, i dopiero wtedy wrócił na rufę, żeby wyłączyć silnik.

— Jeśli chce pan podpłynąć bliżej brzegu, musi pan wziąć ponton — rzekł ponuro. — Napompuję go dla pana, dobrze?

Ponownie przeniósł się na dziób i wyciągnął gumową, nadmuchiwaną szalupę z rodzaju tych, jakie są używane przez morskie ekipy ratunkowe.

— Bardzo proszę — odparłem.

Ponton idealnie odpowiadał moim celom. Mogłem na wiosłach przybić do lądu bez siedzącego mi na karku sternika. Ale nie zdołałem się powstrzymać, żeby lekko nie zranić ambicji Greka.

— Mężczyzna, który wczoraj prowadził motorówkę, podpłynął bliżej i nic złego się nie stało.

Sternik oderwał się od swojego zajęcia.

— Jeśli miał ochotę narażać na szwank łódź mojego brata, to jego sprawa — rzekł krótko. — Teraz ja jestem za nią odpowiedzialny. — Tamten mężczyzna nie

stawił się dzisiaj rano do pracy, więc ją stracił. Nie chcę, żeby mnie spotkał podobny los.

Pozostawiłem jego oświadczenie bez komentarza. Jeśli poprzedni sternik stracił zainteresowanie dotychczasową robotą, powodem były z pewnością sówite napiwki, jakie zainkasował od Stolla.

Gdy ponton znalazł się na wodzie, ostrożnie do niego wsiadłem i zacząłem wiosłować w stronę lądu. Na szczęście dostęp do brzegu był łagodny i bez trudu wciągnąłem na mierzeję nadmuchiwaną szalupę. Zauważyłem, że Grek z baczną uwagą śledzi moje poczynania. Gdy uznał, że pontonowi nie grozi żaden uszczerbek, odwrócił się do mnie tyłem, wyrażając w ten sposób swoją dezaprobatę, i przykucnął zgarbiony na dziobie, medytując pewnie nad głupotą angielskich turystów.

Przybiłem do lądu, ponieważ chciałem ocenić z brzegu, gdzie dokładnie stała wczoraj łódź. Było tak, jak przypuszczałem. Znajdowała się bliżej cieśniny, jakieś trzydzieści metrów na lewo od miejsca jej dzisiejszego postoju. Morze nie było wzburzone i bez trudu mogłem tam podплыnąć pontonem. Spojrzałem w stronę pasterskiej chaty i dostrzegłem swoje wczorajsze ślady. Ale były tam również inne odciski stóp. Całkiem świeże. Zauważyłem wgniecenie na piasku przed budą, jak gdyby coś tam leżało, a potem zostało zaciągnięte nad wodę nie opodal miejsca, w którym stałem. Być może jakiś pastuch szukał tutaj rano schronienia przed słońcem.

Zbliżyłem się do chaty i zajrzałem do środka. Zastanawiające... Potłuczone skorupy zniknęły. Puste butelki nadal stały w odległym kącie, a nawet przybyły trzy nowe, z których jedna była tylko do połowy opróżniona. We wnętrzu panowała duchota i obficie się pocilem. Nierozsądnie wybrałem się na tę wyprawę bez kapelusza, który zostawiłem w domu, i prawie przez godzinę siedziałem na słońcu bez nakrycia głowy. Nic dziwnego, że odczuwałem nieznośne pragnienie. Uległem impulsowi, za który płacę do dzisiaj. Gdy oceniam moje zachowanie z

perspektywy czasu, uważam, że postąpiłem idiotycznie. Ale mogłem zupełnie się odwodnić i umrzeć na atak serca. Sądziłem, że nie zaszkodzi mi kilka łyków piwa.

Nie miałem ochoty pić z tej samej butelki co pasterz, jeśli rzeczywiście to on ją tutaj przyniósł. Ci ludzie nigdy nie byli zbyt czyści. Przypomniałem sobie o kubku w kieszeni. Przynajmniej teraz mógł się na coś przydać. Odpakowałem go i napełniłem płynem. Dopiero po pierwszym hańsieniu zorientowałem się, że to nie jest piwo, lecz napój z jęczmienia. Ten sam zrobiony domowym sposobem wywar, który Stoli zostawił dla mnie w barze. Czy tutejsi mieszkańcy również zwykli się nim raczyć? Był nieszkodliwy. Wiedziałem o tym. Barman kosztował go, a także jego żona.

Gdy opróżniłem do końca butelkę, jeszcze raz uważnie przyjrzałem się naczyniu. Sam nie wiem, jak to się stało, ale wykrzywiona w lubieżnym uśmiechu twarz nie wydawała mi się już tak sprośna, jak przedtem. Kryła w sobie pewne dostojeństwo, które do tej pory uchodziło mojej uwagi. Kształt brody, na przykład, był doskonały — ten, kto ją wyrzeźbił, musiał być mistrzem w swoim fachu. Zastanawiałem się, czy tak właśnie wyglądał Sokrates, gdy rozprawiał o życiu, spacerując po ateńskiej agorze ze swoimi uczniami. Bardzo możliwe. Jego słuchacze nie musieli być dojrzałymi mężczyznami, jak utrzymywał Plato, lecz jedenasto — i dwunastoletnimi chłopcami, tak jak moi wychowankowie, którzy śmiali się do mnie w moim śnie ubiegłej nocy.

Wyczuwałem pod dotykiem małżowate uszy, zaokrąglony nos oraz pełne usta nauczyciela Silenosa. Oczy o pytającym spojrzeniu nie wydawały mi się już wyłupiaste, lecz pociągające. Nawet nagie postacie półmężczyzn, półkoni nabrały wdzięku. Nie odnosiłem już wrażenia, że pełni pychy stąpają dumnie, ale że tańczą, trzymając się za ręce, i upojeni radością całkowicie oddają się swawolnej zabawie. To pewnie strach wywołany nocnym najściem intruza sprawił, że patrzyłem na kubek z takim obrzydzeniem.

Schowałem go z powrotem do kieszeni, wyszedłem z chaty i skierowałem się w stronę piaszczystej mierzei, gdzie zostawiłem ponton. Po drodze snułem rozważania. Może powinienem pójść do Greka o nazwisku Papitos, który miał znajomości w tutejszym muzeum, i zapytać go o wartość naczynia? A gdyby się okazało, że przedmiot wart jest setki lub tysiące funtów i kuzyn barmana znajdzie na niego kupca albo mi pomoże nawiązać kontakt w Londynie z osobą zainteresowaną jego kupnem? Stoli pewnie robił to przez cały czas i jakoś mu się to udawało. Czyż barman nie dał mi do zrozumienia...? Usiadłem do wiosła i zacząłem oddalać się od brzegu, myśląc o różnicy pomiędzy zamożnym człowiekiem, takim jak Stoli, i mną. On był brutalem, którego skóry nie przebiłaby nawet włócznia, a półki w jego domu w Stanach uginały się pewnie od łupów. Tymczasem ja... Jaki sens miało nauczanie chłopców za psie pieniądze? Moraliści, którzy twierdzą, że pieniądze nie dają szczęścia, tkwią w błędzie. Gdybym posiadał bodaj jedną czwartą majątku Stolla, mógłbym zamieszkać za granicą, na przykład na jednej z greckich wysp, a zimę spędzać w Atenach albo w Rzymie. Otwierało się przede mną nowe życie, i to we właściwym momencie, zanim osiągnąłem wiek średni.

Skierowałem ponton w stronę miejsca, w którym według mojej oceny stała wczoraj łódź. Odłożyłem wiosła, gdy dotarłem do celu, i spojrzałem w wodę. Była jasnozielona, półprzezroczysta i na dwa metry głęboka. Utkwiłem wzrok w złotym piasku. Na morskim dnie panował nieziemski spokój, zupełnie obcy temu, który znałem. Ławica ryb, błyszcząca i połyskująca srebrem, kluczyła w stronę grzebienia rafy koralowej, która mogłaby służyć za ozdobę Afrodycie i którą porastały wodorosty, delikatnie falujące w morskich prądach obmywających brzeg. Małe kamyki, które na brzegu nie były niczym innym, jak okrągłymi skalnymi odłamkami, tutaj lśniły się niczym klejnoty. Bryza, która wzburzała zatokę za zakotwiczoną łodzią, nigdy nie docierała do przybrzeżnych głębin. Muskała tylko powierzchnię wody, na której unosił się ponton i samoistnie

zataczał koła, bez wpływu wiatru i morskich prądów. Zastanawiałem się, czy to właśnie nie ów ruch zachęcał głuchą panią Stoli do nurkowania. Skarb był jedynie pretekstem, sposobem zaspokojenia chciwości męża. Głębie morskie dawały szansę ucieczki przed życiem, które musiało być dla niej trudne do zniesienia.

Spojrzałem w stronę wzgórz ponad ustronną piaszczystą lawą i dostrzegłem błysk. Słoneczny promień odbijał się od szklanej soczewki, która wyraźnie się poruszyła. Ktoś obserwował mnie przez lornetkę. Oparłem się na wiosłach i ze zdumienia szeroko otworzyłem oczy. Nad krawędzią urwiska przemykały dwie postacie, które natychmiast rozpoznałem. Jedną z nich była pani Stoli, a drugą Grek, który przedtem opiekował się łodzią. Obejrzałem się przez ramię w kierunku zakotwiczonej motorówki. Mój sternik nadal patrzył w morze. Niczego nie zauważył.

Pochodzenie śladów stóp przed chatą zostało wyjaśnione. Pani Stoli złożyła tam w towarzystwie Greka ostatnią wizytę w celu uprzątnięcia skorup. A teraz, kiedy misja została wypełniona, mogli jechać na lotnisko, by złapać popołudniowy samolot do Aten. Musieli nałożyć drogi, pokonując kilkukilo — metrowy objazd wzdłuż wybrzeża. Ale gdzie się podziewał Stoli? Pewnie, czekając na ich powrót, zasnął na tylnym siedzeniu w samochodzie, który stał zaparkowany powyżej słonych mielizn.

Widok kobiety pogłębił we mnie uczucie niezadowolenia. Żałowałem, że zdecydowałem się na tę wyprawę. Sternik mówił prawdę; ponton dryfował teraz nad skałami. Pewnie przebiegał tędy podwodny grzbiet, będący przedłużeniem nadbrzeżnych wzniesień. Piasek pociemniał, zmienił swoją strukturę i stał się szary. Pochyliłem się nad wodą, przyłożyłem dłonie do oczu i zobaczyłem nagle ogromną kotwicę. Jej ramiona oblepiała wielowiekowa warstwa skorupiaków. Gdy ponton przesunął się dalej, przed moimi oczami pojawił się szkielet zatopionego statku, połamany i bez omasztowania, a jego pokłady, jeśli w ogóle

kiedykolwiek istniały, zostały dawno temu rozebrane albo uległy całkowitemu zniszczeniu.

Stoli miał rację: wrak był doszczętnie splądrowany. Nie mogło tu już nic pozostać, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość. Z pewnością nie było tu żadnych dzbanów, kubków ani monet. Nagły powiew zburzył powierzchnię wody, a gdy znowu stała się przejrzysta, dostrzegłem drugą kotwicę pod dziobem oraz ludzkie zwłoki uwięzione między jej łapami. Ruch wody stwarzał wrażenie, że ciało obudziło się do życia, by stoczyć rozpaczliwą i daremną walkę o uwolnienie się z pułapki. Miną dni i noce, upłyną miesiące i lata, ciało powoli zniknie, a pod zębami kotwicy zostanie tylko ludzki szkielet.

To były zwłoki Stolla, jego głowa, tułów i groteskowo zwisające, jak u kukły, kończyny, które pod naporem prądu kołysały się w przód i w tył.

Spojrzałem raz jeszcze w stronę szczytu wzgórza, ale dwie postacie nie były już widoczne. W zatrważającym przeblysku intuicji zobaczyłem przed oczami dumnie stąpającego po piaszczystej mierzei i trzymającego uniesioną do ust butelkę Stolla, w chwili gdy otrzymuje cios w głowę i zostaje zaciągnięty nad brzeg. To żona zawlokła jego ciało do miejsca ostatecznego spoczynku w głębinie i nabiła na pokrytą skorupiakami kotwicę. A ja byłem jedynym świadkiem losu, jaki go spotkał. Bez względu na to, jakich kłamstw pani Stoli chciała użyć, tłumacząc zniknięcie męża, postanowiłem milczeć. To nie ja byłem odpowiedzialny za tę śmierć i choćby miało mnie gnębić coraz większe poczucie winy, nie zamierzałem dać się wciągnąć w tę sprawę.

Usłyszałem zdławiony odgłos i z najwyższym przerażeniem stwierdziłem, że to ja sam go wydałem. Uderzyłem wiosłami o wodę, zmierzając w stronę łodzi. Zacząłem oddalać się od wraku. W trakcie wiosłowania natrafiłem ręką na kubek. Ogarnięty paniką, wydobyłem go z kieszeni i cisnąłem za burtę. Ale już wtedy wiedziałem, że mój gest na niewiele się przyda. Naczynie nie zatoneło natychmiast, lecz przez chwilę podskakiwało na powierzchni, nim powoli

napełniło się jasnozieloną, przejrzystą wodą, przypominającą napój z jęczmienia z dodatkiem wywaru świerka i bluszczu. Szkodliwy, diabelski napar, za pomocą którego uśmiechnięty bóg Dionizos ograniczał świadomość, zaćmiewał umysł, przemieniał swoich wyznawców w nałogowych pijaków i wciąż domagał się nowych ofiar. Szeroko otwarte oczy w opuchniętej twarzy patrzyły w górę prosto na mnie. Nie były to tylko oczy Siłenosa — satyra i nauczyciela — ani nieżyjącego Stolla, ale również moje własne, których odbicie wkrótce zobaczyłem w lustrze. Kryły w swojej głębi pełnię wiedzy i bezmiar rozpacz.



Skrajny przypadek

Spał około dziesięciu minut. Z pewnością nie dłużej. Shelagh przyniosła przedtem z gabinetu stary album ze zdjęciami, żeby ojca trochę rozerwać, i oboje ze śmiechem go przeglądali. Wszystko wskazywało na to, że chory ma się znacznie lepiej. Pielęgniarka uznała, że może zostawić pacjenta pod opieką córki, i wybrała się po południu na spacer, podczas gdy pani Money wymknęła się samochodem do miasta z zamiarem pójścia do fryzjera. Doktor zapewnił domowników, że kryzys minął. Dalsza rekonwalescencja była już tylko kwestią należytego wypoczynku, spokoju i wystrzegania się trosk.

Shelagh stała przy oknie i patrzyła na ogród. Zamierzała tak długo pozostać w domu, jak długo ojciec będzie chciał ją mieć przy sobie. Nie miałyby sumienia go opuścić, gdyby stan jego zdrowia budził jakiegokolwiek wątpliwości. Problem polegał tylko na tym, że jeśli odrzuci propozycję zagrania głównych ról w sztukach Szekspira, jaką otrzymała od Zrzeszenia Teatrów, podobna szansa może się już więcej nie powtórzyć. Rozalinda, Porcja, Wiola... zwłaszcza Wiola dostarczyłaby jej największej radości. Tęskniące serce ukrywało się pod płaszczkiem obłudy, a świadomość zdrady zaostrzała apetyt.

Uśmiechnęła się bezwiednie, założyła włosy za uszy, przechyliła na bok głowę i kładąc rękę na biodrze, zaczęła grać Cezaria. Nagle usłyszała szmer od strony łóżka. To ojciec z trudem dźwignął się do pozycji siedzącej i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, a w jego wzroku malowało się przerażenie i niedowierzanie.

— Och, nie... Jinnie... — zawołał. — O mój Boże!

— O co chodzi, tato? Co się stało? — spytała, podbiegając do niego.

Próbował odprawić ją machnięciem ręki i potrząsając głową, a gdy osunął się na poduszki, wiedziała, że umarł.

Wypadła z pokoju, przywołując pielęgniarkę. Zaraz przypomniała sobie jednak, że ma wychodne i poszła na spacer. Mogła wybrać się na pola, gdziekolwiek. Shelagh pędem zbiegła po schodach, żeby odszukać matkę, ale dom był pusty, a drzwi od garażu na oścież otwarte. Matka najwyraźniej pojechała dokądś samochodem. Dlaczego? Po co? Nie miała zwyczaju informować nikogo o swoich wyjściach. Shelagh chwyciła za słuchawkę telefonu w hallu i drżącymi dłońmi wykręciła numer lekarza, ale odpowiedział jej bezdźwięczny i mechaniczny głos z taśmy magnetofonowej: „Mówi doktor Dray. Będę nieobecny w domu do godziny piątej. Wiadomość zostanie zarejestrowana. Proszę zacząć nagrywać”. Potem rozległo się tykanie zegara w celu zapoznania rozmówcy z aktualnym czasem i ponownie odezwał się głos: „Trzeci sygnał nastąpi dokładnie w dwadzieścia dwie sekundy po godzinie drugiej czterdzieści dwie...”

Shelagh cisnęła słuchawką i zaczęła gorączkowo szukać w książce telefonicznej numeru partnera doktora Draya — młodego człowieka, który niedawno rozpoczął praktykę i którego nawet nie знаła. Tym razem odpowiedział jej ożywiony, kobiecy głos. Dobiegł ją też płacz dziecka i ryk nastawionego na pełny regulator radia. Kobieta ze zniecierpliwieniem napomniała dziecko, żeby się uciszyło.

— Mówi Shelagh Money, z Whitegates, przy Great Marsden. Proszę przekazać doktorowi, żeby natychmiast tu przyjechał. Mój ojciec przed chwilą zmarł. Pielęgniarka ma wychodne i jestem sama w domu. Nie zdołałam znaleźć doktora Draya.

Głos jej się załamał. Prędką, pełną współczucia reakcją kobiety: „Natychmiast zawiadomię męża”, uniemożliwiała jakiegokolwiek dalsze wyjaśnienia. Shelagh nie była już w stanie wydobyć z siebie słowa. Odwróciła się od telefonu i po omacku wbiegła z powrotem na górę do sypialni. Ojciec, z zastygłym wyrazem przerażenia na twarzy, leżał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Uklękła obok niego i pocałowała w rękę. Po policzkach popłynęły jej łzy. Dlaczego? —

zadawała sobie pytanie. Co się stało? Co ja takiego zrobiłam? Bo gdy ojciec ją zawołał, używając zdrobnienia z czasów dzieciństwa: „Jinnie”, nie miała wrażenia, że ze snu wyrwał go dotkliwy ból. Jego krzyk był raczej oskarżeniem, jak gdyby dopuściła się jakiegoś czynu — przerażającego i przekraczającego wszelkie wyobrażenie. „Och, nie... Jinnie! O mój Boże!” — Próbował ją powstrzymać, gdy biegła do niego, i umarł prawie natychmiast.

Nie zniosę tego, nie zniosę, myślała. Co złego zrobiłam? Podniosła się z klęczek i wciąż oślepiona łzami, podeszła do otwartego okna. Obejrzała się przez ramię w stronę łóżka. Ojciec nie patrzył już na nią. Leżał nieruchomo. Odszedł. Chwila prawdy przepadła na zawsze i Shelagh nigdy jej nie pozna. To, co się wydarzyło, należało już do przeszłości — do innego wymiaru czasu, a teraz była teraźniejszość oraz ta część przyszłości, której on już nie będzie mógł z nią dzielić i która na zawsze pozostanie dla niego nie wypełniona, jak puste kartki w albumie na fotografię przy łóżku. Jeśli nawet odgadł mój zamiar, potrafił przecież czytać w moich myślach, to z pewnością nie moje plany stały się powodem jego wzburzenia, rozumowała. Wiedział, że mam ochotę zagrać rolę proponowane przez Zrzeszenie Teatrów. Zachęcał mnie, żebym przyjęła ofertę i był nią zachwycony. Przecież nie zamierzałam odejść i porzucić go bez uprzedzenia... Jak więc wytłumaczyć sobie wyraz przerażenia i niedowierzania na jego twarzy?

Zapatrzyła się przed siebie. Gwałtowny podmuch wichru porwał opadłe liście, które tworzyły na trawniku jesienny dywan, wzbił je w powietrze jak ptaki i porozrzucił we wszystkich kierunkach. Unosiły się w jego porywach i wirując, osobno opadały na ziemię. I chociaż kiedyś rozwijały się mocno złączone z rodzicielskimi konarami, choć przez całe lato lśniły się i zieleniły, to teraz były już obumarłe. Drzewa się ich wyrzekły, więc stały się igraszką przypadkowych zrywów leniuchującego wiatru. Po zachodzie słońca, gdy zapadał zmrok i znikwały z nich połyskujące złotem odbicia dziennego światła, wydawały się pomarszczone, bezużyteczne i suche.

Shelagh usłyszała podjeżdżający samochód. Opuściła pokój i stanęła na górnym podeście schodów, spodziewając się lekarza. Ale to wróciła matka. Weszła frontowym wejściem do hallu i ściągnęła rękawiczki. Jej ufryzowane, lśniące włosy były upięte w wysoki kok. Nieświadoma utkwionych w niej oczu córki, zatrzymała się na chwilę przed lustrem i poprawiła niesforny kosmyk. A potem wyjęła szminkę z torebki i pociągnęła nią usta. Odwróciła głowę, słysząc trzask zamykanych drzwi przy kuchennym wejściu.

— Czy to pani, siostrze? — zawołała. — Co z herbatą? Proponuję, żebyśmy wypily ją na gorze.

Ponownie spojrzała do lustra, podniosła głowę i przykładając kosmetyczną chusteczkę do warg, usunęła z nich nadmiar pomadki.

Od strony kuchni nadeszła pielęgniarka. Bez swojego kitla wyglądała inaczej niż zwykle. Miała na sobie pożyczoną od Shelagh wełnianą kurtkę, a jej zazwyczaj schludnie uczesane włosy były potargane.

— Urocze popołudnie — stwierdziła. — Byłam na długim spacerze po polach. Powietrze jest dzisiaj takie orzeźwiające, a wiatr pozrywał chyba wszystkie pajęczyny. Zaraz zaparzę herbatę. Sama też się chętnie napiję. A jak się miewa mój pacjent?

One żyją w przeszłości, w chwili, która już nie istnieje, pomyślała Shelagh. Pielęgniarka, w rumieńcach po niedawnym spacerze, nie zje jęczmiennych placków z masłem, które tak lubi, a matka, gdy spojrzy później do lustra, zobaczy pod wysokim kokiem postarzałą, zmizerowaną nagle twarz. Ból, który zjawił się tak niepodziewanie, wyostrzył intuicję Shelagh.

Zobaczyła w wyobraźni pielęgniarkę siedzącą przy łóżku następnego pacjenta, zrzędliviego inwalidy — tak innego od ojca, który zwykł żartować i płatać figle — oraz ubraną stosownie w czerń i biel matkę (sama czerń byłaby jej zdaniem zbyt surowa), która odpowiada listownie na kondolencje — zaczynając od najważniejszych osobistości.

Nagle obie kobiety dostrzegły jej obecność.

— On nie żyje — powiedziała Shelagh.

Skierowane w górę oczy patrzyły na nią z takim samym niedowierzaniem, jak przed chwilą oczy ojca. W ich wzroku nie było jednak przerażenia ani oskarżeń. A gdy pielęgniarka, która pierwsza odzyskała równowagę, wbiegła na górę, Shelagh zobaczyła, że starannie utrzymana i nadal piękna twarz matki marszczy się i wykrzywia w grymasie bólu, niczym plastikowa maska.

Nie wolno ci obarczać siebie winą. Nie byłeś w stanie temu zapobiec. To się musiało stać prędzej czy później... To prawda, pomyślała Shelagh. — Ale dlaczego prędzej zamiast później? I dlaczego gdy czyjś ojciec umiera, zostaje zawsze tyle niedomówień? Gdybym wiedziała podczas ostatniej godziny, którą spędziłam przy nim, śmiejąc się i rozmawiając o sprawach bez znaczenia, że w okolicy jego serca tworzy się skrzep, gotów w każdej chwili eksplodować niczym bomba zegarowa, na pewno zachowałabym się inaczej. Nie odstępowałabym go ani na krok i podziękowałabym mu za dziewiętnaście lat szczęścia i miłości. Nie przerzucałabym kartek w albumie, nie drwiłabym z dawnej mody, a już na pewno nie ziewałabym ukradkiem, na skutek czego on, wyczuwając moje znudzenie, upuścił album na podłogę i mruknął: „Nie przejmuj się mną, córeczko, utnę sobie drzemkę”.

„Ludzie zawsze czują to samo w obliczu czyjejś śmierci — zapewniała ją pielęgniarka. — Wydaje się im, że mogli zrobić coś więcej. Mnie też nie dawało to spokoju, gdy odbywałam staż. W wypadku bliskich krewnych jest oczywiście jeszcze gorzej. Przeżyła pani ogromny szok. Ale ze względu na matkę musi pani spróbować wziąć się w garść... ” Ze względu na matkę? Ależ ona nie miałaby nic przeciwko temu, gdybym w tej chwili wyszła z domu, cisnęło się Shelagh na usta. W ten sposób cała uwaga skupiłaby się tylko na niej. I dla niej byłoby przeznaczone całe współczucie. Ludzie podziwialiby ją za odwagę, z jaką stawia

czoło nieszczęściu. A tak uczucia żalu będą podzielone pomiędzy nas obie. Nawet doktor Dray, który przybył w ślad za swoim kolegą, najpierw poklepał po ramieniu Shelagh, a dopiero potem jej matkę.

— On był bardzo z ciebie dumny, moja droga — powiedział. — Często mi to mówił.

Śmierć człowieka jest okazją do prawienia komplementów i do wymiany uprzejmości, jaka w normalnych warunkach byłaby nie do pomyślenia, uznała Shelagh. „Pozwól, że to przyniosę...”, „Pozwól, że odbiorę telefon...”, „Czy mogę nastawić czajnik...” Nadmiar kurtuazji i ukłony, przywodzące na myśl zachowanie mandarynów w kimonach, a jednocześnie próby usprawiedliwienia się za nieobecność w decydującym momencie.

Pielęgniarka (do partnera doktora Draya):

— Nigdy nie wyszłabym na spacer, gdybym nie była całkiem pewna, że pacjent dobrze się czuje. Myślałam, że zarówno pani Money, jak i jej córka są obecne w domu. Tak, dałam mu tabletki..., itd., itd.

Zupełnie jak gdyby zeznawała przed sądem w charakterze świadka, pomyślała Shelagh. Zresztą podobnie jak i my wszyscy.

Matka (zwracając się do tego samego lekarza):

— Zupełnie wyleciało mi z głowy, że pielęgniarka ma dzisiaj wychodne. Byłam ostatnio taka zagoniona i miałam mnóstwo zmartwień, pomyślałam więc, że krótka wizyta u fryzjera pomoże mi się nieco odprężyć. A on wydawał się zdrowszy. Był niemal w tak dobrej formie, jak niegdyś. Nigdy nie oddali łąbym się z domu ani nawet z jego pokoju, gdybym przez moment pomyślała, że...

— Wszyscy mamy ten sam problem! — wybuchnęła Shelagh. — Nikomu z nas taka ewentualność nie przyszła do głowy: ani tobie, ani pielęgniarce, ani doktorowi Drayowi, a nade wszystko mnie, ponieważ to ja jestem osobą, która wtedy przy nim była. I do końca życia nie zapomnę wyrazu jego twarzy.

Przebiegła przez korytarz jak burza i zanosząc się histerycznym płaczem, wpadła do swojego pokoju. Nie zachowywała się w ten sposób od lat — ostatnim razem na widok wgniecionej blachy i zniszczonego ukochanego cacka, gdy pocztowa furgonetka roztrzaskała jej pierwszy samochód zaparkowany na podjeździe przed głównym wejściem. Będą mieli nauczkę. Może to nimi wstrząśnie i przestaną się obnosić z tą swoją cholerną szlachetnością w obliczu śmierci, twierdząc, że była miłosiernym wybawieniem oraz że wszystko się dobrze ułoży. Tak naprawdę to nikogo z tych ludzi nie obchodzi fakt, że ktoś odszedł na zawsze. Na zawsze...

Później tego samego wieczoru, gdy domownicy położyli się już spać, ponieważ śmierć jest bardzo wyczerpująca dla wszystkich, oprócz nieboszczyków, Shelagh zakradła się do pokoju ojca, znalazła album z fotografiami, taktownie odłożony przez pielęgniarkę na stolik w kącie, i przyniosła go do swojej sypialni. Jeszcze wczesnym popołudniem zdjęcia nie miały żadnego znaczenia. Były niczym znajome, przechowywane w szufladzie bożonarodzeniowe kartki sprzed lat. Teraz jednak stały się wspomnieniami pośmiertnymi — jak filmowe migawki wyświetlane w hołdzie zmarłym na telewizyjnym ekranie.

Niemowlę w falbankach z rozdziawioną buzią, siedzące na kocu, podczas gdy rodzice grają w krykieta. Wujek, który zginął podczas pierwszej wojny światowej. Znowu ojciec, tym razem już nie w falbankach, ale w bryczesach, z przydługim kijem do krykieta. Domy dziadków, którzy zmarli dawno temu. Dzieci na plaży. Piknik na wrzosowisku. A potem Dartmouth i zdjęcia statków. Rzędy stojących obok siebie chłopców, młodzieńców i wreszcie mężczyzn. Gdy Shelagh była dzieckiem, chlubiła się tym, że potrafi natychmiast go wskazać: „Ty jesteś tutaj”. Najmniejszy chłopiec stojący na samym końcu rzędu, na kolejnej fotografii znacznie już szczuplejszy i zajmujący miejsce w drugim rzędzie, a potem wyrosnięty i nadspodziewanie przystojny młody człowiek, który przestał już być

dzieckiem. Shelagh prędko przerzuciła kilka następnych kartek ze zdjęciami miejsc — Malty, Aleksandrii, Portsmouth, Green — w ich. Psy, które do niego należały, a których nie znała. „A to jest stary, poczciwy Punch...” (Ojciec zwykł powtarzać, że Punch zawsze wiedział, kiedy okręt miał zawinąć do portu i siedząc w oknie na piętrze, czekał na powrót swojego pana). Oficerowie marynarki wojennej podczas przejażdżki na osłach... grający w tenisa... uczestniczący w wyścigach — wszystkie ujęcia pochodziły sprzed wojny. Nieświadomi roli ofiar, jaką przeznaczył dla nich los, nasunął się Shelagh komentarz, ponieważ z następnych stron albumu zionął smutek. Ukochany statek ojca został wysadzony w powietrze, a wielu spośród uśmiechających się z fotografii młodych mężczyzn straciło życie. „Biedny, poczciwy Monkey White. Z pewnością zostałby admirałem, gdyby przeżył”. Próbowała wyobrazić sobie, jak wesoła twarz Monkeya White'a przemienia się w być może łsą i nalaną podobiznę admirała i gdzieś w głębi duszy była rada z tego, że zginął, chociaż ojciec twierdził, że marynarka wojenna poniosła wraz z jego odejściem niepowetowaną stratę. Inni oficerowie, inne okręty oraz wielki dzień, w którym Mountbatten odwiedził dowodzoną przez ojca jednostkę i został uroczyście powitany na pokładzie przy sygnale gwizdków. Dziedziniec przed Pałacem Buckingham. Ojciec stojący z nieśmiałą miną przed fotore — porterem i wystawiający na pokaz medale.

„Wkrótce potem dorobiliśmy się ciebie”, zwykł mawiać przy fotografii na całą stronę, którą tak podziwiał, a którą ona uważała za śmieszną, choć nigdy przed nim nie przyznałaby się do tego. Na zdjęciu była uwieczniona matka — w wieczorowej toalecie i z sentymentalną miną, którą Shelagh tak dobrze znała. Myśl o tym, że ojciec się zakochał, wprawiała ją w dzieciństwo w zakłopotanie. Jeśli każdy mężczyzna musiał darzyć kogoś miłością, to wybranką serca ojca powinna być jakaś ciemnowłosa, tajemnicza i bezgranicznie inteligentna kobieta, a nie zwykła osoba, która traciła cierpliwość z byle powodu i złościła się, ilekroć ktoś się spóźnił na obiad.

Marynarski ślub i tryumfalny uśmiech panny młodej, który Shelagh również dobrze знаła — matka uśmiechała się w ten sposób, ilekroć stawiała na swoim, co z reguły jej się udawało — oraz tak odmienny, bez cienia tryumfu, szczęśliwy uśmiech ojca. Wyfiokowane druhny, które w swoich kreacjach wydawały się jeszcze grubsze, niż były w rzeczywistości. Matka z pewnością celowo tak je dobrała, by nie zaćmiły jej urodą. Świadek ze strony ojca — przyjaciel Nick, który nawet w części nie dorównywał ojcu aparycją. Był jednym ze zdolniejszych członków poprzedniej załogi, ale na zdjęciu miał wyniosłą minę i wydawał się znudzony.

Miodowy miesiąc, pierwszy dom i wreszcie jej własne podobizny — zdjęcia, które stanowiły część jej życia, poczynając od czasów dzieciństwa po wiek dorosły — na kolanach ojca, w jego ramionach, ujęcia z zeszłorocznej gwiazdki. Ten album mógłby być również moim pośmiertnym wspomnieniem, pomyślała. Zwykliśmy go razem przeglądać. Dwa ostatnie zdjęcia to moje na śniegu, które zrobił mi ojciec, oraz jego, gdy uśmiecha się do mnie przez okno w gabinecie.

Była bliska łez z żalu nad samą sobą. Ale jeśli już miała płakać, to nie nad sobą, lecz nad nim. W którym momencie po południu wyczuł jej znudzenie i odłożył album? To było wtedy, gdy rozmawiali o zainteresowaniach. Zarzucił jej, że jest leniwa do gimnastycznych ćwiczeń i że zażywa za mało ruchu.

— Mam dostateczną gimnastykę w teatrze, kiedy udaję innych ludzi — odparła.

— To nie to samo — stwierdził. — Powinnaś czasami wyrwać się dokądś i poprzebywać na świeżym powietrzu z dala od ludzi. Mam pewien pomysł. Gdy wrócę do zdrowia i będę dysponował gotówką, wybierzemy się we trójkę do Irlandii na ryby. Wyjazd dobrze zrobi twojej matce, a ja nie łowiłem już od lat.

Irlandia? Ryby? Egoistyczne pobudki wzięły w niej górę i wpadła w przerażenie. Propozycja ojca kolidowała z jej teatralnymi planami i Shelagh postanowiła ją wyśmiać.

— Każda minuta pobytu w Irlandii będzie dla mamy torturą — stwierdziła. — O wiele bardziej wolałaby pojechać na południe Francji, do cioci Belli. (Ciotka Bella była siostrą matki i miała własną willę w Cap d'Ail.)

— Przypuszczam, że masz rację — przyznał z uśmiechem. — Ale mnie nie odpowiadałby ten rodzaj rekonwalescencji. Zapomniałaś już, że w połowie jestem Irlandczykiem? Twój dziadek pochodził z hrabstwa Antrim.

— Nie zapomniałam, ale dziadek umarł dawno temu, leży pochowany na cmentarzu w Suffolk i na tym się kończą twoje irlandzkie więzy krwi. Nie masz tam nawet żadnych przyjaciół, prawda?

Nie odpowiedział natychmiast.

— Mieszka tam stary, poczciwy Nick — rzekł po chwili.

„Stary, poczciwy Nick.... Stary, poczciwy Monkey White...

Stary, poczciwy Punch...” Przez moment nie mogła odróżnić imion psów od nazwisk przyjaciół, których nie znała.

— Masz na myśli swojego świadka na ślubie? — rzekła, marszcząc brwi. — Zdawało mi się, że on umarł.

— Umarł dla świata — wyjaśnił zwięźle ojciec. — Kilka lat temu uległ poważnemu wypadkowi samochodowemu i stracił oko. Od tamtej pory żyje jak pustelnik.

— Jakie to smutne. Czy dlatego nigdy nie przysyła nam życzeń na Boże Narodzenie?

— Po części tak... Biedny, poczciwy Nick. Szarmancki, jak oni wszyscy, ale szalenie jako wróg. Skrajny przypadek. Nie mogłem przedstawić go do awansu i obawiam się, że przez długie lata żywił o to do mnie urazę.

— Trudno mu się dziwić. Na jego miejscu czułabym to samo, gdyby mój bliski przyjaciel odmówił mi przesunięcia na wyższe stanowisko.

Pokręcił głową.

— Przyjaźń i obowiązek to dwie różne sprawy. A ja zawsze na pierwszym miejscu stawiałem obowiązek. Ty tego nie zrozumiesz, bo należysz do innego pokolenia. Słusznie postąpiłem, jestem tego pewien, choć wówczas gdy podejmowałem tę decyzję, nie było mi przyjemnie. Taka zadra może sprawić, że człowiek staje się zgorzkniały. Nie zniósłbym myśli, że to ja jestem odpowiedzialny za to, w co się wplątał.

— Co masz na myśli, tato?

— Nie zwracaj sobie tym głowy. To nie twój interes. Poza tym, to już dawno przebrzmiała sprawa. Ale czasami chciałbym...

— Co chciałbyś zrobić, tato?

— Kiedyś jeszcze raz wymienić z nim uścisk dłoni i życzyć mu szczęścia.

Przerzucili kilka następnych kartek albumu. Wkrótce potem Shelagh ziewnęła i leniwym wzrokiem rozejrzała się po pokoju, a ojciec dostrzegając jej znużenie, oświadczył, że się zdrzemnie. To mało prawdopodobne, żeby ktoś umarł na atak serca z powodu znudzenia córki... A może dręczyły go senne koszmary, w których ona była obecna? Może zdawało mu się, że znowu przebywa na tonącym statku w czasie wojny, razem ze starym, poczciwym Monkeyem White'em, z Nickiem oraz ze wszystkimi innymi ginącymi marynarzami i ona również znajduje się obok niego w wodzie? Wiadomo, że w snach mieszają się ze sobą różne fakty. A tymczasem skrzep nieustannie się powiększał jak nadmiar oleju w zegarowym mechanizmie i w każdym momencie, przy najmniejszym drgnięciu dłoni, zegar mógł stanąć.

Ktoś zapukał do drzwi sypialni.

— Proszę! — zawołała Shelagh.

To była pielęgniarka. Pomimo szlafroka wciąż wyglądała bardzo profesjonalnie.

— Chciałam tylko sprawdzić, czy pani się dobrze czuje — szepnęła. — Zauważyłam światło, które się sączy spod drzwi pani pokoju.

— Dziękuję. Wszystko w porządku.

— Pani matka szybko zasnęła. Dałam jej środek uspokajający. Denerwowała się, że jutro jest niedziela i że przed poniedziałkiem będzie kłopot z zamieszczeniem nekrologu w „The Times” i „Telegraph”. Była dzisiaj taka dzielna.

Shelagh wydawało się, że w jej głosie zadźwięczała nuta nagany. Pielęgniarka wyrzucała jej, że osobiście nie zajęła się sprawami organizacyjnymi. Ale czyż nie mogły poczekać do jutra?

— Czy majaki senne mogą zabijać? — spytała na głos.

— Co pani ma na myśli, moja droga?

— Czy to możliwe, że mój ojciec miał koszmarny sen i zmarł z powodu szoku?

Pielęgniarka podeszła do łóżka i wygładziła puchową kołdrę.

— Tak jak już powiedziałam wcześniej, a lekarze podzielili moją opinię, to, co się stało, było nieuchronne. Nie powinna pani bez przerwy o tym rozmyślać. To nie ma sensu. Sądzę, że środek uspokajający pani również dobrze robi.

— Nie chcę żadnych środków.

— Proszę mi wybaczyć, ale uważam, że zachowuje się pani trochę dziecinnie. Smutek w tej sytuacji jest całkiem naturalny, ale roztrząsanie odejścia ojca w taki sposób jest na pewno ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył. Teraz to już skończone. Spoczywa w spokoju.

— A skąd pani wie, że spoczywa w spokoju? — wybuchnęła Shelagh. — Skąd ta pewność, że właśnie w tej chwili jego astralne ciało nie unosi się ponad nami, a

on nie mówi do mnie, wściekły z powodu swojej śmierci: „Ta cholerna pielęgniarka podała mi za dużo pigułek”?

Och, nie, wcale nie chciałam tego powiedzieć, pomyślała Shelagh. Ludzie są zbyt bezbronni, zbyt odkryci. Nieszczęsna kobieta, tracąc zawodowe opanowanie, skurczyła się w swoim szlafroku i, wstrząśnięta, rzekła drżącym głosem:

— Stawianie mi podobnych zarzutów jest niegodziwością z pani strony. Dobrze pani wie, że tego nie zrobiłam.

Shelagh wyskoczyła z łóżka i objęła pielęgniarkę ramieniem.

— Proszę mi wybaczyć — rzekła. — O nic pani nie obwiniam, naprawdę. I ojciec bardzo panią lubił. Zapewniła mu pani cudowną opiekę. Chciałam jedynie powiedzieć... — szukała w myślach jakiegoś wyjaśnienia — że nie wiemy, co się z człowiekiem dzieje w chwili śmierci. Być może czeka w kolejce przed bramą Świętego Piotra razem z innymi ludźmi, którzy w tym dniu umarli, a może tłoczy się w jakimś czyścicowym nocnym klubie ze skazanymi na piekło albo tylko dryfuje w zamglonych przestworzach, dopóki mgła nie rozplynie się i wszystko nie stanie się jasne. Zgoda, zażyję środek uspokajający. Pani radzę zrobić to samo. Rano będziemy obie wypoczęte. I proszę nie myśleć więcej o tym, co powiedziałam.

Problem polega na tym, że słowa ranią, pomyślała, gdy już połknęła tabletkę i wróciła do łóżka. A rana pozostawia bliznę. Ilekroć pielęgniarka będzie podawać pacjentowi pigułki, zawsze nasunie się jej wątpliwość, czy postępuje właściwie. Tak jak pytanie w podświadomości ojca o słuszność pozbawienia awansu biednego, poczciwego Nicka i o następstwa wbicia mu zadry w serce. Niedobrze jest umierać, gdy jakaś sprawa ciąży na sumieniu. Człowiek powinien otrzymać ostrzeżenie, żeby mieć szansę wysłania telegramu do osoby, co do której mógł popełnić błąd, i powiedzenia: „Wybacz mi”. By zło zostało raz na zawsze wymazane. To właśnie dlatego ludzie w dawnych czasach gromadzili się przy łożu śmierci. Nie po to, żeby otrzymać coś w testamencie, ale w nadziei na

wzajemne przebaczenie, na puszczenie w niepamięć wszelkich uraz i na oddzielenie dobra od zła — robili to z miłości.

Shelagh była impulsywna i wiedziała, że nigdy się nie zmieni. Taki miała charakter i rodzina oraz przyjaciele musieli się z tym faktem pogodzić. Jednakże dopiero gdy była w drodze z Dublina i jechała wypożyczonym samochodem na północ, uświadomiła sobie rzeczywisty cel zaimprovizowanej podróży. Przybywała tutaj z misją, wypełniając święte posłannictwo. Przywoziła wiadomość z zaświatów. Robiła to w całkowitej tajemnicy. Nikt się nie mógł o tym dowiedzieć. Była pewna, że gdyby powiedziała o tym komukolwiek, zaczęłyby padać pytania i próbowano by ją odwieść od tego zamiaru. Dlatego po pogrzebie przemilczała swoje plany. Matka, zgodnie z oczekiwaniami Shelagh, postanowiła polecieć samolotem do ciotki Belli.

— Czuję, że muszę natychmiast stąd wyjechać — oświadczyła pani Money. — Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale choroba twojego ojca była dla mnie straszliwym stresem. Marzę jedynie o tym, żeby zamknąć oczy, wyciągnąć się na skąpanym w słońcu balkonie ciotki Belli i spróbować zapomnieć o koszmarze ostatnich tygodni.

Jej wypowiedź kojarzyła się z reklamą drogiego mydła: „Pomyśl o sobie”. Naga kobieta zanurzona w wannie z pianą. Matka otrząsnęła się już po pierwszym szoku i wyglądała lepiej. Shelagh wiedziała, że wkrótce skąpany w słońcu taras zapełni się przyjaciółmi ciotki Belli, do grona których należeli przedstawiciele partii socjalistycznej, różni pseudoartyści oraz nudni, starzy homoseksualiści. Ojciec zwykł nazywać znajomych ciotki „bandą hochsztaplerów”, ale matka uważała, że są zabawni.

— A co z tobą? Może wybierzesz się razem ze mną? — zaproponowała matka bez entuzjazmu.

Shelagh przecząco pokręciła głową.

— W przyszłym tygodniu rozpoczynają się próby. Pomyślałam, że przed wyjazdem do Londynu urządzę sobie kilkudniowy wypad samochodem — gdzieś przed siebie, bez określonego celu.

— Dlaczego nie zabierzesz ze sobą którejś z przyjaciółek?

— Wszyscy działają mi teraz na nerwy. Lepiej czuję się w samotności.

Dalsze kontakty pomiędzy matką a córką ograniczały się już tylko do spraw praktycznych. Żadna z nich nie powiedziała: „Czy czujesz się bardzo nieszczęśliwa? Znalazłam się na rozdrożu, a ty? Co zgotuje nam przyszłość?” — Zamiast tego omawiały kwestie wprowadzenia się do nich na stałe ogrodnika z żoną, wizyt u prawnika, które zostały odłożone do czasu powrotu matki z Cap d'Ail, oraz odpowiedzi na listy. Siedziały obojętnie obok siebie i niczym dwie sekretarki odpisywały na listy z kondolencjami: ty zajmiesz się adresatami od A do K, a ja od L do Z i wszędzie powtórzy się mniej więcej ta sama treść: „Głęboko poruszone... Tak bardzo pomocne współczucie państwa...” Czynność przypominała wysyłanie życzeń z okazji świąt Bożego Narodzenia, tylko tekst na kartkach był inny.

Przeglądając stary notes ojca z adresami, Shelagh natknęła się na nazwisko Barry. Kapitan Nicolas Barry, komandor orderu Królewskiej Marynarki Wojennej, w stanie spoczynku. Ballyfane, Lough Torrah, Eire. Zarówno adres, jak i nazwisko, były przekreślone, co zwykle oznaczało, że dana osoba umarła. Shelagh spojrzała na matkę.

— Zastanawiam się, dlaczego do nas nie napisał przyjaciel ojca z dawnych czasów, kapitan Barry? — spytała obojętnym tonem. — Przecież on jeszcze żyje, prawda?

— Kto? — Matka wydawała się roztargniona. — Masz na myśli Nicka? Nie sądzę, żeby umarł. Kilka lat temu miał poważny wypadek samochodowy. Od tamtej pory obaj z ojcem nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Nick już od lat się do nas nie odzywał.

— Jestem ciekawa, dlaczego.

— Nie wiem. Posprzeczali się o coś, ale nie mam pojęcia, co było powodem ich kłótni. Czy przeczytałaś już przemiły list od admirała Arbuthnot? Byliśmy razem w Aleksandrii.

— Tak, przeczytałam. Jaki on był? Mam na myśli Nicka, a nie admirała.

Matka wyprostowała się w fotelu i zastanawiała się nad odpowiedzią.

— Szczerze mówiąc, nigdy nie mogłam go zrozumieć. Czasami brylował w towarzystwie, szczególnie na przyjęciach, i tryskał humorem, a kiedy indziej lekceważył wszystkich i robił uszczypliwe uwagi. Było w nim coś z szaleńca. Pamiętam, jak zatrzymał się u nas po weselu — był świadkiem ze strony ojca na naszym ślubie — i poprzewracał do góry nogami wszystkie meble w salonie. A potem zalał się w pestkę. Co za potworna głupota! Wpadłam wtedy w furję.

— Czy ojciec pogniewał się na niego?

— Nie sędzę. Zresztą już nie pamiętam. Obaj dobrze się znali, razem służyli w wojsku i jako chłopcy byli razem w Dartmouth. A potem Nick opuścił Królewską Marynarkę, wrócił do Irlandii i od tamtej pory odsunęli się od siebie. Odniosłam wrażenie, że Nick został wyrzucony ze służby, ale nigdy nie chciałam o to pytać. Wiesz, jakim milczkiem był twój ojciec w zawodowych sprawach.

— Tak, to prawda...

(Stary, poczciwy Nick. Bolesna zadra. Chciałbym kiedyś jeszcze raz podać mu rękę i życzyć szczęścia...)

Kilka dni potem Shelagh odwiozła matkę na lotnisko i poczyniła plany w związku z własnym odlotem do Dublina. Wieczorem w przeddzień wyjazdu, gdy przeszukiwała dokumenty ojca, natknęła się na świstek papieru z wykazem dat oraz z nazwiskiem Nicka, obok którego znajdował się znak zapytania. Brak było jakichkolwiek wyjaśnień, do czego notatka się odnosi: 5 czerwca 1951 roku, 25 czerwca 1953 roku, 12 czerwca 1954 roku, 17 października 1954 roku, 24 kwietnia 1955 roku, 13 sierpnia 1955. Wykaz nie miał żadnego związku z

pozostałymi dokumentami w kartotece i wszystko wskazywało na to, że został przypadkowo do niej wsunięty. Shelagh przepisała daty na kartce, włożyła ją do koperty i schowała do przewodnika.

I na tym koniec, a teraz była w drodze do... Po co tam jechała? Czy po to, żeby w imieniu zmarłego ojca przeprosić emerytowanego kapitana marynarki wojennej za to, że nie został awansowany? Nieobliczalny w czasach młodości? Dusza towarzystwa na przyjęciach? Obraz, który podsuwała jej wyobraźnia, nie wydawał się zbyt zachęcający — niedołęga w średnim wieku, o śmiechu hieny, który podkłada pod drzwi bomby — pułapki. Może próbował tej sztuczki z Pierwszym Lordem Sił Morskich i został za to wylany ze służby? Wypadek samochodowy przemienił byłego kłowna w zgorzkniałego pustelnika. (Ciekawe, co miał na myśli ojciec, mówiąc, że Nick był szarmancki? Czyżby podczas wojny skakał do skażonej ropą wody, żeby ratować tonących marynarzy?) A teraz, ogryzając paznokcie, siedzi pewnie w jakiejś rezydencji z czasów króla Jerzego albo cudacznym zamku, popija irlandzką whisky i z rozrzewnieniem wspomina psoty, jakie płatał swoim kolegom.

Było łagodne październikowe popołudnie. Jakies sto piętnaście kilometrów za Dublinem zieleń stała się soczystsza, a okolica bardziej wyludniona. W miarę posuwania się na zachód coraz częściej połyskiwała woda, a gdy w polu widzenia pojawiło się niezliczone mnóstwo stawów i jezior z wciśniętymi pomiędzy nie językami łądu, myśl o zadzwonieniu do drzwi rezydencji pierzchła. Nie było okazałych posiadłości, otoczonych wysokimi murami. Za drogą, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się tylko mokre pola, które z pewnością udaremniały dostęp do rozrzuconych w oddali, srebrzących się jezior.

Opis miasteczka Bałlyfane w przewodniku był dość lakoniczny. „Usytuowane na zachód od Jeziora Torrah i otoczone wieloma małymi jeziorkami”. Zajazd „Pod Herbem Kilmore'ów” dysponował sześcioma pokojami, ale w bedekerze nie było żadnej wzmianki na temat ich standardu. W najgorszym razie Shelagh mogła

zatelefonować do Nicka, przedstawić się jako przebywająca w okolicy córka starego przyjaciela, spytać o wygodny hotel w promieniu piętnastu kilometrów i wyrazić nadzieję, że rano będzie mogła złożyć wizytę. Telefon odbierze stary lokaj: „Kapitan będzie zachwycony, jeśli przyjmie pani jego zaproszenie i zechce zatrzymać się w zamku Ballyfane.” A nazajutrz rozlegnie się ujadanie irlandzkich chartów i gospodarz, wspierając się na lasce, osobiście pojawi się na schodach...

Za wzgórzem wyłoniła się najpierw kościelna wieża, a potem samo miasteczko Ballyfane. Wzdłuż nielicznych uliczek, które pięły się w górę wzniesienia, stały domy i sklepy o przygnębiającym wyglądzie. Powyżej witryn widniały namalowane na deskach nazwiska właścicieli, takie jak Driscoll czy Murphy. Ściany gospody „Pod Herbem Kilmore'ów” wymagały pobielenia, ale nagietki w skrzynce za oknem, podejmujące mężny wysiłek ponownego rozkwitu, sugerowały, że właściciel dobrze zna się na kolorach.

Shelagh zaparkowała swojego austina mini i zlustrowała teren. Drzwi do zajazdu były otwarte. Wielka sień, która służyła jednocześnie za salę klubową, była schludna i prawie nie umeblowana. Shelagh nie dostrzegła wewnątrz nikogo, ale dzwonek, który stał na ladzie po lewej stronie od wejścia, najwidoczniej został tam celowo umieszczony. Potrząsnęła nim energicznie i z głębi domu, utykając, wyłonił się mężczyzna o smutnej twarzy, w okularach na nosie. Shelagh odniosła zatrważające wrażenie, że to sam Nick, którego ciężkie czasy zmusiły do podjęcia pracy.

— Dzień dobry — powiedziała. — Czy mogłabym napić się herbaty?

— Może pani — odparł. — Czy mam podać coś do jedzenia?

— Myślę, że tak — rzekła, wyobrażając sobie ciepłe jęczmienne placuszki z wiśniowym dżemem, i posłała mu uśmiech, zarezerwowany wyłącznie dla odźwiernych przy tylnym wejściu do teatru.

— To potrwa około dziesięciu minut — uprzedził mężczyzna. — Jadalnia znajduje się po prawej stronie. Trzeba zejść po schodkach w dół. Z daleka pani przyjechała?

— Z Dublina — odparła.

— Przyjemna przejażdżka. Wróciłem stamtąd tydzień temu.

Moja żona, pani Doherty, ma tam krewnych. Teraz choruje i dlatego jest nieobecna.

Shelagh zastanawiała się, czy nie powinna przeprosić za kłopot, jaki mu sprawia, ale mężczyzna już zniknął. Zeszła do jadalni. Sześć nakrytych stolików czekało na gości, lecz Shelagh odniosła wrażenie, że od wielu dni nikt się tutaj nie stołował. Ścienny zegar tykał głośno, przerywając ciszę. Z zaplecza wyłoniła się dziewczyna. Dyszała ciężko, niosąc tacę, na której stał duży dzbanek herbaty, a zamiast placków jęczmiennych i dżemu wiśniowego talerz z dwoma usmażonymi jajkami i trzema plasterkami tłustego bekonu oraz z kopsiastą porcją frytek. Niezła przekąska... Nie chcąc urazić pana Doherty, Shelagh musiała zjeść wszystko. Dziewczyna zniknęła, a czarno — biały kot, który zjawił się razem z herbatą, wygiął się w łuk i zamruczał głośno, ocierając się o nogi Shelagh. Ukradkiem nakarmiła go bekonem i jednym jajkiem, a z resztą uporała się sama. Herbata była bardzo gorąca i mocna. Shelagh upiła łyk i poczuła, jak pali jej wnętrzności.

Dziewczyna znowu się pojawiła.

— Czy smakowało pani? — spytała z troską. — Jeśli nadal jest pani głodna, mogę usmażyć jeszcze jedno jajko.

— Nie, dziękuję — odparła Shelagh. — Najadłam się do syta. Czy ma pani książkę telefoniczną? Chciałabym odszukać numer mojej przyjaciółki.

Książka została dostarczona i Shelagh zaczęła wertować stronicę. Barrych było całe mnóstwo, ale żaden z nich nie mieszkał w tej okolicy. W każdym razie nikt, kto byłby kapitanem Królewskiej Marynarki Wojennej w stanie spoczynku i miał

na imię Nicolas. Podróż okazała się daremnym wysiłkiem. Nastrój wielkiego oczekiwania prysnął, ustępując miejsca zwątpieniu.

— Ile jestem winna za przekąskę i herbatę? — spytała.

Dziewczyna wymamrotała jakąś skromną kwotę. Shelagh

podziękowała jej, zapłaciła, minęła sień i wyszła na ulicę. Po drugiej stronie znajdował się urząd pocztowy. Postanowiła podjąć ostatnią próbę zasięgnięcia informacji. W razie ponownego niepowodzenia była gotowa wyruszyć w drogę powrotną do Dublina i znaleźć przy drodze jakiś przy — zwoity hotel, w którym mogłaby odpocząć, wziąć gorącą kąpiel i wygodnie przenocować. Odczekała cierpliwie, aż klientka przed nią kupi znaczki, a klient dowie się o wysyłkę paczek do Ameryki, a potem zwróciła się do urzędnika w okratowanym okienku:

— Przepraszam, czy mógłby mi pan pomóc? Nie wie pan przypadkiem, czy w tej okolicy mieszka kapitan Barry?

Mężczyzna wytrzeszczył na nią oczy.

— Ależ tak, mieszka tutaj od dwudziestu lat.

Co za radość! Co za ulga! Można pełnić misję dalej. Nie wszystko stracone.

— Rzecz w tym, że nie zdołałam znaleźć jego nazwiska w książce telefonicznej — wyjaśniła.

— Nic dziwnego — stwierdził urzędnik. — Na Wyspie Jagnięcej nie ma telefonów.

— Na Wyspie Jagnięcej? — powtórzyła Shelagh. — Czy chce pan powiedzieć, że kapitan mieszka na wyspie?

Mężczyzna spojrział na nią zdziwony, jak gdyby zadała niemądre pytanie.

— W południowej części Jeziora Torrah. W prostej linii to jakieś sześć i pół kilometra stąd. Ale można tam dotrzeć tylko łodzią. Jeśli chce się pani skontaktować z kapitanem Barry, to radzę umówić się z nim listownie. On nieczęsto widuje się z ludźmi.

Głęboka zadra... Pustelnik....

— Rozumiem. Nie wiedziałam o tym. Czy z drogi można zobaczyć wyspę?
Wzruszył ramionami.

— Jakieś półtora kilometra za Bałlyfane znajduje się zjazd do jeziora. Ale to tylko wyboista ścieżka, nic więcej. Nie zdoła pani przebyć jej samochodem. Ale jeśli ma pani solidne buty, bez trudu dotrze pani pieszo nad brzeg. Najlepiej udać się tam za dnia. Po zmierzchu można zablądzić, tym bardziej że wtedy nad wodą unoszą się mgły.

— Bardzo panu dziękuję.

Gdy opuszczała budynek poczty, czuła utkwiony w swoich plecach wzrok urzędnika. I co teraz? Uznała, że lepiej znieść wątpliwy komfort zajazdu „Pod Herbem Kilmore'ów” i niestrawność, niż ryzykować wyprawę dzisiejszego wieczoru. Gdy wróciła do hotelu, natknęła się w drzwiach wejściowych na pana Doherty.

— Przypuszczam, że mogę tutaj wynająć pokój na jedną noc? — spytała.

— Oczywiście — odparł. — Prosimy bardzo. Teraz mamy tu spokój, ale w sezonie turystycznym zdziwiłaby się pani — rzadko dysponujemy wolnym łóżkiem. Zaniosę pani bagaż. Może pani bezpiecznie zostawić samochód na ulicy.

Chcąc ją zadowolić, pokuśtykał do bagażnika i przyniósł walizkę. A potem zaprowadził ją na piętro do małego, dwuosobowego pokoju z oknami wychodzącymi na ulicę.

— Policzę pani tylko za jedno łóżko — zapewnił. — Dwadzieścia dwa szylingi razem ze śniadaniem. Łazienka znajduje się po drugiej stronie korytarza.

Dosyć zabawne miejsce — ale najważniejsze, że było jednak wyposażone w podstawowe urządzenia sanitarne. Pewnie wieczorem, gdy do baru ściągają mieszkańcy miasteczka, na dole rozpoczną się chóralne śpiewy. A Shelagh, popijając piwo marki Guinness z wielkiego kufla, będzie się im przyglądać i może się nawet do nich przyłączyć.

Dokonała inspekcji łazienki, której widok przypomniał jej o wszystkich zapadłych dziurach odwiedzanych podczas tournée. Z jednego kurka kapąły krople, zostawiając na wannie brązową plamę, a gdy Shelagh go odkręciła, z kranu trysnęła woda z siłą wodospadu. Ale była gorąca. Shelagh wypakowała swoje rzeczy, wykąpała się, z powrotem ubrała i zeszła na dół. Z końca korytarza dobiegały głosy. Podążając za nimi, dotarła do baru. Za kontuarem stał sam pan Doherty. Gdy weszła, gwar ucichł, a oczy wszystkich skierowały się na nią. Wśród grona sześciu mężczyzn rozpoznała urzędnika poczty.

— Dobry wieczór — powiedziała pogodnym tonem.

Wszyscy odpowiedzieli jej mruknięciem i powrócili do rozmów. Zamówiła whisky. Poczła się nagle skrępowana, że tkwi za barem na wysokim stołku. To śmieszne. Przecież podczas tournée odwiedzała różne lokale, a ten nie wyróżniał się niczym szczególnym.

— Czy to pani pierwsza wizyta w Irlandii? — zagadnął ją pan Doherty, nalewając whisky i wciąż starając się jej przypodobać.

— Tak, pierwsza — przyznała. — Trochę mi wstyd, że nie zdecydowałam się na nią wcześniej. Mój dziadek był Irlandczykiem. Muszę przyznać, że jest tutaj prześlicznie. Jutro zamierzam pojechać nad jezioro i rozejrzeć się po okolicy.

Rzuciła wzrokiem na drugą stronę baru i stwierdziła, że urzędnik poczty nie odrywa od niej oczu.

— Zatrzyma się pani u nas na kilka dni? — spytał pan Doherty. — Mogę zorganizować dla pani sprzęt wędkarski, jeśli lubi pani łowić ryby.

— Nie jestem pewna... To nie zależy ode mnie.

Wypowiedziane po angielsku słowa głośno zabrzmiały w

barze, przypomniały jej o matce i poczuła się nagle jak eleganka z ilustrowanego magazynu. Na moment ucichł zgiełk prowadzonych rozmów. Zachowanie mieszkańców miasteczka dalekie było od irlandzkiej jowialności, jakiej się spodziewała. Nikt nie miał zamiaru chwytać za skrzypce, tańczyć giga

ani śpiewać. Być może odnoszono się tutaj z podejrzliwością do młodych kobiet, które samotnie przesiadywały w nocnych barach.

— Jeśli ma pani ochotę coś zjeść, to kolacja jest już gotowa — oznajmił pan Doherty.

Zrozumiała jego wskazówkę, zsunęła się ze stołka i czując się o dziesięć lat starzej, przeszła do jadalni. Zupa, ryba i befsztyk — tyle trudu sobie zadali. A ona zadowoliliby się plasterkiem szynki. Ale nie mogła niczego zostawić na talerzu. Uwieńczeniem posiłku było ciastko obficie nasączone sherry.

Shelagh spojrzała na zegarek. Było dopiero wpół do dziewiątej .

— Czy podać pani kawę w sali klubowej?

— Tak, bardzo proszę.

— Włączę pani telewizor.

Dziewczyna z obsługi hotelowej przysunęła fotel blisko odbiornika i Shelagh usiadła przy kawie, na którą nie miała ochoty. Na ekranie przesuwały się sceny z amerykańskiej komedii z 1950 roku. Od strony baru dobiegał gwar głosów. Shelagh przelała kawę z powrotem do dzbanka i ukradkiem weszła na górę, żeby wziąć płaszcz. Zostawiając włączony telewizor, którego dźwięk głośno dudnił w pustej sali, opuściła hotel. Ulica była całkiem wyludniona. Wszyscy obywatele Bałlyfane leżeli już w łóżkach i przebywali w bezpiecznym zaciszu swoich domów. Shelagh wsiadła do samochodu, przejechała przez opustoszałe miasteczko i wróciła do drogi, którą po południu tutaj przybyła. Według informacji pracownika poczty zjazd nad jezioro powinien znajdować się półtora kilometra za Bałlyfane.

W blasku samochodowych świateł pojawił się przekrzywiony znak drogowy, na którym widniał napis: „Przejdźcie nad Jezioro Torrah”. Wąska i wijąca się ścieżka prowadziła w dół zbocza. Zapuszczanie się w nią bez latarki, tylko przy świetle księżyca, który akurat znajdował się w trzeciej kwadrze i rzucał skąpy

blask zza wału gnających po niebie chmur, nie było rozsądne. A jednak... Shelagh mogła przecież pokonać tylko część drogi; choćby dla zdrowia.

Zostawiła samochód tuż pod znakiem i ruszyła w dół. Jej buty, na szczęście na płaskich obcasach, grzęzły w błocie. Gdy tylko zobaczę przebłyskującą wodę, zawrócę. A jutro wstanę o świcie, zapakuję drugie śniadanie i zastanowię się nad planem szturmu, pomyślała. W blasku księżyca, który wyłonił się zza chmur, pokazała się ścieżka i nagle Shelagh zobaczyła przed sobą ogromną taflę jeziora, otoczonego krawędzią wystającego lądu, a na samym środku porośniętą drzewami wyspę. Było w niej coś niesamowitego i ponurego. Woda zasrebrzyła się w świetle księżyca, ale wybrzuszenie lądu, przywodzące na myśl grzbiet wielorybi, nadal pozostało pograżone w ciemnościach.

Jagnięca Wyspa... Nie wiadomo dlaczego Shelagh przypomniały się legendy — nie o dawnych irlandzkich wodzach ani o nienawiści pomiędzy plemionami — ale o ofiarach, jakie w zaraniu dziejów składano bogom. Kamienne ołtarze na polanach. I leżące w popiołach ognisk jagnięta z poderżniętymi gardłami. Zastanawiała się, jak daleko od brzegu znajduje się wyspa. Nocą ocena odległości nie była łatwa. Po lewej stronie wpadał do jeziora postrzępiony trzciniami strumień. Shelagh skierowała się w jego stronę, uważnie wybierając drogę pomiędzy kamieniami i błotem. Nagle spostrzegła przywiązaną do pniaka łódź oraz stojącego obok niej mężczyznę. Patrzył w jej kierunku. Ogarnęła ją panika i zaczęła się cofać. Ale na niewiele się jej to zdało. Mężczyzna prędko poruszał się po błotnistym zboczu i wkrótce znalazł się przy niej.

— Gzy pani kogoś szuka? — spytał.

Był młody i dobrze zbudowany, miał na sobie golf i drelichowe spodnie i mówił z tutejszym akcentem.

— Nie — odparła Shelagh. — Zwiedzam okolicę. Wieczór jest tak cudowny, że postanowiłam pójść na spacer.

— Wybrała pani dość odludne miejsce na tę samotną przechadzkę — zauważył. — Przyjechała pani z daleka?

— Nie, z Ballyfane. Zatrzymałam się w zajezdzie „Pod Herbem Kilmore'ów”.

— Rozumiem. Jeśli jest pani amatorką wędkarstwa, to ryby lepiej biorą nad jeziorem po drugiej stronie miasteczka.

— Dziękuję panu. Będę o tym pamiętać.

Zapadło milczenie. Shelagh zastanawiała się, czy powinna dodać coś jeszcze, czy po prostu życzyć mu spokojnej nocy, odwrócić się i odejść. Spojrzał ponad jej ramieniem w stronę ścieżki. Dobiegł ją chłopot czyichś stóp poruszających się w błocie. Z ciemności wyłoniła się postać i skierowała się w ich stronę. Był to pracownik urzędu pocztowego z Ballyfane. Shelagh sama nie wiedziała, czy ma z ulgą powitać jego obecność.

— Dobry wieczór. Znowu się spotykamy — powiedziała zbyt serdecznie. — Jak pan widzi, nie czekałam do rana. Dzięki pana wskazówkom nawet po ciemku zdołałam znaleźć drogę.

— Zauważyłem pani samochód na szosie, zaparkowany tuż przy zjeździe. Pomyślałem, że na wszelki wypadek zejdę i sprawdzę, czy nie przytrafiło się pani nic złego.

— To bardzo uprzejmie z pana strony — rzekła Shelagh. — Ale niepotrzebnie się pan trudził.

— Żaden kłopot. Przeważnie nigdy za wiele — zauważył i zwrócił się do młodego mężczyzny w golfie:

— Uroczy wieczór, Michael, prawda?

— O tak, panie O'Reilly. Ta młoda dama powiedziała mi, że przyjechała tutaj rya ryby. Poradziłem jej, żeby uprawiała wędkarstwo po drugiej stronie Ballyfane.

— Słusznie, jeśli rzeczywiście taki jest cel jej przyjazdu — zauważył urzędnik poczty i twarz po raz pierwszy mu się rozjaśniła. Jego uśmiech był nieprzyjemny,

zbyt chytry. — Ta młoda dama była dzisiaj po południu na poczcie i dopytywała się o kapitana Barry'ego. Zdziwiła się, że na wyspie nie ma telefonu.

— Coś podobnego! — rzekł młody człowiek. Wydobył latarkę z kieszeni i bezceremonialnie zaświecił nią Shelagh prosto w twarz.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie miałem przyjemności wcześniej panią poznać. Jeśli zechce mi pani powiedzieć, jaka sprawa do kapitana sprowadza panią tutaj, to chętnie przekażę wiadomość.

— Michael mieszka na Wyspie Jagnięcej — wyjaśnił pracownik poczty. — Pracuje jako ochroniarz kapitana i strzeże go przed nieproszonymi gośćmi.

Powiedział to ze znaczącym uśmiechem, który wydał się Shelagh tak odrażający, że zapragnęła z powrotem znaleźć się w schludnym pokoju zajazdu „Pod Herbem Kilmore'ów”, z dala od groźnie wyglądającego jeziora i tych dwóch obcych mężczyzn.

— Niestety, nie mogę skorzystać z pana pośrednictwa. To sprawa natury osobistej. Będzie lepiej, jeśli sama napiszę z hotelu do kapitana Barry'ego. On się mnie nie spodziewa.

Nie uszedł ich uwagi fakt, że straciła panowanie nad sobą. Widziała, jak wymienili spojrzenia. Młody mężczyzna kiwnął głową, odwołując na bok pracownika poczty. Rozprawiali o czymś przez chwilę. Narastał w niej niepokój.

— Powiem pani, co zrobimy — zwrócił się do niej młodszy z mężczyzn. Uśmiechał się przy tym trochę zbyt szeroko. — Zawieziemy panią na wyspę, a kapitan sam zadecyduje, czy będzie chciał się z panią widzieć.

— Och nie... nie teraz — rzekła Shelagh, cofając się. — Pora jest zbyt późna. Wrócę tutaj rano i wtedy poproszę pana o pomoc w przeprawieniu się przez jezioro.

— Lepiej mieć to od razu za sobą — oświadczył Michael.

Mieć za sobą? Co miał na myśli? Kilka miesięcy temu Shelagh przechwalała się przed przyjaciółmi na przyjęciu z okazji premiery, że z wyjątkiem zaniemówienia na scenie niczego się w życiu nie boi. Tymczasem teraz była przerażona nie na żarty.

— Będą czekać na mnie w hotelu — rzekła pospiesznie. — Jeśli zaraz nie wrócę, pan Doherty zawiadomi policję.

— Proszę się nie martwić — powiedział urzędnik poczty. — Mój przyjaciel czeka na górze przy drodze. Odwiezie pani samochód pod gospodę, a Timowi Doherty sami wszystko wyjaśnimy.

Zanim zdołała zaprotestować, chwycili ją pod ramiona i sprowadzili na dół do łodzi. To nie może być prawda, pomyślała. To nie dzieje się w rzeczywistości. Z gardła wydobył się jej zdławiony szloch, przypominający łkanie przerażonego dziecka.

— Proszę się uspokoić — przywołał ją do porządku Michael. — Nie spadnie pani włos z głowy. Sama pani mówiła, że dzisiejszy wieczór jest cudowny. Na wodzie wyda się pani jeszcze piękniejszy. I może zobaczy pani skaczące ryby.

Pomógł jej wsiąść do łodzi i popchnął ją lekko w stronę rufy. Pracownik poczty został na brzegu. To lepiej, pomyślała. Teraz przynajmniej jest tylko jeden.

— Do zobaczenia, panie O'Reilly — zawołał cicho Michael, zapuszczając silnik i odczepiając cumę.

— Do zobaczenia, chłopcze — odkrzyknął mężczyzna.

Łódź wypłynęła z trzciny na otwarte jezioro. Mały silnik wydawał cichy, przytłumiony szmer. Pracownik poczty pomachał ręką, a potem zawrócił i ruszył w górę, kierując się w stronę ścieżki.

Podróż na wyspę nie trwała dłużej jak pięć minut. Łąd stały widziany od strony jeziora wydawał się ciemny i odległy, a dalekie wzgórza odcinały się na tle nieba złowieszczą plamą. Pokrzepiające na duchu światła Bałlyfane zniknęły z pola widzenia. Shelagh nigdy nie czuła się bardziej bezbronna i samotna. Michael nie

odezwał się ani słowem, dopóki motorówka nie przybiła do małej pływającej przystani zbudowanej przy wąskim nabrzeżu. Gęsto rosnące drzewa rozpościerały się tuż nad wodą. Michael przywiązał łódź i podał rękę Shelagh.

— Prawdę mówiąc, kapitan jest teraz na spotkaniu po drugiej stronie jeziora, ale wróci przed północą. Zaprowadzę panią do domu, gdzie steward zaopiekuje się panią.

Steward... Zamek Bałlyfane i rezydencja z czasów króla Jerzego powróciły do krainy fantazji, w której powstały. Ale słowo steward miało średniowieczny wydźwięk. Kojarzyło się z Malwoliem przycinającym knoty świec, z kamiennymi schodami prowadzącymi do sali audiencyjnej oraz z wilczurami strzegącymi drzwi. Shelagh poczuła się odrobinę pewniej. Michael nie zamierzał udusić jej pod drzewami.

Dom wyłonił się po niespełna trzydziestu metrach. Był usytuowany na polanie. Długi, niski, jednokondygnacyjny budynek ze składanych elementów przypominał szpitale stawiane przez misjonarzy w dżunglach dla chorych tubylców. Michael zaprowadził Shelagh po schodkach na werandę, ciągnącą się przez całą długość domu, i zatrzymał się przed drzwiami oznakowanymi jako „Wejście do Kuchni Okrętowej”, za którymi zaszczekał pies. Nie było to niskie ujadanie wilczura, lecz przenikliwy, ostry jazgot.

— Nie potrzebują, mnie do ochrony, jeśli w pobliżu jest Skip — oświadczył ze śmiechem Michael. — Wyczuwa obcych na odległość trzydziestu kilometrów.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich niski, krępy mężczyzna w średnim wieku, ubrany w mundur okrętowego stewarda.

— Mamy mały kłopot, Bob — rzekł Michael. — Ta oto dama po ciemku wałęsała się nad jeziorem, a przedtem wypytywała pana O'Reilly'ego o kapitana.

Wyraz twarzy stewarda pozostał kamienny. Poruszyły się tylko jego oczy, gdy mierzył Shelagh wzrokiem od stóp do głów, szczególnie uważnie przyglądając się kieszeniom jej żakietu.

— Niczego nie ma ze sobą — oznajmił młody człowiek. — Torebkę zostawiła pewnie w samochodzie. Zatrzymała się w zajeździe, ale doszliśmy do wniosku, że lepiej od razu przywieźć ją tutaj. Nigdy nic nie wiadomo.

— Proszę wejść do środka, panienko — rzekł steward uprzejmym, ale zdecydowanym tonem. — Przybyła pani z Anglii, jak sędzę.

— Tak. Przyleciałam dzisiaj do Dublina i prosto stamtąd przyjechałam tutaj. Sprawa, która mnie tu sprowadza, jest natury osobistej, i nie zamierzam rozmawiać o niej z nikim, z wyjątkiem kapitana Barry'ego.

— Rozumiem — rzekł steward.

Niewielki pies holenderskiej rasy, ze sterczącymi uszami i jasnymi, inteligentnymi ślepiami, delikatnie obwąchiwał kostki Shelagh.

— Czy mógłbym prosić o pani wierzchnie okrycie?

Żądanie było dziwne. Shelagh miała na sobie tylko krótki, tweedowy żakiet i spódnicę od kompletu. Ale posłusznie podała górną część kostiumu, którą mężczyzna po przeszukaniu kieszeni przewiesił przez poręcz krzesła. A potem — co wprowadziło Shelagh w zupełne osłupienie — prędko i wprawnie przesunął dłońmi wzdłuż jej ciała. Michael śledził jego poczynania z dużą uwagą.

— Nie rozumiem, dlaczego pan to robi — stwierdziła. — Porwaliście mnie; trudno to inaczej nazwać.

— W ten sposób traktujemy gości, których nie znamy — odparł. — Takie postępowanie oszczędza nam w przyszłości nieporozumień.

Nagle zwrócił się do Michaela:

— Zrobiłeś słusznie, przywożąc tutaj panią. Wyjaśnię wszystko kapitanowi po jego powrocie.

Michael uśmiechnął się szeroko, puścił oczko do Shelagh, podniósł do góry dłoń, żartobliwie salutując, i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Proszę za mną — rzekł steward.

Shelagh niechętnie rozstała się z Michael'em, który nagle wydał się jej sprzymierzeńcem, a nie potencjalnym gwałcicielem, i podążyła za stewardem (który nie miał w sobie nic z Malwolia) do pokoju na samym końcu korytarza. Mężczyzna otworzył drzwi i wprowadził ją do środka.

— Papierosy leżą na stoliku przy kominku. Proszę skorzystać z dzwonka, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała. Może ma pani ochotę na kawę?

— Tak, poproszę — rzekła Shelagh. Skoro miała tu siedzieć całą noc, kawa mogła okazać się bardzo przydatna.

Pokój był przestronny i wygodny, z dywanem na całej powierzchni podłogi. Umebłowanie składało się z sofy, pary głębokich foteli i dużego biurka w pobliżu okna. Ściany były ozdobione zdjęciami statków, a w kominku paliły się jasnym płomieniem polana. Wystrój saloniku wydał się Shelagh dziwnie znajomy. Już kiedyś widziała podobne wnętrza. Budziło w niej wspomnienia z dzieciństwa. Nagle przypomniała sobie. To pomieszczenie było kopią kapitańskiej kabiny jej ojca na „Ekskaliburze”. Miało identyczny wystrój. Wrażenie, jakie znajome otoczenie wywarło na Shelagh, było niesamowite. Czuła się tak, jak gdyby cofnęła się w przeszłość.

Przechadzała się po pokoju, rozglądając się wokół siebie. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony, spodziewając się niemal, że zobaczy pokład, — a w oddali okręty na kotwiczowisku koło Portsmouth. Ale zamiast pokładu i okrętów była długa weranda, leśna gęstwina, prowadząca na brzeg ścieżka i połyskująca srebrem w blasku księżyca tafla jeziora. Drzwi otworzyły się i do salonu wszedł steward z kawą na srebrnej tacy.

— Kapitan wkrótce przybędzie — oznajmił. — Przed chwilą otrzymałem wiadomość, że jego motorówka wypłynęła już kwadrans temu.

Jego motorówka... A więc mieli więcej łodzi. I przed chwilą otrzymał wiadomość. Nie słyszała dzwonka, a poza tym w domu kapitana podobno nie było telefonu. Steward wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Shelagh ponownie wpadła w

panikę, uświadamiając sobie, że jest zgubiona bez torebki, którą zostawiła w samochodzie. Nie miała grzebienia ani szminki. Ostatni raz poprawiała makijaż przed zejściem do baru. Zerknęła do lusterka, które wisiało na ścianie za biurkiem. Włosy pozlepiały się w wilgotne strąki, a twarz była blada i ściągnięta. Wyglądała fatalnie. Zastanawiała się, jaką ma przyjąć pozę. Czy lepiej postąpi, jeśli pozostanie w fotelu i popijając kawę, będzie sprawiała wrażenie osoby odprężonej, czy też powinna raczej stanąć przy kominku z rękami w kieszeniach? Potrzebowała reżysera, kogoś takiego jak Adam Vane, kto by jej powiedział, gdzie ma zająć miejsce, zanim kurtyna pójdzie w górę.

Gdy odwróciła się tyłem do lustra, dostrzegła przed sobą na biurku fotografię w niebieskiej, skórzanej ramce. Było to ślubne zdjęcie jej matki, z irytującym uśmiechem tryumfu i odrzuconym do tyłu welonem. Uderzyła ją jednak pewna nie prawidłowość. To nie ojciec stał obok swojej dopiero co poślubionej żony, lecz Nick, jego świadek, z wyniosłą i znudzoną miną, uczesany „na języka”. Zbita z tropu Shelagh przyjrzała się uważniej zdjęciu i stwierdziła, że zostało sprytnie przerobione. Głowa i ramiona Nicka były naniesione na postać ojca, podczas gdy jego twarz o gładko zaczesanych włosach i szczęśliwym uśmiechu została dolepiona do wątej sylwetki mężczyzny stojącego wśród druhen. Shelagh od razu rozpoznała mistyfikację tylko dlatego, że widziała oryginał na biurku ojca, a nawet gdzieś w szufladzie miała jego własną odbitkę. Ktoś obcy nie podejrzewałby jednak, że fotografia nie jest autentyczna. Ale dlaczego Nick to zrobił, na Boga? Kogo chciał oszukać? Czyżby samego siebie?

Zaniepokojona odeszła od biurka. Tylko ludzie psychicznie chorzy zwykli okłamywać samych siebie. Co ojciec powiedział o Nicku? „Był zawsze skrajnym przypadkiem...” Niedawno, gdy dwaj mężczyźni wypytywali ją na brzegu jeziora, przeżywała chwile grozy. Ale tamten strach był naturalną reakcją na niebezpieczeństwo fizycznej przemocy. Dziwne uczucie lęku, jakie opanowało ją teraz, sprawiło, że z twarzy odpłynęła jej cała krew. Pokój, który dotychczas

wydawał się przytulny i znajomy, stał się niesamowity i dziwaczny. Pragnęła czym prędzej się z niego wydostać.

Podeszła do wielkiego okna i spróbowała je otworzyć — ale bezskutecznie. Nie było klucza ani drogi ucieczki. Nagle z korytarza dobiegły ją głosy. Stało się. Nie zdołam uniknąć tego spotkania. Muszę teraz kłamać, wymyślać kwestie, improwizować. Zaraz znajdę się sam na sam z obłąkańcem. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Nick.

Zaskoczenie było obopólne. Zastał ją w chwili, gdy nachylała się nad stolikiem — w na wpół zgiętej, nienaturalnej pozie. Wyprostowała się i wlepiła w niego oczy. On również się w nią wpatrywał. Oprócz wysokiej i chudej sylwetki w niczym nie przypominał świadka z oryginału ślubnego zdjęcia. Włosy nie były uczesane „na języka”, ponieważ niewiele ich zostało na głowie, a mała czarna opaska na lewym oku upodabniała go do Mosze Dajana. Prawe oko było jasnobłękitne, a usta wąskie. Stał, wpatrując się w nią. Za nim podskakiwał radośnie mały pies.

— Przystępujemy do operacji B — zawołał przez ramię.

— Aye, aye, sir — odpowiedział steward z korytarza.

A potem drzwi się zamknęły i Nick wszedł do środka.

— Widzę, że Bob już przyniósł pani kawę. Nie wystygła?

— Nie wiem, jeszcze nie piłam.

— Proszę do niej dolać trochę whisky. Poczuj się pani lepiej.

Otworzył kredens w ścianie i przyniósł tacę, na której stała

karafka, syfon z wodą sodową i szklanki. Postawił ją na stoliku pomiędzy fotelami i zajął miejsce w jednym z nich, naprzeciwko Shelagh. Pies usadowił się na jego kolanach. Shelagh dolała whisky do filiżanki z kawą. Drżały jej ręce i była spocona. Nick mówił mocnym głosem, połykając końcówki wyrazów, a jego apodyktyczny ton przypominał jej sposób wysławiania się pewnego reżysera,

który uczył w szkole dramatycznej i zwykł doprowadzać studentów do łez — wszystkich, z wyjątkiem niej. Któregoś dnia po prostu wyszła z sali, a on musiał ją potem przeproszać.

— Niech pani się odpręży — rzekł gospodarz. — Jest pani napięta jak cięciwa łuku. Przepraszam za uprowadzenie, ale sama jest pani sobie winna. Po co szwendała się pani nad jeziorem po nocy?

— Znak drogowy informował o ścieżce prowadzącej nad brzeg jeziora. Nie widziałam zakazu wstępu ani żadnego innego ostrzeżenia. Powinniście uprzedzać turystów na lotnisku, że nie wolno im spacerować po zachodzie słońca. Obawiam się jednak, że nie możecie tego zrobić z powodu strat, jakie poniosłaby z tego powodu wasza turystyka.

Wychyliła duszkiem swoją kawę z dodatkiem whisky. Nick się uśmiechnął, ale nie z niej, lecz do niej i zaczął głaskać psa po gładkiej, lśniącej sierści. Jego wzrok wprawiał ją w zakłopotanie. Miała wrażenie, że za opaską kryje się zdrowe oko.

— Jak się pani nazywa?

— Jinnie — odpowiedziała odruchowo. I zaraz dodała: — Jennifer Blair.

To było jej nazwisko sceniczne. Shelagh Money nie brzmiało dobrze. Ale nikt z wyjątkiem ojca nigdy się tak do niej nie zwracał. Prawdopodobnie olbrzymie napięcie nerwowe sprawiło, że teraz przedstawiła się właśnie w ten sposób.

— Uhm. To ładne imię. Dlaczego chciała się pani ze mną spotkać, Jinnie?

„Improvizuj, graj bez przygotowania, tak jak będzie tego wymagać rozwój wydarzeń — zwykł mawiać Adam Vane. — Oto sytuacja, w jakiej się znalazłaś. Zaczynaj od tego momentu...”

Na stoliku znajdowała się zapalniczka i kasetka z papierosami. Shelagh poczęstowała się jednym. Nick nawet nie podjął próby, żeby podać jej ogień.

— Jestem dziennikarką. Mój naczelny zamierza opublikować na wiosnę nową serię artykułów, poświęconych życiu zawodowych żołnierzy w stanie spoczynku: jak spędzają czas, czy cieszą się z odejścia ze służby, jakie mają zainteresowania,

itd. Zostaliśmy w czwórkę przydzieleni do tego tematu. Pan znalazł się na mojej liście i dlatego tu jestem.

— Rozumiem.

Wolałaby, żeby na chwilę oderwał od niej to swoje świdrujące oko. Mały pies, zachwycony dotykiem głaszczącej go dłoni, przewrócił się na grzbiet i leżał z wyciągniętymi do góry łapami.

— Skąd przypuszczenie, że moja osoba może zainteresować czytelników?

— To już nie moja sprawa — odparła. — Wyborem prezentowanych osób zajmują się inni pracownicy redakcji. Ja otrzymałam tylko kilka krótkich informacji: służba w marynarce, duże zasługi w czasie wojny, obecnie w stanie spoczynku, stałe miejsce zamieszkania — Ballyfane. Polecono mi, żebym rozwinęła temat, uwzględniając wspomnienia, obrazujące historię życia bohatera, jego zainteresowania, i tak dalej...

— To ciekawe, że pani szefowie wybrali właśnie mnie, choć w tej okolicy mieszka wielu znacznie wybitniejszych ode mnie emerytowanych oficerów. Aż roi się tu od generałów i kontradmirałów.

Nalał sobie drinka i wygodnie oparł się w fotelu.

— Jak nazywa się — pani gazeta? — spytał.

— To nie gazeta, lecz czasopismo — jeden z dobrze zapowiadających się ilustrowanych periodyków. Ukazuje się co dwa tygodnie i nazywa się „Reflektor”. Być może spotkał się już pan z tym tytułem.

„Reflektor” był rzeczywiście wydawanym od niedawna magazynem, który Shelagh miała okazję przejrzeć podczas podróży samolotem.

— Nie, nigdy o nim nie słyszałem — oświadczył. — A jednak czy to nie zastanawiające, że wybór padł akurat na człowieka, który wiezie pustelniczy żywot?

— Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego.

Oko wpatrywało się w nią czujnie. Dmuchnęła w powietrze kłębem dymu.

— A więc to zawodowa ciekawość skłoniła panią do spacerowania nad jeziorem po nocy? I była tak nieodparta, że nie mogła pani poczekać do jutra ze złożeniem mi wizyty?

— Oczywiście. Tym bardziej że mieszka pan na wyspie. A wyspy zawsze wydają się tajemnicze. Szczególnie po zapadnięciu zmierzchu.

— Nie zalicza się pani do osób strachliwych, prawda?

— Przestraszyłam się nie na żarty, kiedy pański goryl, Micheal, razem z tym drugim mężczyzną, niesympatycznym urzędnikiem poczty, chwycili mnie pod ramiona i zaciągnęli do łodzi.

— Co zamierzali zrobić, pani zdaniem?

— Pobić mnie, zgwałcić i zamordować — dokładnie w tej kolejności.

— Oto rezultat czytania angielskich gazet i pisywania do ilustrowanych periodyków. Pewnie pani nawet nie przypuszcza, jakim my, Irlandczycy, jesteśmy spokojnym narodem. Strzelamy do siebie nawzajem, to prawda, ale to należy już do naszej narodowej tradycji. Jednak gwałty zdarzają się sporadycznie. Na ogół nie uwodzimy kobiet. To one uwodzą nas.

Shelagh nie zdołała opanować uśmiechu. Powróciła jej zwykła pewność siebie. Mogła godzinami prowadzić tę szermierkę słowną.

— Czy pozwoli mi pan zacytować to stwierdzenie w artykule?

— Wolałbym, żeby pani tego nie robiła. To by mogło źle wpłynąć na wyobrażenie o naszym narodzie. Lubimy widzieć siebie w roli diabłów. W ten sposób zyskujemy sobie szacunek. Może jeszcze odrobinę whisky?

— Bardzo proszę, z przyjemnością.

Gdyby to była próba, reżyser kazałby nam teraz zamienić się rolami, pomyślała. To ja nalałabym sobie kolejnego drinka, wstałabym z fotela i rozejrzała się po pokoju. Nie, chyba raczej wolałabym nie ruszać się z miejsca.

— Teraz moja kolej na zadawanie pytań — rzekła. — Czy pański ochroniarz ma zwyczaj porywania turystów?

— Nie, pani została uprowadzona jako pierwsza. Powinno to pani schlebiać.

— Powiedziałałam mu, podobnie jak i urzędnikowi poczty, że pora jest zbyt późna na składanie wizyt i obiecałam, że wrócę rano. Ale nie chcieli mnie słuchać. A gdy tylko tutaj przybyłam, pański steward mnie obszukał — sędzę, że oni nazywają to rewizją osobistą.

— Bob jest bardzo dokładny. To stary zwyczaj, jeszcze z czasów marynarki. Zwykliśmy rewidować miejscowe dziewczęta, ilekroć przychodziły do nas na pokład. Robiliśmy to dla zabawy.

— Kłamca — stwierdziła.

— Mówię prawdę, zapewniam panią. Słyszałem, że obecnie to już nie jest praktykowane, tak jak zrezygnowano z rozdawania dziennych racji rumu. To jeszcze jeden powód, dla którego młodzież w dzisiejszych czasach nie chce wstępować do marynarki. Tę uwagę może pani przytoczyć w swoim artykule, jeśli ma pani ochotę.

Przyglądała mu się znad brzegu szklanki.

— Czy nie było panu żal odchodzić ze służby?

— Ani trochę. Wszystkie moje oczekiwania zostały spełnione.

— Z wyjątkiem awansu?

— Och, do diabła z awansem. Kto chce w czasie pokoju dowodzić okrętem, który jeszcze przed wodowaniem staje się przestarzały? Nie miałem też ochoty siedzieć na tyłku w admiralicji ani w żadnej innej instytucji na lądzie. Poza tym tutaj, w domu, czekało na mnie mnóstwo ważnych rzeczy do zrobienia.

— Jakich na przykład?

— Wyszukiwanie informacji o moim własnym kraju i czytanie historycznych książek. Och, nie o Cromwellu, ale o starożytnych czasach, które były o wiele bardziej fascynujące. Na ten temat napisałem wiele prac, ale żadna z nich nigdy nie została opublikowana. W biuletynach akademickich ukazało się tylko kilka

artykułów, to wszystko. Nigdy nie otrzymałem za nie ani pensa. Nie każde zajęcie jest tak intratne jak pisywanie do ilustrowanych magazynów.

Uśmiechnął się ponownie. W jego uśmiechu kryła się dobroć — nie w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa, lecz w odczuciu Shelagh — oraz wywołujące entuzjasm wyzwanie. („Nick zwykł być duszą towarzystwa na przyjęciach”). Czy nadeszła odpowiednia chwila? Shelagh zastanawiała się, czy ośmieli się zadać mu to pytanie.

— Wiem, że to sprawa osobista, ale czytelnicy będą chcieli znać fakty. Zauważyłam zdjęcie na pańskim biurku. Czy jest pan żonaty?

— Byłem — odparł. — To tragedia mojego życia. Zona zginęła w wypadku samochodowym kilka miesięcy po naszym ślubie. Na nieszczęście ja przeżyłem. To właśnie wtedy straciłem oko.

W głowie Shelagh zapanowała pustka. Improvizuj... improvizuj dalej.

— To musiał być straszliwy dla pana cios — mruknęła. — Bardzo mi przykro.

— Od tamtej pory upłynęły już lata. Przez długi czas nie mogłem się po tym otrząsnąć, lecz w końcu musiałem się jakoś pogodzić z losem, by móc dalej żyć. Nie miałem wyboru. Wtedy już odszedłem z marynarki i nie ukrywam, że fakt ten nie polepszał mojego położenia. Ale jak już powiedziałem, to się wydarzyło dawno temu.

Czy naprawdę w to wierzył? Czy rzeczywiście był przekonany o tym, że poślubił jej matkę, która potem zginęła w wypadku samochodowym? Widocznie podczas katastrofy, gdy stracił oko, uszkodzeniu uległ również jego mózg. Shelagh nie miała wątpliwości, że jest z nim coś nie tak. Kiedy sfabrykował fotografię? Przed wypadkiem czy później? I dlaczego to zrobił? Podejrzliwość i wątpliwości powróciły. W chwili gdy już go niemal polubiła i zaczynała czuć się przy nim swobodnie, jej zaufanie znowu zostało zachwiane. Jak miała z nim postępować, jeśli był niepoczytalny? Podniosła się z miejsca i stanęła przy kominku. Jakże to dziwne, pomyślała. Zachowuję się całkiem naturalnie. To już

nie jest gra ani kierowanie się wskazówkami reżysera. Sztuka stała się rzeczywistością.

— Wie pan co? Odeszła mi ochota na pisanie tego artykułu. To nie byłoby uczciwe wobec pana. Nie przypuszczałam, że los tak ciężko pana doświadczył. Nie wątpię w to, że naczelny zaakceptuje moją decyzję. Roztrząsanie cudzych cierpień jest niezgodne z zasadami naszego pisma. „Reflektor” nie należy do tego typu magazynów.

— Och, naprawdę? — wydawał się zdumiony. — Wielka szkoda. Chętnie przeczytałbym wszystko o sobie. Musi pani wiedzieć, że z natury jestem człowiekiem próżnym.

I znowu zaczął głaskać psa, ale jego oko ani na moment nie odrywało się od jej twarzy.

— No cóż, mogę napisać kilka słów o pańskim samotnym życiu na wyspie w towarzystwie czworonożnego ulubieńca i o zainteresowaniu historią starożytną... — rzekła, szukając w myślach odpowiednich słów.

— Czy warto pisać o takich nudnych rzeczach?

— Sądzę, że tak.

Nagle się roześmiał, delikatnie zrzucił psa na podłogę i stanął przed nią na dywaniku przy kominku.

— Będzie pani musiała wymyślić jakąś bardziej wiarygodną wersję, żeby mnie przekonać — rzekł. — Porozmawiamy o tym jutro rano. Może wtedy poznam pani prawdziwą tożsamość. Jeśli jest pani dziennikarką, w co wątpię, to na pewno nie została pani przysłana tutaj po to, żeby pisać o moich zainteresowaniach i czworonożnych ulubieńcach. To zabawne, ale przypomina mi pani kogoś. Nie mam jednak zielonego pojęcia kogo.

Gdy uśmiechnął się do niej, nie było w nim nic z szaleńca. Obudził w niej wspomnienia... ale o czym? O chwilach pobytu w kabinie ojca na pokładzie „Ekskalibura”? Czy o okrzykach zachwytu i strachu, gdy szybowiała w powietrzu

na wyciągniętych ramionach ojca? Nagle zrozumiała. Był to zapach wody kolońskiej, której obaj używali, tak niepodobny do cuchnących płynów po goleniu, jakimi mężczyźni zwykli się obecnie zlewać...

— Zawsze kojarzę się ludziom z kimś innym — stwierdziła. — Pewnie dlatego, że moja powierzchowność nie wyróżnia się niczym szczególnym. Pan natomiast przypomina mi Mosze Dajana.

Dotknął lewego oka.

— Gdybyśmy obaj nosili różowe opaski, nikt nie zwracałby na nas uwagi. To czarny kolor sprawia, że stają się wabikami. Wywołują takie samo wrażenie na kobietach, jakie na mężczyznach robią czarne pończochy.

Przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

— Bob! — zawołał.

— Słucham, sir — padła odpowiedź z kuchni.

— Czy operacja B przebiega zgodnie z planem?

— Tak jest, sir. Michael przybił właśnie do brzegu.

— To dobrze! Pozwoli pani, że oprowadzę ją po domu — rzekł, ponownie zwracając się do Shelagh.

Z marynarskiego żargonu wywnioskowała, że Michael czeka gdzieś nieopodal, by odwieźć ją łodzią na stały ląd. W zajeździe będzie miała wystarczająco dużo czasu na podjęcie decyzji, czy wrócić tutaj nazajutrz rano, czy też zapomnieć o misji i pojechać do domu. Nick prowadził ją korytarzem, otwierając drzwi do kolejnych pokoi, nad którymi widniały napisy: Stanowisko dowodzenia... Służba łączności... Ambulatorium pokładowe... Kabiny załogi... Wyobraża sobie, że żyje na okręcie. Oto w jaki sposób zdołał pogodzić się z życiem, z rozczarowaniem i krzywdą.

— Jesteśmy doskonale zorganizowani — oświadczył. — Obchodzimy się bez telefonu. Kontaktujemy się ze stałym lądem za pomocą krótkofalówki. Wyspiarz musi być samowystarczalny, podobnie jak okręt na morzu. Zbudowałem to

wszystko od zera. Gdy przybyłem na Wyspę Jagnięcą, nie było tu nawet chałupy z nie obrobionego drewna, a teraz mam doskonały okręt admirałski, z którego mogę dowodzić całą flotą.

Uśmiechnął się tryumfalnie, a Shelagh pomyślała: To szaleniec. Kompletny wariat. Ale pomimo to ma w sobie coś ogromnie pociągającego. Człowiek łatwo daje się porwać jego słowom i jest skłonny w nie uwierzyć.

— Ilu was tutaj mieszka?

— Dziesięciu, razem ze mną. A oto moja kwatery.

Dotarli do drzwi na końcu korytarza, które prowadziły do oddzielnego skrzydła. Znajdowały się tu trzy pokoje i łazienka. Nad jednym z nich widniał napis: Kapitan Barry.

— Oto moje mieszkanie — rzekł, wprowadzając ją do typowej kapitańskiej kabiny, z prawdziwym łóżkiem jednak, a nie z koją. Otoczenie wydało się Shelagh znajome i niespodziewanie obudziło w niej bolesną nostalgię.

— Obok znajdują się dwie gościnne kabiny — wyjaśnił. — Z pierwszej z nich roztacza się ładniejszy widok na jezioro.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju i rozsunął zasłony. Księżyc oświetlał z wysoka tafelę wody za drzewami. Na zewnątrz panował niczym nie zmacony spokój. Wyspa Jagnięca nie wydawała się już ponura. Sytuacja się odwróciła. To kontury odległego i okrytego całunem stałego lądu zarysowywały się teraz złowieszczą na tle nieba.

— Gdybym tutaj mieszkała, pewnie również stałabym się odludkiem — stwierdziła Shelagh i dodała, odwracając się tyłem do okna:

— Zabrałam panu wystarczająco dużo czasu. Pewnie Michael czeka na mnie, żeby mnie odwiedzić.

Nick zaświecił lampkę przy łóżku.

— Nigdzie pani nie pojedzie. Operacja B została zrealizowana.

— Co to ma znaczyć?

Rozbawione i świdrujące spojrzenie jednego oka wprawiało ją w zakłopotanie.

— Kiedy zostałem poinformowany o tym, że młoda kobieta chce się ze mną spotkać, ustaliłem plan działania. Operacja A oznaczała, że jeśli ta osoba, bez względu na to kim jest, okaże się mało interesująca, będzie mogła wrócić do Ballyfane. Operacja B przewidywała natomiast, że przybysz będzie moim gościem, bagaże zostaną dostarczone z zajazdu, a Tim Doherty otrzyma należne wyjaśnienia. To bardzo dyskretny człowiek.

Shelagh wytrzeszczyła na Nicka oczy. Na nowo ogarnął ją niepokój.

— Niewiele czasu pozostawił pan sobie do namysłu — zauważyła. — Słyszałam, jak wydał pan polecenie dotyczące operacji B w tej samej chwili, gdy wszedł pan do salonu na przeciwległym końcu korytarza.

— To prawda — przyznał — Podejmowanie szybkich decyzji leży w moim zwyczaju. Zdaje się, że Bob przyniósł właśnie pani bagaże.

Rozległo się kasznięcie i ciche pukanie do drzwi, a potem do pokoju wszedł steward, niosąc walizki. Wszystkie przedmioty Shelagh, które leżały porozrzucane w hotelowej sypialni, zostały z powrotem spakowane. Dostarczono nawet z samochodu jej torebkę oraz mapy. Nic nie zostało przeoczone.

— Dziękuję, Bob — rzekł Nick. — Panna Blair zadzwoni jutro po ciebie, gdy będzie miała ochotę na śniadanie.

Steward położył wszystkie rzeczy na krześle, mruknął: „Dobranoc”, i wycofał się. A więc to tak, pomyślała Shelagh. Ciekawe, dokąd to wszystko prowadzi? Nick wciąż się jej przyglądał z wyrazem rozbawienia na twarzy. Gdy czujesz się niepewnie, ziewnij, poradziła sobie w myślach. Zachowuj się normalnie. Udawaj, że takie przygody spotykają cię co wieczór. Podniosła torebkę, znalazła grzebień, uczesała się i zaczęła nucić pod nosem jakąś melodię.

— Pańskie odejście ze służby to marnowanie ogromnych organizacyjnych zdolności — zauważyła. — Powinien pan dowodzić Śródziemnomorską Flotą i opracowywać plany strategiczne.

— Właśnie tym dokładnie się zajmuję. Otrzyma pani rozkazy, gdy tylko pani okręt zostanie skierowany do akcji. A teraz pani pozwoli, że ją zostawię samą, ponieważ muszę jeszcze trochę popracować. I jeszcze jedno... — na moment umilkł, trzymając rękę na klamce. — Nie musi się pani zamykać na klucz. Jest pani tutaj całkowicie bezpieczna.

— Nawet nie przyszłoby mi to do głowy — odparła. — Jako dziennikarka zdażyłam już przywyknąć do sypiania w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach i do grasowania w środku nocy po nieznanym korytarzach.

Oto puenta, pomyślała. Będziesz miał nauczkę. A teraz możesz już odejść i przewracać do góry nogami wszystkie meble...

— Dobrze, że uprzedziła mnie pani o swoich zwyczajach. W takim razie to nie pani powinna się zamykać w swoim pokoju, lecz ja. Dziękuję za ostrzeżenie.

Słyszała, jak się śmieje, idąc korytarzem. Kurtyna. A niech to wszyscy diabli! Jednak do niego należało ostatnie słowo.

Podeszła do walizki i otworzyła zamek. Kilka ubrań, nocna bielizna i przybory toaletowe zostały starannie spakowane. Zawartość torebki też była kompletna. Co za szczęście, że wszystkie dokumenty dotyczące wynajmu austina zostały wystawione na jej sceniczne nazwisko. Nie miała przy sobie niczego, co wskazywałoby na jej związek z Shelagh Money. Jediną przetrząsaną i inaczej złożoną rzeczą była mapa oraz turystyczny przewodnik. Ale to nie miało znaczenia. Shelagh zakreśliła niebieskim ołówkiem Bałtyfane i Jezioro Torrah, ale przecież dziennikarze zwykli to robić. Czegoś jednak brakowało — zniknął spinacz w miedzianym kolorze. Potrząsnęła przewodnikiem, ale nic z niego nie wypadło. Koperta zniknęła. Zawierała kartkę z wykazem dat, które Shelagh przepisała z kartoteki w gabinecie ojca.

Kiedy się obudziła, do pokoju wpadały promienie słońca. Rzuciła okiem na swój turystyczny budzik, który stał na szafce nocnej. Był kwadrans po dziewiątej. Prawie przez dziesięć godzin spała mocnym snem. Wstała z łóżka, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Jej pokój był usytuowany na samym końcu budynku. Porośnięty trawą brzeg opadał zboczem w stronę drzew, przez które wąskim przesmykiem można było dojść do jeziora. W oddali mignęła połyskująca błękitem woda. Shelagh spostrzegła, że podmuchy wiatru smagają tafłę, która jeszcze wczoraj wieczorem była taka spokojna, i tworzą na niej drobne fale. Nick powiedział stewardowi, że Shelagh zadzwoni po śniadanie, kiedy będzie głodna. Podniosła słuchawkę telefonu, który stał na szafce nocnej. Natychmiast odezwał się głos Boba:

— Słucham, panienko. Czy mogę podać sok pomarańczowy, kawę, rogaliki i miód?

— Tak, proszę...

To jest obsługa, pomyślała. Na pewno nie dostałabym na śniadanie tego wszystkiego „Pod Herbem Kilmore'ów”. W niespełna cztery minuty Bob przyniósł tacę i postawił ją przy łóżku. Leżała na niej również starannie złożona gazeta.

— Kapitan przesyła pozdrowienia, panienko. Ma nadzieję, że panienka się wyspała. Jeśli będzie panienka czegoś potrzebowała, proszę dać mi znać.

Chciałabym się dowiedzieć, który z nich dwóch — pan Doherty z zajazdu „Pod Herbem Kilmore'ów” czy urzędnik poczty — zabrał kopertę z mojego przewodnika, pomyślała. A może to ty zrobiłeś, Malwolio? Pewnie nikt nie zawracałby sobie nią głowy, gdybym nie napisała na niej: N. Barry. Daty o prawdopodobnie doniosłym znaczeniu.

— Sądzę, że już mam wszystko, czego mi potrzeba. Dziękuję panu, Bob.

Po śniadaniu, gdy włożyła sweter i dzinsy i pomalowała oczy, znacznie bardziej przykładając się do makijażu niż wczoraj, była gotowa stawić czoło

wszelkim niespodziankom, jakie chował dla niej w zanadrzu Nick. Minęła korytarz oraz wahadłowe drzwi i weszła do salonu. Był otwarty, lecz nie zastała nikogo w środku. Nie wiadomo dlaczego spodziewała się, że zobaczy przy biurku Nicka. Przemierzyła pokój, zerkając ukradkiem przez ramię i ponownie przyjrzała się fotografii. Nick wygląda teraz o wiele lepiej niż kiedyś, pomyślała. Jako młody człowiek musiał być irytujący z tą wiecznie zadowoloną z siebie miną. Shelagh podejrzewała, że był rudy. Przypuszczała, że oboje z matką kochali się w sobie, a kiedy ojciec zdobył jej serce, Nicka przepełniła gorycz. I to w tamtym czasie powstała zadra. Shelagh wydało się tylko dziwne, że matka nigdy nie wspominała o tym fakcie. Przeważnie pyszniła się przed ojcem swoimi dawnymi adoratorami. Shelagh zdawała sobie sprawę z tego, że jest wobec niej nielojalna, ale nie mogła pojąć, co oprócz niewątpliwie ładnej twarzy obaj mężczyźni w niej widzieli. Matka używała za dużo szminki, zgodnie z panującą wówczas modą, i była snobką, która lubiła mimochodem wtrącać w rozmowie nazwiska wpływowych przyjaciół. Oboje z ojcem zwykli mrugać do siebie porozumiewawczo, ilekroć robiła to w obecności innych osób.

Dyskretny kaszel ostrzegł Shelagh, że steward obserwuje ją z korytarza.

— Kapitan przebywa na jednej z leśnych poręb. Jeśli go pani szuka, mogę wskazać pani drogę.

— Och, dziękuję panu, Bob.

— Znajdzie go pani przy wykopalisku — powiedział, gdy oboje wyszli z domu. — To zaledwie dziesięciominutowy spacer stąd.

Przy wykopalisku?... Być może chodziło o miejsce karczowania drzew. Ruszyła przez las. Zielone liście po obu stronach ścieżki tworzyły zwartą gęstwinę, przez którą nie prześwitywała woda. Zejście ze szlaku pomiędzy drzewa groziło niechybnym zabłądzeniem i kręceniem się w kółko. Shelagh dobiegł poszept wiatru w konarach ponad głową. Wokół panował bezruch. Nie dochodziły tu odgłosy ptaków ani plusk wody. Człowiek mógł tutaj zniknąć z powierzchni

ziemi i nikt by tego nie spostrzegł. Może powinna wrócić tą samą drogą, którą przyszła, i powiedzieć stewardowi, że woli poczekać na kapitana Barry'ego w domu? Zawahała się, ale było już za późno. W jej stronę zmierzał Michael. W rękę niósł łopate.

— Kapitan czeka na panią. Chce pani pokazać grób. Przed chwilą go odkryliśmy.

Och, Boże! Co za grób? Dla kogo przeznaczony? Shelagh poczuła, jak z twarzy odpływa jej krew. Michael się nie uśmiechał. Skinął głową w kierunku poręby. Wtedy dostrzegła Nicka oraz jeszcze dwóch innych mężczyzn. Byli rozebrani do pasa i pochylali się nad czymś w ziemi. Pod Shelagh ugięły się nogi, a serce w piersi zaczęło jej dudnić jak szalone.

— Przyszła panna Blair, sir — oznajmił Michael.

Nick odwrócił się i wyprostował. Miał na sobie wycięty podkoszulek i dzinsy, tak jak inni. Ale zamiast łopaty trzymał w dłoni małą siekierę.

— Nadeszła oczekiwana chwila. Niech pani podejdzie tutaj i uklęknie.

Położył jej rękę na ramieniu i przyciągnął do szerokiej wyrwy. Shelagh nie mogła wydobyć z siebie głosu. Widziała tylko zwały brązowej ziemi wokół wgłębienia, opadłe liście i odrzucone na bok gałęzie. Uklękła i odruchowo ukryła twarz w dłoniach.

— Co pani robi? — W głosie Nicka zabrzmiało zdumienie. — Przecież z zasłoniętymi oczami niczego pani nie zobaczy. Jest pani świadkiem doniosłego wydarzenia. Prawdopodobnie jako pierwsza Angielka ma pani okazję być obecna przy otwarciu megalitycznego grobu w Irlandii. Nazywamy je kopcami wielkich figur. A temu wykopalisku chłopcy i ja poświęciliśmy całe tygodnie pracy.

Chwilę potem Shelagh stwierdziła, że siedzi oparta o pień drzewa z głową wciśniętą pomiędzy kolana. Świat nie wirował już i powoli jego obraz stawał się coraz bardziej wyrazisty. Shelagh była mokra od potu.

— Obawiam się, że zaraz zwymiotuję — oświadczyła.

— Dalej, śmiało — powiedział Nick. — Proszę się mną nie krępować.

Otworzyła oczy. Pozostali mężczyźni gdzieś zniknęli. Był tylko Nick, który przykucnął obok niej.

— Oto skutki ograniczania się do samej kawy na śniadanie — stwierdził. — Rozpoczynanie dnia z pustym żołądkiem może mieć fatalne następstwa.

Wyprostował się i ponownie podszedł do dziury w ziemi.

— Z tym znaleziskiem wiązę ogromne nadzieje. Jest lepiej zachowane niż wszystkie inne, które dotychczas widziałem. Odsłoniliśmy przód kopca oraz tę jego część, która, jak sądzę, jest chodnikiem prowadzącym do samego grobu. Pochodzi z 1500 roku przed Chrystusem i dotychczas nikt się na niego nie natknął. Nie mogę pozwolić na to, żeby świat zewnętrzny coś zwietrzył. Zaraz mielibyśmy na karku niezliczone rzesze archeologów pragnących zrobić zdjęcia i zaczęłyby się kłopoty. Czy już czuje się pani trochę lepiej?

— Sama nie wiem — odparła słabym głosem. — Myślę, że tak.

— Wobec tego proszę podejść tutaj i spojrzeć.

Powlokła się do otworu w ziemi i zajrzała w głąb. Dostrzegła mnóstwo kamieni, zwieńczone łukiem sklepienie i kawałek ściany.

Jej niedawny, będący skutkiem nieporozumienia paniczny strach był zbyt wielki, by mogła teraz okazać należyty entuzjizm.

— Bardzo interesujące — powiedziała i wybuchnęła płaczem. Co za hańba! Chyba wolałaby już zwymiotować. Nick spojrział na nią ze zdumieniem. Przez moment był zbity z tropu, a potem wziął ją za rękę i bez słowa poprowadził dziarskim krokiem przez las. Nie odzywał się do niej, tylko cicho pogwizdywał pod nosem. Po kilku minutach drzewa się przerzedziły i znaleźli się nad brzegiem jeziora.

— Bałtyfane leży na zachód stąd. Nie widać go z tego miejsca. Jezioro rozszerza się w północnej części i otula stały ląd niczym kołdra. Zimą przylatują

tutaj kaczki i zaszywają się w szuwarach. Ale ja nigdy do nich nie strzelam. A latem przychodzę tutaj, żeby popływać przed śniadaniem.

Shelagh odzyskała panowanie nad sobą. Nick dał jej czas, żeby się wzięła w garść i tylko to się dla niej teraz liczyło. Była mu za to wdzięczna.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała. — Ale na widok Michaela z łopata i na wzmiankę o grobie sądziłam, że wybiła moja ostatnia godzina.

Wytrzeszczył na nią oczy, zaskoczony. A potem się uśmiechnął.

— Wcale nie jest pani tak twardą osobą, za jaką chciałaby pani uchodzić. A ta buńczuczna postawa to jeden wielki blef.

— W pewnym sensie ma. pan rację — przyznała. — Ale jak dotąd nie miałam okazji znaleźć się na wyspie sam na sam z pustelnikiem. Rozumiem teraz, dlaczego zostałam porwana. Nie chce pan dopuścić do tego, żeby do prasy trafiły przecieki o pańskim megalitycznym znalezisku. Zgoda. Obiecuję, że nic o tym nie powiem.

Nie odpowiedział natychmiast. Stał w miejscu i głaskał się po brodzie.

— Uhm, to bardzo uczciwe postawienie sprawy — odezwał się po chwili. — Wie pani, co teraz zrobimy? Wrócimy do domu, poprosimy Boba, żeby zapakował nam drugie śniadanie i zabiorę panią na przejażdżkę po jeziorze. Przyrzekam, że nie wypchnę pani za burtę.

On jest tylko trochę zwariowany, lecz w pełni poczytalny; może z wyjątkiem zdjęcia na biurku, pomyślała. Co się zaś tyczy fotografii, to była gotowa wyjaśnić całą sytuację, powiedzieć wszystko o sobie i podać prawdziwy powód przyjazdu do Ballyfane. Ale jeszcze nie teraz.

Kilka godzin później uznała, że opis Nicka dokonany przez ojca, który przedstawiał go jako człowieka noszącego zadrę w sercu, żywiącego urazę do całego świata, rozgoryczonego i rozczarowanego, nie mógł bardziej odbiegać od wizerunku mężczyzny, który wprost wychodził z siebie, żeby ją zabawić, i starał się, by każda chwila spędzona w jego towarzystwie sprawiła jej przyjemność.

Dwusilnikowa motorówka z niewielką kabiną — a nie mała terkocząca łódź, którą Michael przywiózł ją wczoraj na wyspę — sunęła gładko po jeziorze, przemykając pomiędzy wąskimi półwyspami. Co jakiś czas Nick ze swojego stanowiska za sterem pokazywał Shelagh różne ciekawe miejsca na stałym lądzie: odległe wzgórza na zachodzie, ruiny zamku i wieżę starodawnego opactwa. Ani razu nie wspomniał o powodzie jej wizyty ani nie naciskał, żeby coś więcej opowiedziała mu o sobie. Siedząc w małej kabinie, zjedli ugotowane na twardo jajka oraz piezonego kurczaka na zimno. Shelagh pomyślała o ojcu, który byłby zachwycony dniem spędzonym w ten sposób, gdyby żył i mógł się tutaj razem z nimi wybrać. Snuła fantazje o tym, jak obaj z Nickiem drwią z siebie nawzajem, popisując się przed nią. Tylko dla matki nie było miejsca w tym obrazie. Ona popsułaby wszystko.

— Wie pan, zupełnie inaczej wyobrażałam sobie kapitana Barry'ego — powiedziała w chwili szczerości, która była skutkiem wypitej whisky, a potem piwa firmy Guinness.

— A jak go sobie pani wyobrażała?

— Uprzedzano mnie o jego pustelniczym trybie życia i przypuszczałam, że mieszka w zamku w otoczeniu starych sług i szczekających wilczurów. Sądziłam, że jest ponurym i nieuprzejmym niedołęgą wiecznie besztającym swoich służących, który wprost przepada za płataniami ludziom złośliwych kawałów.

Nick się uśmiechnął.

— Potrafię być czasami bardzo grubiański i często krzyczę na Boba. Co się zaś tyczy płatania figłów... Rzeczywiście miałem do nich skłonności w swoim czasie. I nadal mam. Jeszcze jedno piwo?

Pokręciła głową i oparła się o ściankę kabiny.

— Kłopot polegał na tym, że lubowałem się w tego rodzaju żartach, które najbardziej rozweselały mnie samego. Ale teraz i tak wyszły już z mody. Nie

przypuszczam, na przykład, żeby pani trzymała białe myszki w swoim biurku w redakcji?

Odpowiednikiem biurka w redakcji jest moja garderoba w teatrze, pomyślała.

— Nie, nigdy nie trzymałam białych myszy, ale za to podłożyłam kiedyś mojemu szefowi pod łóżko bombę z gazem cuchnącym. Domyśla się pan chyba, że prędko wyskoczył z pościeli.

To się zdarzyło w Manchesterze i Bruce nigdy jej tego nie wybaczył. To, *co* według jego oczekiwań miało przerodzić się w cichy romans pomiędzy nimi, rozwiało się jak dym.

— Właśnie to miałem na myśli — rzekł Nick. — Najlepsze kawały najbardziej bawią ich sprawców. Ale wypróbowywanie ich na szefie uważam za posunięcie trochę ryzykowne.

— Było to coś w rodzaju samoobrony — wyjaśniła. — Mierziła mnie perspektywa pójścia z nim do łóżka.

Nick zaczął się śmiać, ale zaraz się opanował.

— Proszę wybaczyć bezpośredniość, ale chciałbym wiedzieć, czy często miewa pani kłopoty ze swoimi szefami?

Udawała, że się zastanawia.

— To zależy. Czasami potrafią być wymagający, ale osoby ambitne, do których się zaliczam, mają u nich szanse na awans. Moja codzienna praca to istny kierat. Nie jestem dziewczyną łatwą, jeśli o to pan pyta.

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— To, że nie mam zwyczaju rozbierać się na kiwnięcie palcem. To musi być ktoś, kogo lubię. Czy to, co mówię, szokuje pana?

— Absolutnie nie. Zniedołężniali starcy lubią wiedzieć, jak żyją młodzi ludzie. Sięgnęła po papierosa. Tym razem podał jej ogień.

Czuła się teraz podobnie jak w chwilach, gdy ucinała sobie niedzielną poobiednią pogawędkę z ojcem. Z tą różnicą, że rozmowa z Nickiem była o wiele zabawniejsza.

— Moim zdaniem seks jest przeceniany. Mężczyźni robią nad nim wiele wrzawy — te ich odwoływania się do uczuć i jęki! Niektórzy nawet płaczą. A jedyny powód, który ich do tego skłania, to zaliczanie kolejnych zdobyczy, przywodzące na myśl zbieranie skalpów przez Indian. Uważam sprawę za bezsensowną. Ale mam zaledwie dziewiętnaście lat i mnóstwo czasu przed sobą na bardziej dojrzałe poglądy.

— Nie liczyłbym na to. Dziewiętnaście lat to bardziej dojrzały wiek, niż pani sądzi. — Wyszedł z kabiny, zajął miejsce przy sterze i zapuścił silnik. — Odczuwam ogromną satysfakcję, gdy myślę o tych wszystkich oskalpowanych przez panią głowach i o jęku, jaki się niesie po Fleet Street. Muszę przestrzec moich przyjaciół z prasy, żeby zachowali ostrożność.

Podniosła na niego wzrok, zaskoczona.

— O jakich przyjaciółach pan mówi?

Uśmiechnął się.

— Mam swoje kontakty — oświadczył i skierował motorówkę z powrotem w stronę Jagnięcej Wyspy.

Niebawem sprawdzi moje kwalifikacje zawodowe i przekona się, że nie istnieją. To tylko kwestia czasu, pomyślała. Co zaś się tyczy Jennifer Blair, będzie musiał skontaktować się z kierownictwem wielu teatrów, zanim jeden z nich powie: „Czy chodzi panu o tę znakomitą młodą aktorkę, z którą dyrekcja Stratfordu chce podpisać kontrakt na następny sezon?”

Łódź o — wiele za prędko przybiła do przystani, sprytnie ukrytej wśród gęsto posadzonych drzew. Michael czekał na nich i pomógł im zejść na ląd. Shelagh

przypomniała sobie o przerażeniu, jakie w niej rano wywołał widok częściowo odkrytego megalitycznego kopca w samym sercu porośniętej lasem wyspy.

— Popsułam wam dzień — rzekła do Nicka. — Pewnie kontynuowalibyście prace przy wykopalisku, gdybym wam nie przeszkodziła.

— Niekoniecznie. Istnieją różne metody usuwania stanu napięcia. Wykopaliska mogą zaczekać. Czy są jakieś wiadomości, Michael?

— Otrzymaliśmy pewne sygnały, sir. Wszystko w porządku.

Nim dotarli do domu, Nick przeszedł metamorfozę. Stał się szorstki, czujny i całkowicie pochłonięty swoimi sprawami. Zachowywał się tak, jak gdyby zapomniał o obecności Shelagh. Nawet mały pies, który słysząc głos pana, natychmiast wskoczył mu na ręce, został prędko wypuszczony na ziemię.

— Za pięć minut wszyscy mają się stawić w kabinie dowodzenia na naradę, Bob — rzekł.

— Tak jest, sir.

Nick zwrócił się do Shelagh:

— Będzie się pani musiała teraz sama czymś zająć. Książki, radio, telewizor, płyty — wszystko jest do pani dyspozycji. Przez kilka godzin będę zajęty.

Przez kilka godzin... Było dopiero po szóstej. Czyżby interesy miały zatrzymać go do dziewiątej albo do dziesiątej? Liczyła na coś innego — na długi wieczór, który upłynie im na intymnych rozmowach przed kominkiem i podczas którego wszystko się może zdarzyć.

— Dobrze — powiedziała, wzruszając ramionami. — Jestem w pana rękach. A skoro już o tym mowa, chciałabym wiedzieć, jak długo zamierza mnie pan tutaj trzymać. Mam pewne zobowiązania w Londynie.

— Wcale w to nie wątpię. Ale zdobywanie skalpów musi czekać. Bob, dopilnuj, żeby panna Blair dostała herbatę.

I zniknął w głębi korytarza, razem z nie odstępującym go psem. Shelagh, nadąsana, zagłębiła się w fotelu. Co za nudy! Szczególnie po tak mile spędzonym dniu. Nie chciało się jej niczego czytać ani słuchać płyt. Pewnie Nick miał taki sam gust jak jej ojciec, który bez końca czytał Petera Cheyneya i Johna Buchana. I lubił lekką muzykę typu „South Pacific”.

Steward przyniósł herbatę. Tym razem na tacy znajdował się również dżem wiśniowy oraz jęczmienne, dopiero co upieczone placki. Shelagh zjadła je łąpczywie. A potem zaczęła snuć się po pokoju i przeglądać półki. Zamiast Petera Cheyneya i Johna Buchana dostrzegła rzędy książek poświęconych tematyce Irlandii, co nie było dla niej zaskoczeniem. Znajdowały się tu też obowiązkowe pozycje Yeatsa i Synge'a. Natknęła się również na egzemplarz pochodzący z akcji edukacyjnej w wojsku i poświęcony Teatrowi Abbey. Gdybym była w nastroju, lektura ta wydałaby mi się pewnie interesująca, pomyślała. Ale nie mam ochoty na czytanie. Wśród stosu płyt przeważały nagrania muzyki poważnej: Mozarta, Haydna, Bacha. Wszystko byłoby w porządku, gdyby Nick siedział tutaj razem z nią i mogli ich razem posłuchać. Próbowwała nie zwracać uwagi na zdjęcie. Ale ilekroć przypadkiem napotykała je wzrokiem, wpadała we wściekłość. Jak on mógł? Co on w niej widział? Podobnie jak i ojciec. Ale fakt, że Nick, który pod względem intelektu niewątpliwie ojca przewyższał, oszalał na punkcie kogoś takiego jak matka, zakładając nawet, że była w młodości prawdziwą pięknoscią, nie mieścił się jej w głowie.

Wiem, co zrobię, pomyślała Shelagh. Pójdę i umyję sobie włosy.

Zwykła traktować tę czynność jako kurację, gdy zawodziły wszelkie inne metody. Wyszła na korytarz. Gdy mijala drzwi, nad którymi znajdował się napis: „Stanowisko dowodzenia”, dobiegł ją gwar. Usłyszała też śmiech Nicka i pospiesznie oddaliła się w obawie, że zostanie przyłapana na podsłuchiwanie. Gdy była już w bezpiecznej odległości, drzwi się otworzyły. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że z pokoju wyszedł jeden z chłopaków, którzy dzisiaj rano

pomagali przy odsłonięciu kopca. Poznała go po jasnej czuprynie. Nie mógł mieć więcej jak osiemnaście lat. Nagle uświadomiła sobie, że wszyscy mężczyźni, których tutaj spotkała, są młodzi. Wszyscy z wyjątkiem Nicka i Boba. Minęła wahadłowe drzwi i po chwili znalazła się w swoim pokoju. Ogłuszona myślą, która niespodziewanie się jej nasunęła, usiadła na łóżku.

Nick był homoseksualistą. Podobnie jak oni wszyscy tutaj. Oto dlaczego został wylany ze służby. Ojciec dowiedział się o tym i nie mógł go podać do awansu, za co Nick żywił potem do niego urazę. Być może daty, które spisała z listy, dotyczyły jakichś kompromitujących wydarzeń. Fotografia była tylko przykrywką — homoseksualiści często udają, że są żonaci, próbując w ten sposób się zamaskować. Och, tylko nie Nick... Shelagh nie mogła się z tym pogodzić. Dlaczego jedyny atrakcyjny mężczyzna, jakiego spotkała w życiu, musiał okazać się pederastą? A niech ich wszystkich, obnażonych do pasa przy megalitycznym grobie, pochłonie piekło! Prawdopodobnie robią teraz to samo w pokoju zwanym „Stanowiskiem dowodzenia”. Dla Shelagh wszystko straciło nagle sens. Jej misja nie miała już żadnego znaczenia. Pomyślała, że im prędzej opuści wyspę i odleci do Londynu, tym lepiej.

Odkręciła kurki przy wannie i z wściekłością zanurzyła głowę pod wodę. Nawet mydło „Egejski Błękit” było zbyt egzotyczne, by mogło znajdować się w domu samotnego mężczyzny. Wysuszyła ręcznikiem włosy, a potem zawinęła go na głowie w turban. Zdarła z siebie dzinsy i wciągnęła inną parę. Wydały się jej nie na miejscu. Zamiast nich włożyła swoją podróżną spódnicę. Niech wiedzą, że nie mam zamiaru udawać chłopaka.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę — powiedziała z dziką zawziętością.

Przybył Bob.

— Przepraszam, panienko, ale kapitan chciałby się z panią widzieć.

— Przykro mi, ale będzie musiał poczekać. Przed chwilą umyłam włosy.

Steward zakasłał.

— Nie radziłbym, panienko, zwlekać ze spełnieniem jego życzenia.

Nie mógł być bardziej uprzejmy, a jednak... W jego kwadratowej, krępej sylwetce kryło się coś nieprzejednanego.

— Bardzo dobrze — rzekła. — W takim razie kapitan będzie zmuszony znosić mój obecny wygląd.

Ruszyła korytarzem za stewardem. Zawinięty na głowie turban upodabniał ją do Beduina.

— Proszę wybaczyć — mruknął Bob i zastukał do kwatery dowodzenia. — Przyszła panna Blair, sir — zaanonsował.

Była gotowa na wszystko. Spodziewała się widoku nagich mężczyzn porozwalanych na kojach, świeczek zapalonych w hołdzie chińskiemu bożkowi i odrażającego procederu pod kierownictwem Nicka pełniącego rolę Mistrza Ceremonii. Ale zamiast tego wszystkiego zobaczyła tylko siedmiu młodych mężczyzn zgromadzonych wokół stołu, przy którym Nick zajmował honorowe miejsce. Ósmy mężczyzna siedział w kącie i miał na uszach słuchawki. Wszyscy wpatrywali się w Shelagh, a po chwili odwrócili oczy. Nick na moment podniósł brwi, a potem sięgnął po leżącą przed nim kartkę papieru. Poznała swoją listę z datami, która zginęła z turystycznego przewodnika.

— Przepraszam, że przeszkodziłem w „haute coiffure”, ale zarówno ci panowie, jak i ja, chcielibyśmy poznać znaczenie dat, które nosiła pani w swoim bedekerze.

Posłuchaj wypróbowanej maksymy. Najlepszą obroną jest atak.

— Dokładnie o to samo zamierzałam pana zapytać, kapitanie Barry. Ale obawiam się, że starannie wystrzegałby się pan tego tematu. Najwidoczniej ten wykaz ma dla pana ogromne znaczenie, w przeciwnym razie nie zainteresowałiby się nim pańscy przyjaciele.

— Dość tego — przerwał jej Nick. — Kto pani dał tę listę?

— Znajdowała się wśród innych dokumentów, które otrzymałam na odprawie w biurze, gdy przydzielono mnie do tej roboty.

— Ma pani na myśli pismo „Reflektor”?

— Tak.

— I miała pani za zadanie napisać artykuł poświęcony oficerowi marynarki wojennej w stanie spoczynku, a konkretnie mojej osobie?

— Dokładnie tak.

— A inni dziennikarze mieli przygotować podobne artykuły o innych byłych oficerach?

— Tak. Pomysł wydawał się znakomity. I oryginalny.

— No cóż, przykro mi, że muszę obalić pani teorię, ale sprawdziłem to w redakcji „Reflektora” i okazało się, że nie zamierzają publikować takiej serii artykułów ani że nie mają nawet wśród najmłodszych członków personelu nikogo o nazwisku Jennifer Blair.

Powinna się była tego domyślić. Kontakty wśród prasy. Szkoda, że nie była dziennikarką. Cokolwiek starał się przed nią ukryć, zdobyłaby fortunę, publikując informacje o tym w jednej z niedzielnych gazet.

— To delikatna sprawa — rzekła. — Czy mogłabym porozmawiać z panem na osobności?

— Proszę bardzo, jeśli pani tak woli — odparł.

Siedmiu ludzi podniosło się z miejsc. Stanowili grupę silnych mężczyzn. Shelagh przypuszczała, że Nickowi podobają się mocno zbudowani chłopcy.

— Pozwoli pani, że operator zostanie na swoim stanowisku, dobrze? — dodał Nick. — Nieustannie napływają wiadomości. Ze słuchawkami na uszach i tak nie będzie nas słyszał.

— Zgoda — rzekła.

Siedmiu młodych mężczyzn wyszło z pokoju, powłócząc nogami. Nick odchylił się do tyłu, opierając się wygodnie o krzesło. Jasnoblękitne oko było utkwione nieruchomo w Shelagh.

— Proszę zająć miejsce i niech pani zaczyna.

Usiadła na jednym z wolnych krzeseł, świadoma nagle okręconego wokół głowy ręcznika. Z pewnością nie podnosił dostojenstwa jej wyglądu. Wcale się tym jednak nie przejmowała. To godności Nicka miała nadzieję zadać druzgocący cios. Postanowiła mówić do pewnego momentu prawdę, a dalej improwizować i czekać na jego reakcję.

— W redakcji „Reflektora” mieli całkowitą rację — zaczęła, wciągając głęboki wdech. — Nigdy nie pracowałam dla nich ani dla żadnego innego magazynu. Nie jestem dziennikarką, lecz aktorką, ale jak dotychczas niewiele osób miało okazję o mnie usłyszeć. Jestem członkiem niedawno powstałej grupy teatralnej. Dużo podróżujemy i nawet udało się nam zdobyć własną scenę w Londynie. Może pan to sprawdzić, jeśli ma pan ochotę. To teatr „Nowy Świat” przy ulicy Victoria. Każdy zna tam Jennifer Blair. Zostałam zaangażowana do zagrania głównych ról w zaplanowanych przedstawieniach komedii Szekspira.

Nick się uśmiechnął.

— To brzmi bardziej prawdopodobnie. Moje gratulacje.

— Może pan je zachować na premierę, która odbędzie się za trzy tygodnie — rzekła. — Zarówno reżyser, jak i reszta zespołu, nie mają o całej sprawie pojęcia. Nie wiedzą nawet, że jestem w Irlandii. Przybyłam tu z powodu zakładu.

Umilkła. Teraz zaczynała się część trudniejsza.

— Mój chłopak, którego nic nie łączy z teatrem, ma znajomości w marynarce wojennej. Wpadł mu w ręce wykaz dat z zanotowanym obok pańskim nazwiskiem. Notatka zaintrygowała go. Któregoś wieczoru po kolacji założył się ze mną o dwadzieścia pięć funtów szterlingów plus wydatki, że nie jestem na tyle dobrą aktorką, by odegrać przed panem rolę dziennikarki i nakłonić do udzielenia wywiadu, właśnie pod kątem owych cholernych dat. Przyjęłam zakład. I dlatego tu jestem. Muszę przyznać, że nie przewidywałam uprowadzenia na wyspę. A wczoraj wieczorem byłam trochę wstrząśnięta, gdy stwierdziłam, że lista zniknęła z mojego przewodnika. Pomyślałam, że daty jednak coś oznaczają, coś, co nie nadaje się do przekazania opinii publicznej. Wszystkie dotyczyły lat pięćdziesiątych — mniej więcej okresu pana odejścia z marynarki, o czym dowiedziałam się z urzędowego wykazu oficerów w służbie czynnej, do którego dokopałam się w bibliotece publicznej. Ale teraz, prawdę mówiąc, już nic mnie to wszystko nie obchodzi, choć podejrzewam, że informacje w notatce są dla pana bardzo doniosłe. Jestem gotowa się założyć, że mają związek z jakimś uprawianym przez pana podejrzanym, żeby nie użyć słowa: nielegalnym, procederem.

Nick przechylił się na krześle i zaczął się na nim ostrożnie huścić. Skierowane w górę oko obserwowało sufit. Nie ulegało wątpliwości, że nie wie, co odpowiedzieć, a to świadczyło o tym, że strzała nie chybiła celu.

— To zależy, co uważa pani za podejrzanę — rzekł cicho. — Oraz za nielegalne. Opinie co do tego mogą być podzielone. Niektóre działania, które w przekonaniu moim i moich młodych przyjaciół są całkowicie usprawiedliwione, w oczach pani będą uchodzić za szokujący występki.

— Niełatwo mnie zaszokować — stwierdziła.

— Już to zauważyłem. Kłopot polega na tym, że będę musiał przekonać o tym moich współpracowników. Nie interesują ich wydarzenia z lat pięćdziesiątych — byli wtedy zaledwie dziećmi. Ale to, co teraz wspólnie robimy, obchodzi nas

wszystkich i to bardzo. Gdyby jakiś przeciek o naszych akcjach dotarł do świata, moglibyśmy, jak słusznie pani przypuszcza, zostać oskarżeni o łamanie prawa.

Wstał i zaczął porządkować papiery na stole. A więc tutaj, w Irlandii, nadal jest zaangażowany w nielegalne praktyki, o które podejrzewał go ojciec, pomyślała Shelagh. Czyżby szmuglował archeologiczne znaleziska do USA? A może jej podejrzania, że Nick i jego przyjaciele są homoseksualistami, były słuszne? W Republice Irlandii robiono tyle wrzawy na temat moralności, że homoseksualne praktyki mogły być również uznawane za wykroczenie przeciw prawu. Nie łudziła się jednak, że Nick wyjawii jej prawdę.

Podszedł do mężczyzny ze słuchawkami na uszach, który notował coś na bloku papieru. Najpierw przeczytał, a potem sam coś napisał w odpowiedzi i ponownie zwrócił się do Shelagh:

— Czy chciałaby pani zobaczyć nas podczas akcji? — spytał.

Była zaskoczona. Idąc do kabiny dowodzenia spodziewała się wszystkiego, a pomimo to propozycja Nicka wydała się jej zdumiewająca.

— Co pan ma na myśli? — spytała, przyjmując obronną pozę.

Turban zsunął się jej z głowy i spadł na podłogę. Nick schylił się i podał go jej.

— Proponuję niepowtarzalne doświadczenie życiowe. Nie musi pani osobiście w nim uczestniczyć. Widowisko — bardzo podniecające — będzie odbywało się w dyskretnej odległości.

Uśmiechał się, lecz w jego uśmiechu kryło się coś niepokojącego. Cofnęła się przed nim w stronę drzwi. Wyobraziła sobie nagle, że siedzi gdzieś w środku lasu przy prehistorycznym grobie i że nie może uciec, a Nick odprawia razem z młodymi mężczyznami jakiś starodawny odrażający rytuał.

— Szczerze mówiąc... — zaczęła, lecz przerwał jej, nie przestając się uśmiechać.

— Szczerze mówiąc, nalegam. Przedstawienie będzie bardzo pouczające. Część drogi przebędziemy łodzią, a dalej pojedziemy łądem.

Otworzył drzwi. Mężczyźni stali rzędem na korytarzu. Bob również był wśród nich.

— Wszystko w porządku — rzekł Nick. — Panna Blair nie sprawi nam kłopotu. Zająć stanowiska bojowe.

Młodzi ludzie rzucili się do wyjścia, a Nick wziął Shelagh pod ramię i poprowadził w stronę wahadłowych drzwi oraz swojej kwatery.

— Proszę wziąć płaszcz i szalik, jeśli go pani ma. Może być zimno. Niech się pani pospieszy.

I zniknął w swoim pokoju. Gdy ponownie wyszła na korytarz, już na nią czekał. Miał na sobie wysoki golf i wiatrówkę. Patrzył na zegarek.

— Chodźmy — powiedział.

Wszyscy mężczyźni się gdzieś rozpięchli, z wyjątkiem stewarda, który stał w kuchennych drzwiach i trzymał psa na rękach.

— Powodzenia, sir — rzekł.

— Dziękuję, Bob. Skip może dostać co najwyżej dwie kostki cukru.

Nick poprowadził Shelagh wąską ścieżką przez las do przystani. Silnik motorówki pracował cicho. Na pokładzie znajdowało się tylko dwóch młodzieńców: Michael i chłopak z jasną czupryną.

— Proszę usiąść w kabinie i tam pozostać — polecił jej Nick, a sam zajął miejsce przy sterze. Łódź zaczęła przesuwać się po tafli jeziora, zostawiając za sobą wyspę, która niebawem zniknęła z pola widzenia. Przebywając w kabinie, Shelagh straciła orientację, w jakim płyną kierunku. Łądem stały był zaledwie zamazaną plamą na horyzoncie. Chwilami się przybliżał, to znowu oddalał, lecz nigdy nie odcinał się wyraźnym konturem na tle ciemnego nieba. Czasami, gdy Shelagh wyglądała przez mały iluminator, stwierdzała, że motorówka niemal

ociera się o trzciny, przepływając przy samym brzegu, ale już za moment niczego wokół nie było widać oprócz czarnej, nieruchomej wody i białej piany, która wydostawała się spod dziobu łodzi. Silnik pracował prawie bezgłośnie. Wszyscy milczeli. Nagle delikatne drganie ustało. Nick zręcznie wprowadził motorówkę na przybrzeżną mieliznę. Wsadził głowę do kabiny i wyciągnął rękę do Shelagh.

— Proszę za mną. Przemoczycie pani stopy, ale nic na to nie poradzę.

Wokół siebie widziała tylko wodę, szuwary i niebo. Potykając się i grzęznąc w rozmokłym gruncie, podążała za Nickiem, kurczowo uczepiona jego dłoni. Błoto przedostawało się jej do butów. Chłopak z płową czupryną szedł przodem. Prowadzili ją w stronę polnej drogi. Nagle w ciemnościach zamajaczył kształt furgonetki. Shelagh dostrzegła przy niej obcego mężczyznę, który otworzył drzwi pojazdu. Nick wsiadł jako pierwszy i wciągnął ją za sobą do środka. Jasnowłosy chłopak obszedł dookoła samochód i zajął miejsce obok kierowcy. Furgonetka, przechylając się na boki, zaczęła z trudem posuwać się wyboistą drogą pod górę. Na szczycie wzniesienia nawierzchnia stała się gładka; prawdopodobnie wyjechali na szosę. Gdy Shelagh spróbowała się wyprostować, uderzyła głową o znajdującą się powyżej półkę. Coś się zatrzęsło i zaklekotało.

— Proszę siedzieć spokojnie — upomniał ją Nick. — Nie chce pani chyba, żeby wylądował na nas wszystek chleb.

— Chleb?

To było pierwsze słowo, jakie wymówiła od chwili opuszczenia wyspy.

Nick zapalił zapalniczkę i Shelagh zobaczyła, że od kabiny kierowcy oddziela ich przegroda. Siedzieli wśród bochenków chleba równo ułożonych w stosy na półkach. Dostrzegła również ciastka, paszteciki i konserwy.

— Proszę się czymś poczęstować — poradził Nick. — To nasz ostatni posiłek dzisiejszego wieczoru.

Sięgnął po bochenek chleba, przełamał go na pół i zgasił zapalniczkę. Na nowo zapanowała ciemność. Jadąc karawanem, nie czułabym się bardziej bezradna, pomyślała Shelagh.

— Ukradliście furgonetkę? — spytała.

— A po co mielibyśmy to robić? Pożyczyliśmy ją tylko od piekarza z Mulldonagh, który obecnie siedzi za kierownicą. Niech pani weźmie trochę sera i pokrzepi się odrobiną tego płynu — rzekł i przytknął jej do ust manierkę. Czysty spirytus niemal pozbawił ją oddechu, ale jednocześnie rozgrzał i dodał odwagi.

— Na pewno ma pani przemoczone stopy. Niech pani zdejmie buty, zwinie żakiet i podłoży go sobie pod głowę, byśmy mogli przystąpić do rzeczy.

— Przystąpić do rzeczy?

— Od granicy dzieli nas jeszcze około sześćdziesięciu kilometrów. Ale droga będzie już do końca dobra. Zamierzam panią oskalpować.

Odjeżdżała pociągiem sypialnym do internatu w północnej Anglii. Ojciec machał jej na pożegnanie z peronu. Nie odchodź, zawołała. Nie zostawiaj mnie samej. A potem wagon sypialny zniknął i przemienił się w garderobę w teatrze. Shelagh stała przed lustrem przebrana za Cezaria z „Wieczoru Trzech Króli”. Nagle zarówno wagon, jak i garderoba eksplodowały...

Wyprostowała się gwałtownie, ponownie uderzając głową o półkę z bochenkami chleba. Nicka już przy niej nie było. Furgonetka stała. Coś jednak wyrwało Shelagh ze stanu chwilowej nieświadomości. Pewnie pękła opona. W zupełnych ciemnościach, jakie panowały wewnątrz pojazdu, nie była w stanie dostrzec tarczy swojego zegarka. Czas nie istniał. To tajemnicze procesy zachodzące w skórze narzucały go człowiekowi. Ludzkie ciała łączyły się ze sobą lub nie. Scalaly się i stapiały w jedną tkankę, przenikając się nawzajem i odmładzając, albo nie działo się nic, jak w przypadku wadliwego przełącznika, przepalonego korka czy źle funkcjonującej tablicy rozdzielczej. Gdy wszystko

przebiega prawidłowo, jak to miało miejsce dziś wieczorem w moim przypadku, wtedy strzały rozdzierają niebo i lasy stają w ogniu — tak jak podczas zwycięskiej bitwy pod Azincourt. Dożyję dziewięćdziesięciu dziewięciu lat, poślubię jakiegoś sympatycznego człowieka, będę miała piętnaścioro dzieci, a na swoim koncie liczne nagrody teatralne i Oscary, ale już nigdy świat nie rozpadnie się na kawałki i nie spłonie na moich oczach...

Drzwi furgonetki otworzyły się i Shelagh owiał podmuch zimnego powietrza. Chłopak z płową czupryną uśmiechał się do niej szeroko.

— Kapitan powiedział, żeby pani przyszła popatrzeć, jeśli lubi pani fajerwerki. To naprawdę zachwycający widok.

Potykając się i przecierając oczy, wyszła z pojazdu. Furgonetka stała zaparkowana przy rowie, za którym ciągnęło się pole. Z pewnością przecinała je rzeka, ale z powodu ciemności nawet z bliska nie było nic widać. Shelagh dostrzegła tylko wiejską zagrodę na zakręcie drogi. Niebo w oddali jarzyło się pomarańczową poświatą, jak gdyby słońce, zamiast zająć wiele godzin temu, wbrew ustalonemu porządkowi wszechświata weszło o północy. Języki ognia strzelały w górę, mieszając się ze słupami czarnego dymu. Nick stał przy kabinie kierowcy obok piekarza i we dwóch obserwowali niebo. Z radia obok deski rozdzielczej dobiegał przytłumiony głos.

— Co to jest? — spytała Shelagh. — Co się dzieje?

Kierowca, mężczyzna w średnim wieku o pooranej bruzdami twarzy, odwrócił się do niej z uśmiechem.

— Armagh płonie, a w każdym razie znaczna jego część. Ale katedra nie dozna uszczerbku. Kościół Świętego Patryka pozostanie nietknięty, nawet jeśli reszta miasta się spopieli.

Jasnowłosy młodzian przystawił ucho do radia, a potem wyprostował się i dotknął ramienia Nicka.

— Pierwszy wybuch nastąpił na Omagh, sir. Powinniśmy mieć raport ze Strabane za jakieś trzy minuty, a za pięć z En — niskillen.

— W porządku — rzucił Nick. — Jedziemy.

Wpakował Shelagh do samochodu i usadowił się obok niej. Furgonetka ruszyła gwałtownie, nawróciła i ponownie pomknęła szosą.

— Powinłam się była domyślić — rzekła Shelagh. — Powinłam odgadnąć. Ale zamydliłeś mi oczy tymi swoimi starożytnymi kopcami w lesie.

— To wcale nie była przykrywka. Naprawdę pasjonuję się wykopaliskami. Ale jednocześnie kocham eksplozje.

Zaproponował jej łyk alkoholu z manierki, ale przecząco potrząsnęła głową.

— Jesteś mordercą. Bezbronni ludzie płoną teraz w swoich łóżkach. Być może właśnie w tej chwili umierają setki kobiet i dzieci.

— Nikt nie umiera — odparł. — Wręcz przeciwnie. Mieszkańcy wyjdą na ulice i będą wiwatować. Nie wierz Mur — phy'emu. On żyje w świecie marzeń. Miasteczko Armagh prawie nie odczuje skutków naszych eksplozji. Może zajmie się kilka magazynów, a przy odrobinie szczęścia również i koszary.

— A co z innymi miasteczkami, o których przed chwilą wspomniał chłopak?

— Będą miejscem pokazu ogni sztucznych — bardzo efektownego widowiska.

Powróciła myślami do ostatniej rozmowy z ojcem i nagle wszystko stało się dla niej jasne. Słusznie postąpił, stawiając na pierwszym miejscu lojalność wobec własnego kraju i obowiązek przed przyjaźnią. Nic dziwnego, że obaj z Nickiem przestali wysyłać do siebie kartki z bożonarodzeniowymi życzeniami.

Nick wziął z półki jabłko i zaczął je chrupać.

— A więc ... jesteś obiecującą aktorką — stwierdził.

— Tak wszyscy zwykli mówić o początkujących adeptach tej sztuki.

— Och, nie bądź taka skromna. Jestem przekonany, że daleko zajdziesz. Niemal tak samo wywiodłaś mnie w pole, jak ja ciebie. Choć nie jestem pewien,

czy przełknąłem tę historię o twoim przyjacielu z koneksjami w marynarce wojennej. Zdradź jego nazwisko.

— Nie ma mowy. Możesz mnie zabić, ale i tak niczego się nie dowiesz.

Dzięki Bogu za Jennifer Blair. Nie miałyby szansy przetrwać jako Shelagh Money.

— Zresztą, nieważne — stwierdził Nick. — Teraz to już przeszłość.

— Skoro tak, to powiedz, czy te daty faktycznie miały dla ciebie jakieś znaczenie?

— Oczywiście. Ale w tamtych czasach byliśmy amatorami. 5 czerwca 1951 — atak na koszary Ebrington, w Derry, zakończony całkowitym powodzeniem. 25 czerwca 1953 roku — szturm na oddziały szkoleniowe Oficerskiej Szkoły Felstead, w Essex — niezbyt udany na skutek nieporozumienia. 12 czerwca 1954 roku — akcja na koszary Gough, w Armagh — bez wielkich osiągnięć, ale korzystna ze względu na morale naszych chłopców. 17 października 1954 roku — atak na koszary Omagh, dzięki któremu zdobyliśmy kilku rekrutów. 24 kwietnia 1955 roku — szturm na bazę powietrzną marynarki wojennej Eglinton, w Derry — bez komentarza. 13 sierpnia 1955 roku — atak na skład amunicji w Arborfield, Berkshire — po początkowym sukcesie zakończony niepowodzeniem z powodu ewidentnego partactwa. Po tych doświadczeniach wszyscy musieliśmy się jeszcze wiele nauczyć.

Aria w jednej z oper Pucciniego, zaczynająca się od słów: „O mój ty ukochany ojczy!", zawsze doprowadzała Shelagh do łez. Gdziekolwiek przebywasz w swoim astralnym ciele, nie wiń mnie za to, czego się dopuściłam i czego być może jeszcze się dopuszczę przed upływem nocy, pomyślała. Ale to jedyny sposób na spełnienie twojego ostatniego życzenia, choć wiem, że metoda nie zyskałaby twojej aprobaty. Ale ty zawsze miałeś wysokie ideały. A mnie nie obchodzą wydarzenia z tamtych dni. Mój problem jest o wiele bardziej zasadniczy i prosty. Całkowicie straciłam głowę dla twojego byłego przyjaciela.

— Nie interesuję się polityką — stwierdziła Shelagh. — Jaki sens ma rzucanie bomb i zakłócanie ludziom spokoju? Czy masz nadzieję na zjednoczenie Irlandii?

— Tak. My wszyscy tutaj na to liczymy — odparł. — Jestem przekonany, że w końcu do tego dojdzie, choć niektórych z nas ogarnie potem nuda. Weźmy na przykład takiego Murphy'ego. Jazda po okolicy furgonetką piekarza i chodzenie o dziewiątej spać nie wydaje mu się zbyt frapujące. Dzięki działalności, jaką prowadzimy, czuje się młodo. Umrze przed siedemdziesiątką, jeśli przyjdzie mu żyć w zjednoczonej Irlandii. „Johnnie jest jeszcze za młody” — powiedziałem mu w ubiegłym tygodniu na odprawie, gdy przybył na wyspę. Chodziło mi o jego syna, który teraz siedzi obok niego w kabinie kierowcy. „Nie powinniśmy narażać jego życia”. „Do diabła z ryzykiem — zachnął się Murphy. — To jedyny sposób, żeby w obecnym świecie trzymać chłopaka z dala od kłopotów”.

— Wy wszyscy postradaliście rozum — zauważyła Shelagh. — Poczuję się o wiele bezpieczniej, gdy z powrotem przekroczymy granicę.

— O czym ty mówisz? — zdziwił się. — Ależ myśmy nie przekraczali żadnej granicy. Za kogo mnie bierzesz? Przyznaję, że w swoim czasie palnałem kilka głupstw, ale nie przypuszczasz chyba, że obijałbym się furgonetką piekarza po nieprzyjacielskim terytorium? Chciałem ci jedynie pokazać, jak się bawimy, to wszystko. Obecnie jestem tylko konsultantem. „Zapytaj kapitana Barry'ego, może podsunie nam jakiś pomysł” — ktoś proponuje. Wtedy odrywam się od starodawnych kopców oraz od historycznych opracowań i zaczynam nadawać za pośrednictwem krótkofalówki. Dzięki temu jestem młody duchem, podobnie jak i Murphy — stwierdził i zaczął ściągać z półki bochenki chleba, żeby podłożyć je sobie pod głowę.

— Tak lepiej. Mam o co oprzeć kark. Kochałem się kiedyś z dziewczyną, opierając się plecami o stos granatów ręcznych, ale byłem wtedy znacznie młodszy. Ona nie domyśliła się niczego i sądziła, że to rzepa.

Och, nie, pomyślała Shelagh. Tylko nie to. Nie jestem w stanie ponownie się na to zdobyć. Bitwa skończona, wygrana i proponuję zawarcie pokoju. Mam tylko ochotę nadal leżeć z nogami na jego kolanach i z głową opartą na jego ramieniu. Przy nim czuję się bezpieczna.

— Nie, nic nie rób — rzekła.

— Och, czyżby zabrakło ci wigoru?

— Wigor nie ma tu nic do rzeczy. Doznałam szoku. Problem będzie trawił mnie całymi dniami niczym płomień koszary w Armagh. A skoro już o tym mowa, według prawa należę do protestanckiej Północy. Mój dziadek stamtąd pochodził.

— Ach, naprawdę? To wszystko wyjaśnia. Nasz związek bazuje na miłości i nienawiści. Zawsze tak jest w przypadku ludzi, których dzieli granica. Połączenie zauroczenia z antagonizmem. Bardzo osobliwa relacja.

— Chyba masz rację.

— Oczywiście, że mam. Kiedy straciłem oko w wypadku samochodowym, otrzymałem tuzin listów z wyrazami współczucia od ludzi z drugiej strony granicy, którzy z radością przyjęliby wiadomość o mojej śmierci.

— Jak długo przebywałeś w szpitalu?

— Przez sześć tygodni. Miałem dostatecznie dużo czasu na rozmyślanie. I na opracowanie planu.

Teraz jest odpowiednia chwila, pomyślała. Poruszaj się ostrożnie, bacząc na każdy swój krok.

— Fotografia na twoim biurku została zmontowana, nie myślę się, prawda?

Roześmiał się.

— Tylko aktorka mogła odkryć oszustwo. To dowód świadczący o moich dawnych kawalerskich skłonnościach. Zdjęcie do dziś wywołuje mój uśmiech, ilekroć na nie patrzę, i dlatego nadal je trzymam na biurku. Nigdy nie byłem żonaty. Wymyśliłem tę historię pod wpływem chwilowego impulsu.

— Opowiedz mi o tym.

Poprawił się na siedzeniu, przyjmując pozycję wygodniejszą dla nich obojga.

— Prawdziwym panem młodym był Jack Money, mój bliski przyjaciel. Dowiedziałem się niedawno, że zmarł. Wiadomość o jego śmierci bardzo mnie zasmuciła. Od lat nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktów. Byłem świadkiem na jego ślubie. Kiedy otrzymałem ślubną fotografię, zamieniłem miejsca głów i wysłałem Jackowi odbitkę. Pękał ze śmiechu, ale mój dowcip nie rozbawił Pam, jego żony. Prawdę mówiąc, wpadła w szal. Jack doniósł mi, że podarła zdjęcie na strzępy i wyrzuciła do kosza.

Nie wątpię w to, że właśnie tak postąpiła, pomyślała Shelagh. To bardzo podobne do mojej matki. Jestem gotowa się założyć, że nawet się nie uśmiechnęła.

— W pewnym sensie sam jestem temu winien — stwierdził, usuwając spod głowy jeden z bochenków. — Któregoś wieczoru wpadłem do Moneyów bez uprzedzenia. Jack przebywał poza domem na jakiejś oficjalnej kolacji. Pam przyjęła mnie niezbyt uprzejmie, wobec tego przyrządziłem bardzo mocny koktajl z różnych gatunków martini i stoczyłem z nią burzliwą bitwę na kanapie. Trochę pochichotała, a potem straciła kontakt z rzeczywistością. Później poprzewracałem wszystkie meble, a gdy dom wyglądał jak po przejściu cyklonu, zaniósłem Pam na górę do sypialni i rzuciłem na łóżko. Muszę dodać, że zostawiłem ją tam samą. Nazajutrz niczego nie pamiętała.

Shelagh leżała, opierając się o ramię Nicka. Utkwiła wzrok w suficie furgonetki.

— Wiedziałam — stwierdziła.

— O czym wiedziałaś? — spytał.

— O tym, że twoje pokolenie dopuszczało się potwornych bezceństw. Wyprawiało o wiele gorsze rzeczy niż moja generacja. I to pod dachem najlepszego przyjaciela. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

— Co za niezwykła wypowiedź — rzekł zdumiony. — Nikt się nigdy o tym nie dowiedział, więc jakie to ma znaczenie? Byłem oddany Jackowi Moneyowi,

choć on wkrótce potem pozbawił mnie szansy na awans, ale z zupełnie innego powodu. Bazował na znanych sobie faktach. Obawiał się, że mogę popsuć szyki wywiadowi marynarki wojennej i miał całkowitą rację.

Teraz nie jestem w stanie mu tego powiedzieć. Moment nie jest odpowiedni. Albo pojedę do Anglii zwyciężona, albo nie wrócę tam wcale. Nick oszukał mojego ojca i moją matkę (dobrze jej tak!), a także zdradził Anglię, dla której walczył przez wiele lat. Splamił mundur, zhańbił swoje stanowisko, a teraz zajmuje się tym samym, co robił przez ubiegłe dwadzieścia lat — zabiega o to, żeby kraj stał się jeszcze bardziej rozdarty. Ale mnie to nic nie obchodzi. Niech się awanturują. Niech się wysadzają w powietrze i rozrywają na strzępy. Niech cały świat stanie w słupie dymu. Wyślę mu z Anglii list z podziękowaniem za gościnę oraz za przejażdżkę i podpiszę się: Shelagh Money. Albo... albo będę chodzić za nim jak pies, łąsić się, wskakiwać mu na kolana i skomleć, żeby pozwolił mi zostać ze sobą na zawsze.

— Za kilka dni rozpoczynam próby Wioli.

— Będiesz dobra. Szczególnie w roli Cezaria. Być może czasem za mną zatęsknisz, nie sądzę jednak, żeby ogarnęła cię czarna melancholia.

Murphy zrobił kolejny nawrót, aż podskoczyły na półkach bochenki chleba. Ile kilometrów pozostało jeszcze do Jeziora Torrah? Niech ta droga nigdy się nie skończy.

— Kłopot polega na tym, że ja wcale nie chcę wracać. Anglia nie jest już moim domem. Nie obchodzi mnie trupa teatralna, „Wieczór Trzech Króli” ani żadna inna sztuka. Ty możesz odegrać rolę Cezaria.

— Mogę, rzeczywiście.

— Nie... miałam na myśli to, że chętnie porzucę scenę, zrzeknę się angielskiego obywatelstwa, spalę za sobą wszystkie mosty i będę razem z tobą rzucać bomby.

— Co takiego, chcesz się stać pustelnicą?

— Tak, proszę.

— Nonsens. Po upływie pięciu dni zaczęłabyś się śmiertelnie nudzić.

— Nie, wcale bym się nie nudziła...

— Pomyśl o aplauzie, z jakim się wkrótce spotkasz. Rola Wioli — Cezaria to pewny sukces. Mam pewien pomysł. Nie przyślę ci kwiatów w wieczór premiery, ale moją opaskę na oko. Będziesz mogła powiesić ją w garderobie na szczęście.

Żądam zbyt wiele, pomyślała. Pragnę mieć wszystko: dnie i noce, strzały pod Azincourt, sny i chwile przebudzenia oraz świat, który nie ma końca, amen. Ktoś kiedyś ją ostrzegął, że kobieta nigdy nie powinna wyznawać mężczyźnie miłości, gdyż potem może ją wykopać z łóżka. Niewykluczone, że Nick zaraz ją wypchnie z furgonetki Murphy'ego.

— W głębi duszy najbardziej zależy mi na spokoju i na poczuciu bezpieczeństwa. Chcę mieć pewność, że zawsze będziesz ze mną. — Kocham cię. Sądzę, że przez całe życie darzyłam cię tym uczuciem, nie zdając sobie z tego sprawy.

— Ach! — zachnął się Nick. — I które z nas teraz jęczy?

Furgonetka zwolniła i zatrzymała się. Nick przesunął się do przodu i otworzył drzwi. Pojawił się w nich Murphy. Pomarszczona twarz piekarza wykrzywiła się w uśmiechu.

— Mam nadzieję, że za bardzo państwa nie wytrząsałem — powiedział. — Kapitan wie, że boczne drogi nie są takie, jakie być powinny. Ale najważniejsze, że dzisiejszy wypad powinien spodobać się młodej damie.

Nick zeskoczył na jezdnię. Murphy wyciągnął rękę do Shelagh i pomógł jej wysiąść.

— Niech się pani znowu z nami wybierze, moja droga. Kiedykolwiek pani zechce. Zawsze powtarzam angielskim turystom, gdy przyjeżdżają do nas z wizytą, że życie tutaj jest znacznie weselsze niż po drugiej stronie wody.

Shelagh rozejrzała się wokół siebie, spodziewając się widoku jeziora oraz wyboistej drogi przy szuwarach, w pobliżu której zostawili Michaela z łodzią. Tymczasem znajdowali się na głównej ulicy Ballyfane, a furgonetka stała zaparkowana przed wejściem do zajazdu „Pod Herbem Kilmore'ów”. Shelagh odwróciła się w stronę Nicka i spojrzała na niego pytająco. Murphy zapukał do drzwi hotelu.

— Nałożyliśmy trochę drogi, ale było warto — rzekł Nick. — W każdym razie ja tak uważam i mam nadzieję, że ty również. Pożegnania powinny być szybkie i słodkie, nie sądzisz? Doherty stoi w drzwiach, więc już zmykaj. Ja muszę wracać do bazy.

Ogarnął ją straszliwy smutek. To niemożliwe, żeby Nick mówił to poważnie. Chyba nie oczekiwał od niej, że się z nim pożegna na środku ulicy, w obecności Murphy'ego oraz jego syna, a także stojącego w drzwiach właściciela hotelu.

— Moje rzeczy — zaprotestowała. — Moja walizka została na wyspie, w pokoju, w którym spałam.

— Nic podobnego — rzekł Nick. — W czasie gdy urządzaliśmy sobie hulankę na granicy, została z powrotem przywieziona do zajazdu, w ramach operacji B.

Zapominając o dumie, rozpaczliwie starała się zyskać na czasie.

— Dlaczego? — spytała. — Wytłumacz mi, dlaczego.

— Ponieważ tak musi być, Cezario. Wbrew własnemu sercu i pożądaniu poświęcam jagnię, które kocham, choć to nieco zmienia oryginalny tekst.

I popchnął ją lekko w stronę hotelowych drzwi.

— Opiekuj się naszym gościem, Tim. Ćwiczenia przebiegły bez zarzutu. Jediną ofiarą jest panna Blair.

I odszedł. Drzwi się za nim zamknęły. Pan Doherty spojrzał na Shelagh ze współczuciem.

— Kapitan Barry żyje w wiecznym pośpiechu. Zawsze to samo. Wiem, jak to jest, gdy się przebywa w jego towarzystwie. Rzadko daje za wygraną. Postawiłem termos z gorącym mlekiem przy pani łóżku.

Pokuśtykał, prowadząc ją na górę i otworzył drzwi do pokoju, który opuściła dwa dni temu. Jej walizka stała na krześle, a przewodnik i mapy leżały na toalecie. Wszystko wyglądało tak, jak gdyby w ogóle nie wychodziła z hotelu.

— Pani samochód został umyty i zatankowany — mówił dalej pan Doherty. — Mój przyjaciel wstawił go do swojego garażu. Przyprowadzi go jutro rano. Kapitan pomyślał o wszystkim. Może pani spać spokojnie.

Spać spokojnie, dobre sobie... raczej spędzić długą i przepelnioną uczuciem melancholii noc. Otworzyła okno i wyjrzała na ulicę. W sąsiednich domach były zaciągnięte zasłony, spuszczone rolety i żaluzje. Białe — czarny kot zamiauczał na śmietniku po drugiej stronie jezdni. W nieprzenikniętych ciemnościach nie było widać jeziora.

„Kłopot z tobą polega na tym, Jinnie, że nigdy nie dorośniesz. Żyjesz w świecie marzeń, którego nie ma. To właśnie dlatego wybrałaś scenę”. — Głos ojca, choć pobłażliwy, zabrzmiał stanowczo. — „Pewnego dnia przeżyjesz wstrząs, uzmysławiając to sobie”.

Poranek nazajutrz był deszczowy, mglisty i szary. Może lepiej, że nie jest słoneczny i złoty, jak wczoraj, pomyślała Shelagh. Lepiej odjeżdżać pożyczonym austinem, gdy wycieraczki skrobią skrzekliwie po przedniej szybie. Przy odrobinie szczęścia mogę wpaść w poślizg, wylądować w rowie i zostać odwieziona do szpitala, a potem majacząc, wrzaskliwie domagać się przybycia Nicka. Widziała już w wyobraźni, jak klęka przy jej łóżku, bierze ją za rękę i mówi: „To moja wina. Nigdy nie powinienem był cię stąd odsyłać”.

Dziewczyna pracująca w hotelu czekała już w jadalni z usmażonymi jajkami na bekonie i z filiżanką herbaty. Kot przyszedł ze śmietnika i zamruczał u nóg Shelagh. Być może przed jej wyjazdem zadzwoni telefon i nadejdzie wiadomość z

wyspy: „Operacja B w trakcie realizacji. Łódź czeka”. Niewykluczone, że jeśli trochę dłużej pomarudzi w hallu recepcyjnym, coś się wydarzy, zjawi się Murphy w swojej furgonetce, a może nawet urzędnik poczty, O'Reilly, i przekaże jej kartkę, na której będzie skreślonych kilka słów. Jej bagaż znajdował się jednak w zaparkowanym na ulicy austinie, a z hotelu wyszedł tylko pan Doherty, żeby się pożegnać.

— Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będę miał przyjemność powitać panią w Bałlyfane. Zawsze może pani liczyć u nas na udane wędkowanie.

Gdy dojechała do znaku, który wskazywał drogę do Jeziora Torrah, zatrzymała samochód i w strugach deszczu ruszyła w dół błotnistą ścieżką, łudząc się, że znowu zostanie tam łódź. Przystanęła na moment na brzegu i spojrzała w stronę jeziora. Otulał je całun gęstej mgły. Z trudem dostrzegła zarysy wyspy. Znad trzciny zerwała się czapla i trzepocząc skrzydłami, odleciała nad wodą. Mogłabym się rozebrać i popłynąć, pomyślała. Kto wie, może zdołałabym dotrzeć do celu, a potem, ślaniając się na nogach z wyczerpania, przejść przez las i upaść u stóp Nicka na werandzie. „Bob, chodź tutaj, prędko. To panna Blair. Obawiam się, że umiera...”

Z powrotem wspięła się ścieżką pod górę, wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Wycieraczki zaczęły uderzać z łoskotem o przednią szybę.

*Wieją wiatry nad polami, nadciąga ulewa. Pada,
pada deszcz, a ja sobie śpiewam.*

Wciąż padało, gdy przybyła na lotnisko w Dublinie. Musiała się pozbyć samochodu i zarezerwować miejsce na najbliższy lot do Londynu. Czas oczekiwania nie był długi — samolot odlatywał za pół godziny. Siedziała w poczekalni ze wzrokiem utkwionym w wejściu prowadzącym do sali odpraw. Liczyła na cud: drzwi się otworzą, a w nich pojawi się mężczyzna bez nakrycia głowy, o szczupłej sylwetce i z czarną opaską na oku. Przeciśnie się obok

urzędników lotniska i podejdzie do Shelagh: „Dosyć kawałów. Ten był ostatni. Natychmiast wracamy razem na Wyspę Jagnięcą”.

Zapowiedziano odlot jej samolotu. Ruszyła niespiesznie do wyjścia, uważnie przyglądając się współpasażerom. Przechodząc przez płytę lotniska, odwróciła się w stronę odprowadzających, którzy machali swoim bliskim na pożegnanie. Wysoki mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym trzymał chusteczkę w dłoni... Ale to nie był on — nachylił się, żeby podnieść dziecko... Pasażerowie zdejmowali kapelusze i kładli podręczny bagaż na półce ponad głowami, ale żaden z nich nie był Nickiem. Możliwe, że gdy Shelagh zapnie pas bezpieczeństwa, na oparciu przedniego siedzenia obok przejścia pomiędzy rzędami spocznie ręka i Shelagh rozpozna sygnet na małym palcu. A jeśli podróżny garbiący się na samym przodzie, któremu zza fotela wystawał tylko czubek lekko łysiejącej głowy, obróci nagle twarz z czarną opaską na oku, spojrzy w stronę Shelagh i rozpromieni się w uśmiechu?

— Pardon.

Spóźniony pasażer przeciskał się obok, depcząc jej po nogach. Obrzuciła go spojrzeniem. Czarny, wygnieciony kapelusz, obsypana pryszczami blada twarz i niedopałek cygara w ustach. Gdzieś jakaś kobieta kochała i może nadal kocha tego brutala o niezdrowym wyglądzie. Shelagh wywrócił się żołądek. Mężczyzna rozłożył szeroko gazetę, szturchając Shelagh w łokieć. Jej wzrok przyciągnęły nagłówki: „Eksplozje po drugiej stronie granicy. Czy należy oczekiwać następnych?”

Pod wpływem cichej satysfakcji poczuła, jak oblewa ją gorąca fala. Tak, i to wielu, pomyślała. Życzę im powodzenia. Widziałam to na własne oczy. Byłam tam. Uczestniczyłam w przedstawieniu. A idiota siedzący obok mnie nie ma o tym zielonego pojęcia.

Lotnisko w Londynie. Kontrola celna.

— Przebywała pani na urlopie? Jak długo? — Wydawało się jej tylko, czy rzeczywiście celnik zmierzył ją badawczym spojrzeniem? Odfajkował kredą jej walizkę i zajął się następną w rzędzie.

Obok autobusu, który przeciskał się z trudem w stronę terminalu, przemykały samochody osobowe. Samoloty huczały ponad głową, wywożąc pasażerów w świat. Ludzie o szarych, zmęczonych twarzach czekali na zmianę świateł ulicznych. Myśl o powrocie do szkoły nappełniła Shelagh entuzjazmem. Tym razem nie zatrzyma się przed tablicą ogłoszeń w wietrznej auli obok swoich rozchichotanych koleżanek, ale sprawdzi inną, bardzo podobną tablicę, która wisi na ścianie przy wejściu na scenę. Nie będzie musiała się już pytać: „Czy naprawdę w tym semestrze będę dzielić pokój z Kate Mat — thews? Pomysł jest tak niedorzeczny, że wprost brak mi słów”, ani uśmiechać się nieszczercze: „Cześć Kate, tak, masz rację, to wspaniała nora”. Teraz na parterze przy podeście schodów czekało na nią ciasne, maleńkie pomieszczenie, szumnie nazywane garderobą. Być może zastanie w niej irytującą Olgę Brett, która, używając szminek koleżanek, będzie wykrzywiać się przed lustrem i powita ją, przeciągle wymawiając słowa: „Cześć, kochana, spóźniłaś się na próbę. Adam rwie sobie włosy z głowy...”

Nie miało sensu telefonowanie z lotniska do pani Warren, żony ogrodnika, z prośbą o zaścielenie łóżka. W domu panowała teraz pustka i straszło w nim z powodu osobistych rzeczy ojca oraz jego książek na szafce nocnej. Puste pokoje zamiast żywych ludzi zapełniały teraz wspomnienia i cienie. Shelagh postanowiła pojechać do swojego londyńskiego mieszkania, niczym pies, który szuka schronienia w budzie przesiąkniętej zapachem słomy, której nie tknęła ręka pana.

Nie spóźniła się na pierwszą próbę w poniedziałek, a nawet przyszła trochę wcześniej.

— Czy są dla mnie jakieś listy?

— Tak, panno Blair, pocztówka.

Tylko pocztówka. Shelagh prędko przebiegła wzrokiem jej treść. Pochodziła z Cap d'Ail i została napisana przez matkę: *Pogoda cudowna. Czuję się o wiele lepiej. Naprawdę tu wypoczęłam. Mam nadzieję, że i ty również, kochanie, oraz że twoja eskapada była udana. Nie przemęczaj się na próbach. Ciocia Bella przesyła ci ucałowania, a także Reggie i May Hillsboroughowie, którzy przyплыnęli swoim jachtem do Monte Carlo.*

Twoja kochająca mama. *(Reggie był piątym wicehrabią Hillsborough).*

Shelagh wyrzuciła kartkę do kosza i zeszła na scenę, żeby przywitać się z grupą.

Minął tydzień, dziesięć dni, dwa tygodnie i nadal nie było żadnej wiadomości. Shelagh straciła nadzieję. Nigdy więcej o nim nie usłyszy. Odtąd teatr będzie wypełniał jej życie, stanie się jej pasją, miłością i pożywieniem. Nie była już ani Shelagh, ani Jinnie, lecz Wiolą — Cezariem. Musiała teraz poruszać się, myśleć i marzyć tak jak postacie, w które się wcielała. To było jedyne lekarstwo, metoda stłumienia wszystkich myśli. Próbowwała kiedyś złapać na swoim tranzystorze Radio Eire, ale bezskutecznie. Brzmiący podobnie do Michaela albo do Murphy'ego głos spikera na nowo obudziłby w niej uczucia i wyrwał z emocjonalnej próżni. A tak pozostawał jedynie błazeński strój i bezdenne rozpacz.

OLIWIA: O, stój! Gdzie idziesz?

WIOŁA: Za droгим mi panem,

Bo on mi droższy nad moje źrenice...¹

Adam Vane przycupnął jak kot z boku sceny. Okulary w rogowej oprawce przytrzymały na czubku głowy wymykające się we wszystkie strony włosy.

— Nie przerywaj, moja droga, tak jest bardzo dobrze, naprawdę.

¹ W. Szekspir „Wieczór Trzech Króli”, akt V, scena 1. Przekład Leona Ulricha.

W dniu próby kostiumowej Shelagh wyszła z mieszkania o czasie i w drodze do teatru złapała taksówkę. Na roku Bel — grave Square był korek. Samochody trąbiły, ludzie tłoczyli się na chodniku, przybyła konna policja. Shelagh spuściła szybę oddzielającą ją od kierowcy.

— Co tu się dzieje? — spytała. — Spieszę się. Nie mogę pozwolić sobie dzisiaj na spóźnienie.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Demonstracja przed ambasadą Irlandii. Nie słuchała pani wiadomości o pierwszej? Kolejne wybuchy na granicy. Wygląda na to, że teraz tutaj przeniosły się londyńsko — ulsterskie zamieszki. Pewnie ludzie rzucają kamieniami w okna ambasady.

Głupcy, pomyślała Shelagh. Marnują tylko czas. Konna policja powinna ich stratować. Nigdy nie słuchała wiadomości o pierwszej, a dzisiaj nie przejrzała nawet porannej prasy. Wybuchy na granicy, Nick na stanowisku dowodzenia, młody człowiek ze słuchawkami na uszach, Murphy w furgonetce, a ja w taksówce, która mnie wiezie na występ — na mój własny pokaz ogni sztucznych, po którym przyjaciele otoczą mnie tłumnie i będą mówić: „Cudownie zagrałaś, kochanie, cudownie!”

Na skutek przymusowego postoju Shelagh przybyła do teatru w ostatniej chwili. Zastała tam atmosferę zamieszania, podniecenia i przedpremierowej paniki, ale się jej nie poddała. Pierwsza scena w roli Wioli dobiegła końca i Shelagh pognęła do garderoby, żeby się przebrać za Cezaria. „Precz mi z oczu!...”

Tak jest lepiej, pomyślała. Panuję nad sytuacją. Teraz ja tutaj rządę albo wkrótce będę rządzić. Zdjęła perukę Wioli i zaczesła swoje krótkie włosy. Włożyła bryczesy i pończochy. Zarzuciła pelerynę na ramiona i przypięła do pasa sztylet. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Co tam znowu, u diabła?

— Kto tam? — spytała.

— Ekspres dla pani, panno Blair.

— Och, proszę go gdzieś położyć.

Jeszcze ostatnie muśnięcie powiek, a potem krok do tyłu i końcowa ocena. Dokonasz tego, dokonasz. Jutro wieczorem wszyscy będą wrzeszczeć z zachwytu. Odwróciła wzrok od lustra i spojrzała na kwadratową przesyłkę, która leżała na stole. Dostrzegła znaczek z Eire. Zamarło w niej serce. Przez moment stała nieruchomo z kopertą w dłoniach, zanim zdecydowała się ją otworzyć. Najpierw wypadły kartki papieru, a spomiędzy nich coś twardego. Shelagh chwyciła list.

Kochana Jinnie!

Rano odlatuję do Ameryki, gdzie zamierzam się spotkać z wydawcą, który zainteresował się moimi pracami naukowymi, dotyczącymi kamiennych kręgów, fortyfikacji w kształcie pierścieni oraz epoką wczesnego brązu w Irlandii. Ale nie chcę zanudzać Cię szczegółami...

Prawdopodobnie będę przebywał poza krajem przez kilka miesięcy. Dowiesz się z ilustrowanych magazynów o byłym pustelniku, który na uniwersytetach mieszka w głowach amerykańskiej młodzieży. Prawdę mówiąc, chwilowa nieobecność w domu bardzo mi z różnych powodów odpowiada.

Przed wyjazdem paliłem niektóre dokumenty i wśród rupieci na dnie szuflady w biurku natknąłem się na fotografię, którą załączam do tego listu. Sądzę, że wyda ci się zabawna. Przypominasz sobie moje stwierdzenie podczas naszego pierwszego spotkania, że kogoś mi przypominasz? Myślałem wtedy o sobie! Łączył nas „Wieczór Trzech Króli”. Powodzenia, Cezario, i udanych skalpów.

Ucałowania, Nick

Ameryka... Z punktu widzenia Shelagh równie dobrze mógł to być Mars. Wyjęła zdjęcie z tekturowej oprawki i marszcząc brwi, przyjrzała mu się uważnie.

Czyżby to był kolejny kawał Nicka? Ale nie miała przecież własnej fotografii w roli Wioli — Cezaria. W jaki sposób mógłby więc zmontować zdjęcie? Czyżby sfotografował ją ukradkiem, a potem naniósł jej głowę na czyjąś postać? To niemożliwe. Obróciła odbitkę. Na odwrocie widniał napis: *Nick Barry jako Cezario w „Wieczorze Trzech Króli”. Dartmouth, 1929.*

Przyjrzała się postaci dokładniej. Jej nos, jej broda, ten sam wyraz pewności siebie na twarzy i przechylona głowa. Nawet ta sama postawa, z dłonią na biodrze, oraz gęste, krótko ostrzyżone włosy. Nagle Shelagh przeniosła się myślami ze swojej garderoby do sypialni ojca, w chwili gdy stała przy oknie i usłyszała poruszenie za plecami. Kiedy się obejrzała, wzrok ojca był w niej utkwiony, a na jego twarzy malowało się przerażenie i niedowierzenie. To, co błędnie odczytała jako oskarżenie w jego oczach, w rzeczywistości było rozpoznaniem. Nie przebudził się z koszmaru, ale ze snu, w którym tkwił przez dwadzieścia lat. Umierając, odkrył prawdę.

Znów rozległo się pukanie do drzwi.

— Cztery minuty pozostały do opuszczenia kurtyny w scenie trzeciej, panno Blair.

Leżała w furgonetce w ramionach Nicka. „Pam trochę pochichotała, a potem straciła kontakt z rzeczywistością. Nazajutrz niczego nie pamiętała”.

Shelagh oderwała wzrok od zdjęcia, które trzymała w dłoniach i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze.

— Och, nie... — rzekła. — Och, nie, Nick... Och, mój Boże!

A potem wydobyła sztylet z pochwy i zaczęła kłuć nim twarz chłopca na fotografii, aż rozerwała ją na strzępy, które potem wrzuciła do kosza. A gdy ponownie wyszła na scenę, zobaczyła siebie w przyszłości: nie w scenerii książęcego pałacu w Ilirii, lecz na ulicy — jakiegokolwiek, gdzie były szyby do wybicia i domy do podpalenia, a pod ręką znajdowały się kamienie, cegły i benzyna; gdzie były sprawy godne pogardy i ludzie zasługujący na nienawiść.

Ponieważ tylko nienawidząc człowiek może oczyścić się z miłości, tylko ogniem i tylko mieczem.

Wielki

Droga Krzyżowa

Wielebny Edward Babcock stał przy jednym z okien hallu w hotelu na Górze Oliwnej i patrzył na Dolinę Cedronu oraz na rozciągającą się na przeciwległym wzgórzu Jerozolimę. Zmierzch zapadł niespodziewanie prędko — zanim uczestnicy wycieczki zdążyli rozpakować swoje rzeczy w przydzielonych im pokojach i trochę się odświeżyć. A teraz Edward Babcock znowu miał ich na głowie. Zасыpywali go pytaniami, domagając się, by poświęcił uwagę każdemu z osobna. Nie dawali mu szansy na rozeznanie się w sytuacji, na zapoznanie się z notatkami ani na zajrzenie do przewodnika.

To nie on narzucił sobie tę szczególną rolę: pełnił ją w zastępstwie pastora z Little Bletford, który zachorował na gripę, był zmuszony zostać na pokładzie statku S.S. „Ventura” w Haj — fie i pozbawił swoją siedmioosobową trzódkę opieki. Parafianie uznali, że najodpowiedniejszą osobą, która pod nieobecność pastora z Little Bletford stanie na ich czele podczas dwudziestoczworgodzinnej wycieczki do Jerozolimy, będzie inny duchowny. I wybór padł na Edwarda Babcocka, który nie był tym zachwycony. Czym innym jest zwiedzanie po raz pierwszy Jerozolimy w roli pielgrzyma, a nawet zwykłego turysty, a czym innym ponoszenie odpowiedzialności za grupę obcych ludzi, którzy, ubolewając nad nieobecnością własnego pastora, będą od niego oczekiwać, by się wykazał zdolnościami przywódczymi lub, co gorsza, atrakcyjnością w towarzystwie i jowialnością, które cechowały chorego. Edward Babcock znał doskonale ludzi pokroju pastora, któremu miał okazję dobrze się przyjrzeć podczas morskiej podróży. Duchowny z Little Bletford zawsze obracał się w gronie pasażerów, którzy mieli największe wpływy, czuł się nieskrępowany w towarzystwie utytułowanych osób i był z nimi w zażyłych stosunkach. Niektórzy z nich nawet zwracali się do niego po imieniu, jak lady Althea Mason, osoba najbardziej licząca

się w społeczności miasteczka i spadkobierczyni Bletford Hall. Babcock, przyzwyczajony do swojej ubogiej parafii na przedmieściach Huddersfield, nie miał nic przeciwko bezpośredniości w stosunkach z wiernymi. Członkowie parafialnego klubu młodzieżowego bardzo często nazywali go Cockym podczas wspólnego rzucania lotkami do tarczy albo w czasie nieoficjalnych pogawędek, za którymi zarówno chłopcy, jak i on przepadali. Ale snobizmu nie mógł ścierpieć. I jeśli niedomagający pastor z Little Bletford sądził, że on, Edward Babcock, będzie się poniżał przed utytułowaną damą i jej rodziną, to bardzo się mylił. Babcock od pierwszej chwili uznał męża lady Althei, pułkownika Masona, oficera w stanie spoczynku, za snoba, i był zdania, że ich zepsutemu wnukowi, Robinowi, lepiej zrobiłoby obracanie się wśród rówieśników z miejskich bloków niż uczęszczanie do elitarnej szkoły podstawowej.

Pan i pani Foster byli ludźmi odmiennego pokroju, niemniej w oczach Babcocka uchodzili za równie podejrzanych. Foster był dyrektorem dobrze prosperującej firmy tworzyw sztucznych, a z jego wypowiedzi w autobusie podczas podróży z Haj — fy do Jerozolimy wynikało, że większą wagę przywiązuje do możliwości prowadzenia interesów z Izraelczykami niż do zwiedzania Świętych Miejsc. Jego żona, przeciwna dyskusowaniu o biznesie, rozprawiała o problemie głodu wśród uchodźców arabskich oraz o ich rozpaczliwym położeniu, za co obarczała odpowiedzialnością cały świat. Mogłaby ich wesprzeć, nosząc mniej kosztowne futra i oddając im swoje oszczędności, pomyślał Babcock.

Pan i pani Smith byli nowożeńcami i spędzali miodowy miesiąc. Ta okoliczność stawiała ich w centrum zainteresowania pozostałych członków grupy, wywoływała pobłażliwe uśmiechy i spojrzenia, a nawet była powodem kilku niestosownych żartów pana Fostera. Dla Babcocka było oczywiste, że postąpiliby rozsądniej, zostając w hotelu na wybrzeżach Galilei, zamiast włączyć się po

mieście, którego historycznego i religijnego znaczenia w obecnym nastroju i tak nie są w stanie pojąć.

Ósmą i najstarszą uczestniczką wycieczki była panna Dean. Miała siedemdziesiątkę na karku, o czym poinformowała wszystkich, a marzeniem jej życia było zwiedzenie Jerozolimy pod przewodnictwem pastora z Little Bletford. Zastąpienie wielebny Babcockiem jej ukochanego duchownego, którego tytułowała „Ojcem”, najwyraźniej zniszczyło jej idyllę.

Sytuacja nie do pozazdroszczenia, pomyślał nowy pasterz trzódki, spoglądając na zegarek. Ale to wyzwanie, któremu muszę stawić czoło. A także przywilej.

Sala powoli się zapełniała. Pielgrzymi i turyści zajmowali miejsca przy stołach i w jadalni podnosił się coraz większy zgiełk. Edward Babcock raz jeszcze spojrzął w stronę świąteł Jerozolimy na przeciwległym wzgórzu. Oprócz poczucia samotności i obcości doskwierała mu dziwna nostalgia za Hud — dersfield. Żałował, że nie ma teraz przy nim przyjaznej, choć często hałaśliwej, gromady chłopaków z parafialnego młodzieżowego klubu.

Althea Mason siedziała na taborecie przed toaletką i drapowała wokół ramion niebieski szyfonowy szal. Dobrała go pod kolor oczu. Zawsze starała się tak ubierać, by bez względu na okoliczności mieć coś na sobie w ulubionej barwie. Niebieski szal na tle sukni w ciemnym odcieniu błękitu prezentował się szczególnie dobrze. Sznur pereł i małe kolczyki z perłami dopełniały ubioru. Pewnie Kate Foster przyjdzie jak zwykle przesadnie wystrojona. Jej sztuczna biżuteria była w bardzo złym guście, a niebieska płukanka na włosach postarzała ją, z czego najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy. Żadne pieniądze, choćby nie wiadomo jak duże, nie były w stanie zrekompensować braku wychowania. Ta życiowa prawda odnosiła się zarówno do kobiet, jak i do mężczyzn. Fosterowie byli dość sympatycznymi ludźmi i panował powszechny pogląd, że Jim Foster któregoś dnia będzie kandydował do parlamentu. Nikt mu tego nie zazdrościł — w

końcu wszyscy wiedzieli, że jego firma wspiera Partię Konserwatywną wielkimi kwotami — ale w jego zachowaniu dawała się zauważyć pewna ostentacja i wulgarność, zdradzająca pochodzenie. Althea uśmiechnęła się. Przyjaciele zawsze mówili jej, że jest przenikliwa, i uważali ją za bystrą znawczynię natury ludzkiej.

— Phil? — zawołała przez ramię do męża. — Czy jesteś już gotów?

Pułkownik Mason opiłowywał w łazience paznokcie. Małeńki okruch brudu wbił się pod paznokcieć kciuka i nie można go było usunąć. Pułkownik zgadzał się z żoną w jednej kwestii: mężczyzna powinien być zadbany. Nie wypolerowane buty, nie wyczyszczona marynarka, brudne paznokcie — to były rzeczy niedopuszczalne. Poza tym dzięki swojemu nienagannemu wyglądowi oboje stali się przykładem dla reszty towarzystwa, a przede wszystkim dla wnuka, Robina. Chłopiec, co prawda, miał dopiero dziewięć lat, ale na naukę nigdy nie jest za wcześnie, tym bardziej że dzieciak wszystko w lot chwycił. Pułkownik nie wątpił w to, że któregoś dnia wyrośnie na wspaniałego żołnierza, jeśli jego ojciec, parszywy naukowiec, pozwoli mu wstąpić do armii. Zdaniem Masona dziadkowie powinni mieć prawo decydowania o przyszłości wnuka, zważywszy na to, że płacili za jego wykształcenie. Zastanawiający wydawał mu się fakt, że młodzi gładko rozprawiali o ideałach i o potrzebie postępowych poglądów w dobie zmieniającego się świata, lecz w rozstrzygającym momencie byli gotowi obarczyć konsekwencjami przemian starsze pokolenie. Weźmy choćby tę wycieczkę. Robin był razem z nimi, ponieważ odpowiadało to planom jego rodziców. Żadne z nich nie zastanawiało się nad tym, czy odpowiada to planom pułkownika oraz jego żony. Oboje z Altheą byli bardzo oddani dziecku i cieszyli się z jego obecności, ale nie w tym rzecz. Taka sytuacja powtarzała się zbyt często w porze ferii, by można było mówić o zbiegu okoliczności.

— Już idę! — zawołał pułkownik i poprawiwszy krawat, wyszedł z łazienki. — Bardzo wygodny pokój — zauważył. — Ciekawe, czy reszta grupy mieszka w

równie dobrych warunkach. Podczas mojego ostatniego pobytu tutaj, dwadzieścia lat temu, nie było żadnych udogodnień.

mój Boże, westchnęła w duchu Althea. Czy bez przerwy musimy wszystko porównywać z czasami jego służby w armii i okupacji brytyjskiej na tych terenach? Phil posunął się nawet do tego, że któregoś wieczoru zademonstrował Fosterowi przy kolacji strategiczne pozycje, używając do tego celu stojących na stole solniczek.

— W imieniu wszystkich nalegałam na zwiedzenie Jerozolimy — rzekła. — Nie jestem jednak pewna, czy inni zdają sobie sprawę z tego, że to ja wpadłam na ten pomysł i że są mi winni wdzięczność. Ale oni uważają, że im się wszystko należy. Wielka szkoda, że biedny Arthur nie może być razem z nami — to prawdziwa tragedia, że musiał zostać na statku. Ożywiłby swoją obecnością naszą eskapadę. Nie sądzę, że zdołam polubić młodego Babcocka.

— Och, nie uprzedzaj się do niego zawczasu — powiedział mąż. ~ Sprawia dość sympatyczne wrażenie. Nieoczekiwana rola z pewnością jest dla niego ciężką próbą. Musimy to wziąć pod uwagę.

— Powinien był odmówić, jeśli nie czuł się na siłach sprostać zadaniu — oświadczyła Althea. — Nie mogę się nadziwić, gdy widzę, jakiego typu młodzi mężczyźni otrzymują teraz święcenia kapłańskie. Z pewnością nie wywodzą się z najwyższej klasy. Czy zwróciłeś uwagę na jego akcent? Ale czegoż się można spodziewać w dzisiejszych czasach?

Podniosła się, żeby ostatni raz rzucić okiem na swoje odbicie w lustrze. Pułkownik Mason odchrząknął i spojrzął na zegarek. Miał nadzieję, że Althea nie przybierze wobec nieszczęsnego pastora swojej wyniosłej pozy.

— Gdzie jest Robin? — spytał. — Powinniśmy już zejść na dół.

— Tutaj jestem, dziadku.

Chłopiec przez cały czas stał przy rozsuniętych zasłonach i podziwiał panoramę miasta. Zabawny dzieciak. Zawsze zjawia się znikąd. Szkoda tylko, że musi nosić okulary. Bardzo przypomina w nich swojego ojca.

— I co sądzisz o tym wszystkim, chłopcze? — pułkownik zwrócił się do wnuka. — Trzeba ci wiedzieć, że Jerozolima nie była tak oświetlona dwadzieścia lat temu.

— Ani dwadzieścia, ani dwa tysiące lat temu — rzekł chłopiec. — Elektryczność ogromnie zmieniła wygląd świata. Powiedziałem pannie Dean, gdy jechaliśmy autobusem, że gdyby Jezus zobaczył to miasto teraz, bardzo by się zdumiał.

— Uhm. — Trudno było opatrzyć tę uwagę jakimś komentarzem. Dzieci miały niesamowite spostrzeżenia. Pułkownik wymienił spojrzenia z żoną. Uśmiechnęła się pobłażliwie i poklepała Robina po ramieniu. Chłubiła się tym, że nikt oprócz niej nie rozumie, jak zwykła mawiać, „filozofii młodego umysłu”.

— Mam nadzieję, że nie zaszokowałaś panny Dean.

— Czy nie zaszokowałem? — Chłopiec przechylił głowę, namyślając się. — Jestem pewien, że nie — odparł. — To raczej ja byłem wstrząśnięty, gdy nie zatrzymaliśmy się obok rozbitego samochodu, który stał na poboczu.

Pułkownik Mason zamknął drzwi i we trójkę ruszyli korytarzem w stronę jadalni.

— O czym ty mówisz? — zdumiał się. — Nie przypominam sobie, żebym widział po drodze jakiś uszkodzony pojazd.

— Patrzyłeś wtedy w drugą stronę, dziadku — rzekł Robin. — Pokazywałeś panu Fosterowi miejsce, w którym za twoich czasów znajdowały się pozycje karabinów maszynowych. Być może oprócz mnie nikt nic nie zauważył. Przewodnik był zajęty pokazywaniem „Gospody Miłosiernego Samarytanina”, a samochód stał kilka metrów dalej.

— Być może kierowcy zabrakło paliwa — rzekła Althea. — Przypuszczam, że wkrótce po nas ktoś tamtędy przejeżdżał. To dość uczęszczana droga.

Dostrzegając swoje odbicie w wielkim lustrze na końcu korytarza, poprawiała błękitny szal.

Jim Foster wypił w barze szybkiego drinka, a dokładnie mówiąc — dwa drinki. Zamierzał postawić pozostałym uczestnikom wycieczki kolejkę, gdy tylko się zjawią. Kate będzie musiała się z tym pogodzić. Chyba nie zdobędzie się na to, by strofować go przy wszystkich, strasząc chorobą wieńcową i przestrzegając przed liczbą kalorii zawartą w podwójnym dzinie. Rozejrzał się wokół siebie po rozgadany tłumie. Co za tłok! Naród wybrany w całej okazałości. Jim Foster nie miał nic przeciwko niemu, a szczególnie przeciw kobietom, choć te młodsze były o wiele ładniejsze w Hajfie. Jak dotąd na salę nie wszedł nikt ważny. Kapitał zainwestowany tutaj pochodził pewnie z nowojorskiego East Side'u, a nie z tutejszych źródeł. Hotel był zatłoczony, ale Foster spodziewał się, że jutro w Jerozolimie będzie jeszcze gorzej. Miał głowę na karku, że wykręcił się od zwiedzania i wypożyczył samochód, żeby pojechać razem z Kate nad Morze Martwe, gdzie miała powstać fabryka tworzyw sztucznych. Izraelczycy opracowali nową technologię produkcji plastyku, a za wysoką rentowność ich przedsięwzięć można było ręczyć głową. Foster uznałby tak daleką podróż za cholerną głupotę i trwonienie pieniędzy, gdyby po powrocie do domu nie mógł porozmawiać z władzami na temat lokalizacji budowy. Hallo! Zjawili się nowożeńcy. Nie było potrzeby pytać, co robili od momentu, gdy wysiedli z autobusu! Chociaż sądząc po napięciu, jakie malowało się na twarzy Boba Smitha, Foster nie był tego taki pewien. Niewykluczone, że żona Smitha, jak wszystkie rudowłose, zaliczała się do kobiet, które trudno zaspokoić. Foster uznał, że dzięki drinkom oboje się wzmocnią.

— Podejdźcie tutaj, gruchające gołąbki, i zamówcie sobie coś do picia na mój rachunek — zawołał. — Wszyscy musimy się trochę odprężyć.

Szarmancko zsunął się ze swojego stołka, ustępując miejsca Jill Smith. W chwili kiedy zajmowała zwolnione siedzenie, jego ręka na moment znalazła się pod jej szczupłymi pośladkami.

— Dziękuję, panie Foster — rzekła młoda mężatka i udowadniając, że nie straciła panowania nad sobą oraz że uznała jego rozmyślny gest za komplement, dodała:

— Nie wiem, na co ma ochotę Bob, ale ja chętnie napiję się szampana.

Uwaga została rzucona w tak prowokujący sposób, że twarz młodego żonkosia oblała się rumieńcem. Do diabła, pomyślał. Pan Foster domyśli się z tonu Jill... że nam to nie wychodzi. I to z mojego powodu. Istny koszmar. Nie wiem, w czym tkwi problem. Będę musiał zasięgnąć porady lekarza...

— Poproszę o whisky — rzekł.

— Nie ma sprawy — uśmiechnął się Foster. — I na miłość boską, zwracajcie się do mnie po imieniu.

Zadysponował koktajl z szampana dla Jill, podwójną whisky dla Boba i duży dzin z tonikiem dla siebie. Kate, która przepychała się właśnie przez tłum kręcących się przy barze gości, usłyszała, jak mąż składa zamówienie.

Wiedziała, pomyślała Kate. To był powód, dla którego zszedł na dół, zanim skończyłam się ubierać — chciał przede mną dotrzeć do baru. A na dodatek wpadła mu w oko ta dzierlatka. Nie przepuści żadnej młodej dziewczynie. Nie zostawi nawet w spokoju kobiety, która właśnie spędza miodowy miesiąc. Kate była zadowolona, że odwiodła go od zamiaru spotkania się z przyjaciółmi w interesach w Tel Awiwie i pomysłu, by ona sama pojechała do Jerozolimy. Tym razem zamierzała go przypilnować i nie dopuścić do tego, by czmychnął ze swoją kolejną zdobyczą. Gdyby tylko pułkownik nie był starym nudziarzem, a lady Althea potworną snobką, zwiedzanie Jerozolimy mogłoby dostarczyć wiele satysfakcji, zwłaszcza osobie inteligentnej i zainteresowanej wydarzeniami na

świecie. Ale czy Masonów cokolwiek interesowało? Nie zadali sobie nawet trudu, żeby przyjść na odczyt Kate poświęcony problemom światowego uchodźstwa, jaki wygłosiła kilka tygodni temu w Little Bletford. Tłumaczyli się potem, że nigdy wieczorami nie wychodzą z domu, co było nieprawdą. Gdyby lady Althea więcej myślała o innych, a mniej o tym, że jest jedyną żyjącą córką para, choć jego noga nigdy nie powstała w Izbie Lordów i uważany był za pomyleńca, Kate darzyłaby ją większym szacunkiem. Ale w sytuacji... Z narastającym oburzeniem rozejrzała się wokół siebie. Ogarnął ją wstyd, że przebywa pośród tych wszystkich turystów, którzy popijają alkohol, bawią się i trwonią pieniądze, które mogłyby być przekazane do Oxfam albo do innej poważnej organizacji charytatywnej. No cóż, skoro w tej chwili nie było do zrobienia nic, co przyczyniłoby się do rozwiązania światowych problemów, postanowiła przynajmniej rozgonić towarzystwo przy barze i przywołać Jima do porządku. Ruszyła w stronę męża. Szkarłatny kolor jej bluzki sprawiał, że rumieńce na policzkach wydawały się jeszcze bardziej intensywne.

— Proszę nie zachęcać do picia mojego męża, panie Smith — rzekła. — Lekarz kazał mi ograniczyć spożycie alkoholu i palenie z powodu zagrożenia chorobą wieńcową. Nie rób takiej miny, Jim. Dobrze wiesz, że to prawda. Nawiasem mówiąc, rezygnacja z napojów wysokokowych wszystkim nam wyjdzie na zdrowie. Statystyki udowadniają, jak szkodliwy wpływ na wątrobę ma spożywanie ich nawet w skromnych ilościach.

Bob Smith odstawił szklankę na ladę. Zaczynała mu już powracać dawna pewność siebie, ale pani Foster swoim przybyciem wszystko popsuła.

— Och, proszę nie brać mi tego za złe. Nikt nie chce mnie słuchać. Ale któregoś dnia świat otworzy oczy na fakt, że dzięki picciu soków owocowych ludzkość będzie w stanie znieść dziesięciokrotnie więcej stresów i napięć współczesnej cywilizacji. Wszyscy powinniśmy dłużej żyć, młodziej wyglądać i mieć większe osiągnięcia. Tak, chętnie napiję się soku grejpfrutowego. I poproszę o dużo lodu.

Pfe! Jej poglądy trąciły myszką. Czowała, że od karku po skronie oblewa się rumieńcem. Po chwili fala gorąca powoli odpłynęła. Była niemądra... Zapomniała zażyć hormony.

Jill Smith przyglądała się Kate Foster znad brzegu kieliszka. Ona musi mieć więcej lat niż on. W każdym razie wygląda starzej. Chociaż w wypadku ludzi w średnim wieku nigdy nie można być pewnym. Szczególnie wygląd mężczyzn bywa złudny. Jill gdzieś czytała, że mężczyźni mogą to robić aż do dziewięćdziesiątki, a kobiety tracą zainteresowanie seksem po biologicznym przełomie, jaki następuje w ich życiu. Być może Kate Foster miała rację, mówiąc o dobroczynnych skutkach soków owocowych. Och, dlaczego Bob włożył dzisiaj krawat w grochy? Jego cera wydaje się przez to jeszcze bardziej ziemista. Przy Jimie Fosterze wygląda młodziej niż zwykle. Co za pomysł, żeby zwracali się do Fostera po imieniu! Ponownie dotknął jej ręki. Naprawdę! Fakt, że spędzała miodowy miesiąc wcale nie zrażał przedstawicieli płci przeciwnej, a nawet ich podniecał, jak gdyby Bob był kimś, kogo można ignorować. Skinęła głową, gdy Jim zaproponował jeszcze jeden kieliszek szampana.

— Tylko niech pani Foster się o tym nie dowie — szepnęła. — Zarzuci mi, że narażam na szwank swoją wątrobę.

— Droga dziewczyno — mruknął. — Wątroba tak młoda jak twoja może być niszczone całymi latami. A moja jest już całkiem zakonserwowana.

Jill zachichotała. Jakie on mówił śmieszne rzeczy! I wychyliła drugi kieliszek szampana, zapominając o niemiłej scenie, jaka rozegrała się w sypialni na górze,

gdy Bob, blady i spięty, zarzucał jej, że to ona nie reaguje właściwie i że wina leży po jej stronie. Utkwiła prowokujące spojrzenie w mężu, który uprzejmie zgadzał się z opiniami pani Foster, dotyczącymi problemu głodu na Bliskim Wschodzie oraz w Azji, a potem oparła się o ramię Jima Fostera i powiedziała uszczypliwie:

— Nie rozumiem, dlaczego lady Althea wybrała właśnie to miejsce. Oficer na statku polecał hotel w samej Jerozolimie, gdzie organizowane są nocne wycieczki po mieście, kończące się w nocnych klubach.

Panna Dean rozejrzała się wokół siebie wzrokiem krótkowidza. Jak miała odnaleźć resztę grupy wśród tej nieprzebranej cizby ludzi? Gdyby drogi ojciec Garfield był razem z nimi, zatroszczyłby się o nią i nie zostawił na pastwę losu. Młody duchowny, który go zastępował, zamienił z nią najwyżej dwa słowa. Miała wątpliwości, czy w ogóle jest przedstawicielem kościoła anglikańskiego. Prawdopodobnie był przeciwny noszeniu szat liturgicznych i nigdy w życiu nie zaintonował żadnej religijnej pieśni. Gdyby zdołała wypatrzeć w tłoku lady Altheę i pułkownika, to już by było coś. Lady Althea przejawiała czasami snobistyczne skłonności, ale trzeba przyznać, że miała dużo na swojej głowie. To ładnie z jej strony, że zadała sobie trud i zorganizowała tę wycieczkę.

Jerozolima... Jerozolima, Z pewnością jej córki lamentowałyby, gdyby mogły zobaczyć ten ogromny tłum agnostyków na Górze Oliwnej. Postawienie nowoczesnego hotelu w tak świętym miejscu jak to, gdzie Nasz Pan zwykł przechadzać się ze swoimi uczniami w drodze do Jerozolimy z Betanii, panna Dean uznała za wielce niestosowne. Najbardziej dotkliwie odczuła brak ojca Garfielda, gdy autobus zatrzymał się na kilka minut w wiosce, a przewodnik, wskazując na miejsce poniżej ruin kościoła, wyjaśnił, że dwa tysiące lat temu stal tam dom Łazarza, Marii i Marty! Ojciec z pewnością potrafiłby na nowo powołać go do życia. Panna Dean wyobraziła sobie skromny, ale wygodny budynek, zamiecioną kuchnię, Martę odpowiedzialną za porządek i prawdopodobnie

niezbyt pomocną przy wycieraniu naczyń Marię. Scena przypomniała jej obraz z własnego życia, gdy czytała wyjątek z Ewangelii swojej młodszej siostrze Dorze, która nigdy nie kiwnęła palcem, jeśli w danym momencie był jakiś dobry program w telewizji. Nie znaczy to, że można porównywać Marię z Betanii, słuchającą cudownych kazań Naszego Pana, z kimś tak pełnym wątpliwości, jak na przykład Malcolm Muggeridge. Ale przecież ojciec Garfield zawsze twierdził, że człowiek powinien podejmować próby powiązania przeszłości z teraźniejszością, aby w ten sposób lepiej zrozumieć sens nauki Kościoła.

Nagle dostrzegła idącą korytarzem lady Altheę. Jej bardzo angielski, wytworny wygląd sprawiał, że wyróżniała się spośród innych gości hotelu — przeważnie cudzoziemców — a pułkownik u jej boku był w każdym calu żołnierzem i dżentelmenem. Towarzyszył im Robin; niezwykle dzieciak. Jego uwaga o tym, że Naszego Stwórcę zdziwiłby widok elektrycznych świateł, świadczyła o dużej wyobraźni. „Ależ to On sam je wymyślił, mój drogi — powiedziała wtedy. — Wszystko, co kiedykolwiek zostało wynalezione lub odkryte, jest dziełem samego Boga”. Obawiała się jednak, że jej słowa nie trafiły do młodego umysłu chłopca. Nieważne. Będą inne okazje, żeby jej wyjaśnienia wywarły na nim należyte wrażenie.

— Mam nadzieję, że odpoczęła pani po tej długiej podróży autobusem i zdążyła pani zgłodnieć przed kolacją? — zwrócił się do niej Phil Mason.

— Tak, dziękuję, panie pułkowniku. Czuję się wypoczęta, choć trochę nieswoja. Sądzi pan, że możemy tu liczyć na angielską kuchnię, czy też podadzą nam ociekające tłuszczem tutejsze potrawy? Muszę uważać na mój żołądek.

— No cóż, z moich doświadczeń wynika, że na Bliskim Wschodzie trzeba przede wszystkim wystrzegać się jedzenia świeżych owoców, w tym również melonów. A także sałaty. Nigdy nie płuczają ich należycie. W moich oddziałach właśnie sałata i owoce spowodowały najwięcej dolegliwości brzusznych.

— Och, Phil, pleciesz bzdury — uśmiechnęła się lady Althea. — Żyjesz przeszłością. W dzisiejszych czasach wszystko jest należycie myte w takich miejscach, jak to. Niech pani nie zwraca na niego uwagi, panno Dean. Podadzą nam kolację składającą się z pięciu dań i może pani spokojnie zjeść wszystko. Niech pani pomyśli o swojej siostrze Dorze, która została w domu i musi zadowolić się gotowanym jajkiem. Wyobrażam sobie, jak ona pani zazdrości!

Stwierdzenie, choć wypowiedziane w dobrej wierze, zabrzmiało niestosownie. Dlaczego lady Althea sądziła, że obie z Dorą nie jadają nic innego wieczorami oprócz jajek? Rzadko spożywały kolację, to prawda, ale jedynym tego powodem był brak apetytu. Nie miało to nic wspólnego z ich stylem ani poziomem życia. Gdyby ojciec Garfield przebywał teraz razem z nimi, na pewno wiedziałby, jaką dać lady Althei odpowiedź. Oświadczyłby jej — ze śmiechem, oczywiście, ponieważ był człowiekiem niezwykle uprzejmym — że nikt w całym Little Bletford nigdy nie ugościł go lepiej, niż dwie panny Dean w „Domku pod Bzem”.

— Dziękuję, panie pułkowniku — rzekła, celowo zwracając się tylko do niego. — Zastosuję się do pańskiej rady i będę unikać owoców oraz sałaty. Co zaś się tyczy pięciodaniowego posiłku, wstrzymam się z jego oceną, dopóki nie zobaczę, co mają do zaoferowania.

Miała nadzieję, że posadzą ją przy stole obok pułkownika. Był taki delikatny. I znał z dawnych czasów Jerozolimę — mógł niemal uchodzić za eksperta.

— Państwa wnuczek ma dużą łatwość nawiązywania przyjaźni — zauważyła. — I wcale nie jest nieśmiały.

— Och, tak, to prawda — przyznał pułkownik. — Robin to wyjątkowo towarzyski dzieciak. Nie ukrywam, że to po części zasługa moich wychowawczych zabiegów. Poza tym dużo czyta. Większość jego rówieśników w ogóle nie zagląda do książek.

— Zięć państwa jest naukowcem, prawda? — dociekała panna Dean. — Naukowcy to mądrzy ludzie. Być może chłopiec wdał się w ojca.

— Uhm, nic mi o tym nie wiadomo — rzekł pułkownik.

Głupia starucha, pomyślał. Nie wie, co mówi. Robin to przecież cały Mason. Uważał, że chłopiec jest podobny do niego, gdy był w tym wieku. On też jako dziecko interesował się książkami i miał żywą wyobraźnię.

— Chodźmy, Robinie — zawołał. — Twoja babcia ma ochotę na kolację.

— Wiesz co, Phil? — rzekła lady Althea nie do końca rozbawiona. — Twoje stwierdzenie zabrzmiało tak, jakbyś był wilkiem z bajki o Czerwonym Kapturku.

Niespiesznym krokiem przeszła przez hall, świadoma uwagi, jaką powszechnie wzbudza. Wszystkie głowy odwracały się za nią nie z powodu oświadczenia męża, które słyszało zaledwie kilka osób, ale dlatego że, pomimo swoich sześćdziesięciu lat z okładem, była najlepiej wyglądającą i najbardziej wytworną damą pośród obecnych w hotelu kobiet. Rozejrzała się za grupą mieszkańców Little Bletford, obmyślając plan usadzenia ich przy stole. Och, wszyscy byli przy barze — wszyscy z wyjątkiem Babcocka. Wysłała męża, żeby go odszukał, a sama skierowała się do restauracji i przywołała władcym gestem kierownika sali.

Jej pomysł rozsadzenia gości okazał się trafny, gdyż wszyscy sprawiali wrażenie usatysfakcjonowanych. Panna Dean pochłaniała kolejne dania i wino, chociaż wychylenie kieliszka w tym samym momencie, w którym został napełniony, było nietaktowne, podobnie jak i jej uwaga skierowana do siedzącego obok wielbnego Babcocka:

— Proponuję toast za rychły powrót do zdrowia drogiego ojca Garfielda. Jestem przekonana, że wie, jak okrutnie brakuje go nam wszystkim dzisiejszego wieczoru.

Dopiero przy trzecim daniu sens własnych słów dotarł w pełni do panny Dean i przypomniała sobie, że młody mężczyzna, który z nią rozmawia, nie jest pracownikiem służb społecznych z centralnej części kraju, lecz duchownym, który

zastępuje jej ukochanego pastora. Kieliszek sherry przy barze zamącił jej trochę w głowie, a brak koloratki u Babcocka dodatkowo gmatwał sprawę.

— Proszę uważać na jedzenie — zwróciła się do niego, pragnąc w ten sposób wynagrodzić sprawioną mu przykrość. — Pułkownik odradza spożywanie sałaty i owoców. Tubylcy nie płuczą ich dokładnie. Myślę, że pieczeń z jagnięcia będzie rozsądnym wyborem.

Przy słowie „tubylcy” Edward Babcock spojrział na nią zdumiony. Chyba panna Dean nie sądziła, że przebywa w dzikim afrykańskim kraju? Czy mieszkając w małym miasteczku południowej Anglii można do tego stopnia być odizolowanym od współczesnego życia?

— Uznaję proste zasady — zwrócił się do niej, częstując się ragout z kurczaka. — Wierzę, że więcej dobrego zrobimy dla świata, obserwując, w jaki sposób żyje druga połowa jego mieszkańców, niż jeśli będziemy trzymali się tylko własnych zwyczajów. Do naszego młodzieżowego klubu parafialnego należą, oprócz rodowitych Anglików, również Pakistańczycy oraz chłopcy z Jamajki. I tak jak wszyscy, mają wyznaczone dyżury gotowania w stołówce. Przyznaję, że czasami spotykają nas kulinarne niespodzianki. Ale zasadnicza wydaje mi się kwestia podziału obowiązków; i to sprawiedliwego podziału. Chłopcom to się podoba.

— Całkowita racja, ojciec — rzekł pułkownik, do którego uszu dotarła ostatnia uwaga. — Pobudzanie ducha dobrej woli jest sprawą podstawową w każdej mszy. Jeśli ojciec z tego zrezygnuje, moralność rozpadnie się na kawałki.

Jim Foster nadepnął pod stołem na stopę Jill Smith. Ale się pocziwiec rozochocił. Jill odwzajemniła mu się, ocierając kolaniem o jego nogę. Rozgrzani bezpośrednim kontaktem ciał, osiągnęli ten stopień wzajemnego zauroczenia, że każda, nawet najbardziej niewinna uwaga innych, brzmiała dla nich dwuznacznie.

— Wszystko zależy od tego, co się dzieli i z kim, nie sądzisz? — mruknął.

— Kobieta zamężna nie ma wyboru — odparła półgłosem. — Musi zadowolić się tym, co mąż ma jej do zaoferowania.

I spostrzegając utkwiony w siebie wzrok siedzącej po drugiej stronie stołu pani Foster, z obłudnym wyrazem niewiniątka na twarzy otworzyła szeroko oczy, ponownie trącając pod stołem kolano Jima Fostera.

Lady Althea rozejrzała się po sąsiednich stolikach i naszły ją wątpliwości, czy Jerozolima była właściwym wyborem. Nie dostrzegła nikogo godnego zainteresowania. Być może więcej osób z wyższej sfery wybrało się do Libanu. Ale na szczęście ich pobyt tutaj był zaplanowany tylko na dobę, a potem mieli wrócić na statek i popłynąć na Cypr. Jeśli Phil i kochany Robin uznają wycieczkę za udaną, to ona też będzie zadowolona. Musi zwrócić uwagę wnukowi, żeby nie siedział z rozdziawioną buzią, bo wygląda głupkowato, a przecież takie ładne z niego dziecko. Upał wyraźnie dawał się we znaki Kate Foster, która robiła się na twarzy coraz bardziej czerwona.

— Ależ powinien pan podpisać petycję sprzeciwiającą się budowie zakładu produkującego gazy łzawiące — mówiła Kate do Boba Smitha. — Zebrałam już ponad tysiąc podpisów pod moim protestem. Obowiązkiem każdego z nas jest dopilnowanie, żeby ta zatrważająca działalność została powstrzymana. Czy będzie pan zadowolony, jeśli pańskie dzieci urodzą się niewidome, głuche lub w inny sposób okaleczone z powodu tych straszliwych zakładów chemicznych? — zapytała, uderzając pięścią w stół. — Będą siał skażenie wśród kolejnych pokoleń, jeśli nie zjednoczymy wysiłków, aby zapobiec ich produkcji.

— Ależ władze w pełni sprawują nad nimi kontrolę — zaprotestował pułkownik. — Poza tym gaz nie jest śmiertelny. Powinniśmy dysponować pewnym jego zapasem na wypadek rozruchów. Moim skromnym zdaniem ktoś musi zajmować się chuliganami tego świata...

— Zachowaj dla siebie swoje skromne zdanie, kochanie — wtrąciła się do rozmowy lady Althea. — Myślę, że nasza dyskusja wkracza na zbyt poważne tory. Przecież nie po to przyjechaliśmy do Jerozolimy, żeby rozprawiać o gazach łzawiących, o zamieszkach ani o żadnych innych równie ponurych sprawach.

Musimy wywieźć przyjemne wspomnienia z tego miasta, które zalicza się do najbardziej znanych na świecie.

Natychmiast zapadło milczenie. Lady Althea uśmiechnęła się z wyższością. Dobra gospodyni wie, kiedy należy zmienić nastrój towarzystwa. Nawet Jim Foster cofnął dłoń z kolana Jill Smith i na moment okiełznał swój zapał. Problem polegał teraz na tym, żeby ktoś coś powiedział i odbił piłeczkę w nowym kierunku. Robin zrozumiał, że jego chwila nadeszła. Przez całą kolację czekał na tę sposobność. Jego uczony ojciec zawsze go przestrzegał, żeby nie poruszał żadnego tematu ani nie zabierał w żadnej sprawie głosu, dopóki nie będzie pewny faktów i dlatego chłopiec dołożył wszelkich starań, żeby zdobyć potrzebne mu informacje. Przed kolacją wypytał w hallu przewodnika i nie miał wątpliwości, że fakty, które zamierzał podać, są prawdziwe. Dorośli będą zmuszeni go wysłuchać. Już sama myśl o tym wydała mu się zachwycająca i napełniła go potężnym poczuciem władzy. Pochylił się nad stołem i przekrzywił na bok głowę. Okulary zsunęły mu się na czubek nosa.

— Ciekaw jestem, czy ktoś z państwa wie, że dzisiaj wypada trzynasty dzień Nisanu? — spytał i wygodnie rozparł się w krześle, by jego słowa wywarły większy efekt.

Dorośli przy stole patrzyli na niego z zakłopotaniem. O czym, na Boga, ten dzieciak mówił? Dziadek chłopca, przez lata szkolony, by skutecznie radzić sobie z nieprzewidzianymi sytuacjami, odezwał się pierwszy:

— Trzynasty dzień Nisanu? — powtórzył. — Nie bądź taki przemądrzały, mój chłopcze, i powiedz nam, o co ci chodzi.

— Wcale nie jestem przemądrzały, dziadku — rzekł Robin. — Stwierdzam tylko fakty. Podałem datę z hebrajskiego kalendarza. Jutro o zachodzie słońca, czternastego dnia Nisanu, wypada Pascha, Święto Przaśnego Chleba. Dowiedziałem się o tym od przewodnika. To dlatego jest tu tak wielu podróżnych. Przybyli z pielgrzymką z całego świata. Wszyscy o tym wiedzą, a już na pewno

pastor Babcock, że według świętego Jana, a także wielu innych autorytetów Kościoła, Jezus spożywał Ostatnią Wieczerzę ze swoimi uczniami właśnie trzynastego dnia Nisanu, w przeddzień Święta Przaśnego Chleba. Cieszę się, że właśnie tutaj wypadła nam dzisiejsza kolacja. Jezus robił dokładnie to samo, co my, dwa tysiące lat temu.

Poprawił okulary na nosie i uśmiechnął się. Efekt jego słów nie był tak oszałamiający, jak się tego spodziewał. Nie było oklasków ani okrzyków zachwyty nad jego wiedzą ogólną. Wszyscy sprawiali wrażenie raczej niezadowolonych.

— Uhm, to twoja dziedzina, pastorze — rzekł pułkownik Mason.

Babcock dokonał w myślach szybkiej kalkulacji. Przywykł do radzenia sobie z różnymi tematami. Zwykle był nimi zasypywany w programie: Wszystkie Pytania Dopuszczalne, jaki organizował raz na kwartał w młodzieżowym klubie parafialnym, ale ten problem go zaskoczył.

— Jak widzę, bardzo uważnie przeczytałeś Ewangelię, Robinie — stwierdził. — Mateusz, Marek i Łukasz nie byli jednak zgodni z Janem co do dokładnej daty. Nie wiedziałem o tym, że jutro wypada czternasty dzień Nisanu i że o zachodzie słońca rozpoczyna się żydowskie święto. To duże zaniedbanie z mojej strony. Ja też powinienem był porozmawiać z przewodnikiem.

Oświadczenie Babcocka nie uzdrowiło panującej atmosfery. Panna Dean była szczerze zdumiona.

— Jak to możliwe, żeby dzisiaj wypadała rocznica Ostatniej Wieczerzy? — spytała. — Przecież już obchodziliśmy Wielkanoc. Czy nie obchodziliśmy już w tym roku Dnia Zmartwychwstania Pańskiego dwudziestego dziewiątego marca?

— Kalendarz żydowski różni się od naszego — wyjaśnił Babcock. — Pascha, czyli Święto Baranka, jak my to nazywamy, niekoniecznie musi zbiegać się z Wielkanocą.

Chyba nie oczekiwali od niego, że wda się w teologiczną dyskusję po to, żeby wyrzeć wrażenie na małym chłopcu?

Jim Foster strzelił palcami w powietrze.

— Teraz rozumiem, dlaczego nie mogłem skontaktować się telefonicznie z Rubinem, Kate — rzekł. — Powiedzieli mi, że jego biuro w Tel Awiwie będzie nieczynne aż do dwudziestego pierwszego. Powodem jest religijne święto.

— Mam nadzieję, że sklepy i bazary będą otwarte — wykrzyknęła Jill. — Chcę kupić upominki dla rodziny i przyjaciół w kraju.

Po chwili namysłu Robin skinął głową.

— Sądzę, że będą — orzekł. — Przynajmniej do zachodu słońca. W ostateczności będzie pani mogła podarować swoim przyjaciołom przaśny chleb. — Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł i uradowany zwrócił się do Babcocka:

— Czy ze względu na to, że wypada właśnie trzynasty dzień Nisanu nie powinniśmy wszyscy zejść do Ogrodu Oliwnego? To niedaleko stąd. Pytałem przewodnika. Jezus i uczniowie przechodzili na drugą stronę doliny, ale my nie musimy tego robić. Będziemy mogli wyobrazić sobie, że cofnęliśmy się o dwa tysiące lat i że oni tam mają przybyć.

Nawet babka chłopca, która zwykle entuzjastycznie odnosiła się do jego wszelkich pomysłów, sprawiała wrażenie trochę zakłopotanej.

— Nie sądzą, Robinie, żeby ktokolwiek z nas był przygotowany na tę wyprawę i zamierzał błąkać się po okolicy w ciemnościach. Nie zapominaj, że nie jesteśmy uczestnikami twoich jasełek. — Zwróciła się do Babcocka:

— Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia Robin brał udział w bardzo ładnym okolicznościowym przedstawieniu. Grał rolę jednego z Trzech Króli.

— Ach, tak. Moi chłopcy z Huddersfield też wystawiali w naszym klubie jasełka — odparował pastor. — Akcja rozgrywała się w Wietnamie. Widowisko wywarło na wszystkich ogromne wrażenie. — Babcock czuł na sobie bardziej

natarczywy niż zwykle wzrok chłopca. Z najwyższym wysiłkiem zdobył się na to, żeby podjąć wyzwanie.

— Jeśli ktoś z państwa ma ochotę zejść do Ogrójca, chętnie będę mu towarzyszył.

— Znakomicie! — zawołał pułkownik. — Przyłączam się. Spacer na świeżym powietrzu nam wszystkim dobrze zrobi. Znam tę okolicę. Ze mną nie zabłądzicie.

— I co ty na to? — mruknął Jim Foster do swojej sąsiadki Jill. — Jeśli się będziesz mocno mnie trzymać, to się nie zgubisz.

Twarz Robina rozjaśnił uśmiech zachwyty. Wszystko przebiegało zgodnie z jego planem. Nie groziło mu dzisiaj wczesne pójście do łóżka.

— Gdybyśmy naprawdę byli uczniami, a wielebny Babcock Jezusem, musiałby nas ustawić rzędem pod ścianą i obmyć nasze stopy. Ale moja babcia uznałaby to pewnie za przesadę — powiedział chłopiec dobitnym głosem, dotykając ramienia pastora.

A potem kiwając głową, usunął się grzecznie na bok, przepuszczając przodem dorosłych. W przyszłości miał przecież się kształcić w Winchester i dobrze pamiętał dewizę szkoły: „O mężczyźnie świadczą jego maniery”.

Powietrze było czyste i ostre, niczym ostrze miecza. Pomimo bezwietrznej pogody panował przenikliwy ziąb. Stroma i wąska ścieżka, schodząca w dół zbocza, była otoczona z obu stron murem. Mroczne skupisko cyprysów i pinii po prawej stronie przesłaniało siedem wież katedry rosyjskiej oraz mniejszą kopułę kaplicy Dominus Flevit. W dziennym świetle smukłe kopuły cerkwi świętej Magdaleny błyszczałyby w słońcu, a obronne mury, które otaczają Jerozolimę po drugiej stronie doliny Cedronu, z Kopułą Skały na pierwszym planie oraz z widokiem na miasto ciągnące się na zachód i północ, poruszyłyby serce każdego pielgrzyma, tak jak się to działo od wielu wieków. Ale dzisiaj wieczorem... Błady księżyc wschodzący z tyłu i ciemne niebo ponad naszymi głowami, a nawet

dobiegający z dołu cichy szum pojazdów na głównej szosie prowadzącej do Jerycha — wszystko zdaje się wtapiać w ciszę, myślał Babcock. W miarę pokonywania stromej ścieżki miasto coraz bardziej się przybliżało, a dolina oddzielająca je od Góry Oliwnej, z której schodzili, stawała się coraz bardziej ponura i ciemna, niczym kręte koryto rzeki. Meczety, kopuły, iglice, wieże i niezliczone dachy domów mieszkalnych nakładały się na siebie, tworząc plamy na tle nieba. Tylko obronne mury o groźnym i prowokującym wyglądzie trwały nie zmienione od wieków na przeciwległym wzgórzu.

Nie jestem na to przygotowany, pomyślał pastor. Miasto jest zbyt duże. Nie będę w stanie niczego wytłumaczyć ludziom, z którymi tu przybyłem. Powinienem był zostać w hotelu, przeczytać notatki i przestudiować mapę, żeby oprowadzając ich jutro po Jerozolimie mieć jakieś wiadomości. A postąpiłbym najrozsądniej, gdybym przyjechał tutaj sam.

Był świadom własnej nieżyczliwości. Ale nic nie mógł poradzić na to, że nieustanna paplanina idącego obok emerytowanego oficera działała mu na nerwy. Kogo obchodziło, co robił Mason w 1948 roku? Jego wywody przeszkadzały Babcockowi w podziwianiu rozciągającego się przed nimi krajobrazu.

— Mandat został wręczony Narodom Zjednoczonym w maju i przebywaliśmy poza krajem do pierwszego lipca — kontynuował pułkownik. — W moim przekonaniu powinniśmy byli tutaj zostać. Sytuacja, jaka panuje na Bliskim Wschodzie, jest po dzień dzisiejszy nonsensowna. Nikt nie potrafi unormować stosunków w tej części świata, a walki o Jerozolimę będą ciągnęły się jeszcze długo po naszej śmierci. Piękne miejsce z daleka. Ale Stare Miasto widziane z bliska wygląda dość parszywie.

Drzewa pinii po prawej stronie stały nieruchomo. Wokół panował absolutny spokój. Babcockowi wydawało się, że zbocze po lewej jest nagie i nie uprawiane, ale mógł się mylić. Światło księżycy było zwodnicze — białe kształty, które przypominały wyglądem skały i głazy, mogły okazać się grobami. Kiedyś zamiast

mrocznych pinii, cyprysów i cerkwi były tu tylko drzewa oliwkowe, których gałęzie opadały na kamienistą ziemię, a z dołu dobiegało szemranie przepływającego przez dolinę strumienia.

— To zabawne, ale z chwilą kiedy opuściłem to miejsce, zakończyła się moja prawdziwa wojskowa działalność — wyznał pułkownik. — Przez jakiś czas po powrocie do domu byłem jeszcze w służbie czynnej, w Aldershot, ale w związku z reorganizacją armii, a także nie najlepszą formą mojej żony w tamtym czasie, postanowiłem spakować manatki i odejść. Objąłbym dowództwo pułku, gdybym został, i wyjechał do Niemiec, lecz Althea była temu przeciwna. Wie pan, ojciec *zostawił* jej posiadłość Hall w Little Bletford. Tam się wychowała i wokół tego miejsca toczyło się jej życie. I nadal się toczy. Zrobiła wiele dobrego dla swojego rodzinnego miasta.

Edward Babcock podjął wysiłek, żeby okazać choć odrobinę zainteresowania.

— Czy żałuje pan swojej decyzji o odejściu z armii?

Pułkownik nie odpowiedział od razu, a kiedy się odezwał, jego głos stracił swój zwykły ożywiony ton i zabrzmiała w nim nuta świadcząca o zakłopotaniu i napięciu.

— Służba w wojsku była całym moim życiem — rzekł. — Zabawne, że nigdy dotąd nie uświadomiłem sobie tego. Dopiero teraz, stojąc tutaj, patrząc na miasto po przeciwległej stronie doliny i snując wspomnienia.

Coś poruszyło się w mroku poniżej. To Robin przykucnął pod murem, trzymając w dłoni mapę i małą latarkę.

— Proszę spojrzeć, pastorze — powiedział. — Musieli przechodzić tędy, przez bramę po lewej stronie muru. Stąd jej nie widać, ale jest zaznaczona na mapie. Myślę oczywiście o Jezusie i o jego uczniach po Ostatniej Wieczerzy. Ogrody i drzewa nie ograniczały się wtedy do samego dna doliny i miejsca, w którym obecnie stoi kościół, ale ciągnęły się pewnie aż do samego wzniesienia. Jeśli zejdziemy trochę niżej, będziemy mogli sobie wszystko wyobrazić: składający się

z żołnierzy i wysokich kapłanów orszak schodzący z pochodniami w dół przez drugą bramę — być może tam, gdzie właśnie pojawił się samochód. Chodźcie!

I puścił się przed nimi biegiem na dół. Widzieli błyski zapalanej latarki, dopóki chłopiec nie zniknął im z oczu za zakrętem muru.

— Nie potknij się, Robinie — zawołał za nim dziadek. — Możesz upaść. Niżej jest bardzo stromo. — I zwrócił się do swojego towarzysza:

— Potrafi czytać mapę równie dobrze jak ja. A ma dopiero dziewięć lat.

— Pójdę za nim — oświadczył Babcock. — Sprawdzę, czy nic mu się nie stało. Niech pan zaczeka tutaj na lady Altheę.

— Nie ma powodu do obaw, pastorze — rzekł pułkownik. — Chłopak wie, co robi.

Babcock udawał, że nie słyszy. To była wymówka, żeby znaleźć się na osobności, choćby tylko przez parę minut. W przeciwnym razie sceneria, którą miał przed sobą, nie wywarłaby na nim silnego wrażenia. I nie mógłby później, po powrocie do Huddersfield, opisać jej chłopcom.

Pułkownik Mason zatrzymał się i stanął przy samym murze. Z tyłu dobiegł go odgłos powolnych, ostrożnych kroków żony i panny Dean. Słyszał wyraźnie słowa Althei, które niosły się w nieruchomym, chłodnym powietrzu.

— Jeśli nie zobaczymy ich, zawrócimy — mówiła. — Dobrze wiem, jaki potrafi być Phil, gdy stoi na czele wyprawy. Jest zawsze przekonany, że dobrze zna drogę, lecz zwykle potem okazuje się, że zablądził.

— Aż trudno w to uwierzyć, żeby oficer nie miał orientacji w terenie — zauważyła panna Dean.

Althea roześmiała się.

— Kochany Phil — rzekła. — Lubi, gdy wszyscy sądzą, że mógł zostać generałem. Ale prawda jest taka, że nigdy nie otrzymałby awansu. Wiem o tym z najbardziej wiarygodnego

źródła — od oficera z grona jego bliskich przyjaciół. Och, wszyscy go bardzo lubili. Ale poczciwy staruszek dalej by już nie zaszedł, nie w naszej współczesnej armii. To dlatego namawialiśmy go do przejścia na emeryturę. Czasami wolałabym tylko, żeby wykazywał większą aktywność w sprawach dotyczących naszego miasta. Nic jednak na to nie poradzę i muszę działać w imieniu nas dwojga. Ale za to w ogrodzie potrafi czynić cuda.

— Tak, trawnik jest przepiękny! — zauważyła panna Dean.

— Właśnie. I skalniaki. Prezentują się wspaniale przez cały rok.

Powolne kroki oddaliły się. Żadna z kobiet nie rozglądała się na boki, skupiając uwagę na nierównej ścieżce pod stopami. Przez moment ich sylwetki zarysowały się ostrym konturem na tle drzew, póki nie zniknęły za tym samym rogiem, co wcześniej Robin i Babcock.

Phil Mason nie zdradził się ze swoją obecnością. Odczekał, aż przejdą, a potem postawił kołnierz płaszcza, gdyż powietrze wydało mu się nagle chłodniejsze, i powoli zaczął się wspinać z powrotem pod górę, zmierzając w stronę hotelu. Niemal na samym szczycie wzniesienia wpadł na dwie inne schodzące w dół osoby.

— Już pan się wycofuje? — zagadnął go Jim Foster. — Sądziłem, że zdążył pan dotrzeć do samej Jerozolimy!

— Bardzo się ochłodziło — odparł krótko pułkownik. — Schodzenie do doliny uważam za bezsensowne. Z pewnością gdzieś się natkniecie na pozostałych uczestników wycieczki, którzy rozpierzchli się po całym wzgórzu.

I pożegnawszy się pospiesznie, wyminął ich, zmierzając w stronę hotelu.

— Jeśli spotka moją żonę i powie jej, że jesteśmy razem, znajdziemy się w opałach — zauważył Jim Foster. — Chcesz podjąć to ryzyko?

— Jakie ryzyko? — spytała Jill Smith. — Przecież nie robimy nic złego.

— Ja to nazywam, kochana dziewczyno, bezpośrednim zaproszeniem. Nic się nie martw. Kate pocieszy twojego męża przy barze. Patrz pod nogi, bo ścieżka jest stroma. Śliskie zbocze doprowadzi nas oboje do zguby. Trzymaj mnie mocno za rękę.

Jill zrzuciła z głowy szal i uczepiona kurczowo swojego towarzysza, wzięła głęboki wdech.

— Spójrz na światła miasta przed nami — rzekła. — Założę się, że wiele się tam dzieje. Widok ten budzi moją zazdrość. Wygląda na to, że my tkwimy na tej górze, a główny nurt życia toczy się obok nas.

— Nie przejmuj się. Jutro będziemy mieli okazję to wszystko zobaczyć, oprowadzani przez wielebnego Babcocka. Wątpię jednak, żeby zabrał cię do dyskoteki, jeśli to masz na myśli.

— Musimy zwiedzić część historyczną miasta, to oczywiste. Po to tu przyjechaliśmy, prawda? Ale chciałabym również zrobić zakupy w centrum handlowym.

— Raczej na targowisku, moja dziewczyno, zwanym sukkiem. Boczne uliczki zastawione są straganami pełnymi błyskotek, przy których młodzi czarnoocy sprzedawcy będą usiłovali uszczypnąć cię w tyłeczek.

— Och, chyba nie sądzisz, że im na to pozwolę?

— Nie wiem. Ale nie możesz mieć do nich pretensji o to, że będą próbowali.

Obejrzał się przez ramię. Ani śladu Kate. Być może jednak zrezygnowała z udziału w wyprawie. Gdy widział ją ostatnio, zmierzała do windy. A co z Bobem Smithem? Jeśli nie potrafi upilnować swojej żony, to jego problem. Skupiska drzew po obu stronach muru w dolnej części ścieżki wyglądały kusząco. Były wprost idealnym miejscem do nieszkodliwych figlów.

— Co sądzisz o małżeństwie, Jill? — spytał.

— Za wcześnie na to, żebym mogła cokolwiek powiedzieć — odparła, natychmiast przechodząc do defensywy.

— Oczywiście, że za wcześnie. Głupie pytanie. Większość miodowych miesięcy to fiasko. Przynajmniej tak było w moim przypadku. Minęły miesiące, zanim zdołaliśmy się z Kate do siebie dostosować. Ten twój Bob to świetny facet, ale jest jeszcze bardzo młody. Młodych żonkosiów zwykle zawodzą nerwy, nawet podczas tych radosnych dni. Wydaje im się, że już wszystko wiedzą, ale w rzeczywistości jest inaczej. A biedne dziewczęta ponoszą tego konsekwencje. — Nie odpowiedziała. Poprowadził ją w stronę drzew. — Dopiero w miarę upływu czasu mężczyzna uczy się, w jaki sposób osiągnąć zamierzoną reakcję u swojej żony. To tylko kwestia techniki, tak jak w innych dziedzinach życia, a nie bierne poddawanie się prawom natury. Kobiety różnią się od siebie nastrójowością, mają indywidualne upodobania i inne rzeczy wzbudzają w nich niechęć. Czy nie jesteś zaszokowana moimi słowami?

— Ależ nie — odparła.

— To dobrze. Nie chciałbym cię niczym zgorszyć. Jesteś taka słodka i kochana. Nie widzę nikogo z grupy, a ty?

— Ja też nie.

— Chodź, oprzemy się o tamten mur w dole i popatrzymy na światła miasta. Cudowne miejsce. Cudowny wieczór. Czy Bob mówi ci czasami, jaka jesteś urocza? Ponieważ to prawda, wiesz...?

Kate Foster zażyła w pokoju swoje hormonalne leki i zeszła na dół, żeby odszukać męża. Nie zastała go w hallu. Skierowała się więc do baru, gdzie natknęła się na Boba Smitha, który samotnie popijał podwójną whisky.

— Gdzie się wszyscy podziali? — spytała. — Mam na myśli naszą grupę — dodała, ponieważ sala była nadal zatłoczona.

— Przypuszczam, że wyszli — odparł.

— A gdzie jest pańska żona?

— Podążyła w ślad za lady Altheą i panną Dean. Towarzyszy jej pani mąż.

— Rozumiem.

Rozumiała to aż nazbyt dobrze. Jim się wymknął, korzystając z jej nieobecności.

— Nic dobrego nie przyjdzie panu z przesiadywania tutaj i picia tej trucizny — oświadczyła. — Proponuję, żeby wziął pan swój płaszcz i razem ze mną przyłączył się do reszty towarzystwa. Nie ma sensu tkwić tutaj samotnie.

Być może miała rację. Picie w samotności było bezcelowe, tym bardziej że to przy nim według prawa było miejsce Jill. Nie mógł znieść sposobu, w jaki jego żona uśmiecha się do Fostera. Pomyślał, że zostając tutaj, da jej nauczkę. W rzeczywistości najbardziej ukarał samego siebie. Jill prawdopodobnie wcale się tym nie przejęła.

— Dobrze — powiedział, zsuwając się ze stołka. — Pójdziemy za nimi. Nie mogli odejść daleko.

Dziwna, niedobrana para ruszyła ścieżką w dół — Bob Smith, wysoki i szczupły, z sięgającą do ramion ciemną czupryną i z rękami w kieszeniach płaszcza, oraz Kate Foster w futrze z norek i w złotych kolczykach, które dyndały pod ufarbowanymi na niebieskawo włosami.

— Jeśli chce pan znać moje zdanie, to uważam tę wyprawę do Jerozolimy za nieporozumienie — rzekła, stąpając chwiejnie w nieodpowiednim obuwiu po wyboistej ścieżce. — Tak naprawdę to miejsce nikogo nie interesuje. Może z wyjątkiem panny Dean. Ale dobrze pan wie, jaka jest lady Althea. Wszystko zaplanowała z pastorem, ponieważ wszędzie musi odgrywać damę dworu — w Anglii, na statku i w Środkowej Azji. Co się zaś tyczy Babcocka, to jest zupełnie nieprzydatny. Lepiej poradzilibyśmy sobie bez niego. A jeśli chodzi o was dwoje... uleganie we wszystkim żonie nie jest najlepszym początkiem małżeństwa. Powinien pan się wykazać choć odrobiną autorytetu.

— Jill jest jeszcze bardzo młoda — zauważył Bob. — Ma zaledwie dwadzieścia lat.

— Och, wy młodzi... Nie tłumaczcie się młodością. Jest wam wszystkim za dobrze. W każdym razie w Anglii. Odmiennie wygląda sytuacja młodzieży w innych częściach świata — mam przede wszystkim na uwadze kraje arabskie, gdzie mężowie pilnie strzegą swoich żon, by nie wplątały się w kłopoty.

Po co o tym mówię? — pomyślała. Do niego i tak nic nie dotrze. Oni potrafią tylko myśleć o sobie. Sama nie wiem, dlaczego się tak wszystkim zadręczam — stanem współczesnego świata, przyszłością, Jimem... Gdzie on poszedł z tą dziewczyną, do diabła? Jak mi serce nierówno bije... Ciekawe, czy te pigułki mi służą...?

— Niech pan nie idzie tak szybko, nie jestem w stanie za panem nadążyć — powiedziała.

— Proszę mi wybaczyć, pani Foster, ale zdawało mi się, że dostrzegłem dwie postacie przy kępie drzew w oddali.

A jeśli rzeczywiście to oni, to jak się mam zachować? — zastanawiał się. Przecież nie zrobię Jill sceny tylko dlatego, że postanowiła wybrać się na spacer z innym mężczyzną z naszej grupy. Będę musiał się opanować, dopóki nie wrócimy do hotelu i dopiero tam zmyję jej głowę. Żeby tylko ta przeklęta kobieta zechciała na moment zamilknąć...

Osobami, które widzieli z daleka, były lady Althea i panna Dean.

— Czy spotkały panie Jima? — zawołała Kate.

— Nie, niestety nie — odparła lady Althea. — Właśnie się zastanawiałam, gdzie się podział Phil. Wolalabym, żeby mężczyźni nie oddalali się od grupy. Są bardzo nieodpowiedzialni. Jestem zdania, że przynajmniej Babcock powinien był na nas zaczekać.

— Daleko mu do ojca Garfielda — mruknęła panna Dean. — On by wszystko wspaniale zorganizował i dokładnie wiedział, co powinniśmy zobaczyć. A my nawet nie mamy pojęcia, czy aby się dostać do Ogrójca musimy zejść jeszcze

niżej, czy też ogród znajduje się gdzieś w pobliżu miejsca, w którym obecnie stoimy.

Drzewa za murem spowijał mrok, a ścieżka stawała się coraz bardziej kamienista. Gdyby ojciec Garfield był razem z nimi, panna Dean mogłaby się wesprzeć na jego ramieniu. Lady Althea zachowywała się wobec niej bardzo uprzejmie, ale to nie było to samo.

— Zostańcie, panie, w trójkę, a ja pójdę dalej — zaproponował Bob.

I ruszył w dół ścieżką. Reszta grupy nie mogła odejść daleko. Gdyby to pułkownik przewodził wyprawie, na pewno miałby Jill na oku.

Za drzewami, jakieś trzydzieści metrów poniżej, ciągnęła się otwarta przestrzeń, która w niczym nie przypominała ogrodu. Pofałdowaną, nieuprawną ziemię porastały gdzieniegdzie kępy niskich oliwek. Dzisiejszy spacer nie był mądrym pomysłem, tym bardziej że jutro znowu musieli przebyć tę samą drogę. Nagle Bob dostrzegł pochylającą się nad skałą postać, w której rozpoznał Babcocka. Przez krótką chwilę poczuł się zakłopotany, sądząc, że pastor się modli. Wkrótce jednak zauważył notes. Duchowny coś w nim zapisywał przy świetle latarki. Na odgłos kroków Boba podniósł głowę i skinął na niego, żeby podszedł.

— Gdzie reszta? — zawołał Bob.

— Pułkownik został w tyle, a chłopiec zbiegł na dół, żeby zobaczyć z bliska Ogrójec. Ogród jest, co prawda, zamknięty, ale to nie ma znaczenia, gdyż stąd równie dobrze można napawać się jego atmosferą. — I uśmiechnął się nieśmiało do Boba. — Jeśli od razu nie zrobię notatek, mogę wszystkiego nie spaźiętać. Pożyczyłem latarkę od Robina. Po powrocie do domu zamierzam przygotować odczyt. Nie mam na myśli żadnego naukowego wystąpienia. Chcę się jedynie podzielić z młodzieżą moimi wrażeniami.

— Czy przypadkiem nie widział pastor Jill? — spytał Bob.

Babcock spojrział na niego zdumiony. Jill... Ach, tak, Bob mówił o swojej młodej żonie.

— Niestety nie — odparł. — Nie przyszlście tu razem?

— Chyba pastor widzi, że jestem sam — zachnął się Bob. — Spotkałem tylko lady Altheę, panią Foster oraz pannę Dean, które zostały na ścieżce.

— Obawiam się, że nie mogę panu pomóc. Gdzieś tam musi też być pułkownik. Zeszliśmy tutaj tylko we dwóch z Robinem.

Bob czuł, jak narasta w nim złość.

— Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale czy może mi pan pastor wyjaśnić, kto jest odpowiedzialny za grupę?

Wielebny Babcock zaczerwienił się. Oburzenie Boba Smitha było całkowicie nieuzasadnione.

— Nie ma mowy o czyjejkolwiek odpowiedzialności — stwierdził. — Wyszliśmy z hotelu we trzech, z pułkownikiem i z Robinem. Jeśli inne osoby postanowiły pójść za nami i zabłądziły, to wyłącznie ich sprawa.

Przebywając z chłopcami, przywykł do grubiańskich uwag, ale tym razem poczuł się urażony. Ktoś mógłby sądzić, że jest opłacanym agentem turystycznym.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział Bob. — Ale rzecz w tym... — Rzecz w tym, że nigdy nie był bardziej bezradny i samotny. Czy rola duchownych nie polegała na niesieniu pomocy w strapieniu? — Zamartwiam się na śmierć. Nic nie układa się tak, jak należy. Pomędzy mną a Jill doszło przed kolacją do poważnej sprzeczki i nie jestem w stanie logicznie myśleć.

Babcock odłożył notatnik i zgasił latarkę. To tyle, jeśli chodzi o dzisiejsze wrażenia z Ogrodu Oliwnego. Nie ma na to rady.

— Przykro mi to słyszeć — rzekł. — Ale przecież to się często zdarza. Każda kłótnia jest dla młodych małżonków niemal końcem świata. Wierzę, że rano oboje innym okiem spojrzycie na wasze nieporozumienie.

— Nie sędę — stwierdził Bob. — Wciąż się zastanawiam, czy żeniąc się, nie popełniłem wielkiego błędu.

Jego towarzysz milczał. Biedny chłopak jest prawdopodobnie przemęczony. Dał się osaczyć problemom. Udzielanie rad osobom, których się nie zna, jest bardzo trudne. Jeśli sprawy nie układały się dobrze pomiędzy nowożeńcami, pastor z Little Bletford powinien był to zauważyć i zamienić z nimi kilka słów. I pewnie by to zrobił, gdyby zamiast zostawać na pokładzie statku w Hajfie, przyjechał tu razem z nimi.

— Pożycie małżeńskie wymaga wzajemnej tolerancji i umiejętności wybaczenia. To nie tylko... jakby to ująć... fizyczny związek.

— Właśnie fizyczna strona naszego pożycia nie układa się dobrze — wyjaśnił Bob Smith.

— Rozumiem.

Babcock zastanawiał się, czy powinien doradzić chłopakowi, żeby po powrocie do domu udał się do lekarza. Dzisiejszego wieczoru nic więcej nie mógł zrobić w tej sprawie.

— Niech pan się nie zamartwia i postara się zachować spokój. Radzę możliwie jak najdelikatniej postępować z żoną i być może...

Nie zdołał dokończyć zdania, ponieważ od drzew w dole oderwała się mała postać i biegła w ich stronę. To był Robin.

— W rzeczywistości Ogród Oliwny wydaje się bardzo mały. Mam wrażenie, że Jezus i jego uczniowie wcale nie lubili w nim przebywać. Sędę, że woleli raczej spacerować po zboczach góry, które w tamtych czasach porastały gaje oliwne. Tylko jednego nie jestem w stanie pojąć, pastarze. Jak to się stało, że uczniowie zasnęli, skoro było tak zimno jak dzisiaj? Czy pastor sądzi, że klimat mógł się zmienić w ciągu dwóch tysięcy lat? A może apostołowie nadużyli wina podczas kolacji?

Babcock wręczył chłopcu latarkę i popchnął go lekko w kierunku prowadzącej do hotelu ścieżki.

— Nie wiemy tego, Robinie, ale musimy pamiętać, że mieli za sobą długi i wyczerpujący dzień.

To nie była zbyt trafna odpowiedź, ale w obecnej chwili nie stać mnie na lepszą, pomyślał Babcock. Niewiele pomogłem Bobowi Smithowi ani nie odniosłem się z należyтым zrozumieniem do zwierzeń pułkownika. Problem polega na tym, że nie znam tych ludzi. Pastor z ich parafii umiałby sobie radzić z ich problemami. Nawet gdyby jego sugestie nie były właściwe, to pewnie i tak wszyscy czuliby się bardziej usatysfakcjonowani niż teraz.

— Są tam. Stoją w grupie na ścieżce i tupią nogami. To najrozsądniejszy sposób, żeby nie poddawać się senności — zauważył Robin.

Lady Althea przestępowała z nogi na nogę. Przed wyprawą przezornie włożyła wygodne obuwie. Kate Foster była mniej stosownie na tę okazję obuta, ale za to w przeciwieństwie do lady Althei mogła się szczelnie owinąć płaszczem z norek. Panna Dean została w tyle. Znalazła wyrwę w murze i usiadła na stosie kamieni. Znużyły ją utyskiwania towarzyszek, które nie potrafiły myśleć o niczym innym, jak tylko o aktualnym miejscu przebywania mężów.

Cieszę się, że nie wyszłam za męża, pomyślała. Małżonkowie wiecznie toczą ze sobą spory. Przypuszczam, że zdarzają się wzorowe małżeństwa, lecz należą do rzadkości. Strata żony przed wieloma laty musiała być bardzo ciężkim przeżyciem dla drogiego ojca Garfielda, ale nigdy nie próbował ożenić się ponownie. Uśmiechnęła się czule na wspomnienie męskiego zapachu, jaki panował na plebanii. Ojciec Garfield palił fajkę i ilekroć panna Dean go odwiedzała, a zdarzało się to zwykle dwa razy w tygodniu, gdy przynosiła kwiaty, żeby nieco rozjaśnić jego kawalerską samotność, albo specjalnie dla niego upieczone ciasto lub słoik domowego dżemu, zaglądała ukradkiem przez otwarte drzwi do jego gabinetu. Chciała sprawdzić, czy gospodyni posprzątała pokój, jak należy, i czy

uporządkowała wiecznie porozrzucane dokumenty i książki. Mężczyźni przypominali małych chłopców i tak jak oni wymagali stałej opieki. To pewnie dlatego Maria i Marta zapraszały tak często Naszego Pana do Betanii. Prawdopodobnie częstowały Go obiadem, by się posilił po długiej wędrówce przez wzgórza, naprawiały mu odzież — i cerowały skarpetki, miała ochotę dodać, ale przecież w tamtych czasach mężczyźni nie nosili skarpetek, tylko wkładali sandały na bose stopy. Jakim błogosławieństwem i zaszczytem musiało być moczenie w balii odzieży przepoconej po podróży...

Z tyłu od strony drzew dobiegły pannę Dean odgłosy szamotaniny. Czyżby ktoś pokonał kamienny mur i szwendał się po terenie, który wyglądał na prywatną posesję? Nagle usłyszała męski śmiech i kobiecy szepc: „ciiii...!”

— Wszystko w porządku — mruknął mężczyzna. — To tylko panna Dean. Siedzi sama i lamentuje nad nieobecnością swojego ukochanego pastora.

— Gdyby wiedziała, jak on chowa się przed nią, ilekroć ją widzi na podjeździe przed plebanią — padło wypowiedziane półgłosem stwierdzenie. — Wyznał kiedyś mojej mamie, że ona jest cierniem w jego boku. Prześladowuje go od lat, pomimo swojego wieku.

Rozległ się przytłumiony chichot, a wkrótce potem z pogrążonej w mroku gęstwiny wyłonił się Jim Foster, głośno kaszląc, a tuż za nim Jill Smith.

— Och, panna Dean, co za niespodzianka — powiedział. — Poszukujemy pozostałych członków wycieczki. Czy to nie Kate stoi na ścieżce z Lady Altheą? Widzę też inne osoby, które nadciągają z przeciwnej strony. Co za spotkanie! — I podał rękę Jill, pomagając jej pokonać kamienie i wyjść na drogę.

— Czy mogę służyć ramieniem, panno Dean?

— Nie, dziękuję — odparła cicho staruszka. — Poradzę sobie sama.

Jill Smith rzuciła prędkie spojrzenie w dół ścieżki. Dostrzegła Boba w towarzystwie wielebnego Babcocka i Robina. Chłopiec paplał o czymś i wymachiwał latarką. Jill postanowiła zostać z panną Dean. Szturchnęła łokciem

Jima Fostera. Pojął w lot jej zamysł i ruszył sam w górę ścieżki, gdzie stała Kate z lady Altheą.

— Halo — zawołał. — Wygląda na to, że wszyscy kręciliśmy się w kółko. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że się pogubiliśmy.

Zawahał się na moment na widok zaciśniętych ust żony, ale zaraz podszedł do niej leniwym krokiem i uśmiechnął się, nie tracąc pewności siebie.

— Wybacz, staruszko. Od dawna tutaj jesteś?

Objął ją ramieniem i delikatnie pocałował w policzek.

— Co najmniej od dwudziestu minut — odparła Kate. — A może nawet od pół godziny.

W trójkę odwrócili się do Robina, który biegł w ich stronę, świecąc każdemu po kolei w twarz latarką.

— Och, panie Foster — zawołał chłopiec z zachwytem. — Pański pocałunek wyglądał złowroźnie. Mógłby pan odgrywać rolę Judasza. Obaj z wielebnym Babcockiem zeszliśmy do samego Ogrodu Oliwnego i spędziliśmy tam cudowne chwile.

— A gdzie ty się podziewałeś w takim razie? — spytała Kate, zwracając się do męża.

— Och, pan Foster i pani Smith zatrzymali się pod drzewami za wyrwą w murze — wyjaśnił Robin. — Obawiam się, że nie mieli stamtąd dobrego widoku na Jerozolimę. Przez moment skierowałem na pana światło latarki, panie Foster, ale stał pan odwrócony do mnie tyłem.

Dzięki Bogu, że nie przodem... odetchnął z ulgą mężczyzna.

— Chciałabym się dowiedzieć, co się na Boga stało z Philem? — zapytała lady Althea.

— Mąż pani wrócił do hotelu — odparł Jim Foster, zadowolony, że już nie na nim skupia się uwaga. — Minałem go, kiedy schodziłem na dół. Oświadczył, że przemarzył na kość i że ma dosyć całej wyprawy.

— Przemarzał? — zdumiała się lady Althea. — Ależ Philowi nigdy nie jest zimno. To niesłychane, że takie stwierdzenie padło z jego ust.

Grupka zaczęła powoli wspinać się na szczyt wzniesienia. Szli parami: lady Althea z Robinem na przedzie, tuż za ich plecami podążali w milczeniu Fosterowie, a z tyłu, zachowując sporą odległość do reszty towarzystwa, prowadzili burzliwą dyskusję młodzi Smithowie.

— To oczywiste, że wolałam pójść na spacer, niż zostać z tobą i patrzeć, jak się zalewasz przy barze — mówiła Jill. — Wstyd mi za ciebie.

— Wstyd ci za mnie? — zdumiał się Bob. — Zabawne, że właśnie ty to mówisz. A jak ja, twoim zdaniem, się czułem, kiedy pani Foster zwróciła się do mnie z prośbą, żebym pomógł jej odszukać męża? Doskonale wiedziałem, gdzie jest. Podobnie jak i ty.

Pochód zamykał wielebny Babcock z panną Dean. Pastor obawiał się, że kłótnia nowożeńców może zdenerwować staruszkę. Ale młodzi sami musieli rozwiązać swoje problemy. On nie potrafił im pomóc. Panna Dean, zwykle gadatliwa jak katarynka, była dziwnie milcząca.

— Przykro mi, że nie wszystko ułożyło się po pani myśli — zaczął z zakłopotaniem. — Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem marnym zastępcą pastora z waszej parafii. Ale proszę się nie martwić. Po powrocie na statek będzie mu pani mogła wszystko dokładnie opisać. Nocny spacer nad Ogrodem Oliwnym był cudownym przeżyciem dla nas wszystkich.

Panna Dean nie słyszała jednak słów Babcocka. Przebywała myślami setki kilometrów stąd. Zmierzała w stronę plebanii z koszykiem w ręce. Nagle w oknie gabinetu dostrzegła postać, która odskoczyła od firanki i usunęła się pod ścianę. Gdy panna Dean zadzwoniła do drzwi, nikt jej nie wpuścił do środka.

— Dobrze się pani czuje, panno Dean? — spytał pastor.

— Doskonale, dziękuję. Jestem tylko bardzo zmęczona.

Załamał się jej głos. Nie, nie wolno jej pozwolić sobie na

chwilę słabości. Pomimo dotkliwego poczucia straty i przeświadczenia o tym, że została zdradzona, musi zapanować nad łzami...

— Nie mogę pojąć, dlaczego twój dziadek wrócił do hotelu — zagadnęła wnuka lady Althea. — Czy mówił, że jest mu zimno?

— Nie — odparł Robin. — Rozmawiał z pastorem Babcockiem o dawnych czasach, kiedy to dowodził swoim pułkiem i musiał odejść z armii, ponieważ ty wtedy nie czułaś się zbyt dobrze, a Little Bletford było całym twoim światem. Nie, nie skarżył się, że jest mu zimno. Wydawał się tylko trochę smutny.

Przez nią odszedł z armii? Jak mógł powiedzieć coś podobnego? I to do zupełnie obcego człowieka, jakim był Babcock?

Oświadczenie męża wydawało się jej nieprawdziwe i krzywdzące. Ani razu nie wspomniał przed laty, że... Czyżby się myliła? Może jej mówił o swoich pragnieniach, tylko ona nie chciała go wysłuchać ani dopuścić jego słów do swojej świadomości? Ale przecież Phil sprawiał wrażenie zadowolonego z życia i oddając się zajęciom domowym, zawsze okazywał entuzjazm, czy to przy uprawianiu ogródka, czy przy porządkowaniu w bibliotece swoich wojskowych dokumentów i książek... Zdumienie, wątpliwości i wyrzuty sumienia ogarniały ją na przemian. To wszystko wydarzyło się tak dawno temu. Dlaczego Phil ni stąd, ni zowąd poczuł się dziś wieczorem do tego stopnia urażony, że wrócił sam i nie próbował jej nawet odszukać? Zapewne Babcock wyprowadził go z równowagi jakąś nietaktowną uwagą.

Gęsiego wchodzili na szczyt wzniesienia. Gdy dotarli do hotelu, pokręcili się przez moment w hallu, pożegnali i rozeszli do swoich pokojów. Wszyscy sprawiali wrażenie znużonych i przygnębionych. Robin nie mógł się temu nadziwić. Jemu, pomimo panującego zimna, spacer sprawił ogromną radość. Dlaczego inni byli w takich ponurych nastrojach? Chłopiec pocałował babkę na dobranoc, obiecał, że nie będzie długo czytał, i zczekał na korytarzu na Babcocka, który zajmował sąsiedni pokój.

— Dziękuję za wspaniały wieczór, panie pastorze — powiedział. — Mam nadzieję, że panu sprawił równie wielką przyjemność jak mnie.

Wielebny Babcock przywołał na twarz uśmiech. Chłopak nie był taki zły, jak pastor podejrzewał. Jego skłonności do mędrkowania były następstwem ciągłego przebywania z dorosłymi.

— Dziękuję ci, Robinie. To był twój pomysł. Mnie samemu na pewno nie wpadłby do głowy — wyznał, a potem dodał spontanicznie: — Winię siebie, że nie potrafiłem zarazić naszym entuzjazmem reszty towarzystwa. Wygląda na to, że wszyscy są trochę zagubieni bez swojego pastora.

Chłopiec, z przekrzywioną na bok głową, rozważał jego słowa. Lubił, gdy inni traktowali go jak dorosłego. Czuł się wtedy kimś ważnym. Uznał, że musi coś powiedzieć, co uspokoiłoby biednego Babcocka. Przypomniawszy sobie rozmowę, jaką prowadzili jego dziadkowie przed wyjściem na kolację.

— Pewnie trudno być w dzisiejszych czasach duchownym. Wypełnianie obowiązków pastora musi być niekiedy ciężkim doświadczeniem.

Babcock spojrzawszy na niego zdumiony.

— Tak, nie jest łatwe, przyznaję. W każdym razie nie zawsze.

Robin ponuro skinął głową.

— Mój dziadek powiedział, że ludzie nie powinni się do nikogo uprzedzać, a babcia stwierdziła, że w obecnych czasach niewielu duchownych wywodzi się z najwyższej klasy. Nie zrozumiałem, co dokładnie mieli na myśli, przypuszczam jednak, że chodziło im o zdawanie egzaminów. Życzę panu spokojnej nocy, pastorze.

Strzelił obcasami i ukłonił się, tak jak go uczyła babka, wszedł do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Zbliżył się do okna i rozsunął zasłony. Jerozolima wciąż była oświetlona jasnym blaskiem ulicznych świateł.

też porze trzynastego dnia Nisanu przed dwudziestoma wiekami wszyscy uczniowie porzucali się już do swoich domów, pomyślał Robin. Pozostał

tylko Piotr, który dla rozgrzewki tupał nogami przy ognisku z węgla drzewnego na dziedzińcu. To dowodzi, że noc była jednak zimna.

Rozebrał się, wszedł do łóżka, zapalił nocną lampkę i rozłożył na kolanach plan Jerozolimy. Porównał go z mapą, którą pożyczył dla niego ojciec i która przedstawiała miasto w 30 roku po narodzeniu Chrystusa. Przez pół godziny uważnie przyglądał się obu odwzorowaniom, a potem, przypominając sobie o obietnicy danej babce, zgasił światło.

Duchowni i uczeni mylili się, pomyślał. Jezus wyszedł inną bramą. Jutro odkryję prawdziwą Golgotę.

„Turyści zwiedzający Święte Miasto Jerozolimę, tedy proszę...”

„Życzycie sobie państwo przewodnika? Jakim językiem ma się posługiwać, angielskim czy niemieckim?”

„Po prawej stronie znajduje się kościół Świętej Anny, miejsce narodzin Dziewicy Maryi”.

„Spójrzcie na wspaniałą Haram asz — Szarif po lewej stronie, Kopułę Skały i meczet al — Aqsa.”

„Do dzielnicy żydowskiej, do Placu Świątynnego i Ściany Płaczu, tedy proszę”.

„Pielgrzymi do Grobu Świętego kierują się w stronę Via Dolorosa, którą mają przed sobą. To Droga Krzyżowa...”

Edward Babcock stał ze swoją małą grupą przed Bramą Świętego Szczepana. Nagabywali go przewodnicy różnych narodowości, którzy zbiegli się ze wszystkich stron. Pastor odprawił ich machnięciem ręki. Miał własną mapę miasta oraz kartkę z instrukcjami, którą w ostatniej chwili wręczono mu w hotelu.

— Starajmy się trzymać razem — zaproponował, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony i wypatrując w nacierającym tłumie członków swojej nielicznej grupy. — Nie zdołamy niczego zobaczyć, jeśli się pogubimy. Pierwszą godną zapamiętania rzeczą jest fakt, że obecna Jerozolima została zbudowana na miejscu

rodzinnego miasta Naszego Pana. Będziemy chodzić i zatrzymywać się wiele metrów powyżej tych miejsc, po których On chodził i w których On się zatrzymywał. Mówiąc dokładnie...

Ponownie zajrzał do swoich notatek. Pułkownik chwycił go za ramię.

— Skoncentrujmy uwagę na najważniejszych obiektach — rzekł pełnym animuszu tonem. — Proponuję, żebyśmy zaczęli zwiedzanie od kościoła Świętej Anny. Proszę za mną.

Sygnal został przyjęty, mała trzódka ruszyła posłusznie za swoim tymczasowym pasterzem i po chwili znalazła się na obszernym kościelnym dziedzińcu.

— Świątynia została zbudowana przez uczestników wojen krzyżowych w dwunastym wieku — perorował pułkownik. — Wiedzieli, co robią, w tamtych czasach. To jeden z najwspanialszych zabytków architektury krzyżowców. Dowiedziałem się tego wszystkiego podczas mojej ostatniej tutaj bytności — wyjaśnił, zwracając się do wielebnego Babcocka.

— Tak, pułkowniku.

Babcock odetchnął z ulgą i z powrotem wepchnął notatki do kieszeni. Nie było obecnie potrzeby powoływania się na nie. Wszystko wskazywało na to, że pułkownikowi, który jeszcze przy śniadaniu zdawał się być daleki od swojej zwykłej formy, powróciła dawna werwa i pewność siebie. Grupa pilnie podążała za nim, gdy oprowadzał ją po niemal pustym kościele. Wcześniej zwiedzili franciszkańską Bazylikę Agonii, zwaną też kościołem Wszystkich Narodów, w Ogrodzie Oliwnym. I chociaż świątynia, w której obecnie przebywali, bardzo różniła się od poprzedniej, to panowało w niej to samo przymusowe milczenie, rozlegały się podobne odgłosy szurających butów, a w rozbieganych oczach, podejmujących bezskuteczny wysiłek rozróżnienia charakterystycznych szczegółów, pojawiała się identyczne uczucie ulgi, gdy oglądanie dobiegało końca i znowu można było napawać się słonecznym blaskiem.

— Wystarczy zwiedzić jeden kościół, a zna się już wszystkie — szepnęła Jim Foster do Jill Smith, ale ona unikała jego wzroku. Odwrócił się od niej, wruszając ramionami. Wyrzuty sumienia? No cóż, skoro była w takim nastroju, to sama musi się z nim uporać. Wczoraj wieczorem śpiewała zgoła inaczej...

Lady Althea, z głową owiniętą błękitnym szyfonowym szalem, którego końce swobodnie opadały na ramiona, uważnie przyglądała się mężowi. Znowu zdawał się być sobą. Gdy wczoraj wieczorem wróciła do pokoju, stwierdziła z ulgą, że już zasnął. Nie miała zamiaru go o nic wypytywać. Była zdania, że lepiej zostawić sprawy ich własnemu biegowi... Przy Bazylice Agonii natknęła się na przyjaciół — na lorda i lady Chaseborough — w chwili gdy właśnie stamtąd odjeżdżali. Zapewne zatrzymali się w hotelu „Król Dawid”. Lady Althea umówiła się z nimi o jedenastej przy Kopule Skąły. Co za niespodzianka! Gdyby wiedziała, że wybierają się do Jerozolimy, również zarezerwowałyby miejsca w tym hotelu. Ale najważniejsze, że spotka się z nimi i wymieni wieści o wspólnych znajomych.

— Coś się dzieje na drugim końcu dziedzińca — zauważył Robin. — Spójrz, dziadku, jaka długa kolejka. Czy możemy do niej dołączyć? Wszystko wskazuje na to, że są tu prowadzone jakieś wykopaliska.

— To sadzawka Betesda — odrzekł pułkownik. — Od moich czasów odwalono tu kawał roboty. Nie sądzę jednak, żebyśmy znaleźli w tym miejscu coś ciekawego do oglądania. To część miejskiej kanalizacji.

Ale Robin już pobiegł, żeby ustawić się w ogonku. Jego uwagę przykuło wrzeszczące dziecko, niesione na rękach przez ojca, który przeciskał się na czoło kolejki.

— Co oni, na Boga, mają zamiar zrobić z tym dzieciakiem? — zainteresowała się Kate Foster.

Babcock ponownie zajrzał do swoich notatek.

— Tutaj znajdował się niegdyś targ owiec. Czy przypomina pani sobie piątą rozdział Ewangelii według świętego Jana, pani Foster, o Sadzawce Owczej,

zwanej po hebrajsku Betesda? Ludzie chorzy czekali przy niej na uzdrowienie, a anioł zstępował w stosownym czasie i poruszał wodę. Nasz Pan uzdrowił tutaj człowieka, który był ułomny od trzydziestu ośmiu lat. Myślę, że powinniśmy zobaczyć to miejsce — zwrócił się do pułkownika.

— Zgoda, w takim razie chodźcie za mną — rzekł Phil Mason. — Ale uprzedzam, że to tylko część starej sieci kanalizacyjnej. Mieliśmy z nią kłopoty w 48 roku.

Panna Dean wciąż stała przed kościołem Świętej Anny. Cała ta bieganina i paplanina zamącała jej w głowie. Co wielebny Babcock miał na myśli, mówiąc, że będą chodzić kilka metrów powyżej śladów Naszego Pana? Kościół był niewątpliwie bardzo piękny, ale pułkownik twierdził, że również i ta świątynia została zbudowana na fundamentach wcześniejszej, którą to z kolei wzniesiono na miejscu skromnego domu świętego Joachima i świętej Anny. Czy panna Dean miała przez to rozumieć, że rodzice Najświętszej Paniarki mieszkali pod ziemią? Może w tej osobliwej grocie, którą zwiedzili przed wyjściem z kościoła? Panna Dean spodziewała się, że widok tego miejsca stanie się dla niej źródłem inspiracji, a tymczasem odczuwała rozczarowanie. Zawsze wyobrażała sobie świętego Joachima i świętą Annę w ładnym domku o pobielonych ścianach, z małym ogrodem pełnym kwiatów, w którym ich błogosławiona córka uczyła się szyć u boku matki. Panna Dean miała kiedyś kalendarz, w którym namalowana była taka właśnie scena. Strzegła go jak skarbu całymi latami, dopóki Dora nie zdjęła go któregoś dnia ze ściany i nie wyrzuciła do kosza.

Rozejrzała się wokół siebie, usiłując wyobrazić sobie nie istniejący ogród, ale przebywało tu zbyt wielu ludzi. I nikt nawet w najmniejszym stopniu nie okazywał czci należnej temu miejscu. Jakaś kobieta obierała pomarańczę i podawała cząstki małemu dziecku, które ciągnęło ją za spódnicę, a potem rzuciła łupiny na ziemię. Och, mój Boże, westchnęła panna Dean. Jakież odrażające wydałoby się teraz Najświętszej Panience to zaśmiecone miasto...

Tłum mocno napierał na schody, prowadzące do sadzawki Betesda. Strażnik, trzymając rękę na poręczy, zagradzał dostęp do stopni i przepuszczał ludzi gęsiego. Mała dziewczynka w ramionach ojca wrzeszczała coraz głośniejsze.

— Dlaczego ona robi tyle hałasu? — zastanawiał się Robin.

— Przypuszczam, że nie chce zejść do sadzawki — wyjaśnił

Babcock po chwili wahania. Odwrócił wzrok. Dziewczynka niewątpliwie cierpiała na porażenie centralnego układu nerwowego, a rodzice, ojciec z towarzyszącą mu pełną niepokoju matką, najwidoczniej zamierzali zanurzyć ją w wodzie, w nadziei na cud.

— Myślę, że rozsądniej będzie dopchać się do pretorium, zanim zrobi się bardziej tłoczno — zasugerował pułkownik, dokonawszy oceny sytuacji.

— Nie, zaczekajcie chwilę — zaprotestował Robin. — Chcę zobaczyć, co się stanie z dziewczynką.

Wychylił się przez poręcz i z zainteresowaniem patrzył w dół na sadzawkę. Miejsce rzeczywiście nie wyróżniało się niczym szczególnym. Ciemna woda zapewne była szlamowata, a stopnie wydawały się oślizgłe. Dziadek chyba miał rację, twierdząc, że sadzawka należy do systemu miejskich ścieków. Tamten człowiek, który był ułomny od trzydziestu ośmiu lat, miał szczęście, że przyszedł Jezus i natychmiast go uzdrowił. Nie musiał dłużej czekać na to, żeby ktoś go zniósł na dół. A może Pan Jezus wiedział, że woda jest zepsuta? Idą, spostrzegł chłopiec. Ojciec dziecka, nie zważając na jego przeraźliwe krzyki, powoli pokonywał stopnie. A gdy dotarł do celu, trzykrotnie zanurzył dłoń w sadzawce i spryskał wodą buzię córki, jej szyję oraz ramiona. I posyłając tryumfalny uśmiech w stronę zaciekawionych gapiów, bezpiecznie wrócił na górę razem z rozpromienioną żoną, która wytarła dziecku ręcznikiem twarz. Tylko oszalały ze strachu dzieciak przewracał oczami ponad głowami tłumu. Robin czekał, żeby się przekonać, czy ojciec postawi uzdrowioną córkę na ziemi. Nic takiego jednak nie

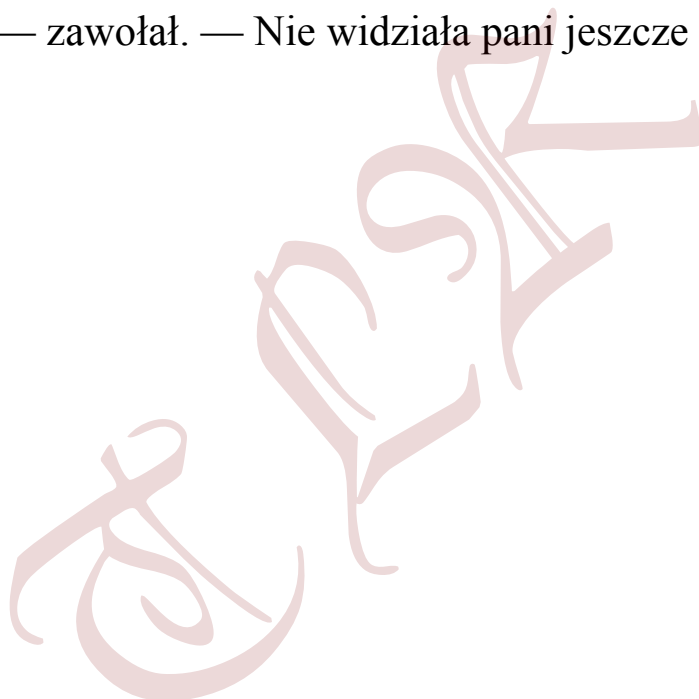
nastąpiło. Dziewczynka zaczęła znowu wrzeszczeć. Mężczyzna przemówił do niej uspokajająco, oddalił się razem z nią i zniknął z pola widzenia.

Robin zwrócił się do wielebnego Babcocka:

— Obawiam się, że nie mieli szczęścia. Cud się nie zdarzył. Tak naprawdę to się go wcale nie spodziewałem, ale nigdy nic nie wiadomo.

Pozostali członkowie grupy odeszli zażenowani i przygnębieni widokiem przejawu fanatycznej wiary. Tylko jedna panna Dean, która wciąż stała przed kościołem świętej Anny, nic nie wiedziała o całym incydencie. Podbiegł do niej Robin.

— Panno Dean! — zawołał. — Nie widziała pani jeszcze sadzawki Betesda.



— Sadzawki Betesda?

— Tak. Tej, o której jest mowa w Ewangelii świętego Jana. Anioł poruszał w niej wodę i chorzy odzyskiwali zdrowie. Choć tak naprawdę, to Pan Jezus ich uzdrawiał, a nie sadzawka.

— Tak, oczywiście, przypominam sobie — rzekła panna Dean. — Nie było nikogo, kto zniósłby do niej biednego człowieka i nieszczęśnik całymi dniami cierpliwie czekał.

— Sadzawka znajduje się tam — wskazał Robin z dumą. — Widziałem przed chwilą, jak zniesiono do niej małą dziewczynkę. Ale woda nie przywróciła jej zdrowia.

Sadzawka Betesda... Co za niesamowity i zadziwiający zbieg okoliczności! Akurat wczoraj po powrocie do hotelu panna Dean otworzyła Biblię właśnie na tym rozdziale. Miała tę scenę żywo w pamięci. Pomyślała o Lourdes i o wszystkich niedomagających ludziach, którzy odwiedzali to miejsce. Część z nich rzeczywiście powracała stamtąd uzdrowiona — ku ogromnemu zdumieniu lekarzy, którzy nie znajdowali w medycznych teoriach uzasadnienia dla tych faktów. Oczywiście, nie wszyscy chorzy odzyskiwali zdrowie. Przeszkodą była zapewne ich niedostateczna wiara.

— Och, Robinie — westchnęła panna Dean. — Tak bardzo chciałabym zobaczyć to miejsce. Pokażesz mi je?

— Nie jest zbyt efektowne — uprzedził chłopiec. — Dziadek twierdzi, że należy do sieci kanalizacyjnej. Pamięta je z 1948 roku. Poza tym, wybieramy się teraz do pretorium, gdzie Pan Jezus był biczowany przez żołnierzy.

— Nie sądzę, żebym zdołała tam dojść — rzekła staruszka. — Szczególnie jeśli pretorium znajduje się, tak jak wszystko inne, pod ziemią.

Robin palił się do kolejnej przygody i nie zamierzał tracić czasu na oprowadzanie panny Dean po obiektach, które już widział.

— Sadzawka jest tam — wskazał. — Na górnym podeście schodów stoi mężczyzna, który kieruje ruchem. Zobaczymy się później.

Babka machała na niego z daleka. Niecierpliwiła się, że nie zdąży na spotkanie z przyjaciółmi.

— Wróć do panny Dean, Robinie, i powiedz jej, żeby się pospieszyła.

— Ona nie zamierza zwiedzać pretorium — odparł chłopiec.

— Podobnie jak i ja — rzekła lady Althea. — Wolę spotkać się z Chaseboroughami. Panna Dean będzie się musiała sama o siebie zatroszczyć. Lepiej biegnij, kochanie, i dołącz do dziadka, który właśnie przechodzi przez bramę.

Lady Althea uważała, że na skutek braku doświadczeń organizacyjnych Babcocka panuje ogólne rozprężenie i że wszyscy są zdani sami na siebie. W razie rozminięcia się z grupą panna Dean mogła poczekać w hotelowym autobusie, który stał zaparkowany przed Bramą Świętego Szczepana. Lady Althea liczyła na to, że jeśli nie będzie dużego tłoku, Chase — boroughowie zaproszą ją razem z Philem i Robinem do swojego hotelu na lunch. Patrzyła za wnukiem, dopóki nie zrównał się z dziadkiem i obaj nie zniknęli w tłumie pielgrzymów, a potem podążyła za znakiem, który wskazywał drogę do Kopuły Skały.

„Via Dolorosa.... Droga Krzyżowa...”

Pułkownik przeciskał się do przodu, nie zwracając uwagi na gorliwych przewodników. Ulica była wąska i otoczona z obu stron wysokimi murami, które łączyło w górze porośnięte winną latoroślą sklepienie. Posuwanie się w tłumie nastęczało dużych trudności, a chwilami stawało się wręcz niemożliwe, szczególnie wtedy, kiedy pielgrzymi upadali na kolana.

— Dlaczego wszyscy klękają, dziadku? — spytał Robin.

— Dotarliśmy do pierwszej stacji Drogi Krzyżowej — wyjaśnił pułkownik. — Ściśle rzecz biorąc, znajdujemy się już na terenie pretorium, pastorze. To

wszystko należało niegdyś do twierdzy Antonii. Będziemy mieli jednak lepsze wyobrażenie o tym miejscu, oglądając je wewnątrz kościoła Ecce Homo.

Nie był jednak tego pewien. Od 1948 roku zaszło tu wiele zmian. Siedzący przy stole mężczyźni sprzedawali bilety. Naradził się szeptem z Babcockiem.

— Ile nas jest? — spytał, przeszukując wzrokiem tłum obcych.

Nie wypatrzył nikogo z ich towarzystwa. Okazało się, że przyszli tu tylko we trzech, z Robinem i z pastorem. Wszędzie roiło się od zakonnic. Pielgrzymi zostali podzieleni na grupy.

— Lepiej róbmy to, co nam każą tak zwane Panny Syjońskie — mruknął do Babcocka. — Nie jestem w stanie zrozumieć ani jednego ich słowa.

Zeszli na niższy poziom. To pewnie tutaj nie chciała przyjść panna Dean, pomyślał Robin. Ale mnie to miejsce w ogóle nie przeraża. O wiele straszliwszy wydaje mi się Pociąg Duchów w wesołym miasteczku.

Zakonnica opiekująca się ich grupą wyjaśniała, że schodzą do Lithostrotos, zwanego w języku hebrajskim Gabbata — do wyłożonego kamiennymi płytami dziedzińca, na którym Piłat sprawował sądy. Siostra wyjaśniła im, że bruk został odkryty całkiem niedawno i prawdopodobnie jest najbardziej przekonującym dowodem na to, że faktycznie tutaj Nasz Pan został pojmany przez Piłata, że był biczowany i wyszydzany. Kamienie ozdobiono licznymi wgłębieniami i znakami, które według ekspertów służyły rzymskim żołnierzom do gier hazardowych. W tamtym kącie pilnowali więźnia, umilając sobie czas grą w kości. Wiemy teraz również o tym, jak mówiła zakonnica, że do rzymskich obyczajów należała „Gra w Króla”, czyli ceremonia polegająca na żartobliwym koronowaniu i drwieniu z więźnia skazanego na śmierć podczas jego ostatnich godzin.

Pielgrzymi z otwartymi ustami rozglądali się wokół siebie. Miejsce pod ziemią, w którym przebywali, przypominało ogromną celę. Pod stopami wyczuwali szorstką nawierzchnię z twardego kamienia. Ucichł szmer prowadzonych szeptem rozmów. Umilkła również zakonnica.

A może żołnierze wcale nie szydzili z Pana Jezusa. Może to była tylko zabawa, do której pozwolili mu się przyłączyć, pomyślał Robin. Niewykluczone, że rzucał razem z nimi kośćmi, a korona i purpurowy płaszcz to było tylko przebranie.

Widocznie takie mieli Rzymianie wyobrażenie o rozrywce. Nie wierzę, żeby strażnicy mogli traktować człowieka skazanego na śmierć w tak bestialski sposób. Pewnie starali mu się tylko skrócić czas oczekiwania, ponieważ wzbudzał ich litość.

Bez trudu wyobraził sobie żołnierzy siedzących po turecku na bruku, a razem z nimi skutego w kajdany młodego i uśmiechniętego więźnia, który z o wiele większą od nich wprawą potrafił rzucać kostką. Wygrał i został okrzyknięty królem. A śmiech, jaki towarzyszył jego poczynaniom, nie był szyderczy, lecz entuzjastyczny.

Na pewno wydarzenia miały właśnie taki przebieg, pomyślał chłopiec. Ludzie przez wieki błędnie interpretowali historię życia Pana Jezusa. Muszę się podzielić moimi spostrzeżeniami z Babcockiem.

Obejrzał się za siebie, ale nie dostrzegł nikogo z grupy oprócz dziadka, który wpatrywał się nieruchomo w przeciwległy kąt podziemnego pomieszczenia. Ludzie zaczęli się pomału rozchodzić, ale pułkownik nie ruszał się z miejsca. Robin, zadowolony ze zwłoki, przykucnął na kamiennym bruku i wodząc palcem po tajemniczych znakach, czekał, aż dziadek będzie gotów do wyjścia.

Wykonywaliśmy tylko rozkazy, tłumaczył sobie w myślach pułkownik. Przychodziły bezpośrednio z dowództwa. Terroryzm w tamtych czasach był zjawiskiem bardzo powszechnym. Palestyńskie siły policyjne nie mogły dać sobie z nim rady i byliśmy zmuszeni przejąć kontrolę nad życiem miasta. Żydzi podkładali bomby na rogach ulic i sytuacja z każdym dniem ulegała pogorszeniu. W lipcu wysadzili w powietrze hotel „Król Dawid”. Musieliśmy uzbroić oddziały, by chronić ludność cywilną przed zamachami terrorystów. Problem polegał na tym, że ówczesny laburzystowski rząd nie miał opracowanej żadnej

bliskowschodniej polityki. Zalecono nam prowadzenie ostrożnej strategii, ale jak to było możliwe, gdy na naszych oczach ginęli ludzie? Żydzi nieustannie nas zapewniali, że są przeciwni terroryzmowi. Wychłostaliśmy więc jednego żydowskiego chłopca — terrorystę, którego schwytaliśmy podczas zbrojnego zamachu. Nikt nie lubi zadawać bólu... Oczywiście potem nastąpiły akcje odwetowe. Porwano jednego z naszych oficerów oraz trzech podoficerów i wymierzono im chłostę. Z tego powodu zrobił się w kraju potworny raban. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat to miejsce obudziło we mnie tak żywe wspomnienia tamtych wydarzeń. Do tej pory ani razu o nich nie pomyślałem. Niespodziewanie pułkownik przypomniał sobie wyraz przerażenia, jaki malował się na twarzy tamtego chłopca. Oraz grymas ust po każdym uderzeniu. Izraelczyk był bardzo młody i znowu stał przed pułkownikiem, jak przed laty, a jego oczy były oczami Robina. Nie oskarżały go, lecz patrzyły z niemym wyrzutem. Och, Boże, przebac mi. Lata służby rozwiały się w nicość. Piłł Mason uznał je za zmarnowane i bezużyteczne.

— Chodźmy — powiedział szorstko, lecz nawet gdy obrócił się na pięcie i przemierzał kamienne płyty chodnika, wciąż miał przed oczami obraz żydowskiego chłopca, wijącego się i upadającego pod razami bata. Przecisnął się przez tłum, wyszedł na otwartą przestrzeń i skierował się na ulicę, nie rozglądając się na boki.

— Zatrzymaj się, dziadku — poprosił Robin. — Chciałbym wiedzieć, w którym miejscu dokładnie stał Piłat.

— Nie mam pojęcia — stwierdził pułkownik. — To jest bez znaczenia.

Kolejka pielgrzymów, która ustawiła się przy wejściu do wybrukowanej Gabbaty była teraz jeszcze dłuższa. Następny przewodnik szarpał pułkownika za rękaw: „Tędy do Via Dolo — rosa. Do Drogi Krzyżowej”.

Lady Althea, spacerując po Placu Świątynnym, za wszelką cenę starała się uwolnić od towarzystwa Kate Foster przed spotkaniem z Chaseboroughami.

— Tak, rzeczywiście bardzo imponujące — przytakiwała zdawkowo, gdy Kate wskazywała kolejne kopuły albo gdy czytała z przewodnika o mamełuckim sultanie, który na miejscu „Świętego Świętych” zbudował fontannę. Zwiedziły wiele budowli, przemierzyły w tę i z powrotem niezliczone kondygnacje schodów, zobaczyły skałę, na której Abraham składał w ofierze Izaaka, Mahomet zaś wznosił się do nieba. Ale po przyjaciółach lady Althei nigdzie nie było śladu. Słońce w zenicie niemiłosiernie paliło.

— Mam już tego dosyć — wyznała lady Althea. — Nie zamierzam zwiedzać wnętrza meczetu.

— Rezygnuje pani z najwspanialszego widoku w całej Jerozolimie — stwierdziła Kate. — Meczet al — Aqsa słynie na całym świecie ze swoich witrażowych okien. Mam tylko nadzieję, że nie uległy zniszczeniu podczas wybuchu bomby, o którym nam czytano.

Lady Althea westchnęła. Polityka Bliskiego Wschodu nudziła ją, chyba że była tematem rozmowy przy kolacji z którymś z członków parlamentu. Tak czy owak różnica pomiędzy Żydami a Arabami była niewielka. Jedni i drudzy podkładali bomby.

— Niech pani pójdzie zwiedzić ten swój meczet — zaproponowała. — A ja tutaj na panią zaczekam.

Patrzyła za swoją towarzyszką, dopóki nie zniknęła jej z pola widzenia, a potem rozluźniła szyfonowy szal na głowie i z powrotem ruszyła w stronę schodów, prowadzących do Kopuły Skały. Plac Świątynny miał tę zaletę, że nie panował tu tak ogromny ścisk, jak na wąskiej, przytłaczającej Via Dolorosa. Przestronność tego miejsca dawała większą swobodę ruchów. Lady Althea zastanawiała się, jak będzie ubrana Betty Chase — borough — widząc ją w

przelocie w odjeżdżającym samochodzie, zdołała dostrzec tylko biały kapelusz. Szkoda, że przyjaciółka przestała ostatnio dbać o figurę.

Lady Althea oparła się o jedną z trzech kolumn na górnej kondygnacji schodów. Była pewna, że w tym miejscu zostanie dostrzeżona. Odczuwała głód. Sporo czasu minęło od chwili, gdy jadła śniadanie i piła kawę. Otworzyła torebkę, przypominając sobie o obwarzanku, który kupiła za namową Robina od jakiegoś handlarza stojącego z osłem przed kościołem Wszystkich Narodów. „To nie jest przaśny chleb, ale prawie tak samo dobry” — stwierdził jej wnuk. Uśmiechnęła się. Filozofia młodego umysłu wydawała się jej bardzo zabawna.

Ugryzła chleb — był znacznie twardszy, niż na to wskazywał jego wygląd. Zaraz potem dostrzegła Ericka Chaseborougha i jego żonę, którzy razem z grupą zwiedzających opuszczali budynek, nazwany przez Kate „Stajniami Salomona”. Pomachała do przyjaciół, żeby zwrócić na siebie ich uwagę i Erie Chaseborough odpowiedział jej podobnym gestem. Lady Althea z powrotem wrzuciła kawałek chleba do torebki i w tym momencie poczuła coś dziwnego w ustach. Pojęła, że stało się nieszczęście. Wysunęła język i zawadziła nim o dwa ostre końce. Gdy zajrzała do torebki, stwierdziła, że w kawałku chleba tkwią dwa przednie zęby, które dentysta w Londynie założył jej przed wyjazdem. Przerazona, chwyciła lusterko. Zobaczyła w nim odbicie obcej kobiety, której z górnego dziąsła sterczały w miejscu zębów dwa opiłowane kołki. Przypominały wyglądem dwie czarne, połamane zapalki. Po dawnej urodzie nie było nawet śladu. Lady Althea mogła uchodzić teraz za przedwcześnie postarzałą i żebrzącą na rogu ulicy wieśniaczkę.

Och, nie..., pomyślała. Nie teraz i nie tutaj...Gdy roześmiani Chaseboroughowie zbliżali się do niej, próbowała zakryć usta niebieskim szyfonowym szalem, umierając ze wstydu i z poniżenia.

— W końcu cię znaleźliśmy — zawołał Erie Chaseborough, lecz ona tylko potrząsała głową i starała się ich odprawić.

— Co się stało Althei? Czyżby źle się poczuła? — dopytywała się jego żona.

Wysoka, elegancka postać cofała się przed nimi, rozpaczliwie szukając palcami szala, który zsunął się jej z głowy w tym samym momencie, gdy Chaseboroughie do niej dobiegli. Katastrofy nie sposób było dłużej ukryć. Właścicielka szala mamrocząc przez zaciśnięte usta, wskazała na torebkę, gdzie w kawałku chleba tkwiły jej przednie zęby.

— Ach, rozumiem — wyszeptał Erie Chaseborough. — Co za straszliwy pech!

I rozejrzał się bezradnie wokół siebie, jak gdyby wśród ludzi wchodzących po schodach wypatrywał kogoś, kto mógłby im podać adres dentysty w Jerozolimie.

Jego żona, wyczuwając upokorzenie przyjaciółki, wzięła ją pod rękę.

— Nie martw się — powiedziała. — Nie będzie widać ubytku, gdy szalem zasłonisz usta. Czy nic cię nie boli?

Lady Althea zaprzeczyła ruchem głowy. Fizyczny ból zniosłaby z łatwością, ale nie mogła ścierpieć katuszy wstydu z powodu urażonej dumy oraz świadomości, że w jednym momencie, gryząc chleb, straciła całą swoją godność i wdzięk.

— Izraelczycy są bardzo nowocześni — zapewnił Erie Chaseborough. — Jestem przekonany, że znajdziemy jakiegoś pierwszorzędneho specjalistę, który naprawi szkodę. Zwrócimy się o poradę do recepcjonisty w hotelu „Król Dawid”.

Lady Althea ponownie potrząsnęła głową, przypominając sobie nie kończące się wizyty na Harley Street, delikatne borowanie szybkoobrotowym wiertłem i godziny cierpliwego znoszenia bólu, a wszystko to dla zachowania urody. Pomyślała o czekającym ją lunchu, podczas którego niczego nie weźmie do ust, a jej przyjaciele będą się starali tak zachowywać, jak gdyby nic się nie stało. Wyobraziła sobie zmuśnione poszukiwania stomatologa, który w najlepszym wypadku wypełni lukę jakąś atrapą, okrzyk zdumienia Phila i zaciekawione

spojrzenia wnuka, a także odwrócone oczy pozostałych członków grupy — dalszy, koszmaryny przebieg wycieczki.

— Zdaje się, że osoba, która właśnie wchodzi po schodach, jest twoją znajomą — mruknął Erie Chaseborough.

Po zwiedzeniu meczetu al — Aqsa Kate Foster zawróciła przed wejściem do Ściany Płaczu. Bezprawnie zajęte ogromne tereny, na których izraelski rząd miał czelność zrównać z ziemią domy wielu Jordańczyków i skazał ich na pustynne życie pod namiotami, zamieszkiwało zbyt wielu ortodoksyjnych Żydów. Kate ponownie skierowała się w stronę Kopuły Skały. Dostrzegła lady Altheę podtrzymywaną przez dwoje nieznajomych i ruszyła jej na odsiecz.

— Co się stało? — spytała.

Lord Chaseborough przedstawił się i wyjaśnił sytuację.

— Biedna Althea jest bardzo zestresowana — mruknął. — Nie jestem pewien, jak jej pomóc.

— Straciła przednie zęby? — upewniła się Kate Foster. — To jeszcze nie koniec świata, prawda? — Spojrzała z ciekawością na przygnębioną kobietę, która zaledwie chwilę temu szła dumnym krokiem i z wyniosłą miną obok niej. — Proszę mi to pokazać.

Lady Althea drżącą dłonią odsunęła szyfonowy szal i spróbowała się uśmiechnąć, ale ku jej olbrzymiej konsternacji oraz współczuciu przyjaciół Kate Foster wybuchnęła śmiechem.

— Nawet zawodowi bokserzy nie mogą się poszczycić takim wyglądem — wykrzyknęła.

Stojącej na szczycie schodów lady Althei zdawało się, że nikt z turystów nie patrzy na Kopułę Skały, lecz na nią. Miała wrażenie, że ludzie poszturchują się nawzajem, szepczą między sobą i śmieją się z niej. Wiedziała z własnych wieloletnich doświadczeń wyszydzania innych, że nic bardziej nie jednoczy

obcych ludzi, jak fala śmiechu na widok kogoś odartego z godności, kto staje się nagle groteskową postacią.

„Na wprost przed wami znajduje się Via Dolorosa... Droga Krzyżowa.”

Jim Foster, który ciągnął za rękę Jill Smith, był zatrzymywany na każdym kroku przez klęczących pielgrzymów. Jill wyraziła ochotę odwiedzenia targu, a raczej suku. Musiał więc spełnić jej życzenie. Poza tym mógł coś tam kupić dla Kate¹ w ten sposób doprowadzić do rozejmu pomiędzy nimi.

— Sądzę, że powinnam zaczekać na Boba — ociągała się Jill.

Ale Boba nigdzie nie było widać. Poszedł za Babcockiem do pretorium.

— Wczoraj wieczorem nie zamierzałaś na niego czekać — zauważył Jim Foster.

Zdumiewające, jakiej metamorfozie może ulec dziewczyna między północą a południem. Można by sądzić, że Jill była teraz inną osobą. Gdy stali pod drzewami ubiegłej nocy, po początkowych protestach jego dotyk wywoływał w niej jęki rozkoszy, a teraz boczyła się i okazywała mu nieprzychyłość, jak gdyby nie chciała mieć z nim więcej do czynienia. Dobrze, niech będzie i tak. Niemniej jej zachowanie było dla niego policzkiem. Wyrzuty sumienia to jedno, a danie komuś kosza to drugie. Nie podejrzewał jej, że ubiegłej nocy pobiegła z płaczem do męża na skargę. Chociaż Bob Smith i tak nie odważyłby się czegokolwiek w tej sprawie zrobić. Było to prawdopodobnie ostatnie seksualne doświadczenie biednej dziewczyny, które dostarczyło jej dreszczu rozkoszy — przeżycie, o którym będzie z całą pewnością pamiętała przez resztę swojego życia.

— Chodź, jeśli ci zależy na mosiężnej bransoletce — ponaglił

ją —

— Nie da się tędy przejść — szepnęła. — Duchowny odprawia modły.

Uwielbiamy Cię, Panie Jezu Chryste

I błogosławimy Tobie.

Tuż przed nimi klęczał z pochyloną głową kapłan.

Żeś przez Krzyż i Mękę swoją

Świat odkupić raczył.

Odpowiedź pochodziła od grupy pielgrzymów, którzy, klęcząc, modlili się za jego plecami.

Nie powinnam mu była pozwolić na to, co zrobił ubiegłego wieczoru, myślała Jill Smith. Zachowaliśmy się podle. Czuję się okropnie, gdy o tym pomyślę. Przyjechaliśmy tutaj po to, żeby odwiedzić Święte Miejsca. Wszyscy ludzie wokół nas się modlą. Jezus Chrystus umarł za nasze grzechy. Jestem straszliwie przygnębiona. I to na dodatek podczas miodowego miesiąca. Co by o mnie powiedzieli ludzie? Nazwaliby mnie dziwką. Żebym chociaż była w nim zakochana, ale nie jestem. Kocham Boba. Po prostu nie wiem, co mnie napadło, że pozwoliłam Jimowi Fosterowi na to, co zrobił.

Pielgrzymi podnieśli się z klęczek i podążyli dalej Via Dolorosa. Dzięki Bogu, po ich odejściu miejsce nie wydawało się już tak bardzo święte. Zatłoczoną ulicą spacerowali zwykli ludzie. Kobiety z koszami na głowach zmierzały do straganów warzywnych, w rzeźniczych sklepach wisały na hakach półcie jagnięcego mięsa i rozlegały się zewsząd nawoływania sprzedawców, zachwalających swoje towary. Panował taki ścisk, że trudno się było poruszać.

Po obu stronach ulicy znajdowały się kramy i sklepy. Koło schodów po prawej stronie stały rzędy straganów z piętrzącymi się pomarańczami, grejpfrutami, olbrzymimi kabaczkami, cebulami i fasolą.

— Trafiliśmy na niewłaściwy suk — rzekł Jim Foster ze zniecierpliwieniem.
— Niczego tutaj nie znajdziemy oprócz cholernej żywności.

Nagle dostrzegł za bramą rząd kramów zawieszonych paskami i szalami na głowę, a obok nich stragan, w którym stary człowiek wystawiał na sprzedaż tanią biżuterię.

— Tam znajdziemy bardziej interesujące nas towary — powiedział, ale zagroził mu drogę objuczony melonami osioł, a kobieta z koszem na głowie nadepnęła mu na stopę.

— Wracajmy — zaproponowała Jill. — To beznadziejne. Boję się, że zabłądzimy.

Podbiegł do niej z boku jakiś młody człowiek z plikiem broszur w dłoni.

— Czy ma pani ochotę zobaczyć Święte Wzgórze, z którego roztacza się wspaniały panoramiczny widok? — zapytał. — Można tam również odwiedzić szereg galerii i nocne kluby.

— Proszę odejść. Nie mam zamiaru niczego oglądać — rzekła Jill.

Nie trzymała już za rękę Fostera, który teraz znajdował się po drugiej stronie ulicy i przywoływał ją do siebie. Być może nadszedł odpowiedni moment na to, żeby mu się wymknąć, wrócić tą samą drogą, którą przyszli, i odszukać Boba. Myśl o samotnym przedzieraniu się przez chaos wąskich uliczek wydała się jej zatrważająca.

Jim Foster stał przy kramie z biżuterią i brał do ręki coraz to inne przedmioty. Same śmiecie. Nic się nie nadawało. Medaliony z Kopułą Skały oraz szale na głowę z wzorami w osły. Nie mógł kupić żadnej z tych rzeczy Kate — uznałaby jego prezent za niesmaczny dowcip. Zapominając o tym, że wciąż trzyma w dłoni nieszczęsny medalion, odwrócił się, żeby odszukać Jill. Spostrzegł ją w chwili, gdy znikwała za rogiem. Przeklęta dziewczyna! Co ją ugryzło? Zamierzał przejść na drugą stronę ulicy, gdy dobiegł go rozgniewany głos straga — niarza:

— Trzy dolary za medalion. Jest mi pan winien trzy dolary! Jim Foster obejrzał się przez ramię. Sprzedawca aż poczerwieniał ze złości.

— Spokojnie, już go oddaję. Nie jest mi do niczego potrzebny — rzekł Jim, rzucając świecidełko z powrotem na stragan.

— Towar wzięty to towar sprzedany — wykrzykiwał kramarz, poszturchując swoich sąsiadów. Dwóch z nich zaczęło wygrażać pięściami, przyciągając uwagę innych sprzedawców na rynku. Jim zawahał się przez moment, ale zaraz wpadł w panikę. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć w tłumie w krajach Bliskiego Wschodu. Zaczął się prędko oddalać. Pomruk za jego plecami stawał się coraz groźniejszy i wszyscy odwracali za nim głowy. Przyspieszył kroku, a chwilę później, pochylając głowę i rozpychając się łokciami, puścił się biegiem. Tłum kupujących turystów rozstępował się przed nim, co powodowało jeszcze większe wrzenie. „Co się stało?” „Ukradł coś?” „Czy zamierzał podłożyć bombę?”

Dobiegały go z tyłu nawoływania. Gdy wchodził na schody, dostrzegł dwóch zmierzających w jego stronę izraelskich policjantów. Znów zawrócił, usiłując się przecisnąć przez tłum na drugą stronę wąskiej uliczki. Miał przyspieszony oddech, pod lewym żebrem odczuwał ból — ostry jak ostrze noża — i ogarniało go coraz większe przerażenie. Przecież policjanci mogli ruszyć za nim w pościg, biorąc go za złodzieja... W jaki sposób oczyścićby się z zarzutów? Jak zdołałby im wszystko wyjaśnić?

Przedzierał się przez ludzką ciżbę. Był zdezorientowany i całkowicie wyprowadzony z równowagi. Nagle wyszedł na szeroką ulicę. Ale nie było z niej ucieczki. Przyłgnał plecami do muru, żeby przepuścić mężczyzn, którzy szli w szeregach i trzymali się za ramiona. Mieli na sobie białe koszule i czarne spodnie. Nie wyglądali na pielgrzymów, gdyż śmiali się i śpiewali. Ludzki strumień porwał go i uniósł ze sobą, niczym grzywa fali szczątki statku. Na odwrót było już za późno. Niespodziewanie znalazł się na samym środku wielkiego placu, gdzie podobnie do siebie ubrani młodzi mężczyźni tańczyli ramię w ramię.

Ból pod lewym żebrem stawał się coraz dotkliwszy. Jim Foster nie był już w stanie iść dalej. Gdyby chociaż mógł gdzieś na chwilę usiąść, ale nie dostrzegł

nigdzie odpowiedniego miejsca. Albo gdyby mógł się o coś oprzeć... na przykład o tę ogromną żółtą ścianę. Nie miał jednak szans na dotarcie do niej. Stał więc i przyglądał się mężczyznom z kręconymi pejsami i w czarnych kapeluszach, którzy bili pokłony, modlili się i uderzali w piersi. To Żydzi. pomyślał. Nie jestem jednym z nich. Przynależę do innej narodowości. Na nowo ogarnęła go śmiertelna trwoga. A jeśli dwaj izraelscy policjanci dotarli już do obrzeży skupiska ludzi i zamierzali go dopaść? Wyobraził sobie, jak mężczyźni, zamiast modlić się i kłaniać przed Ścianą Płaczu, odwracają się do niego i rzucają mu oskarżające spojrzenia, a zewsząd podnoszą się głosy: „Złodziej... złodziej...”

Jill Smith myślała tylko o jednym: żeby znaleźć się jak najdalej od Jima Foster a. Nie chciała mieć z nim więcej nic wspólnego. Postanowiła zachowywać się uprzejmie, dopóki będą razem. Ale przecież jeszcze dzisiaj mają opuścić Jerozolimę, a po powrocie na statek nie muszą się już spotykać. Dzięki Bogu, że oboje z Bobem postanowili zamieszkać kilka kilometrów za Little Bletford.

Pospiesznie wracała wąską zatłoczoną uliczką, zostawiając za sobą handlową dzielnicę miasta. Mijała turystów, pielgrzymów, duchownych, wśród nich nie było jednak ani Boba, ani nikogo innego z ich grupy. Wszędzie napotykała znaki wskazujące drogę do Grobu Świętego. Nie zwracała na nie uwagi. Nie zamierzała odwiedzać tego Świętego Miejsca. Byłoby to niestosowne i nieprzyzwoite. Przebywając pomiędzy modlącymi się ludźmi, czułaby się jak hipokrytka i obłudnica. Rozglądała się za jakimś ustroniem, gdzie mogłaby usiąść i pomyśleć w samotności, Mury Starego Miasta zdawały się nad nią zamykać. Miała nadzieję, że wkrótce się od nich uwolni i wyjdzie na otwartą przestrzeń, gdzie będzie panował mniejszy hałas i pośpiech.

Łukowate sklepienie, które dostrzegła na odległym końcu ulicy, nie było Bramą Świętego Szczepana. Jeden z napisów nad nim głosił: „Szechem”, a inny: „Damaszek”. Nazwa nie miała jednak żadnego znaczenia. Najważniejsze było wydostanie się z miasta.

Minęła szerokie przejście. Na zewnątrz stały w rzędach zaparkowane samochody i autobusy. Na plac przed bramą napłynęły nowe, jeszcze liczniejsze tłumy turystów. Jill dostrzegła stojącą wśród nich Kate Foster. Kobieta wydawała się tak samo zagubiona i zdezorientowana, jak ona. Na odwrót było już za późno, gdyż Kate ją dostrzegła. Jill, ociągając się, podeszła do niej niespiesznym krokiem.

— Czy widziała pani Jima? — spytała Kate.

— Nie, zniknął gdzieś w jednej z wąskich uliczek. Szukam Boba.

— Pewnie go pani nie znajdzie — zawyrokowała Kate. — Co za bałagan! Wszyscy pogubiliśmy się w tej morderczej ciżbie. Lady Althea musiała wrócić do hotelu na skutek doznanego wstrząsu. Straciła zęby.

— Go takiego?

— Straciła przednie zęby. Połamała je na kawałku chleba. Wygląda bez nich upiornie.

— Och, mój Boże, tak mi przykro. To musiało być dla niej straszne.

Tuż obok nich zatrąbił samochód. Odskoczyły na chodnik i oddalając się od strumienia zwiedzających, ruszyły przed siebie w nieokreślonym kierunku.

— Przyjaciele, którzy byli razem z nią, obiecywali, że znajdą dentystę, ale jak można tego dokonać w tak zwariowanym mieście jak Jerozolima? Na szczęście w pobliżu Bramy Świętego Szczepana natknęliśmy się na pułkownika, który osobiście się wszystkim zajął.

— Co zrobił?

— Natychmiast znalazł taksówkę, do której wpackował swoją żonę. A potem odprawił przyjaciół i usiadł obok niej. Ona prawie płakała i niech mi pani wierzy, że przyjęła jego pojawienie się z ogromną ulgą, mimo że dotychczas zwykła mu bez przerwy ucierać nosa. Chciałabym odnaleźć Jima. Co robił, kiedy go pani widziała ostatnio?

— Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że zamierzał kupić dla pani prezent — rzekła Jill z wahaniem.

— Dobrze znam te jego szczodroblive gesty — stwierdziła Kate. — Zawsze bywa hojny, ilekroć ma coś na sumieniu. O Boże! Marzę o filiżance herbaty. A przynajmniej o jakimś miejscu do siedzenia.

Szły dalej, rozglądając się bezmyślnie na boki. Nagle zauważyły tabliczkę z napisem: „Grób w Ogrodzie”.

— Nie sądzę, żebyśmy tutaj mogły się napić herbaty — rzekła Jill.

— Nigdy nic nie wiadomo — stwierdziła Kate. — Zwykle w turystycznych ośrodkach używane są zabawne nazwy. Na przykład w Stratfordzie wszystko ma związek z Szekspirem albo z Anną Hathaway — tutaj natomiast z Jezusem Chrystusem.

Zeszły do ogrodzonego miejsca wśród skał, do którego prowadziły brukowane ścieżki. Strażnik wręczył im broszury informacyjne. Były tam jakieś wzmianki o Ogrodzie Józefa z Arymatei.

— Nie dostaniemy tutaj herbaty — rzekła Kate i dodała, zwracając się do mężczyzny:

— Nie, dziękujemy, nie potrzebujemy przewodnika.

— Ale przynajmniej możemy usiąść na tym niskim murku — mruknęła Jill. — Chyba nie każą nam za to płacić.

Strażnik odszedł, wzruszając ramionami. Wiedział, że wkrótce ogród zapełni się pielgrzymami, którzy okażą większe zainteresowanie zwiedzaniem. Kate zapoznała się z treścią broszury.

— To obiekt konkurencyjny do Grobu Świętego. A ta osobliwa zniszczona pieczara w skale jest zapewne grobowcem.

Podeszły do ściany i zajrzały do znajdującego się wewnątrz niej otworu.

— Jest pusty — stwierdziła Jill.

— A jaki miałby być, pani zdaniem? — zapytała Kate.

Panował tu spokój. Mogły przynajmniej posiedzieć i odpocząć. Ogród był całkowicie opustoszały. Kate przypuszczała, że powodem jest zbyt wczesna pora i przewidywała, że później się zapełni. Rzuciła okiem na swoją towarzyszkę, która wyglądała na zmęczoną i przybitą. Być może źle ją osądzała. Pewnie to Jim był odpowiedzialny za wczorajszą eskapadę.

— Radzę pani od razu pomyśleć o powiększeniu rodziny — rzekła bez ogródek. — My zbyt długo z tym zwlekaliśmy i w rezultacie nie mamy dzieci. Och, próbowałam wszystkiego — z przedmuchiwaniami jajowodów włącznie — ale moje wysiłki okazały się bezskuteczne. Lekarze byli zdania, że to John jest bezpłodny, ale on nie wyraził zgody na poddanie się testom. A teraz przechodzę menopauzę, więc jest już na to za późno.

Jill nie wiedziała, co ma powiedzieć. Zwierzenia Kate Foster obudziły w niej jeszcze większe poczucie winy.

— Bardzo mi przykro.

— Pogodziłam się już z tym faktem. Niech się pani cieszy swoją młodością. Przed panią całe życie. Ja czasami odnoszę wrażenie, że mnie już nic dobrego nie czeka i nawet gdybym jutro umarła, Jim wcale by się tym nie przejął.

Ku wielkiej konsternacji Kate Jill Smith wybuchnęła płaczem.

— Co się, na Boga, stało? — spytała.

Jill pokręciła głową. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Jak miała jej powiedzieć o poczuciu winy i o wyrzutach sumienia, które nagle ją ogarnęły?

— Proszę mi wybaczyć. Nie czuję się zbyt dobrze. Od rana jestem zmęczona i w nie swoim sosie.

— Dostała pani okres?

— Nie, to nie to... Czasami nachodzą mnie wątpliwości, czy Bob naprawdę mnie kocha i czy jesteśmy dobraną parą. Niezbyt dobrze się układa pomiędzy nami.

Och, po co o tym mówiła. Cóż to mogło obchodzić Kate Foster?

— Prawdopodobnie pobraliście się zbyt młodo — zauważyła jej rozmówczyni. — Ja też popełniłam ten błąd. Wszystkie za wcześnie zakładamy rodziny. Często myślę o tym, że samotne kobiety mają o wiele lepsze życie.

I co z tego, że tak uważała? Była żoną Jima od ponad dwudziestu lat, ale pomimo wszystkich zmartwień, jakich jej przysporzył, nigdy nie brała pod uwagę możliwości rozwodu.

Kochała go, a on na niej polegał. Gdyby zachorował, bardziej liczyłyby na jej pomoc, niż na czyjąkolwiek inną.

— Mam nadzieję, że go nie spotkało nic złego — powiedziała nagle.

Jill, która właśnie wycierała nos, podniosła na nią wzrok.

O kim Kate mówi, o Bobie czy Jimie?

— Go ma pani na myśli?

— Jim nienawidzi tłoku. I zawsze nienawidził. Dlatego gdy tylko zobaczyłam tłum pielgrzymów w wąskiej ulicy, chciałam od razu pójść z nim na Plac Świątynny. Wiedziałam, że tam będzie spokojniej. Ale wy oderwaliście się we dwójkę od grupy

i ruszyliście w przeciwną stronę. W dużych skupiskach ludzkich Jim wpada w panikę. Cierpi na klaustrofobię.

— Nie wiedziałam — rzekła Jill. — Nic o tym nie wspominał...

Być może Boba również przerażały tłumy. Niewykluczone,

że obaj z Jimem właśnie w tym momencie usiłowali się przepchać przez zatrważającą hałastrę krzykliwych ulicznych sprzedawców i rozśpiewanych pielgrzymów.

Rozejrzała się po cichym ogrodzie, zatrzymując wzrok na połamanych krzewach, które ktoś tu zasadził, i na ponurym pustym grobie. Nawet strażnik gdzieś się ulotnił i zostawił je same.

— Musimy się stąd zabierać — stwierdziła. — Tutaj się na nich nie doczekamy.

— Wiem, ale co mamy robić? — zapytała Kate. — Dokąd możemy pójść?

Myśl o ponownym zapuszczeniu się w znienawidzone miasto była przerażająca, ale nie miały wyboru. Musiały ruszyć na poszukiwanie mężów i zaglądnąć przechodniom w twarze, wciąż napotykać obcych ludzi, których nie znały i którzy nic ich nie obchodzili.

Panna Dean czekała na odpowiedni moment. A kiedy zwiedzający opuścili kościół Świętej Anny i oddalili się od sadzawki Betesda, powoli zbliżyła się do prowadzących w dół stopni. Nagle wpadł jej do głowy dość niezwykły, ale cudowny pomysł. Słowa, które usłyszała wczoraj wieczorem, głęboko ją zraniły: „cierń w boku”. Tak podobno ją nazwał ojciec Garfield w rozmowie z matką Jill Smith. I rzekomo czuł się przez nią od lat prześladowany. Panna Dean oczywiście w to wszystko nie uwierzyła. Ojciec Garfield nigdy nie powiedziałby o niej czegoś podobnego. Pani Smith kłamała. Niemniej sam fakt, że takie stwierdzenie padło oraz że podobne historie były rozpowszechniane w Little Bletford, zdenerwował ją i sprawił tyle bólu, że dzisiejszej nocy prawie nie zmrużyła oka. I musiała usłyszeć tę plotkę akurat nad Ogrodem Oliwnym...

A teraz dowiedziała się od drogiego Robina, który jako jedyny z całego towarzystwa czytywał Ewangelię, że znajdują się w pobliżu sadzawki Betesda, do której przed chwilą zostało zaniezione dziecko, by woda uleczyła je z choroby. Być może uzdrowienie nie następowało od razu i musiały upłynąć godziny, a nawet dni, by cud się uwidocznił. Osobiście panna Dean nie skarżyła się na żadne dolegliwości. Wręcz przeciwnie. Cieszyła się doskonałym zdrowiem. Gdyby

jednak udało się jej nabrać wody do flakonika po perfumach, zawiozłaby ją do Little Bletford i przekazała ojcu Garfieldowi, by napełnił nią kropielnicę przy wejściu do kościoła. Niewątpliwie ujęłaby go swoją wielkodusznością i gestem wiary. Wyobrażała sobie wyraz jego twarzy w momencie wręczania butelki: „Przywiozłam wodę z sadzawki Betesda, panie pastorze”. „Och/ panno Dean, co za wspaniałomyślność! Cudownie pani postąpiła!”

Kłopot polegał na tym, że tutejsze władze mogły zabraniać czerpania wody z sadzawki, a mężczyzna, który stał w pobliżu, niewątpliwie je reprezentował. Dlatego, dla dobra świętej sprawy, musiała zaczekać, aż strażnik się oddali, i dopiero wtedy zejść na dół. Jej plan był może podstępny, ale działała w imię Boga.

Czekała na odpowiedni moment. Niewątpliwie Pan Bóg był po jej stronie, ponieważ w końcu mężczyzna zbliżył się do grupy turystów, którzy wypytywali go o kontynuację prac wykopaliskowych. Panna Dean nie zmarnowała swojej szansy.

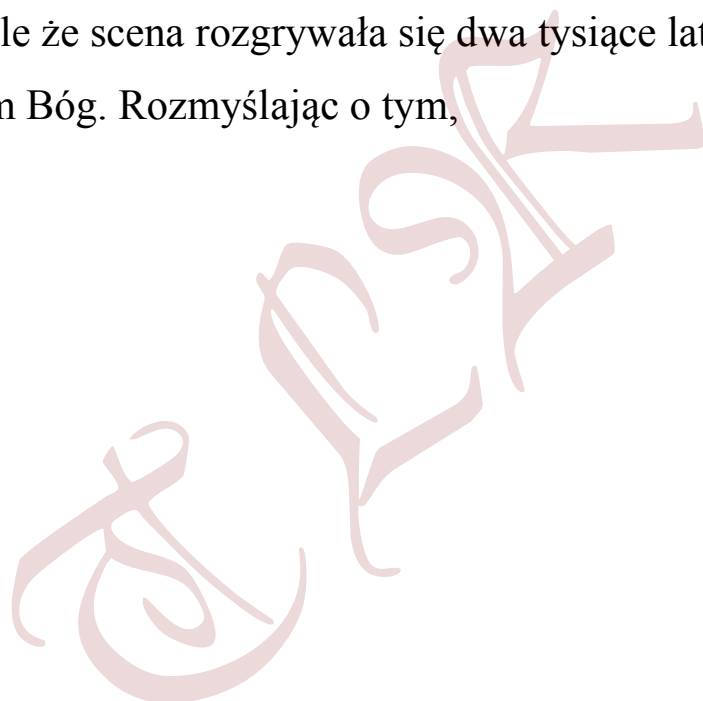
Podeszła dziarskim krokiem do schodów, położyła rękę na poręczy i zaczęła ostrożnie schodzić na dół. W pewnym sensie Robin miał rację. Wypełniona po brzegi wodą i znajdująca się w głębokiej rozpadlinie sadzawka przypominała wyglądem kanał ściekowy. Ale po tym, co wielebny Babcock powiedział na temat podziemnego miasta, panna Dean nie miała wątpliwości, że stoi w Świętym Miejscu. Działo pobudzająco na jej wyobraźnię. Gdy dotarła do ostatniego stopnia, obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt nie podąża za nią i czy nie jest obserwowana. A potem wyjęła chusteczkę, na której uklękła, i opróżniła flakon, wylewając perfumy na znajdujący się nieopodal kamień. Czyn, który mógł się wydawać marnotrawstwem, był w pewnym sensie ofiarą.

Pochyliła się i nabrała wody. Gdy wstawiała, żeby wetknąć korek, poślizgnęła się na mokrym kamiennym stopniu. Flakon wymknął się jej z ręki i wpadł do sadzawki. Panna Dean wydała z siebie okrzyk przerażenia. Bezskutecznie usiłowała go wyłowić i nagle sama znalazła się wewnątrz głębokiego basenu.

— O Boże! — zawołała. — O Boże, ratuj mnie!

Wyrzucając do przodu ramiona, próbowała uczepić się oślizgłego kamienia, na którym przed chwilą stała, lecz wlewająca się do otwartych ust woda pozbawiała ją oddechu. Wkrótce nie było nikogo ani niczego wokół, tylko nieruchoma tafla, olbrzymia, wysoka ściana i skrawek błękitnego nieba ponad głową.

Wielebny Babcock był niemal tak samo poruszony widokiem wybrukowanego placu pod żeńskim klasztorem Ecce Homo jak pułkownik, choć z mniej osobistych pobudek. On również widział biczowanego mężczyznę, którego strzegli żołnierze, tyle że scena rozgrywała się dwa tysiące lat temu, a cierpiącym człowiekiem był sam Bóg. Rozmyślając o tym,



czuł, że jest niegodny stąpania po tej Świętej Ziemi. Żałował, że nie może dowieść swojej wartości. Gdy po opuszczeniu pretorium przyglądał się strumieniowi ludzi, którzy posuwali się w wolnej procesji wzdłuż Via Dolorosa i przystawali przy kolejnych stacjach, zrozumiał, że ani teraz, ani w przyszłości nie zdoła odpokutować tego, co wydarzyło się w pierwszym wieku naszej ery. Mógł jedynie pokornie podążać z pochyloną głową za tymi wszystkimi pielgrzymami, którzy przechodzili tędy wcześniej.

— Och, mój Panie — modlił się. — Pozwól, bym mógł wypić Twój kielich goryczy i by Twoje cierpienie stało się również moim udziałem.

Nagle poczuł, że ktoś go klepnął w ramię. Był to pułkownik.

— Czy może pan dalej sam poprowadzić grupę, pastorze? — spytał Phil Mason. — Muszę odwieźć żonę do hotelu. Miała przykry wypadek.

Babcock wyraził swoje zaniepokojenie.

— Och, nic poważnego — zapewnił pułkownik. — Przytrafiła się jej niemiła przygoda z przednimi zębami. Jest bardzo zdenerwowana i czym prędzej chcę ją wyprowadzić z tłumy.

— Oczywiście. Proszę przekazać żonie wyrazy ubolewania. A gdzie jest reszta grupy?

Pułkownik obejrzał się przez ramię.

— Widzę tylko Robina i młodego Boba Smitha. Przykazałem im, żeby trzymali się blisko pastora.

Zawrócił, kierując się do Bramy Świętego Szczepana, i po chwili zniknął z pola widzenia.

Babcock podjął powolną wędrówkę w stronę Kalwarii, idąc w grupie rozmodlonych ludzi. My wszyscy — mężczyźni, kobiety i dzieci różnych narodowości — podążający tą samą drogą, którą szedł kiedyś nasz Pan, stanowimy prawdziwy przekrój chrześcijańskiego świata. Za Jego czasów ludzie również gapili się z ciekawieni — odrywali się od swoich codziennych zajęć,

żeby obserwować przejście skazańca. Tak samo wówczas straganiarze i sklepikarze sprzedawali swoje towary, kobiety z koszami na głowach przystawały w przejściach, młodzieńcy przywoływali zza kramów klientów, psy ścigały pod ławkami koty, starcy sprzeczekali się ze sobą i płakały dzieci.

Via Dolorosa.... Droga Krzyżowa.

Pielgrzymi, za którymi podążał Babcock, zmieszali się z idącą z przodu grupą, do której wkrótce dołączyły dwie następne. Gdy pastor się obejrzał, nie dostrzegł ani Robina, ani Boba Smitha, ani żadnej innej osoby z ich wycieczki. Przed sobą miał zakonnice, a za sobą brodatych prawosławnych duchownych w czarnych sutannach. Zboczenie z trasy i odbicie w prawo lub w lewo nie wchodziło w rachubę. Łudził się tylko, że jego samotna sylwetka zbytnio nie rzuca się w oczy wśród rozśpiewanych zakonnice i rozmodlonych popów.

Siostry odmawiały zdrowaśki po holendersku. W każdym razie tak się zdawało Babcockowi. Być może ich ojczystym językiem był język niemiecki. Uklękły najpierw przy stacji Piątej, a potem Szóstej. Babcock, szukając w kieszeni notesu, przypomniał sobie, że Piąta stacja upamiętnia przejęcie krzyża przez Szymona Cyrenejczyka, a Szósta jest miejscem, w którym Weronika otarła Naszemu Panu twarz. Zastanawiał się, czy powinien upaść na kolana wraz z siostrami zakonnymi, czy też naśladowując duchownych pozostać w pozycji stojącej. Postanowił uklęknąć, żeby oddać Bogu należną Mu cześć i okazać większą pokorę.

Nagle przed jego oczami wyłoniła się kopuła kościoła Grobu Świętego. Na kamiennym dziedzińcu przed bazyliką zatrzymał się po raz ostatni, by po chwili razem z zakonnkami i duchownymi wejść przez okazałe drzwi do jej wnętrza, gdzie znajdowała się ostatnia stacja. I właśnie wtedy uświadomił sobie, że rozpoznaje napady mdłości, które po raz pierwszy dały mu znać o sobie na terenie klasztoru Ecce Homo i że coś niedobrego dzieje się w jego wnętrzościach. Ostry ból, który po chwili minął, wkrótce przeszył go ponownie. Babcock zaczął się pocić. Rzucił okiem na boki, ale nie było sposobu, żeby się — wydostać spośród

rozśpiewanych pielgrzymów. Przed sobą miał drzwi do kościoła, ale pomimo usilnych starań nie mógł zawrócić i się wycofać, ponieważ z tyłu odcinali mu drogę popi.

Tłum pielgrzymów wniósł go do kościoła. Otoczyły go ciemności, rusztowania, schody, zapachy tłoczących się ciał oraz intensywna woń kadzideł. Co ja teraz pocznę? Dokąd pójdę? Znosił prawdziwe męczarnie. Zastarzały smak wczorajszego ragout z kurczaka wprawiał go w zażenowanie, gdy w ślad za zakonnicami pokonywał stopnie prowadzące do Kaplicy Golgoty. Zarówno po lewej, jak i po prawej stronie znajdowały się ołtarze, krzyże, niezliczone ofiary wotywno, płonęły świece, lecz on niczego nie dostrzegał ani niczego nie słyszał. Odczuwał tylko parcie w głębi własnego ciała — stanowcze wezwanie jelit, którego nie była w stanie przezwyciężyć żadna modlitwa, siła woli ani boskie miłosierdzie.

Bob Smith, który razem z Robinem został nieco w tyle w grupie prawosławnych duchownych, jako pierwszy zauważył oznaki rozpacz na twarzy Babcocka. Spozrzegł je, gdy pastor ukląkł po raz ostatni; zanim został porwany przez tłum i wciągnięty w głąb kościoła. Babcock był bardzo blady i ocierał chustką czoło.

Chyba się źle poczuł. Wygląda, jak gdyby był bliski omdlenia, pomyślał Bob Smith.

— Trochę się niepokoję o naszego pastora — zwrócił się do Robina. — Nie powinniśmy go spuszczać z oczu.

— Dobrze — rzekł chłopiec. — Chodźmy za nim. Może czuje się onieśmielony w towarzystwie zakonnicek.

— Nie sądzę, żeby w tym tkwił problem — stwierdził Bob. — Przypuszczam, że Babcock jest chory.

— A może musi pójść do toalety? Prawdę mówiąc, sam również chętnie bym z niej skorzystał.

I chłopiec rozejrzał się wokoło siebie, zastanawiając się, jak rozwiązać swój problem. Bob Smith się zawahał.

— Zaczekaj na nas tutaj. Chyba że ogromnie zależy ci na zwiedzeniu wnętrza kościoła Grobu Świętego.

— Nie mam zamiaru tam wchodzić — odparł Robin. — Nie wierzę w to, że prawdziwy grób znajduje się w tym miejscu.

— Dobrze, wobec tego zostań, a ja spróbuję odszukać pastora.

Gdy Bob przepchał się przez drzwi, otoczyły go, podobnie jak wcześniej Babcocka, ciemności, rusztowania, rzesze śpiewających wiernych, tłumy duchownych, schody i kaplice po obu stronach świątyni. Większość pielgrzymów schodziła na dół. Były wśród nich zakonnice, a za nimi podążali prawosławni duchowni. Ale Babcocka, który wyróżniał się w tłumie, gdy szedł Via Dolorosa, nie było nigdzie widać.

Bob w końcu go znalazł. Pastor siedział skulony pod ścianą w jednej z kaplic i ukrywał twarz w dłoniach. Obok niego przykucnął kościelny — grecki, koptyjski lub ormiański. Podniósł głowę na widok zbliżającego się Boba.

— To angielski pielgrzym. Źle się poczuł — wyjaśnił szeptem. — Pójdę sprowadzić pomoc.

— Wszystko w porządku — rzekł Bob. — Znam tego człowieka. Przybył tu razem z naszą grupą. Dam sobie radę. — Nachylił się nad Babcockiem i dotknął jego ramienia. — Proszę się nie martwić, pastorze. Zajmę się panem.

— Niech go pan odprawi — szepnął Babcock, wskazując na kościelnego.

— Dobrze, rozumiem — odparł Bob.

Zrobił gest w stronę zakrystiana, który skinął głową i przeszedł na drugą stronę kaplicy, żeby powstrzymać przed wejściem nadciągającą grupę pielgrzymów. Bob pomógł pastrowi wstać.

— To się mogło zdarzyć każdemu z nas — stwierdził. — I pewnie ciągle się zdarza. Pamiętam, jak kiedyś podczas finałowej rozgrywki o puchar...

Nie dokończył zdania. Jego nieszczęsny towarzysz był zbyt zawstydzony i przygnębiony z powodu własnej słabości. Bob wziął go za łokieć, pomógł mu pokonać schody i wyprowadził z kościoła na tylny dziedziniec.

— Na świeżym powietrzu od razu się pan poczuje lepiej — zapewnił.

Babcock trzymał się go kurczowo.

— To z powodu kurczaka, którego jadłem wczoraj wieczorem na kolację. Nie tknąłem owoców ani sałaty, przed którymi ostrzegła mnie panna Dean. Nie sądziłem, że kurczak może mi zaszkodzić.

— Proszę się nie martwić — rzekł Bob. — Nic pan na to nie poradzi, pastorze. Czy sądzi pan... że minęło już najgorsze?

— Tak, jestem tego pewien.

Bob rozejrzał się wokół siebie, ale po Robinie nie było ani śladu. Najwidoczniej chłopak zdecydował się jednak wejść do świątyni. Co, u licha, miał Bob dalej robić? Nie powinien zostawiać dzieciaka bez opieki, ale przecież to samo tyczyło się pastora, który mógł ponownie zachorować. Postanowił, że zaprowadzi go do autobusu przy bramie, a po Robina wróci później.

— Uważam, że powinien pan możliwie jak najprędzej znaleźć się w hotelu, przebrać i poleżeć, pastorze. Odprowadzę pana do autobusu.

— Jestem panu ogromnie wdzięczny — mruknął jego towarzysz. — I bardzo zobowiązany.

Przestało go nagłe obchodzić, czy zwraca na siebie uwagę. Nie miało już dla niego znaczenia, czy ludzie odwracają za nim głowy i czy się gapią. Gdy podążali w dół Via Dolorosa, mijając innych śpiewających pielgrzymów, turystów, sprzedawców głośno zachwalających swoje towary, gdy przechodzili obok stosów cebul i połci mięsa jagnięcego, zrozumiał, że sięgnął dna upokorzenia. Przez ostateczny akt ludzkiej słabości przeżył wstyd, jakiego tylko może doświadczyć

człowiek i jaki prawdopodobnie stał się również przed wiekami udziałem Naszego Pana w chwilach samotności i strachu poprzedzających przybicie do krzyża złoczyńców.

Gdy przeszli przez Bramę Świętego Szczepana, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, była stojąca obok ich autobusu karetka pogotowia oraz otaczający ją tłum gapiów. Pobladły funkcjonariusz służby miejskiej kazał im się odsunąć na bok. Bob od razu pomyślał o Jill. Coś złego musiało się jej przytrafić... Nagle zjawił się obok nich Jim Foster. Utykał i miał potargane włosy.

— Zdarzył się wypadek — oznajmił.

— Jest pan ranny? — spytał Bob.

— Nie... mnie się nic nie stało. Co prawda utknąłem w manifestuj ącym tłumie, ale jakimś cudem zdołałem się z niego wydostać... Chodzi o pannę Dean. Wpadła do kanału zwanego sadzawką Betesda.

— O mój Boże...! — wykrzyknął Babcock, przenosząc zrozpaczony wzrok z Jima Fostera na Boba. — To moja wina. Powinienem był się nią zaopiekować. Nie wiedziałem, że tam została. Sądziłem, że poszła dalej razem z innymi członkami naszej grupy. — Ruszył w stronę ambulansu, lecz nagle przypomniał sobie o własnym oplakany m położeniu i rozłożył ręce w geście rozpaczy.

— Obawiam się, że w moim obecnym stanie nie będę mógł do niej podejść... — stwierdził.

Jim Foster wytrzeszczył na niego oczy, a potem spojrzał pytająco na Boba Smitha.

— Nie jest w najlepszej formie — mruknął Bob. — Źle się poczuł przed chwilą w kościele. Cierpi na ostry rozstrój żołądka. Powinien możliwie jak najszybciej znaleźć się w hotelu.

— Biedne chłopisko — bąknął pod nosem Jim Foster. — Niech pan wsiądzie do autobusu — zwrócił się do Bobcocka. Polecę kierowcy, żeby odwiózł pana do hotelu. A ja pojedę razem z panną Dean karetką.

— Czyjej stan jest ciężki? — spytał pastor.

— Lekarze na razie nie wiedzą — odparł Foster. — Przypuszczam, że głównym problemem jest szok, jakiego doznała. Była nieprzytomna, gdy jeden z przewodników wyciągnął ją z wody.

To prawdziwe szczęście, że znalazł się akurat na szczycie schodów. Zachodzę w głowę, co się mogło stać z moją żoną i z małżonką Boba. Tkwią gdzieś nadal w tym piekielnym mieście.

Chwycił Babcocka za ramię i zaprowadził do autobusu. To zabawne, jak niepowodzenia innych ludzi są w stanie odwrócić uwagę od własnych zmartwień. Panika, jaką odczuwał, zniknęła natychmiast na widok ambulansu, ustępując miejsca poważnemu zaniepokojeniu, że ofiarą, którą niesiono na noszach może być Kate. Okazało się jednak, że to tylko panna Dean. Żałosna panna Dean. Dzięki Bogu, nie Kate.

Rozklekotany autobus odjechał, zabierając nieszczęsnego pastora, który patrzył za nimi przez okno.

— Dobrze, że przynajmniej on jest już w drodze do hotelu — stwierdził Jim Foster. — Co za nieszczęście! Co za sytuacja! Żałuję, że nie ma tu pułkownika, który by się wszystkim zajął.

— Martwię się o Robina — rzekł Bob Smith. — Kazałem mu poczekać na nas przed kościołem Grobu Świętego, ale nie zastałem go tam, gdy wyszliśmy.

— Zgubił się w tłumie? — Jim Foster spojrzał na niego z przerażeniem.

Po chwili, z nieopisaną ulgą, zobaczył w Bramie Świętego Szczepana swoją żonę w towarzystwie Jill. Wybiegł jej na spotkanie.

— Bogu dzięki, że jesteś — powiedział. — Musimy zawieźć pannę Dean do szpitala. Jest już w karetce. Po drodze ci wszystko wyjaśnię. Mieliśmy tu serię nieszczęśliwych wypadków. Na dodatek jeszcze Babcock zachorował, a Robin się zgubił. Sądny dzień!

Kate chwyciła go za ramię.

— A ty? — spytała. — Dobrze się czujesz?

— Tak... oczywiście.

Pociągnął ją za sobą, kierując się do ambulansu. Nawet nie spojrzał w stronę Jill. Bob zawahał się, zastanawiając się, co powinien zrobić. Gdy się odwrócił, zobaczył, że żona stoi tuż obok niego.

— Gdzie byłaś? — spytał.

— Nie wiem — odparła ze znużeniem. — W jakimś ogrodzie. Szukałam cię, lecz bezskutecznie. Kate była razem ze mną. Niepokoiliła się o męża. On nie znosi tłoku.

— Podobnie jak i my wszyscy — zauważył Bob. — Ale niestety znowu będziemy musieli stawić mu czoło. Mały Robin się zagubił. Muszę go odnaleźć. Tylko ja jeden z naszej grupy tutaj zostałem.

— Pójdę z tobą.

Jesteś tego pewna? Wydajesz się skrajnie wyczerpana.

Fosterowie wsiedli do karetki. Zawyły syreny i gapie rozstąpili się na boki. Jill pomyślała o krętej Via Dolorosa, która zdawała się nie mieć końca, o śpiewających pielgrzymach, rozgadanych turystach oraz ulicznym zgiełku — o scenerii, której nigdy więcej nie chciała oglądać.

— Sądzę, że zdołam sprostać temu zadaniu — westchnęła. — Zresztą to nie potrwa długo, jeśli będziemy razem.

Robin rozkoszował się wolnością. Przebywanie bez opieki dorosłych dawało mu poczucie swobody i własnej potęgi. Ogromnie go znużyło podążanie

wytyczonym szlakiem za pielgrzymami, którzy co chwila klękali. Tym bardziej że droga, którą szli, nie była prawdziwą Via Dolorosa. Wielokrotnie równane z ziemią i na nowo odbudowywane miasto znacznie różniło się od tego, które stało w tym miejscu dwa tysiące lat temu. Jedynym sposobem zrekonstruowania go byłoby ponowne zburzenie i odkopanie starych fundamentów. Robin pomyślał, że gdy dorośnie, być może zajmie się archeologią. Jeżeli nie zostanie naukowcem, tak jak jego ojciec. Uważał, że te dwie profesje są bardzo pokrewne. Jednego był pewien — nie zostanie duchownym, jak Babcock. Ten zawód nie spełniał oczekiwań współczesności.

Zastanawiał się, jak długo Bob Smith i pastor zamierzają przebywać w kościele. Prawdopodobnie całe godziny. Świątynia była zatłoczona kapłanami i pragnącymi się modlić pielgrzymami, którzy bez przerwy na siebie wpadali. Śmieszyło to Robina, a z kolei śmiech sprawiał, że odczuwał coraz większą potrzebę pójścia do klozetu — babka nienawidziła tego słowa, używanego przez wszystkich uczniów w szkole. Chłopiec nie dostrzegł w pobliżu żadnego ustępu. Podszedł więc do kościelnego muru, przy którym sobie ulżył. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Usiadł na stopniu schodów, wyciągnął dwie mapy i rozłożył je na kolanach. Pan Jezus był przetrzymywany w twierdzy Antonii albo w cytadeli. Niewykluczone, że w obu miejscach. Ale w którym więziono go na końcu i skąd musiał wraz z dwoma innymi skazańcami wnieść na Golgotę swój krzyż? Opisy w Ewangeliach nie dają jednoznacznego wyobrażenia o faktach. Jezus został zaprowadzony przed oblicze Piłata, ale prokurator Judei mógł przebywać w każdym z tych miejsc. Wydał Jezusa wysokim kapłanom, żeby go ukrzyżowali, ale nikt nie wie gdzie. W tym tkwiło sedno. Jeśli stało się to w pałacu Heroda, w miejscu obecnej cytadeli, Jezus wraz z dwoma łotrami opuścił miasto przez Bramę Genath. Robin przeniósł wzrok z jednej mapy na drugą. Obecnie Brama Genath nazywała się Jafa — po hebrajsku Yafo.

Chłopiec spojrzał w stronę wyjścia. Dwaj mężczyźni, na których czekał, mogli przez całe wieki tkwić wewnątrz kościoła. Postanowił na własne oczy zobaczyć Bramę Jafy. Znajdowała się w pobliżu i Robin miał nadzieję, że dzięki współczesnej mapie nie zabłądzi. W niespełna dziesięć minut dotarł do celu. Przystanął, żeby rozejrzeć się po okolicy. W przejściu panował duży tłok, a na parkingu przed murami stały zaparkowane samochody, podobnie jak przed Bramą Świętego Szczepana po drugiej stronie miasta. Kłopot polegał na tym, że zamiast nagich wzgórz i ogrodów, które ciągnęły się tu przed dwoma tysiącami lat, teraz przebiegała tędy główna arteria komunikacyjna, a wokół niej rozpościerała się nowoczesna dzielnica. Robin ponownie zajrzał do starej mapy. W północno — zachodnim krańcu miasta wznosiła się niegdyś dumnie potężna warowna wieża, zwana Psefina. Cesarz Tytus przyjeżdżał tutaj na inspekcję, kiedy ze swoimi rzymskimi legionami rozbił obóz, przed zdobyciem i splądrowaniem miasta w 70 roku naszej ery. W dzisiejszych czasach znajdował się w tym miejscu gmach College des Freres. Chwileczkę, pomyślał Robin. College des Freres czy hotel „Rycerski Pałac”? Bez względu na to, co tam stało, wciąż znajdowało się w obrębie Jerozolimy, a to nie było w porządku, nawet jeśli miejskie mury zostały odbudowane.

Jestem Jezusem, który właśnie wyszedł przez Bramę Ge — nath, a wokół ciągną się porośnięte ogrodami wzgórza, wyobrażał sobie Robin. Nie mogli ukrzyżować człowieka wśród ogrodów, szczególnie w przeddzień Święta Przaśnego Chleba, ale gdzieś z dala od nich. W przeciwnym razie wywołaliby wśród ludzi niepokój, a i tak w tamtych czasach dochodziło tu często do zamieszek, Dlatego Jezus i dwaj inni skazańcy musieli pokonać daleką drogę. I z tego powodu oprawcy Chrystusa kazali Szymonowi Cyrenejczykowi, który był rolnikiem, nieść krzyż; słowo Cyrene w języku aramejskim znaczy rolnik — Robin dowiedział się o tym od dyrektora szkoły. Szymon właśnie wracał z pracy w polu, a osłabiony na skutek chłosty Jezus nie był w stanie dźwigać ciężaru.

Zaprowadzili go wraz z dwoma innymi skazańcami na nieurodzajne i porośnięte zaroślami wzgórze, skąd widać było wieżę Psefina, przy której wojsko wystawiało strażę. Każda próba odbicia więźnia musiała zakończyć się niepowodzeniem.

Robin, zadowolony z własnego rozumowania, skręcił w prawo, minął bramę i ruszył wzdłuż głównej szosy, zmierzając do miejsca, gdzie jego zdaniem znajdowała się niegdyś od dawna nie istniejąca wieża Psefina. Dotarł do skrzyżowania. Główna droga rozchodziła się we wszystkich kierunkach i panował na niej ogromny ruch, a imponujący gmach po drugiej stronie ulicy był według mapy siedzibą władz miejskich.

To tutaj. Nieurodzajna ziemia. To tu rolnik niosący krzyż oblał się potem, podobnie jak Jezus oraz dwaj inni mężczyźni. Na skąpanym w płomieniach niebie tak jak teraz świeciło zachodzące słońce, a gdy krzyże zostały postawione, przybici do nich mężczyźni nie widzieli pól rozpościerających się za ich plecami, ale Jerozolimę.

Robin zamknął na moment oczy, a potem spojrzął na spowite złotem piękne, okazałe miasto. Jezusowi, który tu spędził większą część życia, wędrując po wzgórzach, odwiedzając okoliczne wioski i przemierzając tereny wokół jezior, to miejsce musiało wydawać się najwspanialsze na świecie. Choć gdy patrzył na nie w ciągu trzech godzin męczarni, straciło chyba swój blask. Śmierć musiała być wybawieniem.

Rozległ się samochodowy klakson i Robin odskoczył na bok przed nadjeżdżającymi pojazdami. Pomyślał, że jeśli nie będzie uważny, on również może zginąć. Byłoby to jednak całkiem bezsensowne.

Postanowił wrócić do miasta przez Nową Bramę, która znajdowała się kawałek dalej. Spozregł robotników, którzy naprawiali drogę. Oderwali się od pracy i patrzyli w jego stronę. Krzyknęli coś do niego, wskazując na uliczny ruch, ale choć pojął, że go ostrzegają, i zdołał bezpiecznie do nich dobiec, nie zrozumiał ich

słów. Porozumiewali się w jidysz albo w języku hebrajskim. Odczekał chwilę, a gdy przerwali świdrujące w uszach wiercenie, zapytał:

— Czy któryś z panów mówi po angielsku?

Mężczyzna ze świdrem uśmiechnął się i zaprzeczył ruchem głowy, a potem coś zawołał do swojego towarzysza, który pochylał się nad instalacją wodociągową. Robotnik podniósł wzrok. Był młody, tak jak jego koledzy, miał białe zęby i czarne, kręcone włosy.

— Tak, mówię po angielsku.

Robin zajrzał do kanału.

— Proszę mi powiedzieć, czy znalazł pan tam coś godnego uwagi? — spytał.

Mężczyzna roześmiał się i wyciągnął z dziury za ogon małe zwierzę, które przypominało wyglądem zdechłego szczura.

— Masz na myśli turystyczne pamiątki?

— Nie natknął się pan na jakieś czaszki lub kości? — dopytywał się Robin z nadzieją w głosie.

— Nie, nie natknąłem się — odparł z uśmiechem robotnik. — Musielibyśmy zrobić bardzo głęboki odwiert, żeby je znaleźć. Złapiesz? — spytał, rzucając w stronę chłopca mały kamyk, który wydobył z otworu w ziemi, w którym stał.

— Zatrzymaj go — powiedział. — To skała Jerozolimy. Przyniesie ci szczęście.

— Bardzo panu dziękuję — rzekł Robin.

Zastanawiał się, czy powinien powiadomić mężczyzn, że być może pracują w miejscu, gdzie przed dwoma tysiącami lat zostali ukrzyżowani trzej ludzie. Doszedł jednak do wniosku, że mu nie uwierzą, a jeśli nawet uwierzyliby, to informacja nie wywarłaby na nich wielkiego wrażenia. Jezus nie był dla nich kimś tak ważnym, jak Abraham czy Dawid, a poza tym od tamtej pory tak wielu ludzi torturowano i zabito w okolicach Jerozolimy, że mężczyźni mogli go słusznie zapytać: „I co z tego?” Uznał, że postąpi taktowniej, składając im świąteczne

zyczenia. Dzisiaj przypadał przecież czternasty dzień Nisanu. Robin wiedział, że po zachodzie słońca zostaną przerwane wszystkie prace. Schował mały kamyk do kieszeni.

— Życzę panom wszystkiego najlepszego z okazji Paschy — powiedział.

Młody mężczyzna wytrzeszczył na niego oczy.

— Jesteś Żydem?

— Nie — odparł Robin, niepewny, czy chodzi o jego narodowość, czy wiarę. W drugim przypadku musiałby odpowiedzieć, że jego ojciec jest ateistą, a matka chodzi do kościoła tylko raz w roku, z okazji świąt Bożego Narodzenia.

— Pochodzę z Little Bletford, w Anglii. Wiem jednak, że dzisiaj przypada czternasty dzień Nisanu i że jutro obchodzicie religijne święto.

Przypuszczał, że właśnie ten fakt był powodem wzmożonego ruchu na drogach oraz panującego w mieście tłoku. Miał nadzieję, że jego wiedza wywrze wrażenie na młodym mężczyźnie.

— To wasze Święto Przaśnego Chleba — dodał.

Młody robotnik uśmiechnął się, odsłaniając rząd białych zębów. Ze śmiechem powiedział coś przez ramię do swojego kolegi przy świdrze, który odkrzyknął mu coś w odpowiedzi, nim przytknął wiertło do powierzchni jezdni. Znowu rozległ się przenikliwy odgłos. Młody mężczyzna przyłożył złożone w trąbkę dłonie do ust i zawołał do Robina:

— To także Święto Naszej Wolności. Jesteś młody, podobnie jak i my. A więc świętuj razem z nami.

Robin pomachał mu na pożegnanie ręką i ruszył w stronę Nowej Bramy. Mocno zaciskał w dłoni mały kamyk. Święto Naszej Wolności... To brzmiało lepiej niż Pascha. Bardziej nowoczesnie i bardziej stosownie dla naszych czasów, jak powiedziałyby babka. Bez względu na to, czy dotyczyło wyzwolenia z niewoli w okresie dziejów Starego Testamentu, czy uwolnienia się od dyktatu Cesarstwa Rzymskiego, na które Żydzi mieli nadzieję w epoce ukrzyżowania Chrystusa, czy

też problemów głodu, biedy i braku dachu nad głową, które młodym mężczyznom zatrudnionym przy robotach drogowych udało się obecnie przezwyciężyć, oznaczało to jedno i to samo. Ludzie na całym świecie zawsze pragnęli się od czegoś wyswobodzić. Połączenie święta Paschy z Wielkanocą Robin uznał za doskonały pomysł. W ten sposób wszyscy moglibyśmy obchodzić Święto Naszej Wolności, pomyślał.

Przed zachodem słońca autobus odjechał spod Góry Oliwnej, zmierzając na północ. Nie wydarzyło się już nic dramatycznego. Bob i Jill po pośpiesznym przeszukaniu okolic bazyliki Grobu Świętego skierowali się w stronę Nowej Bramy, gdzie natknęli się na Robina. Chłopiec z największym spokojem wchodził do miasta, podążając za grupą śpiewających pielgrzymów z wybrzeża. Odjazd autobusu był opóźniony z powodu panny Dean, która przebywała przez kilka godzin w szpitalu, by dojść do siebie po przeżytym szoku. Na szczęście nie odniosła żadnych obrażeń wewnętrznych ani zewnętrznych. Zaaplikowano jej zastrzyk uspokajający, a potem lekarz uznał, że pacjentka może odbyć podróż, jednakże bezwzględnie nakazał, żeby po przyjeździe do Hajfy natychmiast poszła do łóżka. Kate Foster wzięła na siebie rolę pielęgniarki i zaopiekowała się staruszką.

— To bardzo uprzejmie z pani strony — mruknęła panna Dean.

Wszyscy zgodnie postanowili nie wspominać o niefortunnym incydencie. Panna Dean też nic nie napomykała na ten temat. Z pledem na kolanach siedziała cicho pomiędzy Foste — rami. Lady Althea była również milcząca. Niebieski szyfonowy szal zasłaniający dolną część jej twarzy sprawiał, że przypominała wyglądem Muzułmankę. Welon przydawał jej godności i wdzięku. Ona także miała kolana owinięte kocem, pod którym pułkownik trzymał ją za rękę.

Młodzi Smithowie jawnie trzymali się za ręce. Jill miała nową bransoletkę, którą Bob kupił jej na jednym z suków w drodze powrotnej do autobusu po odnalezieniu chłopca.

Babcock siedział obok Robina. Przebrał się, podobnie jak panna Dean. Miał na sobie o numer za duże spodnie, które pożyczył od Jima Fostera. Nikt tego nie skomentował, za co Babcock był wszystkim ogromnie wdzięczny. Gdy autobus przejeżdżał koło Góry Scopus, żaden uczestnik wycieczki, z wyjątkiem Robina, nie obejrzał się na Jerozolimę. Upłynęło dziewięć godzin czternastego dnia Nisanu i kimkolwiek byli ci, którzy wisieli na krzyżach — złodziejami czy powstańcami, zostali już z nich zdjęci. Również ciało Jezusa zostało złożone w głęboko wydrążonym w skale grobie — być może tuż pod miejscem, w którym robotnicy wiercili w jezdni dziurę. Teraz młodzi mężczyźni mogli się już rozejść do domów, umyć się, spotkać z rodzinami i wspólnie radować nadchodzącym świętem. Robin zwrócił się do siedzącego obok Babcocka:

— Szkoda, że nie mogliśmy tutaj zostać choćby dwa dni dłużej.

Pastor, który marzył tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się na pokładzie statku, zamknął w kabinie i zapomnieć o poniżeniu, jakie go spotkało w kościele Grobu Świętego, podziwiał odporność dzieci na zmęczenie. Mały włączył się przez cały dzień po mieście i na dodatek o mało nie zgubił się w tłumie.

— Dlaczego, Robinie?

— Nigdy nic nie wiadomo — odparł chłopak. — W dzisiejszych czasach jest to mało prawdopodobne, ale kto wie, może bylibyśmy świadkami Zmartwychwstania?

Przełom

Mój udział w tej sprawie datuje się od 18 września, kiedy to szef wezwał mnie i oznajmił, że zostaję przeniesiony do Saxmere na wybrzeżu wschodnim. Twierdził, że jest mu przykro z tego powodu, ale jako jedyny wśród jego ekipy mam niezbędne techniczne kwalifikacje do prowadzenia badań, którymi się tam aktualnie zajmują. Nie potrafił mi podać żadnych szczegółów. Tamtejszy zespół naukowców stanowił dość osobliwą grupę, która odcięła się od świata drutem kolczastym w obawie przed najmniejszą prowokacją. Kilka lat temu znajdowała się tam eksperymentalna stacja radarowa. Obecnie prowadzone doświadczenia były jednak zupełnie innego rodzaju i dotyczyły zjawisk wibracji oraz bariery dźwięku.

— Będę z panem całkiem szczery — rzekł mój szef, zdejmując z nosa okulary w rogowej oprawie i przepaszająco machając nimi w powietrzu. — James MacLean jest moim starym przyjacielem. Obaj trzymaliśmy się razem w Cambridge, a i później często widywaliśmy się ze sobą. Ale nasze drogi się rozeszły. On zajął się pracami eksperymentalnymi podejrzanej natury, które nie przysporzyły mu sławy i na które wydał mnóstwo rządowych pieniędzy. Przypuszczam jednak, że zostało mu to zapomniane, skoro znowu przebywa w Saxmere z własną ekipą ekspertów i nadal jest opłacany przez rząd. Szukał inżyniera elektronika i stąd wzięło się zainteresowanie pańską osobą. MacLean nadał do mnie sygnał SOS, prosząc o kogoś, za kogo mógłbym osobiście ręczyć. Innymi słowy potrzebował faceta,

który nie jest zbyt gadatliwy. Wyświadczy mi pan osobistą przysługę, jeśli pan tam pojedzie.

Po tak sformułowanym życzeniu nie pozostało mi nic innego, jak je spełnić, choć było mi to cholernie nie na rękę. Opuszczenie spółki Związku Elektroników z jej unikalnymi urządzeniami badawczymi, wiążące się z wyjazdem na wschodnie wybrzeże, by pracować dla kogoś, kto już raz naraził na szwank swoją reputację i mógł to zrobić ponownie, było ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę.

— Kiedy mam tam pojechać? — spytałem.

Szef sprawiał wrażenie jeszcze bardziej skruszonego.

— Tak prędko, jak to tylko możliwe. Powiedzmy pojutrze, zgoda? Jest mi naprawdę bardzo przykro, Saunders. Przy odrobinie szczęścia wróci pan na Boże Narodzenie. Oświadczyłem MacLeanowi, że pana tylko wypożyczam do pracy nad tym konkretnym projektem. O długookresowym transferze nie było mowy. Za bardzo jest pan tutaj dla nas cenny.

Powiedział to, żeby mnie udobruchać. Jego stwierdzenie przypominało uspokajające klepnięcie w plecy. Byłem pewien, że w spółce Związku Elektroników zapomną o mnie po trzech miesiącach. Miałem jeszcze jedno pytanie.

— Co to za facet?

— MacLean? — Mój szef zamilkł, nim ponownie założył okulary, co zawsze było sygnałem odprawy. — Nazwałbym go entuzjastą. Jest typem człowieka, który nigdy nie daje za wygraną. Można go nawet w pewnym sensie uznać za fanatyka. Och, z pewnością nie będzie się pan przy nim nudził. Pamiętam, że spędzał wiele czasu w Cambridge, obserwując ptaki. Miał też pewną osobliwą teorię na temat przesuwania się jonów, ale nie starał się jej nikomu narzucić. Był bliski zrezygnowania z fizyki na rzecz neurologii, ale się rozmyślił. Dziewczyna, z którą się później ożenił, odwiodła go od tego zamiaru. A potem przeżył tragedię. Jego żona zmarła w rok po ślubie.

Poprawił okulary. Nie miał nic więcej do powiedzenia, a nawet jeśli miał, nie dotyczyło to interesującego mnie tematu. Gdy wychodziłem z pokoju, zawołał za mną:

— Ostatnią informację proszę zachować dla siebie. Mam na myśli historię z jego żoną. Ekipa w Saxmere może o niczym nie wiedzieć.

Zabrałem swoje rzeczy ze Związku Elektroników i opuściłem wygodne mieszkanie, ale dopiero gdy odjeżdżałem ze stacji przy ulicy Liverpool, pojąłem w pełni moją obecną sytuację. Jechałem do roboty, której nie chciałem i którą miałem wykonywać z nie znanym mi zespołem ludzi. Robiłem to na prośbę szefa, który najwidoczniej miał swoje osobiste powody, by zadośćuczynić życzeniu kolegi z dawnych czasów. Gdy patrzyłem ponuro przez okno wagonu, czułem w sobie narastający opór. Wciąż miałem przed oczami wyraz twarzy mojego następcy w chwili, gdy powiadamiałem go o moim przeniesieniu do Saxmere.

— Jedziesz do tej dziury? — spytał ze zdumieniem. — Chyba żartujesz. Od lat nie prowadzą tam żadnych poważnych badań. Ministerstwo zleciło tamtejszemu zespołowi naukowców realizację dziwnego projektu, w nadziei że się zniechęcą.

Spróbowałem dyskretnie zasięgnąć kilku innych opinii i wszędzie otrzymywałem tę samą odpowiedź. A jeden z moich przyjaciół, który słynął z poczucia humoru, poradził mi, żebym zabrał ze sobą kije do gry w golfa i mnóstwo beletrystycznych książek.

— Tam nie ma żadnej organizacji — stwierdził. — MacLean pracuje z niewielką grupą facetów, którzy widzą w nim Mesjasza. Jeśli nie będziesz podzielał panującej o nim opinii, zignoruje cię i nie powierzy żadnej roboty.

— Doskonale. To mi bardzo odpowiada. Potrzebuję wakacji — skłamałem i rozłączyłem się. Byłem wściekły na cały świat.

Do sprawy wyjazdu podszedłem w typowy dla siebie sposób i nie sprawdziłem dokładnie rozkładu jazdy pociągów. W rezultacie, ku mojemu niezadowoleniu,

okazało się, że muszę wysiąść w Ipswich i przez czterdzieści minut czekać na osobowy pociąg do Thirlwał — ostatniej stacji przed Saxmere. Gdy w końcu wysiadałem na wietrzny peron, padał deszcz. Bagażowy, odbierając ode mnie bilet, oznajmił, że taksówka, która zwykle czeka na pasażerów tego pociągu, została zajęta przed pięcioma minutami.

— Naprzeciwko hotelu „Pod Trzema Kogutami” znajduje się warsztat samochodowy — dodał. — Być może jest jeszcze otwarty i któryś z pracowników zgodzi się podwieźć pana do Saxmere.

Gdy objuczony bagażami minąłem kasy biletowe, wyrzucałem sobie brak organizacji. Stałem przed dworcem i zastanawiałem się, czy nie skorzystać z wątpliwego komfortu pokoju hotelowego „Pod Trzema Kogutami”. Dochodziła siódma. Pomyślałem, że nawet jeśli nie zdobędę środka lokomocji, będę mógł tam przynajmniej wypić drinka. Nagle zajechał przed dworzec bardzo stary morris i zatrzymał się tuż przy mnie. Kierowca, który z niego wysiadł, schylił się po moje bagaże.

— Pan Saunders, prawda? — spytał z uśmiechem. Był młody. Miał nie więcej niż dziewiętnaście lat i bujną jasną czuprynę.

— Zgadza się — odparłem. — Właśnie zachodziłem w głowę, skąd, u diabła, wytrzasnąć taksówkę.

— Daremny trud — stwierdził. — W deszczowy wieczór Jankesi porywają wszystko, co tylko ma cztery kółka i czym mogą wydostać się z Thirlwał. Proszę, niech pan wsiada.

Zapomniałem, że w Thirlwał znajdowała się powietrzna baza armii amerykańskiej i zanotowałem w myślach, żeby w godzinach wolnych od pracy unikać hotelu „Pod Trzema Kogutami”. Amerykański personel na przepustce nie należał do mojego ulubionego towarzystwa.

— Przepraszam za stukot — tłumaczył się kierowca, gdy przejeżdżaliśmy przez miasto przy akompaniamencie kojarzącym się z odgłosem przetaczanych

pod tylnym siedzeniem puszek po benzynie. — Wciąż zamierzam to naprawić, lecz nigdy nie znajduję czasu. Nazywam się Ken Ryan i wszyscy zwracają się do mnie Ken. W Saxmere nie używamy nazwisk.

Nie odezwałem się. Mam na imię Stephen, ale nikt nigdy nie nazywał mnie Steve'em. Mój ponury nastrój jeszcze się pogłębił. Zapaliłem papierosa. Domy Thirlwał zostały za nami, a po przebyciu trzech kilometrów szosa, która przecinała równiną okolicę z polami rzepy, niespodziewanie przemieniła się w piaszczystą drogę biegnącą przez wrzosowiska. Podskakiwaliśmy na wybojach i kilka razy omal nie uderzyłem głową o dach samochodu.

Mój towarzysz ponownie mnie przeprosił.

— Powinienem był wjechać przez główną bramę, ale tędy jest o wiele bliżej — wyjaśnił. — Proszę się nie martwić. Resory przywykły do wstrząsów.

Piaszczysty trakt piął się w górę zbocza i nagle pod nami ukazały się bezkresne akry nieuprawnej ziemi — bagna i trzciny, oddzielone od otwartego morza po lewej stronie piaszczystymi wydiami. Gdzieś mokradła przecinały groble, porośnięte wygiętymi od deszczu i wiatru kępami sitowia, tworząc małe rozlewiska i otoczone trzcinami miniaturowe jeziora.

Nasza droga, której nawierzchnia była teraz pokryta żuzłem i drobnymi kamieniami, opadała gwałtownie i wiała się wśród opustoszałych bagien niczym wąska wstążka. W oddali na tle nieba rysowała się niska, kwadratowa, szara wieża. Gdy podjechaliśmy bliżej, dostrzegłem za nią spiralę dawnej instalacji radarowej, która wznosiła się nad nieużytkami niczym wielka muszla ostrygi. A zatem tak wyglądało Saxmere. Posępność tego miejsca przeszła moje najgorsze oczekiwania.

Ken, prawdopodobnie wyczuwając brak entuzjazmu z mojej strony, spojrzął na mnie spod oka.

— W tym świetle Saxmere wydaje się ponure — stwierdził. — A na dodatek pada deszcz. Ale zwykle panuje tutaj ładna pogoda, choć często wieją silne wiatry. A zachody słońca są wręcz zachwycające.

Śmiech, jakim skwitowałem jego uwagę i który miał zabrzmieć ironicznie, został najwidoczniej odebrany jako zachęta, gdyż młody człowiek dodał:

— Jeśli interesuje pana ornitologia, to nie mógł pan wybrać lepszego miejsca. Szablodzioby wylęgają się tutaj na wiosnę, a w marcu ubiegłego roku słyszałem bąka.

Powstrzymałem okrzyk zdziwienia, który cisnął mi się na usta. Sposób mówienia młodego człowieka wydał mi się nad wyraz naiwny. Oświadczyłem, że wszystkie istoty futerkowe oraz opierzone są mi zupełnie obojętne i wyraziłem zdumienie, że w tak odrażającym otoczeniu cokolwiek ma się ochotę rozmnażać. Mój sarkazm nie został jednak zauważony, ponieważ chłopak, zatrzymując samochód przed bramą zwieńczoną drutem kolczastym, powiedział całkiem poważnie: „Och, zdziwiłby się pan”.

— Muszę ją otworzyć — rzucił, wyskakując z samochodu. Miałem przed sobą Saxmere. Teren stacji był otoczony ze wszystkich stron wysokim na trzy metry ogrodzeniem, które nadawało jej wygląd obozu koncentracyjnego. To wrażenie spotęgowało nagle pojawienie się owczarka alzackiego, który wyskoczył z bagien i pomachał ogonem na widok Kena.

— Gdzie są stanowiska karabinów maszynowych? — spytałem, gdy chłopak ponownie zajął miejsce za kierownicą. — Czy treser psa obserwuje nas z ukrycia, siedząc w zbudowanym wśród bagien bunkrze?

Tym razem chłopak się roześmiał.

— Nie ma tu żadnej broni ani treserów, a Cerber jest potulny jak baranek. Nie spodziewałem się, co prawda, zastać go tutaj, ale Mac zaraz przywoła go do siebie.

Gdy Ken znów wysiadł, żeby zamknąć bramę, pies odwrócił łeb w stronę mokradeł i przestał zwracać na nas uwagę. Nagle postawił uszy i pobiegł wąską, błotnistą ścieżką w kierunku wieży.

— Dotrze do domu przed nami, zobaczy pan — powiedział chłopak, wrzucając sprzęgło. Samochód skręcił w prawo i wjechał na szeroką asfaltową drogę. Bagna ustąpiły miejsca zaroślom i kamienistej plaży.

Deszcz przestał padać, a chmury porozrywały się na strzępy. Kwadratowa wieża Saxmere odcinała się ciemnym konturem na tle skąpanego w miedzianej poświacie nieba. Zastanawiałem się, czy jest to zapowiedź słynnego zachodu słońca. Ale jeśli nawet tak było, to nie pojawił się nikt z personelu, żeby napawać oczy jego widokiem. Zarówno droga, jak i bagna były opustoszałe. Wjechaliśmy na teren stacji przez główną bramę i skręciliśmy w lewo, kierując się w stronę nie używanej radarowej instalacji oraz wieży, w której pobliżu znajdowały się szopy i betonowe budowle. Saxmere widziane od wewnątrz jeszcze bardziej przypominało swoim wyglądem Dachau.

Ken minął wieżę i budynki i wjechał w boczną drogę prowadzącą do morza, na końcu której stały szeregowy baraki, zbudowane z prefabrykatów.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił. — A nie mówiłem? Cerber był szybszy od nas.

Pies pojawił się na ścieżce, która biegła z tyłu zabudowań.

— W jaki sposób jest tresowany? — spytałem. — Czy reaguje na nagrany na taśmie gwizd?

— To niezupełnie tak wygląda — odparł mój towarzysz.

Wysiadłem z samochodu, a Ken wyładował z tylnego siedzenia moje bagaże.

— Tutaj znajdują się kwatery personelu, jak sądzę?

Rozejrzałem się wokół siebie. Baraki z prefabrykatów nie

wyglądały solidnie, ale przynajmniej dawały schronienie przed wiatrem i deszczem.

— Tutaj toczy się nasze codzienne życie — odparł Ken. — Tu śpimy, stołujemy się i pracujemy.

Zignorował moje zdumione spojrzenie i ruszył przodem. Z małego hallu wyszliśmy na korytarz. Nie zauważyłem nikogo w pobliżu. Ściany sieni i korytarza były szare i matowe, a podłogę pokrywało linoleum. Atmosfera tego miejsca przywodziła na myśl małomiasteczkowy gabinet lekarski po godzinach przyjęć.

— Kolacja jest o ósmej, a więc mamy jeszcze mnóstwo czasu — zauważył Ken. — Może chciałby pan przedtem zobaczyć swój pokój i wziąć kąpiel?

Nie marzyłem szczególnie o kąpeli, za to pilnie potrzebowałem drinka. Poszedłem za Kenem, który skręcił korytarzem w lewo. Potem otworzył jakieś drzwi, włączył światło, przemierzył pokój i zasłonił okno.

— Janus nalega, żebyśmy wcześniej ścielili łóżka, jeszcze przed pójściem do kuchni. Zarówno zimą, jak i latem zasłony mają być zaciągnięte o szóstej trzydzieści, a kapy złożone. Pilnuje, by ustalony porządek był skrupulatnie przestrzegany.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Ten, kto je zaprojektował, musiał niewątpliwie zajmować się w przeszłości urządzaniem szpitalnych wnętrz. Umeblowanie pokoju ograniczało się do niezbędnego minimum: łóżko, umywalka, komoda, szafa oraz jedno krzesło. Okno wychodziło na frontowe drzwi budynku. Koce na łóżku były zwinięte na szpitalną modłę, i to na modłę szpitala wojskowego.

— Czy wszystko w porządku? — spytał Ken. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Prawdopodobnie zaskoczył go mój wyraz twarzy.

— Tak, dziękuję — odparłem. — Czy mógłbym dostać coś do picia?

Gdy ponownie minęliśmy wejściowy hall, a potem drzwi wahadłowe na przeciwległym końcu korytarza, dobiegł mnie cichy odgłos uderzeń piłeczek pingpongowych. Sala, w której się znaleźliśmy, była pusta. Sportowcy, kimkolwiek byli, grali w sąsiednim pomieszczeniu. Wyposażenie stanowiły tutaj klubowe fotele, kilka stolików, elektryczny kominek i bar w odległym kącie, za którym zajął miejsce mój młody towarzysz. Widok dwóch olbrzymich dzbanków zrodził we mnie złe przeczucia.

— Napije się pan kawy czy woli pan kakao? A może ma pan ochotę na coś zimnego? Polecam sok pomarańczowy z odrobiną wody sodowej.

— Napiłbym się whisky — rzekłem.

Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Jego mina przywodziła na myśl zaniepokojonego gospodarza, który został poproszony przez swojego gościa o truskawki w środku zimy.

— Ogromnie mi przykro, ale nikt z nas tutaj nie tyka alkoholu — wyjaśnił. — Mac nie pozwala go podawać. To jedna z jego zasad. Ale oczywiście może pan mieć swoje własne zapasy i pijać whisky w swoim pokoju. Straszliwy głupiec ze mnie, że nie uprzedziłem pana o tym. Mogliśmy się zatrzymać w Thirlwall i kupić butelkę „Pod Trzema Kogutami”.

Jego przygnębienie było tak szczere, że zapanowałem nad emocjami, które wezbrały we mnie, grożąc wybuchem, i oznajmiłem, że zadowolę się sokiem pomarańczowym. Przyjął to z wyraźną ulgą. Napełnił wysoką szklankę płynem, którego widok przyprawiał mnie o mdłości, i z wprawą rozcieńczył go wodą sodową.

Uznałem, że nadeszła pora na dalsze wyjaśnienia, i to nie tylko na temat funkcji pełnionych tutaj przez Kena, który zapewne był nowicjuszem, ale reszty personelu. Ciekaw byłem, do jakiego należą zgromadzenia: benedyktynów czy franciszkanów, i o jakiej porze dzwon obwieszcza nieszpory oraz modły wieczorne.

— Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale przed opuszczeniem spółki Związku Elektroników otrzymałem nad wyraz skąpe informacje o stacji badawczej Saxmere oraz o prowadzonej przez was działalności.

— Och, proszę się nie martwić — rzekł z uśmiechem chłopak. — Mac wszystko panu wyjaśni.

Sobie też nalał soku i podnosząc szklankę, rzekł: „Na zdrowie”. Zignorowałem jego toast, przysłuchując się odgłosom piłeczki pingpongowej.

— Powiedział mi pan, że wszystkie badania przeprowadzane są w budynku, w którym obecnie przebywamy — nie dawałem za wygraną.

— To prawda — przyznał.

— Gdzie wobec tego mieszka reszta personelu? — naciskałem.

— Reszta personelu? — powtórzył, marszcząc brwi. — Jesteśmy tutaj tylko we czterech: Mac, Robbie, Janus — sądzę, że jego także można zaliczyć do naszej ekipy, i ja. A teraz oczywiście również i pan.

Odstawiłem szklankę i spojrzałem na niego zdumiony. Czyżby sobie ze mnie żartował? Ken wydawał się jednak całkiem poważny. Wychylił duszkiem sok pomarańczowy, niczym ambrosję, i przyglądał mi się uważnie zza baru.

— Zapewniam pana, że tworzymy bardzo szczęśliwą grupę.

Ani przez moment w to nie wątpiłem. Przy tej drużynie sportowców, którzy popijali coca — colę, grywali w ping — ponga i wsłuchiwali się w głosy ptaków, panienki z pensji wydawałyby się złośliwymi trollami.

Podłe instynkty zwyciężyły we mnie i zapragnąłem nagle zranić jego młodzieńczą dumę.

— A jaka jest pana pozycja w zespole? Ganimedesa, podczaszego Jowisza?

Ku mojemu zdumieniu młody człowiek się roześmiał. Nadstawiając ucha w stronę sąsiedniego pokoju, gdzie umilkły odgłosy piłeczki, napełnił sokiem dwie następne szklanki.

— Jest pan bardzo domyślny — odpowiedział. — Z grubsza pomysł polega na tym... żeby przechwycić mnie pomiędzy ziemią a niepewnymi zaświatami. Mówiąc poważnie, jestem królikiem doświadczalnym Maca, razem z córką Janusa i z psem Cerberem.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do baru weszli dwaj mężczyźni.

Od razu domyśliłem się, który z nich jest MacLeanem. Ten blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna był wysoki, miał wydatne rysy i jasnoniebieskie oczy. Zawsze sądziłem, że taki kolor oczu mają tylko alkoholicy, kryminaliści i piloci samolotów myśliwskich. (I w moim przekonaniu te trzy grupy często zazębiały się ze sobą). Jego cienkie włosy były mocno przerzedzone nad czołem, a wystająca broda jeszcze bardziej podkreślała wydatny nos. Nosił luźne sztruksowe spodnie i ogromny golf.

Towarzyszący mu mężczyzna w okularach był krępy i miał ziemistą cerę. W szortach i obszernej koszuli przypominał wyglądem skauta, a okrągłe plamy potu pod pachami nie dodawały mu uroku.

MacLean z wyciągniętą ręką ruszył w moją stronę, a szeroki powitalny uśmiech na jego twarzy sugerował, że zostałem już przyjęty do małego grona jego braci.

— Miło mi pana widzieć — powiedział. — Mam nadzieję, że Ken się panem należycie zaopiekował. Szkoda, że po raz pierwszy zobaczył pan Saxmere w tak paskudny wieczór. Postaramy się, żeby pańskie jutrzejsze wrażenia były lepsze, prawda, Robbie?

Sposobem bycia przywodził na myśl gospodarza starej daty, który wita spóźnionego gościa przybywającego na polowanie do jego wiejskiej posiadłości. Położył mi rękę na ramieniu i poprowadził w stronę baru.

— Dla wszystkich sok pomarańczowy, Ken — rzucił i zwrócił się do mnie: — Słyszałem o panu dużo dobrego. Nie potrafię wyrazić, jak jestem wdzięczny

zarządowi spółki Zespołu Elektroników — a w szczególności Johnowi — za to, że pozwolił panu przyjechać. Ale przede wszystkim dziękuję panu. Będziemy się starać, żeby pańska wizyta tutaj pozostawiła niezatarte wspomnienia. Robbie, Ken, chciałbym, żebyście wypili za zdrowie... Stephen, prawda? Czy możemy zwracać się do pana Steve? Wznieśmy toast również za to, by nasz wspólny wysiłek został uwieczniony powodzeniem.

Zmusiłem się do uśmiechu i poczułem, że na dobre przyłgnał do mojej twarzy. Robbie, skaut, mrugnął do mnie zza szkieł.

— Życzę zdrowia — powiedział. — Jestem totumfackim Maca. Zajmuję się wszystkim — od przeprowadzania wybuchów gazowych po mierzenie temperatury Kenowi i tresowanie psa. W razie kłopotów proszę zwrócić się do mnie.

Roześmiałem się, lecz prędko zdałem sobie sprawę z tego, że jego falset — głos artysty musicalowego — nie został przybrany na tę szczególną okazję, lecz jest autentyczny.

Przeszliśmy przez korytarz do pokoju we frontowej części budynku, który był tak samo skromnie urządzone jak poprzedni. Stwierdziłem, że stół jest nakryty na cztery osoby. Przy kredensie stał mężczyzna o pociągłej, posępnej twarzy i krótko ostrzyżonych, siwych włosach.

— Poznaj Janusa — zwrócił się do mnie Mac. — Nie wiem, jak cię żywili w spółce Zespołu Elektroników, ale dzięki Janusowi nikt z nas nie chodzi tutaj głodny.

Powitałem kucharza wesołym skinieniem głowy. Odmruk — nął coś w odpowiedzi i natychmiast zwątpiłem w jego gotowość robienia dla mnie zakupów „Pod Trzema Kogutami”. Niemal oczekiwałem, że MacLean odmówi modlitwę, która w tym otoczeniu wydawała się dziwnie stosowna. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Janus postawił przez MacLeanem olbrzymią staroświecką wazę w kształcie nocnika, z której mój nowy szef ponalewał chochlą do talerzy parujący

wywar o szafranowej barwie. Zupa okazała się zdumiewająco smaczna. Smażone sole z Dover były jeszcze lepsze, a suflet z sera lekki jak piórko. Skonsumowanie posiłku zajęło nam około pięćdziesięciu minut. Przy ostatnim daniu byłem gotów zawrzeć pokój z moimi nowymi kolegami.

Młody Ken — którego rozmowa podczas kolacji ograniczała się do wymiany osobistych docinków z Robbiem, podczas gdy MacLean rozprawiał o górskich wspinaczkach na Krecie, o urodzie lecących flamingów w Camargue oraz o szczególnej kompozycji dzieła Piero della Francesca: „Biczowanie Chrystusa” — jako pierwszy wstał od stołu i spytał, czy może odejść.

MacLean skinął głową.

— Nie czytaj do późna — powiedział. — Robbie wyłączy światło w twoim pokoju, jeśli zbyt długo będziesz ślęczał nad książką. Dziewiąta trzydzieści to ostateczna pora.

Młodzieniec uśmiechnął się i skinął nam na pożegnanie głową. Spytałem, czy to Ken zajmuje się tresurą psa, by wracał na sygnał z bagien.

— Nie — odparł szorstkim tonem MacLean. — Ale chłopak potrzebuje dużo snu. Chodźmy, czas na bilard.

I jako pierwszy opuścił jadalnię, zmierzając w stronę tak zwanego baru. Ochocho ruszyłem za nim, gdyż całkiem nieźle radziłem sobie z kijem bilardowym, lecz w sali za barem znajdował się tylko stół pingpongowy i tarcza do rzutów na ścianie. Robbie dostrzegając wyraz zdumienia na mojej twarzy, zagrzmał mi do ucha:

— To cytat. Mac miał na myśli zapoznanie cię z naszą działalnością. — I popchnął mnie lekko do przodu, a sam się wycofał. Poszedłem za moim przewodnikiem, który minął kolejne drzwi — tym razem dźwiękoszczelne — i po chwili znaleźliśmy się w chłodnym pomieszczeniu, które wyglądem przypominało po części laboratorium, a po części klinikę. Panowała tu surowa

atmosfera. Sala wyposażona była nawet w stół operacyjny i instrumenty chirurgiczne, a w przeszklonych szafkach na ścianach stały słoje.

— To dział Robbie'ego — wyjaśnił MacLean. — Może zrobić tutaj wszystko — od wyhodowania wirusa po wycięcie twoich migdałków.

Nie skomentowałem tej uwagi. Miałem niewielką ochotę stać się potencjalną ofiarą wątpliwych umiejętności skauta. Przeszliśmy z laboratorium do przyległego pokoju.

— Tutaj poczujesz się bardziej swojsko — zauważył MacLean. Gdy zapalił światło, stwierdziłem, że znajdujemy się w dziale elektronicznym. Pierwsze urządzenie, do którego podeszliśmy, przypominało komputer zbudowany przez nas kilka lat temu dla Głównego Urzędu Pocztowego w Londynie. Nasz wynalazek potrafił mówić, ale miał ograniczony zasób słów i daleki od doskonałości „głos”. Czarodziejska skrzynka MacLeana była jednakże wyposażona w wiele dodatkowych akcesoriów. Przysunąłem się bliżej, żeby się jej uważnie przyjrzeć.

— Zgrabne urządzenie, nie sądzisz? — spytał MacLean, niczym dumny ojciec pokazujący swoje nowo narodzone dziecko. — Nazwałem go „Charon 1”.

Wszyscy mieliśmy zwyczaj nadawania imion naszym wynalazkom. Nazwa „Hermes”, na przykład, wydawała się wyjątkowo odpowiednia dla uskrzydłonego posłańca zbudowanego przez nas dla potrzeb GUP. Charon, jeśli dobrze pamiętałem, był przewoźnikiem, który przeprowadzał dusze zmarłych na drugi brzeg rzeki Styks. Przypuszczałem, że MacLean, nazywając w ten sposób komputer, dał wyraz swojemu specyficznemu poczuciu humoru.

— Co on potrafi? — spytałem ostrożnie.

— Ma szereg funkcji, które wyjaśnię później. Twoją główną troską będzie głos mechanizmu.

Przystąpił do uruchomienia urządzenia w podobny sposób, jak zwykliśmy to robić w Związku Elektroników, ale rezultat był zgoła odmienny. Odbiór głosu okazał się doskonały, bez najmniejszych zakłóceń.

— Używam „Charona 1” do pewnych eksperymentów w dziedzinie hipnozy — kontynuował MacLean. — Wymaga to zaprogramowania serii pytań. Odpowiedzi zostają wciągnięte do komputera i służą do zmodyfikowania następnych pytań. Co o tym sądzisz?

— To fantastyczne! — odparłem. — Wyprzedziliście nas o całe wieki.

Byłem rzeczywiście oszołomiony i zastanawiałem się, jak tego dokonał, a także, jak zdołał utrzymać w tajemnicy swoje osiągnięcie. W Związku Elektroników sądziliśmy, że w tej dziedzinie zrobiliśmy już wszystko, co tylko było możliwe.

— To prawda — przyznał Mac. — Wasi eksperci nie zdołali nas prześcignąć. „Charon 1” będzie miał wielorakie zastosowanie, zwłaszcza w świecie medycznym. Nie będę się teraz wdawał w szczegóły, powiem tylko, że jest przede wszystkim związany z eksperymentem, nad którym obecnie pracuję i o którym ministerstwo nic nie wie.

Uśmiechnął się, a ja pomyślałem: Dotarliśmy wreszcie do sedna sprawy — do podejrzanych eksperymentów, o których uprzedzał mnie szef. Nie odezwałem się. MacLean podszedł do następnego urządzenia.

— To przedmiot wielkiego zainteresowania rządu, a szczególnie facetów z wojskowości. Wiesz oczywiście, że eksplozja jest trudna do kontroli. Na skutek przekroczenia bariery dźwięku przez samolot wszystkie szyby w oknach są w równy sposób narażone na roztrzaskanie. Nie można rozbić tylko jednej, wybranej. „Charon 2” to potrafi. — MacLean podszedł do szafki, wyjął szklany słoik i postawił go na roboczym stole pod ścianą. Następnie nacisnął guzik drugiego urządzenia i naczynie rozpadło się na kawałki.

— Sprytny mechanizm, nie sądzisz? — spytał. — Oczywiście najważniejszą rzeczą z punktu widzenia interesów militarnych jest wykorzystywanie go w dalekim zasięgu — niszczenie określonych obiektów znajdujących się w dużej odległości. Ta właściwość „Charona 2”, polegająca na specjalnej metodzie transmisji, mnie osobiście nie interesuje, choć jest bardzo przydatna dla wojska. Dla mnie najbardziej istotna jest reakcja na sygnały wysokiej częstotliwości odbierane pomiędzy ludźmi oraz pomiędzy ludźmi i zwierzętami. Prowadzę badania nad tym w tajemnicy przed moimi szefami, którzy mnie finansują. — Nacisnął inny guzik. — Tym razem nic nie zobaczysz — uprzedził. — To sygnał wywoławczy, za którego pośrednictwem sprawuję kontrolę nad Cerberem. Istoty ludzkie nie są w stanie go wychwycić.

Czekaliśmy w milczeniu. Po upływie kilku minut dobiegły nas odgłosy skrobania do drzwi. MacLean wpuścił psa do środka.

— W porządku, dobry pies. — Odwrócił się do mnie z uśmiechem. — Tym razem nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego — zwierzę znajdowało się zaledwie po drugiej stronie budynku, ale potrafimy nakłonić je, żeby wykonywało nasze rozkazy przekazywane z dużej odległości. W sytuacjach krytycznych może to okazać się bardzo użyteczne. — Spojrzał na zegarek. — Ciekaw jestem, czy pani Janusowa mi wybaczy — mruknął. — W końcu jest dopiero kwadrans po dziewiątej, a zapoznanie cię z naszymi osiągnięciami sprawiło mi ogromną radość. — Jego chłopięcy uśmiech okazał się zaraźliwy.

— Co zamierza pan zrobić? — spytałem.

— Przywołać jej małą córeczkę do telefonu, a nawet obudzić, jeśli już zasnęła.

Ponownie nacisnął jakiś przełącznik i raz jeszcze czekaliśmy. Po dwóch minutach zadzwonił telefon. MacLean przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę.

— Halo? — powiedział. — Proszę wybaczyć, pani Janusowa. To tylko eksperyment. Przykro mi, że ją obudziłem. Dobry wieczór, Niki. Wszystko w

porządku. Możesz już wrócić do łóżka. Spij dobrze. — Rozłączył się, a potem pochylił się i poklepał Cerbera, który wyciągnął się u jego stóp.

— Dzieci, podobnie jak i psy, są wyjątkowo łatwe do wytre — nowania — oznajmił. — Ujmę to inaczej — mają wysoko rozwinięty szósty zmysł, który wyłapuje sygnały. Niki reaguje na swój własny sygnał wywoławczy, podobnie jak Cerber, a jej opóźnienie w rozwoju sprawia, że jest obiektem doskonałym.

Poklepał swoją czarodziejską skrzynkę mniej więcej w ten sam sposób, w jaki przed chwilą klepał psa. A potem podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się.

— Masz jakieś pytania?

— Oczywiście — odparłem. — Chciałbym wiedzieć, co jest dokładnie przedmiotem waszych doświadczeń. Czy staracie się udowodnić, że sygnały o pewnej częstotliwości mają nie tylko potencjalne zdolności destrukcyjne, lecz również są w stanie sterować mechanizmami odbiorczymi u zwierząt, a nawet w ludzkim mózgu?

Zmusiłem się, żeby zachować spokój, od którego byłem daleki. Jeśli w Saxmere były przeprowadzane tego rodzaju eksperymenty, nic dziwnego, że stacja uchodziła za raj szaleńców.

MacLean spojrział na mnie w zadumie.

— „Charon 2” rzeczywiście potrafi tego dowieść, choć nie ta jego właściwość stanowi o nadrzędnym celu naszych badań. Ministerstwo może być w rezultacie bardzo rozczarowane. Moje plany związane z tym urządzeniem są o wiele bardziej dalekosiężne. — Umilkł, a potem położył mi rękę na ramieniu. — Zostawmy na dzisiaj „Charona 1” oraz „Charona 2” i chodźmy pooddychać świeżym powietrzem.

Skierował się w stronę drzwi, do których wcześniej skrobał pies. Prowadziły na korytarz na tyłach budynku, wiodący do tylnego wyjścia. MacLean odryglował zamek i znaleźliśmy się na dworze. Deszcz ustał, powietrze było zimne i czyste, a niebo wygwieżdżone. Zza wydm w oddali dochodził huk fal rozbijających się o kamienie.

MacLean, z twarzą zwróconą w kierunku morza, zrobił głęboki wdech, a potem podniósł wzrok na gwiazdy. Zapaliłem papierosa i czekałem, żeby jako pierwszy przerwał ciszę.

— Czy masz jakieś doświadczenia z duchami? — spytał.

— Tymi, które awanturują się po nocach? Niestety żadnych. — Zaproponowałem mu papierosa, ale przecząco pokręcił głową.

— Zjawisko rozpadania się szkła na kawałki, którego byłeś przed chwilą świadkiem, polega dokładnie na tym samym: na uwolnieniu energii elektrycznej. Pani Janusowa miała kłopoty z tłukącymi się przedmiotami na długo przed wynalezieniem przeze mnie „Charona”. Rondle i inne naczynia fruwały po domku ochrony wybrzeża, w którym obecnie mieszka jej rodzina. Oczywiście działało się to za sprawą Niki.

Spojrziałem na niego z niedowierzaniem.

— Masz na myśli dziecko?

— Tak.

Wbił ręce w kieszenie i zaczął spacerować w tę i z powrotem.

— Naturalnie dziewczynka nie zdawała sobie z tego sprawy — mówił dalej.
— Podobnie jak i jej rodzice. Następował wybuch psychicznej energii, w jej przypadku nadzwyczaj mocny — jej mózg jest niedorozwinięty, a po śmierci jej siostry bliźniaczki siła eksplozji ulegała podwojeniu.

Tej informacji nie byłem już w stanie przełknąć i wybuchnąłem śmiechem. Obrócił się w moją stronę.

— Masz lepsze rozwiązanie ? — spytał.

— Nie, nie mam — przyznałem. — Ale z pewnością...

— Właśnie — przerwał. — Nikt do tej pory nie znalazł innego wyjaśnienia. Zdarzają się setki, a nawet tysiące tak zwanych niewytłumaczalnych zjawisk i niemal w każdym z zarejestrowanych przypadków w pobliżu przebywało dziecko lub osoba opóźniona w rozwoju i o ograniczonej inteligencji. — Na nowo zaczął spacerować. Przyłączyłem się do niego. Pies nas nie odstępował.

— I co z tego wynika? — spytałem.

— To sugeruje, że my wszyscy mamy w sobie nie wykorzystane źródło energii, które czeka na uwolnienie. Możesz to nazwać „Szóstą Siłą”, jeśli chcesz. Działa w ten sam sposób co impuls wysokiej częstotliwości, który wyzwoliłem za pośrednictwem „Charona”. Teoria ta tłumaczy zjawiska telepatii, przepowiadania przyszłości oraz wszystkich tak zwanych tajemnic parapsychicznych. Tę samą energię, jaką wytwarza każde elektryczne urządzenie, ma dziecko Janusów, z tą tylko różnicą, że tę pierwszą potrafimy kontrolować.

Rozumiałem jego punkt widzenia, nie wiedziałem jednak, do czego zmierza nasza dyskusja. Bóg świadkiem, że życie jest dostatecznie skomplikowane bez zgłębiania istoty tajemnych sił, które być może drzemają w ludzkiej podświadomości, szczególnie jeśli prowadzącym do nich ogniwem ma być zwierzę lub niedorozwinięte umysłowo dziecko.

— Załóżmy, że wyzwolisz tę „Szóstą Siłę”. Nie tylko u córki Janusów, ale i u wszystkich zwierząt, u opóźnionych w rozwoju dzieci, a na koniec u całej

ludzkości. Spowodujesz, że będziemy rozbijali szklanki, wprawiali w ruch rondle i wymieniali informacje, porozumiewając się telepatycznie. Czy nie sądzisz, że przysporzy nam to mnóstwa kłopotów i że pogrążymy się w chaosie, z którego pierwotnie powstaliśmy?

Tym razem to MacLean się roześmiał. Idąc bez celu przed siebie, dotarliśmy na samą krawędź urwistej wydmy, za którą rozpościerało się morze. Kamienista plaża zdawała się nie mieć końca. Była równie ponura i niczym nie urozmaicona, jak ciągnące się obok bagna. Fale załamywały się z monotonnym hukiem, porywając w głąb morza drobne kamienie, by po chwili z odrodzoną energią ponownie uderzyć o brzeg.

— Istnieje taka ewentualność, lecz doprowadzenie do opisanej przez ciebie sytuacji nie jest moim zamiarem. Wierzę, że w stosownym czasie ludzie nauczą się wykorzystywać „Szóstą Siłę” we właściwy sposób. Tak, by nadal służyła człowiekowi po śmierci jego ciała.

Rzuciłem papieros na ziemię. Przez sekundę jaśniej się rozżarzył, a potem przemienił się w mokry niedopałek.

— Co, na Boga, masz na myśli?

Przyglądał mi się uważnie, usiłując odczytać, jaką reakcję wywołały jego słowa. Nie zdecydowałem jeszcze, czy uważam go za wariata. Było w nim coś rozbrajającego, gdy stał tak przygarbiony, niczym wyrośnięty sztubak, w swoich sztruksowych portkach i starym golfie, i snuł rozważania.

— Ta energia istnieje. Mówię całkiem poważnie. W chwili śmierci opuszcza ciało. Pomyśl o zatrwającym marnotrawstwie, jakie dokonuje się od wieków — cała energia ucieka, gdy umieramy, a przecież wykorzystana mogłaby przynosić pożytek ludzkości. Najstarsze teorie głoszą, że dusza opuszcza ciało przez nozdrza i usta. Wierzyli w nie starożytni Grecy i do dzisiaj wyznają je niektóre afrykańskie plemiona. Ludzie naszego pokroju nie zajmują się jednak duszami. Obaj wiemy, że nasza inteligencja umiera wraz z ciałem. Ale nie iskra życia. Siły witalne

istnieją nadal, podobnie jak energia, są niekontrolowane i jak dotychczas... bezużyteczne. Znajdują się nad nami i wokół nas, gdy stoimy tu i rozmawiamy ze sobą.

Odchylił głowę do tyłu i spojrzał w gwiazdy, a ja zastanawiałem się, jak głębokie musiało być jego poczucie osamotnienia, że zajął się daremnymi poszukiwaniami nieuchwytnego. Wtedy przypomniałem sobie o śmierci jego żony. Niewątpliwie ucieczka w teoretyczne rozważania była jego ocaleniem.

— Obawiam się, że nie starczy ci życia, żeby to udowodnić.

— Nie zgadzam się z tobą — odparł. — To kwestia kilku miesięcy. „Charon 3”, którego ci jeszcze nie pokazałem, ma wbudowany zespół, który służy do otrzymywania i przechowywania energii, a mówiąc dokładnie — do gromadzenia „Szóstej Siły” w chwili jej wyzwolenia. — Umilkł. Spojrzenie, które rzucił w moją stronę, było zastanawiające. Czekałem na dalsze wyjaśnienia.

— Podstawowe prace zostały zakończone — stwierdził. — Jesteśmy przygotowani do wielkiego eksperymentu, kiedy to komputery „Charon 1” i „Charon 2” będą mogły być równocześnie wykorzystane. Potrzebuję jednak asystenta w pełni przygotowanego do obsługi obu urządzeń, gdy nadejdzie odpowiedni moment. Powiem otwarcie. Twój poprzednik w Saxmere nie wyraził zgody na współpracę. Tak, tak, był ktoś taki. Prosiłem szefa spółki Zespołu Elektroników, żeby o nim nie wspominał. Wolałem ci o tym powiedzieć osobiście. Twój poprzednik odmówił współpracy z nami ze względów religijnych i uszanowałem jego wolę.

Ze zdumienia szeroko otworzyłem oczy. Nie dziwiła mnie odmowa współpracy tamtego człowieka, ale nie mogłem pojąć, co miała z tym wszystkim wspólnego chrześcijańska etyka.

— Był katolikiem — wyjaśnił MacLean. — Wierząc w nieśmiertelność duszy i jej przebywanie w czyścicu, nie mógł pogodzić się z myślą o uwięzieniu sił

witalnych i o wykorzystaniu ich dla celów mających służyć ludziom na ziemi. A to właśnie, jak już powiedziałem, jest moim zamiarem.

Odwrócił się tyłem do morza i ruszył w drogę powrotną do domu. Wszystkie światła w barakach z prefabrykatów — miejscu naszych posiłków, snu i pracy w ciągu najbliższych ośmiu tygodni — były zgaszone. Za nimi majaczyła w ciemnościach kwadratowa wieża bezużytecznej stacji radarowej — pomnik pomysłowości człowieka.

— Poinformowano mnie w spółce Związku Elektroników, że nie masz skrupułów natury religijnej, podobnie jak i my wszyscy w Saxmere, choć uważamy się za ludzi zdolnych do poświęceń — mówił dalej MacLean. — Istota zagadnienia sprowadza się do tego samego, jak to ujął młody Ken, czym jest oddanie oczu lub nerek dla potrzeb transplantologii. To nasz problem, a nie dawcy.

Nagle przypomniałem sobie młodzieńca za barem, w chwili gdy nalewał do szklanki sok pomarańczowy i nazywał siebie królikiem doświadczalnym.

— Na czym polega rola Kena? — spytałem.

MacLean przystanął i spojrzał mi prosto w oczy.

— Chłopiec jest chory na białaczkę — oznajmił. — Robbie daje mu najwyżej trzy miesiące życia. Nie będzie cierpiał. Ma wielką odwagę i całym sercem wierzy w eksperyment. Prawdopodobieństwo niepowodzenia jest ogromne. Niczym jednak nie ryzykujemy — jego życie jest i tak skazane na zagładę. Ale jeśli się nam powiedzie... — Przerwał, chwytając oddech, głęboko poruszony. — Czy pojmujesz, czego dokonamy, jeśli się nam uda? — spytał. — Będziemy w końcu mieli odpowiedź na niedopuszczalny bezsens śmierci.

Gdy obudziłem się nazajutrz rano, panowała cudowna pogoda. Wyjrzałem przez okno, z którego roztaczał się widok na asfaltową drogę, prowadzącą do nie używanej wieży radarowej, która niczym wartownik trzymała straż nad pustymi

szopami. Skorodowany metalowy talerz był skierowany w stronę ciągnących się za nią bagien. Postanowiłem natychmiast stąd wyjechać.

Ogoliłem się, wykąpałem i poszedłem na śniadanie. Zamierzałem zachowywać się uprzejmie wobec wszystkich, a zaraz po posiłku poprosić MacLeana o pięciominutową rozmowę na osobności. Chciałem złapać najbliższy pociąg. Liczyłem na to, że przy odrobinie szczęścia będę o pierwszej w Londynie. Jeśli moja decyzja miała pociągnąć za sobą jakieś nieprzyjemności, to był na nie narażony mój szef w spółce Związku Elektroników, a nie ja.

W jadalni siedział tylko Robbie, który atakował olbrzymią porcją marynowanych śledzi. Skinąłem mu na powitanie głową i poczęstowałem się bekonem. Rozejrzałem się za poranną prasą, ale nigdzie jej nie dostrzegłem. Na mnie spoczął ciężar prowadzenia rozmowy.

— Piękny dzień — rzekłem.

Nie odpowiedział od razu, pochłonięty preparowaniem śledzi, co robił z wprawą eksperta. Dopiero po chwili dobiegł mnie z drugiej strony stołu jego falset.

— Zamierza się pan wycofać? — spytał.

Zaskoczył mnie swoim pytaniem i nie spodobała mi się szydercza nuta w jego głosie.

— Jestem inżynierem elektronikiem — odparłem. — Nie interesują mnie badania w dziedzinie psychologii.

— Kolegom Listera też nie zależało na odkryciu antyseptyki — odparował. — Wyszli później na głupców.

Nabił na widelec pół śledzia, włożył sobie do ust i zaczął przeżuwać, uważnie obserwując mnie zza swoich dwuso — czewkowych szkielec.

— Wierzy pan w tę historię o „Szóstej Sile”?

— A pan nie wierzy? — odpowiedział pytaniem.

Na znak protestu odsunąłem od siebie talerz.

— Doceniam osiągnięcia MacLeana w dziedzinie badań nad dźwiękiem — stwierdziłem. — Poradził sobie z problemem wyprodukowania wysokiej jakości głosu, któremu my w naszej spółce nie sprostaliśmy. Przyznaję też, że rozwinął system, za pomocą którego fale wysokiej częstotliwości mogą być wychwytywane przez zwierzęta i opóźnione w rozwoju dzieci. Wysoko oceniam jego pierwsze dokonanie, lecz wątpię w przydatność drugiego. Co zaś się tyczy trzeciego — polegającego na przechwytywaniu sił życiowych, w chwili gdy opuszczają ciało — to gdyby ktoś powiedział o tym ministrowi, pański szef trafiłby za kratki.

Powróciłem do mojego bekonu, czując, że sprowadziłem go z obłoków na ziemię. Uporał się ze śledziami i zabrał się za grzanekę z marmoladą.

— Czy był pan kiedyś świadkiem czyjejś śmierci ? — zagadnął mnie niespodziewanie.

— Prawdę mówiąc, nie — odparłem.

— Jestem lekarzem i śmierć jest jednym z aspektów mojej pracy — rzekł. — Byłem przy umierających w szpitalach, w domach i w obozach uchodźców po wojnie. W moim zawodowym życiu widziałem dziesiątki zgonów. To nie jest przyjemne doświadczenie. A tutaj moim zadaniem jest bezradne przyglądanie się dzielnemu, uroczemu chłopakowi nie tylko podczas jego ostatnich godzin życia, lecz w czasie kilku tygodni, jakie mu jeszcze pozostały. I mam szansę coś dla niego zrobić.

Wstałem i odstawiłem talerz na boczny stolik. A potem wróciłem na miejsce i nalałem sobie kawy.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziałem.

Podsunał mi koszyk z pieczywem, ale pokręciłem przecząco głową. Śniadanie nigdy nie należało do moich ulubionych posiłków, a dzisiaj rano wyjątkowo nie miałem apetytu. Na asfaltowej drodze przed domem rozległy się odgłosy kroków i w oknie pojawiła się głowa. To był Ken.

— Dzień dobry — powiedział, uśmiechając się szeroko. — Co za cudowny poranek. Jeśli Mac nie będzie pana potrzebował w centrum obsługi komputerowej, oprowadzę pana po okolicy. Możemy pójść w stronę chatki straży przybrzeżnej i wspiąć się na skały Saxmere. Co pan o tym sądzi? — Wziął moje wahanie za wyrażenie zgody.

— Znakomicie! Robbieemu nie warto niczego proponować. Spędzi przedpołudnie w laboratorium, pojąc oczy widokiem próbek mojej krwi.

Zniknął. Po chwili usłyszeliśmy, jak woła Janusa przez sąsiadujące z naszym kuchenne okno. Żaden z nas się nie odezwał. Odgłosy towarzyszące chrupaniu grzanki stały się dla mnie nie do zniesienia. Zerwałem się z miejsca.

— Gdzie mogę znaleźć MacLeana? — spytałem.

— W centrum komputerowym — odparł Robbie, nie przerywając jedzenia.

Chciałem to jak najprędzej mieć za sobą. Minąłem wahadłowe drzwi i pokonując tę samą drogę, którą wczoraj szedłem, dotarłem do laboratorium. Stół operacyjny pod olbrzymią lampą nabrał dzisiaj dla mnie innego znaczenia i starałem się omijać go wzrokiem. Gdy otworzyłem drzwi na drugim końcu sali, zobaczyłem MacLeana. Stał przy „Charon 1”. Skinął na mnie, żebym podszedł bliżej.

— Wczoraj wieczorem dostrzegłem drobny błąd w procesorze — stwierdził. — Jestem pewien, że potrafisz go usunąć.

Przyszedłem tu po to, by wyrazić swój żal i oświadczyć, że nie zamierzam podjąć pracy w jego zespole i że natychmiast wracam do Londynu. Nie zrobiłem tego jednak. Przysunąłem się do komputera, gdy MacLean objaśniał jego konstrukcyjne szczegóły. Zawodowa duma, a może też i zazdrość połączona z nieodpartą chęcią poznania przyczyny, dla której „Charon 1” był lepszy od urządzenia skonstruowanego przez nas w Związku Elektroników, wzięła we mnie górę.

— Na ścianie wisi fartuch. Włóż go i razem usuniemy usterkę — zaproponował MacLean.

Od tego momentu byłem już stracony, choć może w tym wypadku bardziej precyzyjnym określeniem jest słowo: zawojowany. To nie szaleńcze teorie MacLeana ani przyszłe eksperymenty na pograniczu życia i śmierci podbiły mnie, lecz doskonałe piękno i umiejętności „Charona 1”. Niektórzy mogą sądzić, że piękno jest dziwnym określeniem w odniesieniu do urządzenia elektronicznego, aleja tak nie uważałem. Od dziecka zajmowałem się tworzeniem komputerów i im poświęcałem całą moją pasję oraz wszystkie uczucia. Elektronika zawsze była moim powołaniem. Nie obchodziły mnie cele, jakim mechanizmy, które pomagałem rozwijać i doskonalić, ostatecznie służyły. Moja rola polegała na dopilnowywaniu, by spełniały funkcje, do jakich zostały przeznaczone. Przed przybyciem do Saxmere nie miałem innych życiowych dążeń. Pragnąłem jedynie wykonywać pracę, do której się nadawałem, i to wykonywać ją dobrze.

„Charon 1” coś we mnie obudził — świadomość potęgi kreatora. Gdy tylko dotknąłem aparatury kontrolnej, wiedziałem, że nie zaznam spokoju, dopóki nie zdobędę dokładnej wiedzy o wszystkich częściach urządzenia i szczegółowo nie zapoznam się z jego schematem. To przede wszystkim się dla mnie liczyło. Po kilku godzinach nie tylko zlokalizowałem niewielką usterkę, ale zdołałem ją także naprawić. MacLean stał się teraz Makiem, a zdrabnianie mojego imienia przestało mnie drażnić. Fantastyczna struktura komputera uciszyła we mnie całe niezadowolenie i złość. Byłem jednym z członków ekipy.

Robbie nie okazał zdziwienia, gdy się zjawiłem na lunchu, ani nie starał się nawiązywać do naszej wcześniejszej rozmowy. Późnym popołudniem skorzystałem za zgodą Maca z propozycji Kena i wybrałem się razem z nim na spacer. Nie byłem w stanie połączyć nadciągającej śmierci z osobą tego kipiącego energią młodzieńca ani nie mogłem przestać o tym myśleć. Może zarówno Robbie, jak i Mac mylili się co do chłopca? Dzięki Bogu, to nie był mój problem.

Ken nie sprawiał wrażenia zmęczonego, gdy prowadził mnie przez wydmy w stronę morza. Świeciło słońce, a powietrze było chłodne i czyste. Nawet rozległy morski brzeg, który wczoraj wieczorem wydawał się ponury, teraz krył w sobie tajemny urok. Kamyki ustąpiły miejsca piaskowi i naszym krokom wtórowało skrzypienie. Towarzyszący nam Cerber biegł przodem w podskokach. Rzucaliśmy mu do wody patyki, które wyławiał z jasnoblękitnego, łagodnego i niemal nieruchomego morza, załamującego się leniwie tuż przed naszymi stopami. Nie rozmawialiśmy ani o stacji Saxmere, ani o żadnych sprawach z nią związanych. Ken raczył mnie zabawnymi plotkami z bazy amerykańskiej w Thirlwał, gdzie pracował w naziemnej obsłudze, nim Mac dziesięć miesięcy temu załatwił mu przeniesienie.

Nagle Cerber, który poszczekiwał, czekając na kolejny patyk, znieruchomiał, postawił uszy i obrócił pysk w stronę wiatru. Zaraz potem rzucił się w drogę powrotną, pokonując ją susami. Zwinna sylwetka zwierzęcia o czarnej, podpalanej sierści wkrótce stała się niewidoczna na tle ciemnych skał i wydym w oddali.

— Odebrał sygnał od „Charona” — wyjaśnił Ken.

Wczoraj wieczorem, gdy przebywałem z Makiem w centrum komputerowym, skrobanie psa do drzwi wydało mi się całkiem naturalne. Ale tutaj, na pustym wybrzeżu, w odległości pięciu kilometrów od stacji badawczej, reakcja zwierzęcia wywarła na mnie niesamowite wrażenie.

— Imponująca skuteczność, prawda? — spytał Ken.

Skinąłem głową, ale z jakiejś przyczyny opuścił mnie dobry nastrój. Straciłem nagle ochotę na dalszy spacer. Może czułbym się inaczej, gdybym był sam. Ale w towarzystwie chłopca nie mogłem zapomnieć o tym, że nieuchronnie czeka mnie konfrontacja z przyszłością oraz realizacja projektu Maca.

— Chcesz wracać? — zagadnął mnie Ken.

Jego słowa przypomniały mi o pytaniu, jakie zadał mi dzisiaj Robbie podczas śniadania.

— To zależy od ciebie — powiedziałem obojętnym tonem.

Skręcił w lewo. Ślizgając się przy każdym kroku, zaczęliśmy z trudem wspinać się stromym zboczem na skałę ponad plażą. Gdy dotarliśmy na szczyt, nie mogłem złapać oddechu. Ale nie Ken. Z uśmiechem wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wdrapać się na górę. Otaczały nas wrzosa i zarośla, a wiatr, znacznie silniejszy niż w dole, wiał nam prosto w twarz. Po przebyciu czterystu metrów naszym oczom ukazał się rząd domków straży przybrzeżnej. We wszystkich oknach odbijały się płomienne barwy zachodzącego słońca.

— Chodźmy złożyć wizytę pani Janusowej — zaproponował Ken.

Niechętnie ruszyłem za nim. Nie znosiłem składania nie zapowiedzianych wizyt i nie miałem ochoty na odwiedzanie domostwa Janusów. Gdy podeszliśmy bliżej, stwierdziłem, że tylko najdalej położona chatka jest zamieszkała. Inne, sądząc po smutnym i opustoszałym wyglądzie, najwidoczniej od lat nie miały lokatorów. W niektórych oknach były powybijane szyby, a ogrody zarosły chwastami. Na końcach zbutwiałych, połamanych słupów sterczały resztki drutu kolczastego. Przez furtkę zamieszkanego domku wystawiała głowę mała dziewczynka. Ciemne, proste włosy okalały jej mizerną buzię, w oczach nie było blasku, a z przodu brakowało jednego zęba.

— Cześć, Niki — powitał ją Ken.

Dziecko przypatrywało się nam uważnie, a potem powoli oderwało się od furtki i z markotną miną wskazało na mnie:

— Kto to jest?

— Ma na imię Steve — odparł chłopak.

— Nie podobają mi się jego buty — oświadczyła dziewczynka.

Ken roześmiał się i otworzył bramkę. Gdy tylko to zrobił,

dziewczynka usiłowała wdrapać mu się na ramiona. Delikatnie odsunął ją od siebie, podszedł do otwartych drzwi i zawołał:

— Jest tam pani, pani Janusowa?

Kobieta, która się zjawiała, była blada i ciemnowłosa, podobnie jak dziecko. Jej zaniepokojona twarz rozjaśniła się w uśmiechu na widok Kena. Zaprosiła nas do środka, przepaszając za bałagan. Zostałem jej przedstawiony jako Steve. Kręciliśmy się zakłopotani po pokoju wśród porzucanych dzieciennych zabawek.

— Piliśmy już herbatę — odpowiedział Ken na jej pytanie. Kobieta oświadczyła jednak, że woda się zagotowała, i zniknęła w przyległej kuchni. Za moment wróciła z dużym, brązowym dzbankiem, z dwiema filiżankami i dwoma spodkami. Nie pozostało nam nic innego, jak wypić herbatę pod jej czujnym spojrzeniem. Dziecko przez cały czas lgnęło do Kena, gapiąc się na moje nieszczęsne, płócienne, niedrogie obuwie.

Mój młody kompan spisywał się na szóstkę. Wymienił uprzejmości z panią Janusową i poklepał po głowie żądną pieścizot Niki. Ja nie zabierałem głosu. Zastanawiałem się, dlaczego dziecko na zdjęciu stojącym na honorowym miejscu na kominku wydaje mi się o wiele sympatyczniejsze niż w rzeczywistości.

— Zimy są tutaj bardzo chłodne, ale mroźne powietrze pokrzepia. Zawsze twierdzą, że wolę mróz od wilgoci — rzekła pani Janusowa.

Przytaknąłem i podziękowałem ruchem głowy, gdy zaproponowała mi jeszcze jedną filiżankę herbaty. Nagle dziecko zeszywniało. Przez moment stało nieruchomo z zamkniętymi oczami. Zastanawiałem się, czy nie zamierza zwymiotować. Po chwili spokojnie oświadczyło: „Mac mnie wzywa”.

Kobieta przeprosiła nas i wyszła do przedpokoju. Usłyszałem, jak wybiera numer telefonu. Ken, nie zdradzając oznak poruszenia, przyglądał się dziewczynce. Zrobiło mi się niedobrze. Po chwili nasza gospodyni powiedziała coś do słuchawki i zawołała córkę:

— Niki, podejdź do telefonu. Mac chce z tobą porozmawiać.

Dziewczynka wybiegła na korytarz, okazując po raz pierwszy od chwili naszego przybycia ożywienie. Nawet się roześmiała. Pani Janusowa wróciła do pokoju i uśmiechnęła się do Kena.

— Myślę, że to z tobą Mac chce zamienić kilka słów — rzekła.

Ken podniósł się z miejsca i wyszedł do przedpokoju. Zostałem sam z matką dziecka i nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Rozpaczliwie poszukując w myślach jakiegoś tematu, wskazałem zdjęcie na kominku:

— Znakomita fotografia Niki. Zapewne została wykonana kilka lat temu, prawda?

Ku mojej konsternacji oczy kobiety wypełniły się łzami.

— To nie Niki, lecz jej bliźniacza siostra — wyjaśniła. — To nasza Penny. Straciliśmy ją wkrótce potem, gdy obie ukończyły pięć lat.

Moje niezdarne przeprosiny zostały przerwane pojawieniem się dziecka. Nie zwracając uwagi na moje buty, podeszło prosto do mnie, położyło mi rękę na kolanie i zakomunikowało:

— Mac powiedział, że Cerber jest już na miejscu i prosił, żebyście obaj z Kenem wrócili do domu.

— Dziękuję — rzekłem.

Gdy minęliśmy wrzosowiska i idąc na skróty przez moczary, zmierzaliśmy do Saxmere, zapytałem Kena, czy sygnał wywoławczy „Charona”, którego byłem świadkiem, zawsze pobudzał w dziecku jego ukrytą inteligencję.

— Tak, ale nie wiemy, co jest tego przyczyną — odparł chłopak. — Robbie jest zdania, że fale ultrakrótkie mają właściwości terapeutyczne. Mac jednak nie podziela tego poglądu. Uważa, że za pośrednictwem komputera łączy Niki z tak zwaną „Szóstą Siłą”, która w jej przypadku jest podwojona ze względu na zmarłą siostrę.

Ken powiedział to w taki sposób, jak gdyby ta fantastyczna teoria była czymś zupełnie naturalnym.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że gdy sygnał zostaje nadany, w jakiś sposób odbiera go również zmarła bliźniaczka?

Ken się roześmiał. Szedł tak prędko, że nie byłem w stanie za nim nadążyć.

— Myślisz o wywoływaniu duchów? — spytał. — Ależ nie, na Boga! Z biednej Penny nic nie zostało oprócz energii elektrycznej, która nadal jest przyłączona do żyjącej siostry. To właśnie z tego powodu Niki jest tak przydatnym królikiem doświadczalnym.

Obrzucił mnie wzrokiem i uśmiechnął się.

— Mac również planuje przejąć moją energię w chwili mojego odejścia. Nie pytaj mnie, w jaki sposób zamierza tego dokonać. Nie mam pojęcia. Ale zgadzam się, żeby podjął tę próbę.

Kontynuowaliśmy nasz marsz. Po obu stronach mokradeł unosił się skwaśniały zapach stojącej wody. Wiatr przybrał na sile, kładąc trzciny płasko przy ziemi. W oddali widać było wieżę Saxmere, która odcinała się ostrym i ciemnym konturem na tle rdzawego nieba.

Proces wytwarzania głosu elektronicznego, któremu poświęciłem kilka następnych dni pracy, przebiegał w sposób zadowalający. Zaopatrzyliśmy urządzenie w taśmy i zaprogramowaliśmy identycznie, jak zwykliśmy to robić w Związku Elektroników. Jednak słownictwo komputera skonstruowanego przez ekipę Maca było obszerniejsze. Składało się z sygnału wywoławczego: „Tu mówi Charon... tu mówi Charon”, i bardzo wyraźnie wyartykułowanej serii liczb. W dalszej kolejności padały proste pytania typu: „Jak się czujesz?”, „Czy coś cię niepokoi?”, po których następowały stwierdzenia: „Nie ma cię tutaj. Przebywasz z dala od Thirlwall. Cofnij się dwa lata wstecz. Powiedz nam, co widzisz”. I tak dalej, i tak dalej. Do mnie należało kontrolowanie precyzji głosu, a za program był

odpowiedzialny Mac. I nawet jeśli jakieś pytanie lub stwierdzenie wydawało mi się idiotyczne, dla niego niewątpliwie miało sens.

W piątek oświadczył, że jego zdaniem „Charon” jest już przygotowany do pracy. Postanowił go użyć nazajutrz. Umówił się z Robbiem i z Kenem na jedenastą przed południem. Zamierzał obsługiwać komputer osobiście, a ja się miałem wszystkiemu przyglądać. W świetle tego, co już do tej pory widziałem, powinienem być przygotowany na przebieg wydarzeń. Okazało się jednak, że nie byłem. Ken położył się na operacyjnym stole, a ja zająłem przydzielone mi stanowisko w sąsiadującym z działem elektronicznym laboratorium.

— Wszystko w porządku — rzekł chłopak, mrugając do mnie uspokajająco. — Robbie nie pokroi mnie na kawałki.

Nad jego głową wisiał mikrofon połączony z „Charonem 1”. Na ścianie zapaliło się żółte światło: „Przygotować się”, które po chwili przemieniło się w czerwone. Ken zamknął oczy. Z komputera popłynął głos: „Tu mówi Charon... Tu mówi Charon”. Potem nastąpiła seria liczb, a po chwili ciszy padło pytanie:

— Dobrze się czujesz?

Gdy Ken odrzekł: „Tak, dobrze”, jego odpowiedź pozbawiona była optymizmu, a głos miał bardziej matowe i o jedną tonację niższe niż zwykle brzmienie. Spojrzałem w stronę Robbie'ego. Podał mi kartkę papieru, na której napisał: „Ken jest już w stanie hipnozy”.

Dopiero wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, jaką wagę ma urządzenie dźwiękowe i pojąłem w pełni przyczyny jego doskonalenia. Kena wprowadzano w stan hipnozy za pomocą głosu elektronicznego, a pytania nie były przypadkowe, lecz zostały specjalnie dla niego zaprogramowane. Doniosłość tego faktu wstrząsnęła mną nawet bardziej, niż reakcja dziecka i psa na przekazywany im z dużej odległości sygnał wywoławczy. Zrozumiałem, że kiedy Ken powiedział żartobliwie, że „idzie do pracy”, dokładnie to miał na myśli.

— Czy coś cię niepokoi? — spytał głos.

Przez długą chwilę trwała cisza, a kiedy padła odpowiedź, w jej tonie wyraźnie było słychać zniecierpliwienie, a nawet wzburzenie.

— Fakt, że to wisi nade mną. Oby to się stało prędko. Chciałbym to już mieć za sobą.

Równie dobrze mógłbym siedzieć w konfesjonale. Wiedziałem już, dlaczego mój poprzednik porzucił tę pracę. Czułem na sobie wzrok Robbie'ego. Przedstawienie było odgrywane nie tylko po to, żeby wykazać współpracę zahipnotyzowanego Kena z komputerem — to z pewnością zostało już udowodnione setki razy — ale żeby poddać testowi moje nerwy. Doświadczenie trwało nadal. Większość wypowiedzi chłopca miała bolesny wydźwięk. Nie zamierzam ich przytaczać. Ujawniały podświadome napięcie, w jakim żył, choć nigdy się otwarcie do tego nie przyznawał, przed nikim, a być może nawet przed samym sobą.

Program użyty teraz przez Maca nie był tym, który już znałem, i kończył się słowami:

— Wszystko będzie dobrze, Ken. Nie jesteś sam. Towarzyszemy ci w twojej drodze. Niczym się nie martw, zgoda?

Słaby uśmiech przemknął przez spokojną twarz chłopca.

— Zgoda.

Nastąpiło powtórzenie liczb, tym razem w znacznie szybszym tempie, a potem padło polecenie:

— Zbudź się, Ken!

Chłopak się przeciągnął, otworzył oczy i usiadł. Najpierw spojrzał na Robbie'ego, a później na mnie i uśmiechnął się.

— Czy „Charon” dobrze się spisał?

— W stu procentach — odparłem nienaturalnie wesołym tonem.

Ken zsunął się ze stołu. Wykonał już swoją robotę na dzisiaj. Podeszedłem do Maca, który stał przy aparaturze kontrolnej.

— Dziękuję, Steve — powiedział. — Teraz możesz w pełni docenić przydatność „Charona 1”. Elektroniczny głos plus zaplanowany program pozwolą wyeliminować nasze emocje, gdy nadejdzie czas próby. To z tego powodu przyzwyczajamy Kena do współpracy z komputerem. Reakcje chłopca są prawidłowe. Choć bywają znacznie lepsze, gdy w seansie uczestniczy również dziecko.

— Dziecko? — zdziwiłem się.

— Tak — odparł. — Niki odgrywa w eksperymencie bardzo doniosłą rolę. Ona również jest oswajana z elektronicznym głosem. We dwójkę szczebioczą wesoło jak ptaki. Oczywiście potem nie zdają sobie z tego sprawy. — Umilkł, przyglądając mi się z taką samą uwagą, jak przed chwilą Robbie.

— Wiemy, że na koniec Ken wpadnie w śpiączkę. Będziemy wtedy mogli nawiązać z nim łączność jedynie za pośrednictwem dziecka. A teraz proponuję ci, żebyś pożyczył samochód, pojechał do Thirlwall i zamówił sobie drinka.

I odszedł, nieprzystępny i niewzruszony, swoim wyglądem przywodząc na myśl drapieżnego ptaka.

Nie pojechałem do Thirlwall. Wybrałem się za to na spacer w stronę wydm. Morze było dzisiaj wyjątkowo niespokojne. Wzburzone i szare, załamywało się w przybrzeżnym rowie i z hukiem rozbijało o skały. Na plaży, kilka kilometrów dalej, grupa kadetów z korpusu sił powietrznych armii amerykańskiej ćwiczyła nadawanie sygnałów na trąbce. Z wiatrem dobiegały mnie przenikliwe, nieharmonijne dźwięki. Bez żadnego powodu w głowie zabrzmiały mi uporczywie strofy na wespół zapomnianej religijnej pieśni murzyńskiej:

On w dłoniach swych trzyma cały świat,

Cały świat trzyma w dłoniach swych...

W ciągu następnych tygodni doświadczenie było powtarzane co trzy dni, z użyciem różnych programów. Obsługiwałem komputer na zmianę z Makiem. Wkrótce przywykłem do moich nowych obowiązków i dziwaczne sesje stały się niemal rutynową praktyką.

Były mniej bolesne, gdy uczestniczyło w nich dziecko — tak jak zapowiedział Mac. Ojciec przyprowadzał dziewczynkę do laboratorium i zostawiał ją pod naszą opieką. Ken był już zahipnotyzowany i leżał na stole. Dziewczynce mówiono, że Ken śpi, i sadzano ją na krześle obok niego. Nad jej głową również wisiał mikrofon rejestrujący odpowiedzi. Otrzymywała od „Charona” sygnał, składający się z innej serii liczb, po którym komputer przejmował nad nią kontrolę. Program różnił się, gdy we dwójkę byli poddawani hipnozie. „Charon” przenosił Kena do okresu dzieciństwa, do czasu gdy chłopak był w wieku Niki:

— Masz teraz siedem lat. Niki przyszła się z tobą pobawić. Jest twoją przyjaciółką.

Podobna wiadomość była przekazywana dziecku:

— Ken przyszedł się z tobą pobawić. Jest chłopcem w twoim wieku.

Potem Ken i Niki prowadzili ze sobą rozmowę, do której „Charon” się nie wtrącał. Rezultaty doświadczeń okazywały się z każdą sesją coraz bardziej zadowalające. Domyśliłem się, że zażyłość tych dwojga była budowana stopniowo w ciągu ubiegłych miesięcy. Można powiedzieć, że „z czasem” stali się bliskimi przyjaciółmi, którzy niczego przed sobą nie ukrywali, wymyślali coraz to nowe zabawy i wymieniali między sobą pomysły. Niki, opóźniona w rozwoju i markotna, w stanie hipnozy przemieniała się w żywe i wesołe dziecko. Nagrywane rozmowy były sprawdzane po każdym eksperymencie, odnotowywano coraz bliższy kontakt pomiędzy tymi dwojgiem, a te informacje z kolei były wykorzystywane jako wskazówka dla przyszłych programów. Ken w stanie pełnej

świadomości widział w Niki jedynie upośledzone umysłowo dziecko Janusów — smutną i nie wzbudzającą zainteresowania istotkę. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje, gdy jest zahipnotyzowany. Nie mógłbym jednak tego powiedzieć w odniesieniu do Niki. Intuicyjnie coś ją przyciągało do Kena. Gdyby tylko mogła, nie odstępowałaby go ani na krok.

Zapytałem Robbie'ego, co sądzą o sesjach rodzice dziewczynki.

— Dla Maca zrobią wszystko — odparł lekarz. — Poza tym wierzą, że eksperymenty pomagają córce. Jej bliźniacza siostra była normalnym dzieckiem.

— Czy wiedzą o Kenie?

— O tym, że ma umrzeć? — upewnił się Robbie. — Zostali o tym powiadomieni, wątpię jednak, czy dopuszczają do siebie tę informację. Zresztą, patrząc na chłopaka, kto by w nią uwierzył?

Staliśmy przy barze. Z naszego miejsca mogliśmy obserwować Maca i Kena, którzy w sąsiednim pokoju grali w ping — — ponga.

Na początku grudnia obleciał nas strach. Z ministerstwa nadszedł list z zapytaniem o przebieg eksperymentów w Saxmere i z zapowiedzią rychłej inspekcji. Odbyliśmy naradę, podczas której ustaliliśmy, że wybiorę się do Londynu i odwiode naszych pryncypałów od tego zamiaru. Do tego czasu byłem już po stronie Maca i z całej duszy wspierałem jego poczynania. Podczas krótkiego pobytu w mieście udało mi się przekonać władze, że wizyta ich przedstawiciela byłaby w tym momencie przedwczesna i że mamy nadzieję zapoznać ich z naszymi dokonaniem jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia. Ich zainteresowania dotyczyły oczywiście potencjalnych możliwości kontrolowanej eksplozji „Charona 2”. Nic nie wiedzieli o planowanym projekcie Maca.

Gdy wróciłem i wysiadłem na stacji Thirlwall, byłem w zupełnie innym nastroju niż trzy miesiące temu. Samochód marki Morris już na mnie czekał, ale za

kierownicą nie dostrzegłem pogodnej twarzy Kena. Zastępował go Janus. Nigdy nie był człowiekiem zbyt rozmownym i teraz też zbył moje pytanie wzruszeniem ramion.

— Ken się przeziębził — rzekł w końcu. — Robbie na wszelki wypadek wpakował go do łóżka.

Po przyjeździe do Saxmere natychmiast udałem się do pokoju chłopca. Ken był lekko zarumieniony, ale jak zwykle w pogodnym nastroju. Buntował się przeciwko poleceniom Robbie'ego:

— Absolutnie nic mi nie jest — oświadczył. — Przemoczyłem tylko nogi, gdy podchodziłem ptaka na mokradłach.

Posiedziałem trochę przy nim, żartując o Londynie i ministerstwie, a potem poszedłem złożyć raport Macowi.

— Ken zagorączkował — oznajmił na wstępie. — Robbie przeprowadził badanie krwi. Wynik analizy nie jest dobry. Wkrótce może nastąpić koniec.

Przeszedł mnie dreszcz. Dopiero po chwili byłem w stanie zdać mu relację z misji w stolicy. Skinął głową.

— Nie możemy sobie teraz pozwolić na to, żeby mieć ich tutaj na karku.

Zastałem Robbie'ego w laboratorium. Siedział nad mikroskopem. Był bardzo zajęty i nie mógł mi poświęcić wiele czasu.

— Jeszcze za wcześnie na diagnozę — stwierdził. — Wszystko się rozstrzygnie w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Odkryłem w prawym płucu źródło infekcji, która przy białaczce może się okazać fatalna w skutkach. Idź i rozerwij trochę Kena.

Zaniosłem do pokoju chłopca przenośny gramofon i zabrałem ze sobą z tuzin płyt. Ken zdawał się być w dobrym nastroju. Potem się zdrzemnął, a ja siedziałem przy nim i zastanawiałem się, co dalej robić. Miałem spierzchnięte usta i z trudem przełykałem ślinę. Nie dawała mi spokoju uporczywa myśl: „Nie pozwól, żeby to się stało”.

Rozmowa przy kolacji była prowadzona na siłę. Mac opowiadał o studenckich latach w Cambridge, a Robbie wspominał swoje dawne rozgrywki w rugby. Ja się w ogóle nie odzywałem. Zaraz po posiłku poszedłem powiedzieć dobranoc Kenowi, ale chłopak już spał. Janus siedział przy nim. Rzuciłem się na łóżko w moim pokoju, usiłując czytać, ale nie mogłem się skupić nad lekturą. Mgła spowijała morze i co kilka minut z nadbrzeżnych latarni rozlegały się odgłosy przeciwnogielnych syren. Nie dochodziły mnie żadne inne dźwięki.

Nazajutrz, kwadrans przed ósmą, Mac przyszedł do mojego pokoju.

— Stan Kena się pogorszył — oznajmił. — Robbie zamierza przetoczyć mu krew. Janus będzie mu przy tym asystował. — Kucharz przeszedł odpowiednie przeszkolenie.

— Na czym ma polegać moja rola? — spytałem.

— Chcę, żebyś pomógł mi przygotować do eksperymentu „Charona 1” i „Charona 3” — odrzekł. — Jeśli Ken nie zareaguje na transfuzję, być może będę musiał podjąć decyzję o rozpoczęciu pierwszej fazy „Operacji Styks”. Pani Janusowa została uprzedzona o tym, że dziecko może być nam potrzebne.

Gdy kończyłem się ubierać, wciąż powtarzałem sobie, że na ten właśnie moment byliśmy przygotowywani podczas ostatnich dwóch miesięcy. Ale nie na wiele to się zdało. Przełknąłem kilka łyków kawy i poszedłem do centrum komputerowego. Drzwi do laboratorium, gdzie Kena poddawano transfuzji, były zamknięte. Obaj z Makiem zbadaliśmy sprawność komputerów. Nie mogliśmy pozwolić sobie na jakąkolwiek pomyłkę. Programy, taśmy, mikrofony — wszystko było gotowe do pracy i funkcjonowało prawidłowo. Teraz nie pozostawało nam nic innego, jak czekać na raport Robbie'ego. Przekazał go nam o dwunastej trzydzieści.

— Nieznaczna poprawa — zakomunikował.

Zabrali chłopca z powrotem do jego pokoju, a my wszyscy poszliśmy coś zjeść. Nad Kenem czuwał w tym czasie Janus. Nikt dzisiaj nie zmuszał się do

rozmowy. Zbyt pochłaniały nas aktualne problemy. Trochę się uspokoiłem i byłem nieco mniej roztrzęsiony niż wczoraj. Poranna praca przy elektronicznych urządzeniach pomogła mi odzyskać równowagę. Mac zaproponował po lunchu partię ping — ponga. Jeszcze wczoraj wieczorem sugestia ta niewątpliwie wprawiłaby mnie w osłupienie, ale dzisiaj wydawała się całkiem na miejscu. Wyjrzałem przez okno w przerwie rozgrywki i zobaczyłem Niki spacerującą nieopodal w towarzystwie matki. Dziwna mała postać napełniała kamieniami i patykami zniszczony wózek dla lalek i sprawiała wrażenie zagubionej. Pani Janusowa kręciła się z córką w pobliżu od dziesiątej rano.

O wpół do piątej do sali rekreacyjnej wszedł Robbie. Odgadłem po jego minie, że nie przynosi dobrych wieści. Zaprzeczył ruchem głowy, gdy Mac zasugerował jeszcze jedną transfuzję. Oświadczył, że to strata czasu.

— Jest przytomny? — spytał Mac.

— Tak — odparł Robbie. — Przywiozę go, gdy tylko będziecie gotowi.

Obaj z Makiem wróciliśmy do centrum komputerowego. Drugi etap „Operacji Styks” przewidywał przewiezienie do działu elektronicznego stołu operacyjnego, umieszczenie go pomiędzy trzema komputerami oraz podłączenie butli z tlenem. Mikrofony były już na swoich miejscach. W czasie ubiegłych miesięcy często ćwiczyliśmy ten manewr, ale dzisiaj pobiliśmy nasz rekord o dwie minuty.

— Dobra robota — pochwalił Mac.

Uderzyła mnie myśl, że czekał na ten moment od miesięcy, a może nawet od lat. Nacisnął guzik sygnalizujący naszą gotowość. Niespełna cztery minuty później Robbie z Janusem wwieźli na wózku Kena i położyli go na stole operacyjnym. Z trudem rozpoznałem chłopca. Jego oczy, zwykle tak błyszczące, były głęboko zapadnięte i niemal niewidoczne na twarzy. Sprawiał wrażenie oszołomionego. Mac prędko zamocował elektrody do jego obu skroni, do piersi i do szyi i podłączył go do „Charona 3”. A potem pochylił się nad nim.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Przywieźliśmy cię do laboratorium, żeby przeprowadzić kilka testów. Odpręż się, wszystko będzie dobrze.

Ken podniósł wzrok na Maca i uśmiechnął się. Wszyscy wiedzieliśmy, że to nasz ostatni bezpośredni z nim kontakt. Przeczuwaliśmy, że to pożegnanie. Mac spojrzał w moją stronę i włączył „Charona 1”. Elektroniczny głos zabrzmiał czysto i wiarygodnie: „Wzywa cię Charon... Wzywa cię Charon...” Ken zamknął oczy. Był w stanie hipnozy. Robbie stanął przy nim i dotknął palcem jego puls. Uruchomiłem program. Zaznaczyliśmy go literą X w naszych rejestrach, ponieważ różnił się od innych.

— Jak się czujesz, Ken?

Chociaż mikrofon znajdował się blisko ust chłopca, ledwie dosłyszeliśmy jego odpowiedź:

— Dobrze wiesz, jak się czuję.

— Gdzie się znajdujesz, Ken?

— W centrum komputerowym. Robbie wyłączył ogrzewanie. Rozumiem teraz, na czym polega wasz pomysł. Chcecie mnie zamrozić niczym mięso w rzeźni. Poproście Robbie'ego, żeby z powrotem uruchomił ogrzewanie... — Zamilkł na kilka minut, a potem powiedział:

— Stoję przed tunelem. W każdym razie tak to miejsce wygląda. Przypomina odwrotną stronę teleskopu... Postacie wydają się takie małe... Każcie Robbie'emu włączyć ogrzewanie.

Mac, który zajmował stanowisko obok mnie przy aparaturze kontrolnej, poruszył jednym z pokręteł. Do pewnego momentu program przebiegał bez dźwięku. Dopiero po chwili Mac wzmocnił nagłośnienie i głos ponownie dotarł do Kena.

— Masz pięć lat, Ken. Powiedz, jak się czujesz.

Zapadła długa cisza, a potem ku mojemu przerażeniu, choć powinienem się był tego spodziewać, Ken powiedział płaczliwym głosem:

— Nie czuję się dobrze. Nie mam ochoty na zabawę.

Mac nacisnął guzik i otworzyły się drzwi na drugim końcu sali. Janus wepchnął córkę do środka, a sam się wycofał. Używając jej sygnału wywoławczego Mac natychmiast przejął nad nią kontrolę po to, żeby nie zobaczyła leżącego na stole Kena. Dziewczynka podeszła do krzesła, usiadła i zamknęła oczy.

— Powiedz Kenowi, że tutaj jesteś, Niki.

Widziałem, jak dziewczynka zaciska dłonie na oparciu siedzenia.

— Ken jest chory — oznajmiła. — Płacze i nie ma ochoty na zabawę.

„Charon” bezlitośnie stawiał dalsze żądania:

— Każ mu się odezwać, Niki.

— Ken nie chce ze mną rozmawiać — odparło dziecko. — On pragnie się pomodlić.

W głośnikach rozległ się słaby głos Kena. Słowa brzmiały bełkotliwie i niewyraźnie:

Aniele Boży; Stróże mój,

Ty zawsze przy mnie stój

Rano, wieczór, we dnie, w nocy

Bądź mi zawsze ku pomocy...

Potem zapadła długa cisza. Zarówno Ken, jak i Niki nie odzywali się. Trzymałem dłonie na aparaturze, przygotowany do kontynuowania programu na znak dany mi przez Maca. Niespodziewanie Niki zaczęła tupać nogami.

— Nie wejdę do tunelu za Kenem. Tam jest całkiem ciemno — oświadczyła.

Robbie, który czuwał nad pacjentem, podniósł wzrok.

— Wpadł w śpiączkę — oznajmił.

Mac skinął głową, żebym ponownie uruchomił „Charona 1”.

— Idź za Kenem, Niki — odezwał się głos.

— Nic nie widzę po ciemku — zaprotestowała dziewczynka. Była bliska łez. Skuliła się na krześle i zaczęła wykonywać dziwne ruchy, jak gdyby zamierzała się czołgać.

— Nie chcę tam wchodzić. Tunel jest bardzo długi, a Ken nie będzie na mnie czekał.

Zaczęła drzeć na całym ciele. Rzuciłem okiem w stronę Maca. Spojrzał pytająco na Robbie'ego.

— Ken już się nie obudzi — zawyrokował lekarz. — To może trwać godzinami.

Na polecenie Maca podłączono butlę z tlenem. Robbie założył Kenowi maskę na twarz, a Mac podszedł do „Charona 3” i zapalił ekran. Poruszył kilkoma pokrętłami i dał mi znak głową.

— Teraz kolej na ciebie — powiedział.

Niki wciąż płakała, ale następna komenda, jaka padła z „Charona 1”, nie pozwalała jej na wytchnienie.

— Zostań z Kenem — polecił głos. — Powiedz nam, co się dzieje.

Miałem nadzieję, że Mac wie, co robi. Przecież dziewczynka mogła również wpaść w śpiączkę. Zastanawiałem się, czy w takim wypadku zdołają ściągnąć z powrotem. Siedziała zgarbiona na krześle, w bezruchu, podobnie jak Ken, i tak samo jak on wydawała się bez życia. Robbie polecił mi, żebym okrył ją kocem i zbadał jej puls. Był słaby, lecz równomierny. Przez ponad godzinę nic się nie wydarzyło. Obserwowaliśmy błyskające na ekranie nierówne sygnały przewodzone ze słabnącego mózgu Kena za pośrednictwem elektrod. Dziewczynka wciąż się nie odzywała.

Dopiero znacznie później zaczęła się wiercić i dziwnie wyginać. Skrzyżowała ręce na piersi i podciągnęła pod brodę kolana. Głowa opadła jej do przodu. Byłem

ciekaw, czy podobnie jak Ken odmawia jakąś dzieciinną modlitwę. Nie od razu uświadomiłem sobie, że ułożenie jej ciała przypomina embrionalną pozycję. Rysy, które nadawały jej buzi osobowość, stały się rozmazane. Jej twarz wydawała się teraz pomarszczona i stara.

— On odchodzi — rzekł Robbie.

Mac przywołał mnie do komputera, a lekarz pochylił się nad Kenem, badając jego puls. Sygnały na ekranie były coraz słabsze i drżące. W pewnej chwili wzmocniły się niespodziewanie i zwiększyły się ich odchylenia. W tym samym momencie Robbie powiedział:

— To już koniec. Ken umarł.

Sygnał równomiernie wznosił się i opadał. Mac odłączył elektrody i odwrócił się przodem do ekranu. W rytmie rejestrowanych impulsów nie następowały żadne zakłócenia. Przypominały pracę serca, uderzenia pulsu.

— Udało się! — zawołał Mac. — Och, mój Boże... zdołaliśmy tego dokonać!

We trójkę przyglądaliśmy się sygnałowi, który nawet na moment nie zmieniał swojego wzoru. Jego jednostajny ruch zdawał zawierać w sobie całe życie.

Nie wiem, jak długo tam staliśmy — minuty, a może godziny, nim w końcu Robbie zapytał:

— A co z dzieckiem?

Zapomnieliśmy o Niki, tak jak nie pamiętaliśmy o cichym, spokojnym ciele Kena. Dziewczynka nadal siedziała nieruchomo w dziwacznej, skurczonej pozycji z pochyloną do kolan głową. Podszedłem do „Charona 1”, żeby włączyć głos, ale Mac mnie powstrzymał.

— Zanim ją obudzimy, chciałbym się dowiedzieć, co ma nam do powiedzenia — rzekł.

Bardzo cichutko nastawił sygnał wywoławczy — gwałtowny powrót do świadomości mógłby okazać się dla niej zbyt dużym wstrząsem — a ja uruchomiłem „Charona 1”, który powtórzył ostatnią komendę programu.

— Zostań z Kenem. Powiedz, co się dzieje.

Początkowo nie nastąpiła żadna reakcja. Dopiero po chwili dziewczynka powoli wyprostowała się. Jej ruchy były dziwnie niezdarne. Opuściła ręce wzdłuż tułowia i w rytm sygnału na ekranie zaczęła się kołysać w przód i w tył. A potem odezwała się ostrym i nienaturalnie piskliwym głosem:

— On chce, żebyście pozwolili mu odejść. Puście... puście.... — Wciąż się kołysząc, łapczywie chwytała powietrze i podniósłszy w górę ręce, zaczęła rozpaczliwie wymachiwać w powietrzu pięściami.

— Puście... puście...

— Mac, musisz ją obudzić — rzekł Robbie nagłym tonem.

Częstotliwość sygnału na ekranie raptownie wzrosła. Dziecko zaczęło się dusić. Nie czekając na decyzję Maca, włączyłem głos.

— Tu mówi Charon... tu mówi Charon... Obudź się, Niki.

Dziewczynką wstrząsnął dreszcz. Po chwili jej twarz przybrała normalny kolor, a oddech stopniowo się wyrównał. Otworzyła oczy. Obrzuciła każdego z nas apatycznym spojrzeniem i zaczęła dłużyć w nosie.

— Muszę iść do ubikacji — oznajmiła ponurym tonem.

Robbie wyprowadził ją z sali. Sygnał, którego częstotliwość wzrosła podczas ataku dziecka, powrócił do swojego równomiernego rytmu.

— Dlaczego zmienił prędkość? — spytałem.

— Gdybyś nie wpadł w panikę i nie obudził jej, może byśmy się tego dowiedzieli — odparł Mac szorstkim, tak niezwykłym u niego tonem.

— Ależ Mac — zaprotestowałem. — Przecież dziewczynka mogła się udusić.

— Nie sądzę — rzekł.

Odwrócił się do mnie.

— Jej ruchy symulowały szok związany z porodem — orzekł. — A łapczywe chwyty powietrza — pierwszy oddech walczącego o życie noworodka. Ken, w stanie śpiączki, wracał w tym momencie, a Niki była razem z nim.

Do tej pory miałem okazję się już przekonać, że podczas hipnozy prawie wszystko jest możliwe, ale pomimo to teoria Maca nie wydała mi się przekonywająca.

— Walka Niki nastąpiła już po odejściu Kena, Mac — zauważyłem — po ukazaniu się nowego sygnału na ekranie „Charona 3”. Ken nie wróciłby w momencie narodzin — on już wtedy nie żył, czy nie pojmujesz tego?

Nie odpowiedział od razu.

— Nie wiem — wyznał w końcu. — Sądzę, że powinniśmy zahipnotyzować ją ponownie.

— Nie zgadzam się — sprzeciwił się Robbie, który wszedł do laboratorium w trakcie naszej rozmowy. — Dziecko przeszło już wystarczająco wiele. Wysłałem je do domu i poleciłem matce, żeby położyła je do łóżka.

Nigdy przedtem nie słyszałem w głosie Robbie'ego takiej stanowczości. Odwrócił wzrok od ekranu i ponownie spojrzął na nieruchome ciało, które leżało na stole.

— Przypuszczam, że o nas to samo można powiedzieć. Chyba wszyscy mamy na dzisiaj dosyć wrażeń. Osiągnąłeś swój cel, Mac. I być może jutro razem z tobą będę świętować twój sukces, ale nie dzisiaj, wybacz.

Był bliski załamania. Podobnie jak i my wszyscy. Niewiele jedliśmy w ciągu dnia i Janus po powrocie zabrał się za przygotowanie dla nas posiłku. Przyjął wiadomość o śmierci Kena z typowym dla siebie spokojem. Poinformował nas, że dziecko zasnęło, gdy tylko znalazło się w łóżku.

A zatem... było już po wszystkim. Odreagowanie, wyczerpanie i odrętwienie — wszystkie te uczucia zawładnęły mną naraz. Zapraǳiałem zasnąć kamiennym snem, jak Niki, i wyzwolić się od wszelkich doznań.

Zanim zawlokłem się do łóżka, jakiś impuls — silniejszy od skrajnego wyczerpania — kazał mi wrócić do centrum komputerowego. Nic się tutaj nie zmieniło od chwili naszego wyjścia. Nakryte prześcieradłem ciało Kena leżało na stole. Ekran był zapalony, a sygnał pulsował równomiernie, biegnąc w górę i w dół. Przez moment przyglądałem się, a potem nachyliłem się nad magnetofonem, żeby odtworzyć ostatni fragment nagrania. Gdy włączyłem przełącznik, wciąż miałem przed oczami kołyszącą się głowę Niki i jej rozpaczliwie wymachujące dłonie.

— On chce, żebyście pozwolili mu odejść — zabrzmiał piskliwy głos. — Puśćcie... puśćcie.... — Potem nastąpiły odgłosy zachłystywania się i powtórzyły się słowa:

— Puśćcie... puśćcie....

Wyłączyłem taśmę. Słowa dziewczynki nie miały sensu. Sygnał był przecież tylko energią elektryczną, która została zatrzymana w chwili śmierci Kena. Dlaczego dziecko przełożyło ją na krzyk o wyzwolenie? Chyba że...?

Podniosłem wzrok. Mac przyglądał mi się od drzwi. Pies był razem z nim.

— Cerber jest niespokojny — powiedział. — Chodzi w tę i z powrotem po pokoju i nie pozwala mi zasnąć.

— Ponownie przesłuchałem taśmę. Coś jest nie tak, Mac.

Zbliżył się do mnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Nagranie nie wpłynęło niekorzystnie na nasze rezultaty. Spójrz na ekran. Sygnał jest równomierny. Eksperyment zakończył się stuprocentowym powodzeniem. Zrealizowaliśmy nasz zamiar. Energia została zatrzymana.

— Wiem — odrzekłem. — Ale czy tylko ona?

Uruchomiłem magnetofon i jeszcze raz wysłuchaliśmy odgłosów duszenia się dziecka oraz jego słów: „Puśćcie... puśćcie...”

— W chwili gdy Niki to mówiła, Ken już nie żył, Mac — zauważyłem. — I nie mogło być już wtedy pomiędzy nimi żadnej komunikacji.

— Co masz na myśli?

— Jak to się stało, że po śmierci chłopca wciąż identyfikowała się z jego osobowością; z osobowością, która powtarzała: „Puśćcie mnie, puśćcie...” Chyba że...

— Chyba że, co?

— Chyba, że stało się coś, co do tej pory uważaliśmy za niemożliwe. A to, co widzimy uwięzione na ekranie, jest istotą samego Kena.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem, a potem obaj skierowaliśmy wzrok na sygnał, który nagle nabrał dla nas nowego sensu i nowej wagi. Niespodziewana refleksja zrodziła w nas uczucie bólu i przerażenia.

— Mac, cośmy najlepszego zrobili?

Rano zatelefonowała pani Janusowa, informując o nienormalnym zachowaniu Niki po przebudzeniu. Bez przerwy kołysała się w przód i w tył, a matce nie udało się jej uspokoić. Dziewczynka nie gorączkowała, ale dziwne ruchy jej ciała wzbudzały obawę. Nie zjadła śniadania i w ogóle się nie odzywała. Może uspokoiłaby się, gdyby Mac nadał do niej sygnał.

Wiadomość odebrał Janus. Byliśmy w jadalni, gdy nam ją przekazał. Robbie wstał, podszedł do telefonu i prawie natychmiast wrócił.

— Jadę tam — oświadczył. — Nigdy nie powinienem był dopuścić do tego, co się tu wczoraj wydarzyło.

— Wiedziałeś, jakie jest ryzyko — odparł Mac. — Zналиśmy je wszyscy od samego początku. Zawsze zapewniałeś mnie, że doświadczenie nikomu nie może zaszkodzić.

— Myliłem się — rzekł Robbie. — Och, nie chodzi mi o eksperyment... Bóg świadkiem, że zrobiłeś to, co chciałeś, i że w najmniejszym stopniu nie miało to wpływu na stan biednego Kena, który jest już poza tym wszystkim. Ale popełniłem błąd, pozwalając, żebyś wciągnął do tego dziecko.

— Plan nie powiódłby się bez Niki — zauważył Mac.

Robbie wyszedł z budynku. Słyszałem, jak zapuszcza silnik.

Poszliśmy we dwóch z Makiem do centrum komputerowego. Janus i Robbie byli tam przed nami i usunęli ciało Kena. Z sali wyniesiono zbyteczne rzeczy i wyposażenie pomieszczenia tak jak przedtem ograniczało się do urządzeń niezbędnych do prowadzenia rutynowych badań. Jedyna różnica polegała na tym, że „Charon 3” — komputer służący do przechowywania energii — był od wczoraj włączony, a rejestrowany przez niego sygnał równomiernie wznosił się i opadał na ekranie. Przyglądałem mu się ukradkiem z nieracjonalną nadzieją, że zgaśnie.

Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę. Dzwonił Robbie.

— Myślę, że powinniśmy skierować dziecko do szpitala — oznajmił na wstępie. — Przypuszczam, że dostało ataku schizofrenii i jeśli nawet nie stanie się agresywne, to i tak pani Janusowa nie da sobie z nim rady. Jeśli Mac nie będzie temu przeciwny, natychmiast zawiozę dziewczynkę na oddział psychiatryczny kliniki Guya.

Zawołałem Maca i przedstawiłem mu sytuację. Odebrał mi słuchawkę.

— Słuchaj, Robbie. Jestem gotów podjąć ryzyko ponownego zahipnotyzowania małej. Być może uda się nam ją z tego wyprowadzić.

Dyskusja trwała przez długą chwilę. Widząc gest zawodu Maca, domyśliłem się, że Robbie nie chce przystać na jego propozycję. Z pewnością miał rację.

Niewykluczone, że mózg dziecka i tak już doznał nieodwracalnych uszkodzeń. Zastanawiałem się tylko, jakich wyjaśnień Robbie zamierza udzielić lekarzom.

Mac skinął na mnie, żebym zastąpił go przy telefonie.

— Powiedz Robbie'emu, żeby się nie rozłączał.

Byłem jego podwładnym i nie mogłem go powstrzymać. Uruchomił „Charona 2”. Sięgnąłem po słuchawkę i przekazałem Robbie'emu polecenie Maca. A potem nie pozostało mi już nic innego, jak tylko czekać na dalszy przebieg wydarzeń.

Przez kilka minut dochodziły mnie tylko odległe głosy. Wydawało mi się, że słyszę błagalny ton pani Janusowej, która zwracała się do Robbie'ego: „Proszę, niech pan pozwoli jej spróbować...”

Mac wyregulował „Charona 1” i skinął na mnie, żebym jak najbliżej przysunął telefon do komputera.

— Niki? — powiedział. — Słyszysz mnie? Mówi Mac.

Stałem obok niego. Dobiegł mnie ledwo słyszalny szept:

— Tak, Mac.

Dziewczynka wydawała się zdziwiona, a nawet przestraszona.

— Powiedz mi, co cię niepokoi, Niki.

Zaczęła chlipać.

— Nie wiem. Rozlega się tykanie zegara. Nie lubię tego odgłosu.

— A gdzie się znajduje ten zegar, Niki?

Nie odpowiedziała. Mac powtórzył pytanie. Usłyszałem protesty Robbie'ego, który zapewne stał obok dziewczynki.

— Jest wszędzie wokół mnie — odparła w końcu. — Tyka w mojej głowie. Ten dźwięk drażni również Penny.

Penny. Kim była Penny? Nagle przypomniałem sobie. Niki mówiła o swojej zmarłej siostrze.

— Z jakiego powodu drażni Penny?

Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Robbie miał rację. Mac nie powinien był poddawać dziecka tej próbie. Pokręciłem z dezaprobatą głową, ale nie zwracał na mnie uwagi i powtórzył pytanie. Usłyszałem, że dziewczynka wybuchnęła płaczem.

— Penny... Ken... — łkała. — Penny... Ken...

W tym momencie Mac uruchomił wczorajszy program „Charona 1” i głos elektroniczny przekazał polecenie:

— Zostań z Kenem. Powiedz nam, co się dzieje.

Dziecko wydało z siebie przeraźliwy jęk i pewnie upadło, gdyż doszły mnie krzyki Robbie'ego i pani Janusowej oraz trzask spadającego aparatu telefonicznego.

Obaj z Makiem spojrzeliśmy na ekran. Sygnał poruszał się szybkimi szarpnięciami.

— Na miłość boską, Mac, zabijesz ją... — rozległ się w telefonie głos Robbie'ego.

— Co się z nią dzieje? — spytał Mac.

— To samo co wczoraj. Kołysze się w przód i w tył. Dusi się. Zaczekaj...

Odłożył słuchawkę. Mac włączył sygnał wywoławczy. Puls na ekranie stał się znowu równomierny. Po długiej przerwie odezwał się Robbie:

— Ona chce z tobą rozmawiać.

Po chwili ciszy dziecięcy głos powiedział bezdźwięcznym tonem:

— Pozwólcie im odejść.

— Dobrze się czujesz, Niki? — spytał Mac.

— Pozwólcie im odejść — powtórzyła dziewczynka.

Mac odłożył słuchawkę. Obaj wpatrywaliśmy się w sygnał, który powrócił do swojej normalnej prędkości.

— Co o tym sądzisz? — spytałem. — Czego to dowodzi?

Mac nagle wydał mi się stary i niezmiernie zmęczony, a w

jego oczach pojawił się wyraz, którego nie widziałem nigdy przedtem: zdumienie graniczące z niedowierzaniem. Sprawiał wrażenie, jak gdyby całym swoim ciałem, umysłem i zmysłami protestował przeciwko myśli, która się w nim zrodziła, i odmawiał jej słuszności.

— To może oznaczać, że miałeś rację o przetrwaniu inteligencji po śmierci człowieka. To stanowiłoby przełom w naszym dotychczasowym rozumowaniu — stwierdził.

Powoli dotarł do nas obu sens jego wypowiedzi. Byliśmy oszołomieni. Pierwszy otrząsnął się Mac. Podszedł do „Charona 3” i utkwiał wzrok w ekranie.

— Zauważyłeś, że częstotliwość sygnału była nierównomierna w trakcie wypowiedzi dziecka? — spytał. — Sama Niki nie byłaby w stanie spowodować takich zmian. Energia musiała więc pochodzić od „Szóstej Siły” Kena oraz od siły jej bliźniaczej siostry. Moc ta może być przekazywana tylko za pośrednictwem dziewczynki. A to oznacza, że... — Przerwał i poddając się ogarniającemu go coraz bardziej podnieceniu, zwrócił się do mnie.

— Niki jest naszym jedynym ogniwem. Musimy sprowadzić ją tutaj, zaprogramować „Charona” i zadać jej następną serię pytań. Jeśli zdołamy przejąć kontrolę nad inteligencją plus nad energią...

— Mac — przerwałem mu. — Czy ty chcesz zabić to dziecko albo, co gorsza, skazać je na zakład dla umysłowo chorych?

Rzucił zrozpaczone spojrzenie w stronę ekranu.

— Muszę się tego dowiedzieć, Steve — rzekł. — Jeśli inteligencja może trwać dłużej niż ciało, jeśli „Szósta Siła” jest w stanie przewyciężyć śmierć, to oznacza, że zdoła nad nią zatryumfować cała ludzkość. Nowa forma nieśmiertelności stanie się faktem i całkowitej zmianie ulegnie sens życia na ziemi.

Tak, zmieni się, i to na dobre, pomyślałem. Radosny na początku partnerski związek nauki z religią niechronnie przyniesie z czasem rozczarowanie. Naukowcy dojdą do wniosku, a duchowni będą podzielać ich zdanie, że ludzkie

istnienie na ziemi można z łatwością poświęcić, skoro i tak człowiek ma zapewnione życie wieczne. Począwszy od wyeliminowania ze społeczeństwa ludzi kalekich, starych i słabych, doprowadzą do zagłady całego świata. Po co bowiem żyć, skoro spełnienie leży gdzie indziej?

— Słyszałeś, Mac, co powiedziało dziecko — przypomniałem. — „Pozwólcie im odejść”.

Ponownie rozległ się sygnał telefonu. Tym razem dzwonił Janus z naszego wewnętrznego aparatu w hallu. Przeprosił, że ⁿam przeszkadza, ale przybyli dwaj panowie z ministerstwa.

Powiedział im, że mamy konferencję, lecz nalegają, że sprawa jest pilna i że natychmiast chcą się widzieć z MacLeanem.

Poszedłem do baru. Urzędnik, którego poznałem w Londynie, stał tam razem ze swoim kolegą. Przeprosił mnie i wyjaśnił, że złożył mu wizytę mój poprzednik w Saxmere, który wyznał, że powodem jego odejścia były podejrzone badania prowadzone tutaj przez MacLeana w tajemnicy przed ministerstwem. Przedstawiciel ministerstwa zażądał natychmiastowej z nim rozmowy.

— Szef zaraz tu przyjdzie — oświadczyłem. — A tymczasem służę wyjaśnieniami, jeśli jest coś, o czym chcieliby panowie wiedzieć.

Wymienili ze sobą spojrzenia, a potem odezwał się drugi z mężczyzn:

— Zajmujecie się wibracjami oraz badacie ich związek z eksplozją, prawda? W każdym razie tak pan twierdził w Londynie.

— Zgadza się — odparłem. — Odnieśliśmy nawet w tej dziedzinie pewne sukcesy. Ale, tak jak uprzedzałem, wciąż jeszcze pozostało nam wiele do zrobienia.

— Przyjechaliśmy tutaj po to, żeby zapoznać się z waszymi osiągnięciami.

— Przykro mi, ale od chwili mojego powrotu prace zostały wstrzymane. Właśnie straciliśmy jednego z członków naszego personelu. Jego śmierć nie miała nic wspólnego z eksperymentem. Młody Ken Ryan zmarł wczoraj na białaczkę.

Jeszcze raz znacząco spojrzeli po sobie.

— Słyszeliśmy o jego nie najlepszym stanie zdrowia — odezwał się urzędnik, którego poznałem wcześniej. — Pański poprzednik powiadomił nas o tym. Prawdę mówiąc, dał nam do zrozumienia, że prowadzone tu prace mają związek z chorobą tego chłopca.

— Zostaliście panowie wprowadzeni w błąd — stwierdziłem. — Przypadłość, na jaką cierpiał, nie miała tu nic do rzeczy.

Wkrótce wróci lekarz i zaznajomi panów z medycznymi szczegółami.

— Chcielibyśmy porozmawiać z MacLeanem oraz zobaczyć dział elektroniczny — upierał się drugi z mężczyzn.

Wróciłem do centrum komputerowego. Wiedziałem, że nic ich nie powstrzyma od postawienia na swoim i że będziemy zmuszeni im ustąpić.

MacLean manipulował przy „Charonie 2”. Skierowałem wzrok na sąsiedni komputer. Ekran wciąż się świecił, lecz zniknął sygnał. Nie odezwałem się, tylko spojrzałem zdumiony na MacLeana.

— Tak, porozłączałem wszystko. Energia przepadła.

Niewypowiedziana ulga, jaką odczułem w pierwszej chwili, przemieniła się we współczucie dla tego człowieka, który w ciągu pięciu minut własnoręcznie zniszczył efekty swojej wieloletniej pracy.

— To nie koniec, ale dopiero początek — oznajmił, napotykając mój wzrok. — Pokonaliśmy zaledwie pewien etap. „Charon 3” jest teraz bezużyteczny i tylko we trzech będziemy wiedzieć o tym, co się tutaj wydarzyło — ponieważ musimy dopuścić Robbie'ego do naszej tajemnicy. Tylko krok dzielił nas od dokonania odkrycia, w które nie uwierzyłaby żadna żyjąca istota. Ale nie zdołaliśmy poznać prawdy do końca. Niewykluczone, że myliliśmy się obaj, a wczorajsze i dzisiejsze

wypowiedzi dziewczynki były efektem wypaczeń jej zahipnotyzowanego mózgu. Sam nie wiem. Po prostu nie wiem... Uwolniłem energię właśnie z powodu słów Niki. Jej siostra jest wolna i Ken też jest wolny. Odszedł. Prawdopodobnie nigdy nie uda nam się dowiedzieć, co było jego ostatecznym przeznaczeniem. Jestem jednak gotów ciężko pracować do końca moich dni, żeby odkryć tę prawdę. To samo dotyczy ciebie, Steve, oraz Robbie'ego, jeśli zechcecie się do mnie przyłączyć.

Powtórzyłem mu moją rozmowę z urzędnikami ministerstwa. Wzruszył ramionami.



— Powiem im, że nie powiodły się żadne eksperymenty i że rzucam pracę — oznajmił. — Od tej pory, Steve, będziemy pracować na własną rękę. To dziwne, ale czuję, że Ken jest mi teraz bliższy, niż kiedykolwiek przedtem. Zresztą nie tylko on, lecz wszyscy zmarli. — Umilkł i odwrócił się do mnie tyłem.

— Stan dziewczynki znowu wróci do normy — powiedział. — Idź do niej i przyślij tu Robbie'ego, dobrze? A ja zajmę się tymi detektywami z ministerstwa.

Wymknąłem się po cichu tylnymi drzwiami i ruszyłem przez mokradła w stronę domków ochrony wybrzeża. Towarzyszył mi Cerber. Nie dyszał ciężko ani nie przejawiał żadnych oznak zaniepokojenia. W niepohamowanej radości sadił susami do przodu i co jakiś czas zawracał, żeby sprawdzić, czy idę za nim.

Zdawało mi się, że nie ma już we mnie żadnych uczuć. Bez emocji myślałem zarówno o tym, co się wydarzyło, jak i o tym, co miało nastąpić. Mac zniszczył własnymi rękami jedyną nić dającą świadectwo wydarzeniu, z którym żyliśmy od wczorajszego wieczoru do dzisiejszego świtu. Odkrycie sensu śmierci, które jest marzeniem każdego naukowca, na kilka krótkich godzin stało się naszym udziałem. Zatrzymaliśmy energię, która z kolei rozpałała iskrę pozwalającą dostrzec nowy, rewelacyjny świat.

Nagle... moja wiara zachwiała się. Być może myliliśmy się, ulegając własnym złudnym uczuciom i cierpieniu wystraszonego, niedorozwiniętego dziecka, a ostateczne pytania na zawsze miały pozostać bez odpowiedzi?

Minąłem moczary i wspinałem się zboczem wśród zarośli w stronę chatek. Pies biegł przede mną i szczekał. W oddali, po prawej stronie, na tle skalnego grzbietu, amerykańscy kadeci znowu ćwiczyli grę na trąbkach. Ochryple, nieharmonijne piski rozrywały ciszę. Żołnierze usiłowali najwyraźniej odegrać sygnał pobudki.

Dostrzegłem wychodzącego z chatki Janusów Robbie'ego. Towarzyszyła mu dziewczynka. Wszystko wskazywało na to, że czuje się dobrze. Wybiegła naprzód, żeby przywitać się z psem. Słyszac dźwięki, wyrzuciła ręce w górę i

zaczęła się kołysać w rytm coraz szybszego tempa marszu. A potem śmiejąc się i tańcząc, pobiegła z uniesionymi wysoko ramionami w stronę skalnego zbocza. Nie odstępujący jej pies szczekał, a kadeci oglądali się, śmiali się razem z nią i po chwili nic już nie istniało oprócz szczekającego psa, tańczącego dziecka oraz brzęącego w powietrzu wysokiego głosu trąbki.

